U. I. C. C.
APR 24 1978
LIBRARY

4

TWÓRCZOŚĆ

KWIECIEŃ 1951 ROK

TWÓRCZOŚĆ

MIESIĘCZNIK

ZWIĄZKU LITERATÓW POLSKICH

ROK VII ZESZYT 4

WARSZAWA KWIECIEŃ 1951

Okładkę projektował Henryk Tomaszewski
Druk Zakłady Graficzne i Wydawnicze „Dom Słowa Polskiego"
Zamówienie 464 nakład 7080. 2-B-16700

Rozmowa Józefa Stalina z korespondentem „Prawdy"

Niedawno korespondent „Prawdy" zwrócił się do towarzysza Stalina z szeregiem pytań, dotyczących polityki zagranicznej. Poniżej podajemy odpowiedź towarzysza Stalina.

Pytanie: Jak oceniacie ostatnie oświadczenie premiera angielskiego, Attlee, w Izbie Gmin, że po zakończeniu wojny Związek Radziecki nie rozbroił się, to jest nie zdemobilizował swych wojsk, że od tego czasu Związek Radziecki zwiększa coraz bardziej swe siły zbrojne?

Odpowiedź: Oświadczenie premiera Attlee oceniam jako oszczerstwo na Związek Radziecki.

Całemu światu wiadomo, że Związek Radziecki zdemobilizował po wojnie swe wojska. Jak wiadomo, demobilizacja została przeprowadzona w trzech etapach: pierwszy i drugi etap — w ciągu roku 1945, a trzeci etap — od maja do września 1946 roku. Poza tym w latach 1946 i 1947 przeprowadzona została demobilizacja starszych roczników stanu osobowego Armii Radzieckiej, a na początku 1948 roku zdemobilizowano wszystkie pozostałe starsze roczniki.

Takie są wszystkim znane fakty.

Gdyby premier Attlee był mocny w nauce o finansach czy ekonomii, zrozumiałby z łatwością, że żadne państwo, nie wyłączając państwa radzieckiego, nie może rozwijać pełną parą przemysłu cywilnego, rozpoczynać wielkich budowli w rodzaju elektrowni wodnych na Wołdze, Dnieprze, Amu-Darii, wymagających dziesiątków miliardów wydatków budżetowych, kontynuować polityki systematycznego obniżania cen towarów masowego spożycia, co również wymaga dziesiątków miliardów wydatków budżetowych, inwestować setek miliardów w odbudowę zniszczonej przez okupantów niemieckich gospodarki narodowej — a zarazem w tym samym czasie pomnażać swych sił zbrojnych, rozwijać przemysłu wojennego. Nie trudno zrozumieć, że taka niedorzeczna polityka doprowadziłaby państwo do bankructwa. Premier Attlee powinien był wiedzieć z własnego doświadczenia, jak również i z doświadczenia USA, że pomnażanie sił zbrojnych kraju i wyścig zbrojeń prowadzi do rozwijania przemysłu wojennego, do redukowania przemysłu cywilnego, do zaniechania wielkich budowli cywilnych, do zwyżki podatków, do wzrostu cen towarów masowego spożycia. Rzecz zrozumiała, że skoro Związek Radziecki nie redukuje przemysłu cywilnego, lecz, na odwrót, rozszerza go, nie zwija, lecz na odwrót, rozwija budownictwo nowych, potężnych elektrowni wodnych i systemów irygacyjnych, nie zaprzestaje polityki obniżania cen, lecz, na odwrót, kontynuuje ją — to nie może on równocześnie rozkręcać przemysłu wojennego i zwiększać swych sił zbrojnych, nie narażając się na to, że znajdzie się w stanie bankructwa.

A jeśli premier Attlee, mimo tych wszystkich faktów i względów naukowych, uważa jednak za możliwe jawnie oczerniać Związek Radziecki i jego pokojową politykę, można to wytłumaczyć jedynie tym, że sądzi on, iż szkalując Związek Radziecki będzie mógł usprawiedliwić wyścig zbrojeń w Anglii, realizowany obecnie przez rząd labourzystowski.

Premierowi Attlee potrzebne jest kłamstwo o Związku Radzieckim, potrzebne mu jest przedstawienie pokojowej polityki Związku Radzieckiego jako agresywnej, zaś agresywnej polityki rządu angielskiego jako pokojowej — po to, by wprowadzić w błąd naród angielski, narzucić mu to kłamstwo o ZSRR i w ten sposób wciągnąć go drogą oszustwa do nowej wojny światowej, organizowanej przez koła rządzące Stanów Zjednoczonych.

Premier Attlee występuje w roli zwolennika pokoju. Jeżeli jednak w rzeczywistości jest on za pokojem, dlaczego odrzucił propozycję Związku Radzieckiego w Organizacji Narodów Zjednoczonych w sprawie niezwłocznego zawarcia Paktu Pokoju między Związkiem Radzieckim, Anglią, Stanami Zjednoczonymi, Chinami i Francją?

Jeżeli rzeczywiście jest on za pokojem, dlaczego odrzucił propozycję Związku Radzieckiego w sprawie niezwłocznego przystąpienia do redukcji zbrojeń, niezwłocznego zakazu broni atomowej?

Jeżeli rzeczywiście jest on za pokojem, dlaczego prześladuje zwolenników obrony pokoju, dlaczego zakazał Kongresu Obrońców Pokoju w Anglii? Czyż kampania w obronie pokoju może zagrażać bezpieczeństwu Anglii?

Jasne jest, że premier Attlee jest nie za utrzymaniem pokoju, lecz za rozpętywaniem nowej agresywnej wojny światowej.

Pytanie: Co sądzicie o interwencji w Korei, czym może się ona skończyć?

Odpowiedź: Jeżeli Anglia i Stany Zjednoczone ostatecznie odrzucą propozycje pokojowe Chińskiego Rządu Ludowego, wojna w Korei może zakończyć się jedynie klęską interwentów.

Pytanie: Dlaczego? Czyż amerykańscy i angielscy generałowie i oficerowie są gorsi od chińskich i koreańskich?

Odpowiedź: Nie, nie gorsi. Amerykańscy i angielscy generałowie i oficerowie nie są ani trochę gorsi niż generałowie i oficerowie każdego innego kraju. Co się tyczy żołnierzy USA i Anglii, to w wojnie przeciw hitlerowskim Niemcom i militarystycznej Japonii zaprezentowali się oni, jak wiadomo, z najlepszej strony. O cóż więc chodzi? O to mianowicie, że wojnę przeciw Korei i Chinom żołnierze uważają za niesprawiedliwą, podczas gdy wojnę przeciw hitlerowskim Niemcom i militarystycznej Japonii uważali za najzupełniej sprawiedliwą. Chodzi o to, że wojna ta jest wyjątkowo niepopularna wśród żołnierzy amerykańskich i angielskich.

Istotnie, trudno przekonać żołnierzy, że Chiny, które nie zagrażają ani Anglii, ani Ameryce i którym Amerykanie zabrali wyspę Taiwan — są agresorem, podczas gdy Stany Zjednoczone, które zagarnęły wyspę

Taiwan i posunęły swe wojska aż do granic Chin — są stroną broniącą się. Trudno przekonać żołnierzy, że Stany Zjednoczone mają prawo bronić swego bezpieczeństwa na terytorium Korei i u granic Chin, podczas gdy Chiny i Korea nie mają prawa bronić swego bezpieczeństwa na własnym terytorium lub u granic swego państwa. Stąd niepopularność wojny wśród żołnierzy anglo-amerykańskich.

Rzecz zrozumiała, że najbardziej nawet doświadczeni generałowie i oficerowie mogą ponieść porażkę, jeżeli żołnierze uważają, że narzucona im wojna jest głęboko niesprawiedliwa i jeżeli wobec tego wykonują swe obowiązki na froncie formalnie, bez wiary w słuszność swej misji, bez entuzjazmu.

Pytanie: Jak oceniacie uchwałę Organizacji Narodów Zjednoczonych (ONZ) uznającą Chińską Republikę Ludową za agresora?

Odpowiedź: Oceniam ją jako uchwałę haniebną. Istotnie, trzeba wyzbyć się ostatnich resztek sumienia, by twierdzić, że Stany Zjednoczone, które zagarnęły terytorium chińskie, wyspę Taiwan, i wdarły się do Korei, aż do granic Chin, są stroną broniącą się, a Chińska Republika Ludowa, broniąca swych granic i starająca się odzyskać zagarniętą przez Amerykanów wyspę Taiwan — jest agresorem.

Organizacja Narodów Zjednoczonych, utworzona jako ostoja pokoju, przekształca się w narzędzie wojny, w instrument rozpętywania nowej wojny światowej. Agresorskim trzonem ONZ jest dziesięć krajów — członków agresywnego paktu północno-atlantyckiego (USA, Anglia, Francja, Kanada, Belgia, Holandia, Luksemburg, Dania, Norwegia, Islandia), oraz dwadzieścia krajów Ameryki Łacińskiej (Argentyna, Brazylia, Boliwia, Chile, Kolumbia, Costa Rica, Kuba, San Domingo, Ekwador, Salwador, Gwatemala, Haiti, Honduras, Meksyk, Nicaragua, Panama, Paragwaj, Peru, Urugwaj i Wenezuela). Przedstawiciele tych właśnie krajów decydują obecnie w ONZ o losach wojny i pokoju. Oni to przeprowadzili w ONZ haniebną uchwałę uznającą Chińską Republikę Ludową za agresora.

Rzeczą charakterystyczną dla obecnych stosunków w ONZ jest to, że np. niewielka republika amerykańska, San Domingo, która liczy zaledwie dwa miliony ludności, posiada teraz w ONZ taką samą wagę jak Indie, a znacznie większą wagę niż Chińska Republika Ludowa, pozbawiona prawa głosu w ONZ.

W ten sposób ONZ, przekształcając się w narzędzie agresywnej wojny, przestaje być zarazem światową organizacją równouprawnionych narodów. W istocie rzeczy ONZ jest teraz nie tyle organizacją światową, ile organizacją dla Amerykanów, działającą gwoli interesów agresorów amerykańskich. Nie tylko Stany Zjednoczone i Kanada dążą do rozpętania nowej wojny, lecz na tej drodze znajduje się również dwadzieścia krajów Ameryki Łacińskiej, w których obszarnicy i kupcy pożądają nowej wojny, gdziekolwiek bądź w Europie lub Azji, ażeby sprzedawać wojującym krajom towary po wyśrubowanych cenach i zarobić miliony na tym krwawym przedsięwzięciu. Dla nikogo nie jest tajemnicą fakt, że dwudziestu przedstawicieli dwudziestu krajów Ame-

ryki Łacińskiej stanowi obecnie najbardziej zwartą i posłuszną armię Stanów Zjednoczonych w ONZ.

Tak więc organizacja Narodów Zjednoczonych wkracza na niesławną drogę Ligi Narodów. Grzebie ona tym samym swój autorytet moralny i skazuje się na rozpad.

Pytanie: Czy uważacie, że nowa wojna światowa jest nieunikniona?

Odpowiedź: Nie. Przynajmniej w obecnym czasie nie można uważać jej za nieuniknioną.

Oczywiście, w Stanach Zjednoczonych, w Anglii, jak również we Francji istnieją agresywne siły, pożądające nowej wojny. Potrzebna im jest wojna dla otrzymania zysków nadzwyczajnych, dla ograbienia innych krajów. Są to miliarderzy i milionerzy, traktujący wojnę jako intratny interes, dający kolosalne zyski.

One to, te agresywne siły, trzymają w swych rękach rządy reakcyjne i kierują nimi. Równocześnie jednak boją się one swoich narodów, które nie chcą nowej wojny i są za utrzymaniem pokoju. Dlatego też starają się wykorzystać reakcyjne rządy, aby omotać siecią kłamstw swe narody, oszukać je i przedstawić nową wojnę jako obronną, a pokojową politykę krajów miłujących pokój — jako agresywną. Starają się oszukać swe narody, aby narzucić im swe agresywne plany i wciągnąć je do nowej wojny.

Dlatego właśnie boją się kampanii w obronie pokoju, zatrwożeni, że może ona zdemaskować agresywne zamierzenia reakcyjnych rządów.

Dlatego właśnie storpedowali oni propozycje Związku Radzieckiego w sprawie zawarcia Paktu Pokoju, redukcji zbrojeń, zakazu broni atomowej, obawiając się, że przyjęcie tych propozycji podważy agresywne poczynania reakcyjnych rządów i sprawi, że wyścig zbrojeń stanie się niepotrzebny.

Czym zakończy się ta walka między siłami agresji a siłami miłującymi pokój?

Pokój zostanie utrzymany i utrwalony, jeżeli narody ujmą w swe ręce sprawę utrzymania pokoju i będą broniły jej do końca. Wojna może stać się nieunikniona, jeżeli podżegaczom wojennym uda się omotać siecią kłamstw masy ludowe, oszukać je i wciągnąć do nowej wojny światowej.

Dlatego też szeroka kampania na rzecz utrzymania pokoju, jako środek zdemaskowania zbrodniczych machinacji podżegaczy wojennych, ma obecnie znaczenie pierwszorzędne.

Co się tyczy Związku Radzieckiego, to będzie on nadal niezachwianie prowadził politykę zapobiegania wojnie i zachowania pokoju.

„Prawda", 17 lutego 1951 r.

BOLESŁAW BIERUT

Z referatu wygłoszonego na VI plenum KC PZPR

Plany imperialistycznych podżegaczy wojennych a Polska

Całokształt agresji bloku atlantyckiego godzi w Polskę, lecz szczególnie remilitaryzacja Niemiec zachodnich, poza swym ogólnym znaczeniem, zawiera niebezpieczeństwa ostrzem swym zwrócone bezpośrednio przeciw Polsce. Budzenie wśród Niemców nastrojów odwetowych za pośrednictwem Adenauerów i Schumacherów, przy pomocy zaktywizowanych generałów Wehrmachtu hitlerowskiego i kleru niemieckiego, utrzymywanego nominalnie przez Watykan na dawnych, choć utraconych bezpowrotnie stanowiskach — odbywa się pod przynętą nowej napaści na Polskę. Podjudzanie przeciwko narodowi polskiemu, przeciwko granicom polskim na Odrze i Nysie, przeciwko pokojowemu sojuszowi i współpracy Polski z Niemiecką Republiką Demokratyczną — stało się metodą osłabiania rosnącego oporu Niemców na terenach Trizonii przy wciąganiu ich w orbitę agresywnych planów amerykańskich, stało się jednym z głównym atutów propagandowych dla zwabienia Niemców, którym w trzeciej wojnie światowej przeznaczają politycy dolarowi niechlubną rolę mięsa armatniego.

Warto więc przypomnieć, że nie są to bynajmniej nowe atuty i nowa przynęta. Na odwrót. Państwa imperialistyczne zawsze były skłonne rozwiązywać sporny układ sił w Europie kosztem Polski. Już we wczesnej fazie kapitalizmu, gdy ustalano przy wstrząsach i konfliktach zbrojnych granice i tereny działania kapitalistycznych państw w Europie — wykreślono w ogóle Polskę z mapy politycznej, mimo jej rozpaczliwych zrywów do walki o swoją niepodległość i prawo do bytu.

W końcowym okresie pierwszej wojny światowej Polska stała się znowu przedmiotem przetargów i atutem w rękach kapitalistycznych, szczególnie zaś amerykańskich polityków, którzy mieli niewątpliwą ochotę złagodzenia jej kosztem — katastrofalnych dla Niemiec skutków tej wojny. Ale sprawę niepodległości Polski postawiła w sposób jasny i niedwuznaczny przed narodami świata jeszcze w toku wojny Rewolucja Rosyjska, postawili ją Lenin i Stalin. Dlatego też nie można było wykreślić tej sprawy z porządku dnia w końcowym etapie wojny.

Jakież stanowisko zajęły w tym okresie w sprawie polskiej Stany Zjednoczone? Oto, co pisze o tym bezpośredni uczestnik pertraktacji w sprawach Polski w roku 1918, Roman Dmowski, w książce: „Polityka polska i odbudowanie państwa", wydanej w roku 1925. Cytuje on wypowiedź Wilsona w bezpośredniej rozmowie, jaką odbył z nim jesienią 1918 roku.

„*Wilson:* Czyż Wam nie wystarczy neutralizacja dolnego biegu Wisły i wolny port w Gdańsku?" (R. Dmowski — Pisma, t. VI, str. 97).

„Tylko ludzie — mówi Dmowski — nie rozumiejący języka politycznego, mogli w wilsonowskich słowach „wolny dostęp do morza" wyczytać przyznanie nam ziemi leżącej nad Bałtykiem. Ten wyraz „wolny" oznaczał właśnie zagwarantowanie dostępu do morza po cudzym terytorium"... (R. Dmowski, Pisma, t. V, str. 287).

Polska możliwie najbardziej okrojona i niezdolna do życia, Polska jako łatwy przyszły żer do pochłonięcia przez Rzeszę, Polska faktycznie bez dostępu do morza, posiadająca co najwyżej dostęp do portu gdańskiego przez „zneutralizowaną Wisłę" — Polska jako żerowisko amerykańskiej finansjery, Polska jako baza wypadowa przeciw Rosji Radzieckiej — oto jak wyobrażał sobie Wilson odbudowę państwa polskiego.

Kiedy po pierwszym oświadczeniu Wilsona o „niepodległości Polski" kanclerz niemiecki zaprotestował przeciwko mieszaniu się Stanów Zjednoczonych do wewnętrznych spraw państw centralnych, amerykański ambasador w Berlinie, Gerard, oświadczył w imieniu swojego rządu, że stanowisko Wilsona odnosi się tylko „do Polski takiej, jaką stworzyły państwa centralne".

Państwa centralne, po okupowaniu ziem polskich, żonglowały przez pewien czas (w r. 1916) mirażem państwa polskiego, związanego ściśle z Niemcami i Austrią, zastrzegając się, że nie wykraczałoby ono poza obszar byłego zaboru rosyjskiego. Chodziło im o możliwość utworzenia na tym terenie armii polskiej, która by walczyła pod dowództwem niemieckim. Deklaracja Wilsona ze stycznia 1917 r. pokrywa się w zasadzie z tą koncepcją. Jak wynika z wyżej przytoczonej relacji tłumaczył się on przed państwami centralnymi, co rozumiał pod słowami „niepodległość Polski".

W innym miejscu Dmowski opowiada:

„...Już po wręczeniu delegacji niemieckiej w Wersalu projektu traktatu prezydent Stanów Zjednoczonych, uległszy Lloyd George'owi, zgodził się na zmianę decyzji w sprawie Górnego Śląska, przyznanego Polsce i na przeprowadzenie w tej ziemi plebiscytu. Zakomunikował tę nową decyzję mnie i Paderewskiemu na Radzie Najwyższej, motywując ją między innymi tym, iż delegacja niemiecka powołuje się na to, że ludność miejscowa, acz mówiąca po polsku, jest przywiązana do Niemiec, do Polski nie chce należeć i w plebiscycie będzie głosowała za Niemcami".

Wiemy, że za to dwuznaczne i w gruncie rzeczy niezbyt przychylne dla odbudowy Polski poparcie państw anglosaskich burżazja polska brała na siebie wobec tych państw zobowiązanie „obrony zachodu" przed bolszewizmem, to znaczy współudziału w interwencji zbrojnej przeciwko państwu socjalistycznemu, które pierwsze i bez wszelkich zastrzeżeń uznawało niepodległość Polski zgodnie z zasadą leninowską o prawie każdego narodu do stanowienia o sobie, unieważniło już w pierwszych dezycjach rządu rewolucyjnego wszelkie akty zaborcze caratu.

Stawiając później pomniki wdzięczności Ameryce, sławiąc Wilsona jako rzekomego wybawcę i protektora Polski, burżuazja polska starannie ukrywała przed narodem lub fałszowała prawdę o tym, jakim siłom i ruchom społecznym Polska rzeczywiście zawdzięczała swe odrodzenie.

Ciekawe wnioski nasuwają się np. z analizy tzw. pomocy hooverowskiej dla Polski po pierwszej wojnie światowej. Jak się okazuje w świetle publikacji Ligi Narodów tylko nikła część tzw. „Reliefu" była darmowa, przytłaczającą zaś część stanowiły wysokooprocentowane kredyty towarowe, głównie na żywność. W żadnym razie kredyty te nie obejmowały ani maszyn, ani surowców. Mimo że towary były lichej jakości, przeważnie z pozostałych zapasów wojennych, policzono ceny dwa i pół raza wyższe od cen normalnych.

Nie chcemy bynajmniej urazić uczuć obywateli amerykańskich, szczególnie zaś Polaków amerykańskich, którzy niewątpliwie niemało uczuć wiązali z tą akcją. Gwoli jednak prawdzie należy odsłonić istotny sens tej akcji, tak jak ona była realizowana przez magnatów z Wall Street, a nie przez przeciętnego Amerykanina.

Polscy politycy burżuazyjni, wywodzący się najczęściej z domów hrabiowskich obarczonych wszelkimi kompleksami podupadłej lub podupadającej magnaterii, lub z nie grzeszących najczęściej polotem myśli przedstawicieli inteligencji burżuazyjnej, wpatrzeni byli zawsze w „zachód" jak w tęczę i przez dziesiątki lat wpajali narodowi kult „zachodu" i jego opatrznościowych rzekomo dla Polski postaci. Owi wielcy mężowie zmieniali się jednak jak w kalejdoskopie, tak że młodzież ucząca się nie zawsze nadążała w przyswojeniu sobie nazwisk tych przemijających wielkości.

Z wielotomowych wynurzeń Dmowskiego, który przez pół wieku wydeptywał wraz z hrabiami i różnymi „opatrznościowymi" dla Polski politykami przedpokoje i poczekalnie ministrów i ministerstw wszystkich stolic świata i dostąpił „zaszczytu" rozmawiania bezpośrednio z dziesiątkami dostojników, kierujących polityką światową, nie wyłączając Stolicy Apostolskiej — wynika, że ci wielcy sternicy rządów światowych nie orientowali się często w geografii Europy, a zwłaszcza w geografii Polski, z reguły w geografii małych narodów. Słuchali oni najczęściej z dyskretnie ujawnianą niecierpliwością skarg i żalów w „sprawie polskiej". Sam Dmowski opowiada z żalem o niektórych rozmowach. Oto wyjątek, niewątpliwie szczery — ze względu na źródło:

„Z najmniej przyjaznym przyjęciem naszych dążeń... spotkałem się w miejscu, w którym zdawałoby się, najmniej należało tego oczekiwać, mianowicie w Watykanie... Poruszam przedmiot dla kraju katolickiego bardzo drażliwy, ale zarazem bardzo ważny i wymagający poważnego i ścisłego traktowania. Rozróżniam kościół i politykę Stolicy Apostolskiej. Kościół dla katolików jest władzą, której w rzeczach wiary są obowiązani bezwzględne posłuszeństwo. Polityka watykańska jest rzeczą ludzką, jak każda rzecz ludzka nie wolną od błędów... Mnie się zdaje, że polityka watykańska popełniła podczas wojny duże błędy, w szcze-

gólności w stosunku do Polski. Stanowisko jej w sprawie polskiej najlepiej określa rozmowa, jaką miałem w styczniu 1916 r. z wysokim dygnitarzem watykańskim, a z której dosłownie przytaczam część mającą znaczenie.

Zostałem zapytany:

— Dlaczego pan idzie z Rosją?

— Bo mi trzeba, żeby Niemcy były pobite.

— Na cóż panu przegrana Niemiec?

— Bo bez niej nie będzie zjednoczonej Polski... Dążąc do zjednoczenia, dążymy do Polski niepodległej.

Na to usłyszałem wybuch śmiechu.

— Polska niepodległa? Ależ to marzenie, to cel nieziszczalny!...

Nie powiem, żeby moje polskie ucho było tym mile dotknięte.

Zapytałem na to:

— Cóż by nam Wasza Eminencja doradzała?

— Wasza przyszłość jest z Austrią.

Tymi słowy zalecano mi w Watykanie politykę, która w Polsce korzystała z tytułu „niepodległościowej". Polska niepodległa to marzenie nieziszczalne — przyszłość jest z Austrią. Sądzę, że Stolica Apostolska była dobrze poinformowana o zamiarach Austrii względem Polski"... (Roman Dmowski, Pisma, tom V, str. 260).

Przepraszam za nieco przydługą cytatę, ale wydaje mi się ona interesująca nie tylko ze względu na żywą aktualność opinii Dmowskiego o stanowisku Watykanu w sprawach polskich, ale m. in. dlatego, że gdy o polityce Watykanu pisze „Trybuna Ludu", to wielu naszych dostojników kościelnych składa protesty i poddaje jej ocenę w wątpliwość. A Dmowski to chyba nie marksista, nie ateista, nie zwolennik naszej ideologii, ale jej zdecydowany wróg.

Mimo że Dmowski był zacietrzewionym endekiem i cierpiał dotkliwie na chorobę węszenia wszędzie intryg żydowskich — w otoczeniu Wilsona, Lloyd George'a, wśród wszystkich zresztą „sojuszników" amerykańskich, angielskich, francuskich, włoskich, bodajże nawet w otoczeniu papieża — trudno zakwestionować ścisłość jego relacji, gdy skarży się na zimną obojętność sterników polityki światowej na „zachodzie" wobec spraw małych narodów, m. in. i Polski.

Stosunek przedstawicieli wielkich mocarstw zachodnich do Polski był stosunkiem państw imperialistycznych do słabszych narodów.

„Niewielu znajdziemy działaczy politycznych wielkich mocarstw — mówił towarzysz Stalin na przyjęciu delegacji fińskiej w kwietniu 1948 r. — którzy by traktowali małe narody jako równouprawnione z wielkimi narodami. Większość z nich patrzy na małe narody z góry, z wysoka. Są oni gotowi pójść niekiedy na jednostronną gwarancję dla małych narodów. Ale działacze ci, w ogóle mówiąc, nie idą na zawarcie równoprawnych umów z małymi narodami, ponieważ nie uważają małych narodów za swych partnerów".

Na szachownicy „wielkiej polityki" imperialistycznej słabsze narody odgrywały dotychczas tylko rolę pionków, jeśli nie nadawały się z tych czy innych względów bezpośrednio na łup wojenny.

Od okresu pierwszej wojny światowej do drugiej upłynęło 25 lat, ale stosunek do Polski i małych narodów ze strony reprezentantów anglosaskich mocarstw imperialistycznych nie uległ istotnej zmianie.

Już w dwa lata po zakończeniu drugiej wojny światowej uczestnik konferencji poczdamskiej p. Byrnes pierwszy wysunął tezę o tymczasowości decyzji wielkich mocarstw w sprawie granic zachodnich Polski. Była to próba uczynienia ze sprawy granic polskich narzędzia szantażu politycznego w arsenale dyplomacji dolarowej.

Tow. Mołotow dał jasną i niedwuznaczną odprawę tym próbom, oświadczając, że sprawy terytoriów państwowych nie mogą być przedmiotem igraszek, a uchwały międzynarodowe w tych sprawach są wiążące. Broniąc zasad słuszności i sprawiedliwości Związek Radziecki dopomógł narodowi polskiemu w odzyskaniu jego starych ziem piastowskich. Dzięki głębokim, demokratycznym przeobrażeniom, tam gdzie zostały one dokonane, tam gdzie wykarczowano źródła agresji niemieckiej, zrozumiał to i uznał naród niemiecki.

Powstanie Niemieckiej Republiki Demokratycznej było wielkim historycznym zwrotem w rozwoju pokojowych i przyjaznych stosunków między narodem polskim i niemieckim. Dowodem tego historycznego zwrotu były umowy między obu państwami, utrwalające ostatecznie granicę na Odrze i Nysie, jako granicę pokoju i przyjaźni. Symbolem tego zwrotu była niedawna wizyta prezydenta NRD, Wilhelma Piecka, w stolicy Polski. Rozwijająca się między obu państwami ku obopólnej korzyści żywa współpraca gospodarcza i kulturalna jest najlepszą gwarancją trwałości tych nowych stosunków, które są cennym wkładem do dzieła utrwalenia pokoju. Cóż może być bardziej niezłomnym fundamentem niepodległości narodów i ich rozkwitu, jeśli nie przyjaźń i współpraca sąsiedzka, oparta na wzajemnym poszanowaniu i wspólnej walce o pokój i postęp społeczny?

Dlatego też do celów, jakie naszemu państwu ludowemu przyświecają w jego polityce międzynarodowej, należy również popieranie wysiłków zmierzających do zjednoczenia Niemiec na gruncie ich pełnej demokratyzacji, która położy kres ich agresywności.

Naszym zadaniem jest wspólna ze wszystkimi miłującymi pokój narodami walka przeciwko remilitaryzacji Niemiec zachodnich, przeciwko próbom narzucenia przez imperializm amerykański narodowi niemieckiemu nowej odmiany katastrofalnego reżimu hitlerowskiego, przy pomocy którego podżegacze wojenni pragnęliby podjudzić i pchnąć naród niemiecki do wojny o podbój Europy dla Ameryki.

Angielski dyplomata i pisarz Harold Nicolson w swej pracy poświęconej konferencji pokojowej w Wersalu w r. 1919, omawiając spory i rozbieżności między dyplomatami krajów anglosaskich i romańskich, przytacza następującą, nie pozbawioną bystrości, charakterystykę polityki amerykańskiej widzianą oczyma narodów romańskich:

„Zauważyły one na przykład — pisze Nicolson — że Stany Zjednoczone na przestrzeni całej swej krótkiej, lecz obfitującej w podboje historii, zawsze zabiegały o najwyższą cnotę, równocześnie zaś stale naruszały swój symbol wiary, wykazując najbardziej ordynarny materializm. Zauważyły one, że Amerykanie lubią odczuwać według Jeffersona, a działać według Hamiltona. Zauważyły one, że takie zasady, jak równość wśród ludzi, nie były stosowane ani względem żółtoskórych, ani względem Murzynów. Zauważyły też, że doktryna samookreślenia nie dotyczy ani Indian, ani nawet Południowych Stanów. Skłonne więc były rozpatrywać „amerykańskie zasady i tendencje" nie w świetle deklaracji filadelfijskiej, lecz w świetle wojny meksykańskiej, Luizjany, w świetle niezliczonych umów z Indianami, które bezwstydnie były łamane, zanim jeszcze zdążył wyschnąć na nich atrament. Zauważyły one, że nawet w zasięgu pamięci współczesnego pokolenia wielkie imperium amerykańskie było zdobywane brutalną siłą..."

A z jaką pasją opisywał martyrologię Indian oraz okrucieństwo i bezwzględność amerykańskich „pionierów" młody Henryk Sienkiewicz w swych „Listach z podróży" drukowanych jeszcze w 1878 roku.

„Na próżno wysyłają poselstwa, które pergaminami, pieczęciami i podpisami dowodzą swej własności" — pisze Sienkiewicz o Indianach.

„Rząd wyznacza dzikim ziemię, a biali ją zabierają, i wytępiwszy Indian zakładają nowe Stany. Ale wobec tego, cóż pozostaje czerwonoskórym? Oto wojna i wojna, bez nadziei zwycięstwa, tylko o śmierć".

Podkreślając uzdolnienia Indian i ich poziom umysłowy Sienkiewicz zaznacza, że „nie stoją, na przykład, wcale o wiele niżej od Kałmuków, Baszkirów i innych plemion koczujących na stepach Rosji i Azji".

„Plemiona te — pisze dalej Sienkiewicz o Indianach — bądź co bądź wytworzyły już pewną cywilizację, mogłyby więc postępować i dalej, mogłyby stanąć, przy mądrej pomocy, i na wysokości naszej cywilizacji — gdyby nie to, że ta nasza wynalazła postępowanie o wiele krótsze: zamiast słabszych popierać i wzmacniać — zabija."

Jakiej przejmującej wymowy nabiera w naszych oczach użyte przez Sienkiewicza zestawienie Indian i Baszkirów.

Dziś każdy uczciwie myślący człowiek musi na losach tych ludów przekonać się, do jakich skutków prowadzą dwa odmienne sposoby życia: amerykański, kapitalistyczny sposób życia oraz socjalistyczny, radziecki sposób życia. Indian amerykańscy „cywilizatorzy" wycięli w pień. Baszkiria, podobnie jak inne republiki radzieckie, jest dziś kwitnącą republiką o bogatym przemyśle i rolnictwie, o pięknej literaturze, o własnych uczelniach i ośrodkach naukowych.

W świetle doświadczeń ostatnich kilkunastu lat, a w szczególności ostatnich pięciu lat, wyżej przytoczona charakterystyka napisana przez burżuazyjnego polityka Nicolsona, któremu obca jest analiza marksistowska, znajduje dalsze dobitne potwierdzenie nie tylko w oczach narodów romańskich, na które powoływał się Nicolson, lecz również narodów słowiańskich, a przede wszystkim narodów Azji.

Dziś, kiedy opanowany żądzą podbicia całego świata imperializm amerykański przystąpił do gorączkowego uzbrajania niemieckich i japońskich faszystów, stawiając na ich czele zwolnionych z więzienia zbrodniarzy wojennych, kiedy ogniem i żelazem usiłuje zdławić i zatopić we krwi walczący o wolność bohaterski naród koreański — oblicze amerykańskiego imperializmu odsłoniło się w całej swej ohydzie.

Dalecy jesteśmy, rzecz jasna, od utożsamiania dobrych często intencji prostego człowieka w Stanach Zjednoczonych, który dosłownie bierze głoszone przez oficjalnych polityków hasła, z bynajmniej nie szlachetnymi celami, które przyświecają różnym królom stali czy kiełbasy, baronom węglowym czy prorokom z Wall Street.

Między masami pracującymi Stanów Zjednoczonych a rządzącą nimi imperialistyczną oligarchią finansową istnieją przeciwieństwa, które będą rosły i pogłębiały się. Imperialiści ukrywają swe cele zaborcze i swą agresywność zarówno przed własnym narodem jak i przed całym światem. Ale ich polityka wojenna musi pogłębiać kryzys, a jego skutki spadać będą swym ciężarem w coraz bardziej rosnącym stopniu również na masy pracujące Stanów Zjednoczonych, pogłębiając ich walkę o swe prawa i warunki bytu. Polityka oligarchii finansowej musi prowadzić do obniżania stopy życiowej mas nie tylko w krajach zmarshallizowanych, lecz również w Ameryce. Dziś już prowadzi do wzrostu rozterki, samobójstw, przestępczości i rozprzężenia moralnego.

Kierownicy polityki amerykańskiej, szerząc histerię wojenną, usiłują przerzucić odpowiedzialność za sytuację, którą sami wytwarzają, na ZSRR i kraje demokracji ludowej, na Koreę i Chiny. W tym celu rozwijają niesłychaną nie tylko w swych rozmiarach, ale i w swej nikczemności propagandę fałszu.

Sterroryzować ludność strachem, oddziaływać na psychikę mas atmosferą kłamstwa, niepokoju i paniki, aby w ten sposób ogłupić i uczynić ludzi niezdolnymi do trzeźwej orientacji — oto metody, przy pomocy których podżegacze wojenni chcieliby narzucić mrok i zasłonę na źródła i ogniska zbrodni, a ofiary zbrodni przedstawić jako jej sprawców. Pustosząc Koreę, oddzieloną od Stanów Zjednoczonych największym oceanem, militaryści amerykańscy krzyczą o zagrożeniu Ameryki przez maleńki naród koreański, mordując bestialsko kobiety i dzieci koreańskie oskarżają o napaść swe pomordowane ofiary. Anektując chińską Formozę i popierając zbankrutowany rząd Czang Kai-szeka, posyłają na odległe morza chińskie i azjatyckie olbrzymią flotę wojenną. Dokonując nieustannych nalotów na terytorium Chin i zagrażając ich obszarom — agresorzy amerykańscy zmuszają zależne od nich narody do potępienia Chin, w stosunku do których sami dopuszczają się zbrodni i gwałtu. W niedawno opublikowanym wywiadzie, udzielonym korespondentowi „Prawdy", towarzysz Stalin stwierdza:

> „Organizacja Narodów Zjednoczonych, utworzona jako ostoja pokoju, przekształca się w narzędzie wojny, w instrument rozpętywania nowej wojny światowej. Agresorskim trzonem ONZ jest

dziesięć krajów — członków agresywnego paktu północno-atlantyckiego (USA, Anglia, Francja, Kanada, Belgia, Holandia, Luksemburg, Dania, Norwegia, Islandia) oraz 20 krajów Ameryki Łacińskiej...

...W ten sposób ONZ, przekształcając się w narzędzie agresywnej wojny, przestaje być zarazem światową organizacją równouprawnionych narodów. W istocie rzeczy ONZ jest teraz nie tyle organizacją światową, ile organizacją dla Amerykanów, działającą gwoli interesów agresorów amerykańskich...

...Tak więc organizacja Narodów Zjednoczonych wkracza na niesławną drogę Ligi Narodów. Grzebie ona tym samym swój autorytet moralny i skazuje się na rozpad."

Rozpętując w skali niespotykanej wyścig zbrojeń, przestawiając na tory wojenne całą gospodarkę krajów, związanych paktami i umowami, jawnymi i tajnymi — z imperializmem amerykańskim jako promotorem nowej wojny — podżegacze wojenni głoszą na wszelki sposób nikczemne oszustwo, że to nie oni, ale ZSRR i kraje demokracji ludowej zagrażają pokojowi.

„Premierowi Attlee — mówił w wywiadzie towarzysz Stalin — potrzebne jest kłamstwo o Związku Radzieckim, potrzebne mu jest przedstawienie pokojowej polityki Związku Radzieckiego jako agresywnej, zaś agresywnej polityki rządu angielskiego jako pokojowej — po to, by wprowadzić w błąd naród angielski, narzucić mu to kłamstwo o ZSRR i w ten sposób wciągnąć go w drodze oszustwa do nowej wojny światowej, organizowanej przez koła rządzące Stanów Zjednoczonych."

Jasne jest, że propaganda imperialistyczna nastawiona jest na otumanienie najbardziej naiwnych lub słabo orientujących się w polityce i zjawiskach społecznych ludzi. Jednak ludzi takich jest wiele w krajach kapitalistycznych i kolonialnych. W krajach zaś wyzwolonych już z oków gospodarki kapitalistycznej, propaganda imperialistyczna liczy na niedobitki obszarniczo-kapitalistyczne, jak również próbuje oddziaływać na tych, którzy są jeszcze w niewoli starych przesądów lub dźwigają na sobie spuściznę zakłamanej ideologii burżuazyjnej. Wiadomo bowiem, że całkowite usunięcie tej przeklętej spuścizny wymaga długotrwałej pracy wychowawczej, nieustannego rozwoju wiedzy i kultury, ciągłego podnoszenia świadomości politycznej mas.

Pamiętajmy więc, że walka z fałszem propagandy imperialistycznej wymaga od nas jeszcze większego i energiczniejszego niż dotychczas wysiłku.

Zadaniem naszej walki z fałszem propagandy imperialistycznej jest wyjaśnienie masom rzeczywistych celów agresywnej polityki imperializmu i jej źródeł oraz wskazywanie, dokąd ona prowadzi. Naszą własną propagandę musimy opierać na doświadczeniu mas, które przeżyły już potworne skutki agresywnej polityki imperializmu hitlerowskiego. Amerykańscy podżegacze wojenni odradzają i powtarzają politykę hi-

tleryzmu, która była polityką agresji i doprowadziła do drugiej wojny światowej. Masy pracujące z własnego doświadczenia wiedzą, jakie zniszczenia i klęski niesie wojna wszystkim narodom, nie wyłączając tych, których rządy doprowadziły do wojny. Dlatego też masy pracujące pragną przeciwstawić się wojnie, pragną popierać politykę pokojową.

Nikczemność propagandy imperialistycznej oparta jest na fałszu, że zbrojenia imperialistyczne mają rzekomo na celu zapewnienie pokoju. Ale wszyscy rozumni ludzie wiedzą, że pokoju nie zapewnia się przez rozpętywanie wyścigu zbrojeń, lecz przez rozbrojenie i przez politykę pokojową.

Towarzysz Stalin zdemaskował tę obłudę w sposób dobitny:

„Premier Attlee występuje w roli zwolennika pokoju. Jeżeli w rzeczywistości jest on za pokojem, czemu odrzucił propozycję Związku Radzieckiego w Organizacji Narodów Zjednoczonych w sprawie niezwłocznego zawarcia paktu pokoju między Związkiem Radzieckim, Anglią, Stanami Zjednoczonymi, Chinami i Francją?

Jeżeli rzeczywiście jest on za pokojem, czemu odrzucił propozycję Związku Radzieckiego w sprawie niezwłocznego przystąpienia do redukcji zbrojeń, niezwłocznego zakazu broni atomowej?

Jeżeli rzeczywiście jest on za pokojem, czemu prześladuje zwolenników obrony pokoju, czemu zakazał Kongresu Obrońców Pokoju w Anglii? Czyż kampania w obronie pokoju może zagrażać bezpieczeństwu Anglii?

Jasne jest, że premier Attlee jest nie za utrzymaniem pokoju, lecz za rozpętywaniem nowej, agresywnej wojny światowej."

Do rozbrojenia niejednokrotnie nawoływały w ONZ i na konferencjach międzynarodowych państwa socjalistyczne — ZSRR i kraje demokracji ludowej. O rozbrojenie walczy światowy ruch obrońców pokoju, który w ZSRR i w krajach demokracji ludowej znajduje potężne poparcie dla swej walki.

Politykę pokojową prowadzi ZSRR nieustannie i niezłomnie od chwili swego powstania. Jednym z naczelnych haseł Rewolucji Socjalistycznej, która stworzyła ZSRR, było hasło walki o pokój. Orędownikami pokoju, niezmordowanymi jego twórcami i bojownikami byli wodzowie Rewolucji Socjalistycznej — Lenin i Stalin. Marksizm-leninizm od zarania ruchu robotniczego wskazywał masom pracującym całego świata, gdzie tkwią przyczyny wojen i w jaki sposób masy ludowe powinny walczyć, aby się im przeciwstawić. Wierny zawsze ideom marksizmu-leninizmu ZSRR we wszystkich obradach międzynarodowych, gdzie był reprezentowany, a także niezależnie od tego konsekwentnie w ciągu 33 lat przeprowadzał politykę pokojową i propagował zahamowanie zbrojeń.

A jak obłudna i fałszywa była zawsze w tych sprawach polityka amerykańskiej oligarchii finansowej może świadczyć choćby następujący przykład:

W 1925 r. miała się odbyć w Genewie konferencja międzynarodowa, zwołana w sprawie kontroli handlu bronią w celu zmniejszenia zbrojeń. Hoover, jako ówczesny minister handlu USA, zorganizował wstępne narady amerykańskich fabrykantów broni, pisząc w zaproszeniach na nie:

„Jest rzeczą ważną, aby przedstawiciel amerykański w Genewie był gruntownie poinformowany o punkcie widzenia amerykańskich producentów broni i amunicji, tak, aby mógł bronić ich interesów" (G. Seldes „1 000 Americans" str. 155).

Obrona interesów amerykańskich producentów broni — oto linia wytyczna polityki rządu Stanów Zjednoczonych zarówno wówczas jak i dziś, dziś w bez porównania wyższej jeszcze skali niż wówczas. Dlatego też faktami tymi trzeba demaskować fałsz dzisiejszej propagandy imperialistycznej, którego zadaniem jest ukrywanie rzeczywistego agresywnego oblicza amerykańskich podżegaczy wojennych.

Powojenny wysiłek ZSRR w dziele utrwalenia pokoju wyraził się przede wszystkim w zdecydowanej woli wspólnego uregulowania sprawy niemieckiej w drodze wykonania uchwał poczdamskich (współpraca w Komisji Kontroli, na konferencjach czterech mocarstw w Londynie, Paryżu, Moskwie). Po rozbiciu Europy i Niemiec na skutek planu Marshalla, ZSRR nie rezygnuje z wysiłków pokojowego uregulowania problemu Niemiec, czemu daje wyraz na konferencji warszawskiej (1948 r.) i praskiej (1950 r.). Równocześnie przestrzegając autorytetu przyjętych uchwał międzynarodowych, mimo brutalnego gwałcenia tych uchwał przez państwa kapitalistyczne — ZSRR strzeże konsekwentnie realizacji uchwał poczdamskich.

Na terenie Organizacji Narodów Zjednoczonych ZSRR wspólnie z krajami demokracji ludowej występował niejednokrotnie z inicjatywą:

1) zakazu używania broni atomowej i wszelkiej innej broni masowej zagłady oraz kontroli energii atomowej,

2) stopniowego rozbrojenia oraz zawarcia w tym celu paktu pięciu wielkich mocarstw.

O tym, że dążenia te znajdują oddźwięk w sercach milionów ludzi, świadczy potężny rozmach światowego ruchu obrońców pokoju, ruchu najbardziej dziś masowego i potężnego, jaki istniał kiedykolwiek w dziejach społecznych.

Polityka pokojowa ZSRR i krajów demokracji ludowej znajduje swój wyraz nie tylko w ich polityce zagranicznej, nie tylko w wysiłkach tych państw na terenie międzynarodowym.

O wysiłkach pokojowych, o pracy dla pokoju świadczy przede wszystkim to, co stanowi główny kierunek wysiłku danego kraju w jego ekonomice, w produkcji. Któż może zaprzeczyć, że wielkie budowle komunizmu w ZSRR, które koncentrują dziś uwagę całego społeczeństwa radzieckiego, że olbrzymie prace nad użyźnianiem pustyń, nad zabezpieczeniem leśnymi pasami ochronnymi rozległych terenów, nawiedzanych

przez posuchę, że potężne elektrownie wodne i kanały, które budują narody radzieckie, aby podnieść jeszcze wyżej swą produkcję rolną, że nieustanny i nieporównywalny z żadnym na świecie krajem wzrost kultury, sztuki, nauki w ZSRR, że ta wspaniała i wielka pokojowa praca 200-milionowego społeczeństwa socjalistycznego dominuje dziś w całym jego życiu i pracy.

I któż, jeśli nie jest łotrem i kłamcą — może zaprzeczyć, że w Polsce wre praca nad odbudową miast i wsi, że naród polski odbudowuje z gruzów w najwyższym tempie, na jakie go stać, swoją stolicę, którą zburzyli imperialiści hitlerowscy — właśnie ci sami, których dziś podjudza do nowej wojny imperializm amerykański! Któż śmie zaprzeczyć — prócz spodlałych do cna wyrzutków emigracyjnych — że masy pracujące Polski z ogromnym zapałem uprzemysławiają swój kraj, budują nowe fabryki traktorów, maszyn rolniczych, nawozów, samochodów dla rolnictwa. że wzrasta w Polsce z roku na rok wydobycie węgla, budują się nowe kopalnie i huty, budują się nowe fabryki i nowe osiedla wokół nich, że wzrasta z roku na rok produkcja przemysłu w takim tempie, jakiego nie znały kraje kapitalistyczne! Że Plan Sześcioletni — plan wyrwania Polski z zacofania okresu kapitalistycznego, plan przekształcenia Polski z ubogiego kraju w kraj silny i bogaty — polski lud pracujący wykonuje i będzie wykonywał z nadwyżką. Któż może zaprzeczyć, że ta wielka pokojowa praca stanowi główny wysiłek i główną troskę narodu polskiego! I że naród polski ma świadomość, że tą swoją potężną, ofiarną i szlachetną pracą umacnia niepodległość Polski i umacnia pokój na świecie!

A co czynią kraje kapitalistyczne — już mówiłem. Kraje kapitalistyczne przestawiają całą swoją ekonomikę na tory produkcji wojennej!

Do jakiejże nikczemnej perfidii trzeba dojść, aby w przekupnej prasie i przez dziesiątki stacji radiowych we wszystkich stolicach kapitalistycznej Europy szerzyć bez przerwy — właśnie w językach narodów budujących socjalizm — propagandę, że to nie imperialiści przygotowują wojnę, lecz ZSRR i kraje demokracji ludowej, że to nie imperialiści się zbroją, lecz państwa socjalistyczne, nie imperialiści zagrażają pokojowi, lecz ZSRR.

W tej zakłamanej i bezwstydnej propagandzie fałszu najbardziej haniebną i plugawą rolę spełniają titowskie agentury imperialistycznych podżegaczy wojennych oraz starzy chwalcy imperializmu z prawicy socjaldemokratycznej. W ramach polityki wojennej amerykańskich agresorów blok titowsko-socjaldemokratyczny specjalizuje się w akcji dywersyjnej i oszczerczej w ruchu robotniczym i w obozie obrońców pokoju. Po rychło zbankrutowanych próbach dywersji ideologicznej przy pomocy „teoryjek" kosmopolitycznych prawica socjaldemokratyczna wespół z gangsterami titowskimi usiłuje jeszcze manipulować zleżałymi frazesami syndykalistycznymi o bezspornie faszystowskim zapachu, równocześnie zaś operuje z lokajską gorliwością na odcinku naj-

bardziej wyuzdanych i rozwydrzonych kłamstw i oszczerstw przeciw ZSRR i krajom demokracji ludowej.

Aby uzasadnić i ułatwić politykę wojenną, imperialiści rozpętują histerię i panikę wojenną. Ogarnia ona — jak to stwierdził stary podżegacz wojenny, Hoover — w większym znacznie stopniu same Stany Zjednoczone niż inne kraje, dla których jest głównie przeznaczona. Wojna w Azji toczy się od ośmiu miesięcy, a jej skutki dla Stanów Zjednoczonych pogłębiają rozgardiasz w świecie kapitalistycznym. Okrzyczana i reklamowana od chwili zakończenia drugiej wojny światowej „potęga militarna" Stanów Zjednoczonych, która miała bez wielkiego trudu zdobyć świat, gdy tylko zechce, potknęła się i skompromitowała w wojnie z małym i słabo uzbrojonym narodem koreańskim.

„...Chodzi o to — mówi towarzysz Stalin — że wojna ta jest wyjątkowo niepopularna wśród żołnierzy amerykańskich i angielskich.

Istotnie, trudno przekonać żołnierzy, że Chiny, które nie zagrażają ani Anglii, ani Ameryce i którym Amerykanie zabrali wyspę Taiwan — są agresorem, podczas gdy Stany Zjednoczone, które zagarnęły wyspę Taiwan i posunęły swe wojska aż do granic Chin — są stroną broniącą się. Trudno przekonać żołnierzy, że Stany Zjednoczone mają prawo bronić swego bezpieczeństwa na terytorium Korei i u granic Chin, podczas gdy Chiny i Korea nie mają prawa bronić swego bezpieczeństwa na własnym terytorium lub u granic swego państwa. Stąd niepopularność wojny wśród żołnierzy anglo-amerykańskich.

Jest rzeczą zrozumiałą, że najbardziej nawet doświadczeni generałowie i oficerowie mogą ponieść porażkę, jeżeli żołnierze uważają, iż narzucona im wojna jest głęboko niesprawiedliwa i jeżeli wobec tego wykonują oni swe obowiązki na froncie formalnie, bez wiary w słuszność swej misji, bez entuzjazmu."

Niemniej jednak wojna się toczy, a groźba, że może łatwo rozszerzyć swój zasięg, jest groźbą, z którą liczą się ludzie we wszystkich krajach świata. Tę groźbę powiększa forsowana przez imperializm orgia zbrojeń. Nic dziwnego, że największą dziś troskę większości ludzi stanowi troska o pokój. Dlatego też polityka pokojowa ZSRR i krajów demokracji ludowej znajduje coraz szersze poparcie w masach pracujących i wśród ludzi postępowych całego świata.

Awanturniczość polityki imperialistycznej, niepewność jutra, fałsz jako główny oręż ideologiczny i propagandowy, pogarda dla człowieka, dla ambicji i godności narodowej zwasalizowanych krajów, głęboki upadek ideowy i moralny — oto czynniki, określające treść życia pod dyktaturą imperializmu amerykańskiego. Odpycha ona, niepokoi, oburza wielu myślących i uczciwych ludzi. Na tym tle rozwija się, potężnieje, rośnie wielki światowy ruch zwolenników i obrońców pokoju.

Każdy człowiek zdaje sobie sprawę z niebezpieczeństwa napiętej sytuacji międzynarodowej. Imperializm gnije i szamoce się w ciężkiej chorobie kryzysu, który pogłębia obłędne awanturnictwo chciwej, nieopanowanej w żądzach panowania i wyzysku oligarchii do-

larowej. Nagromadziła ona i posiada w swym władaniu potężne środki techniczne i materialne, które usiłuje zamienić w siłę niszczącą. Dlatego polityka wojenna imperializmu stanowi poważną groźbę dla ludzkości, dla jej rozwoju i postępu, dlatego nie wolno nam jej lekceważyć. Nie lekceważą tej groźby miliony prostych ludzi we wszystkich krajach świata, nie lekceważą jej polskie masy ludowe. Stawiają one przed sobą codziennie niepokojące je pytanie: czy wojna jest nieunikniona?

Na pytanie to partia nasza musi dawać masom jasną i stanowczą odpowiedź: należy i można do wojny nie dopuścić.

Wojna jest potrzebą i nadzieją imperialistów — tyranów, ciemiężycieli i ludobójców — jest ona zamachem i zbrodnią przeciw ludzkości. Wojna jest widomym objawem bankructwa i upadku imperializmu jako ustroju społecznego, dowodem jego głębokiej zgnilizny.

„Kto mówi, że wojna jest nieunikniona, ten szkaluje ludzkość" — głosi słusznie uchwała II Światowego Kongresu Pokoju.

Na pytanie, czy nowa wojna światowa jest nieunikniona — towarzysz Stalin daje następującą odpowiedź:

„Nie. Przynajmniej w obecnym czasie nie można uważać jej za nieuniknioną.

Oczywiście, w Stanach Zjednoczonych, w Anglii, jak również we Francji istnieją agresywne siły, pożądające nowej wojny. Wojna jest im potrzebna dla otrzymania zysków nadzwyczajnych, dla ograbienia innych krajów. Są to miliarderzy i milionerzy, traktujący wojnę jako intratny interes, dający kolosalne zyski.

One to, te agresywne siły, trzymają w swych rękach rządy reakcyjne i kierują nimi. Równocześnie jednak boją się one swoich narodów, które nie chcą nowej wojny i są za utrzymaniem pokoju. Dlatego też starają się wykorzystać reakcyjne rządy w tym celu, ażeby omotać swe narody siecią kłamstw, oszukać je i przedstawić nową wojnę jako obronną, a pokojową politykę krajów miłujących pokój — jako agresywną. Starają się oszukać swe narody w tym celu, ażeby narzucić im swe agresywne plany i wciągnąć je do nowej wojny.

Dlatego właśnie boją się kampanii w obronie pokoju, obawiając się, że może ona demaskować agresywne zamierzenia reakcyjnych rządów..."

Opanowanie niebezpieczeństwa agresji imperialistycznych jest konieczne i realne pod warunkiem czynnej i trwałej mobilizacji wszystkich sił postępowych w obronie pokoju.

Ruch bojowników i obrońców pokoju jest nowym, wielkim i doniosłym ruchem społecznym, którego nie było — w skali światowej i w zorganizowanych formach — w okresie przed drugą wojną światową. Ruch ten odzwierciedla nowe procesy szybkiego wzrostu świadomości milionowych mas ludzkich pod wpływem doświadczeń minionej wojny i potwornych klęsk, jakie wyrządziła ludzkości. Miliony ludzi interesują się sytuacją międzynarodową i śledzą jej rozwój.

W Polsce Ludowej światowa walka w obronie pokoju znajduje żywy oddźwięk wśród mas pracujących. Świadczy o tym akcja podpisów pod Apelem Sztokholmskim, w której uczestniczył cały naród polski, świadczy o tym wielkie poruszenie w całym narodzie w związku z II Światowym Kongresem Pokoju, w czasie którego stolica Polski stała się stolicą pokoju. W coraz większym stopniu rośnie u nas świadomość tego, że walka w obronie pokoju dotyczy każdego i wszystkich, że wiąże się ona jak najściślej z codzienną pracą całego narodu, z treścią i kierunkiem tej pracy. Z tego wynika, że walka o pokój musi mieć oparcie w postawie całego narodu, że musi mieć charakter szerokiego frontu ogólnonarodowego.

Jak to należy rozumieć?

Nie ma u nas w Polsce zbyt wielu ludzi, o których można by powiedzieć, że pragnęliby wojny. Takich ludzi w społeczeństwie naszym znalazłaby się tylko nikczemna garstka — są to na ogół wykolejeńcy, o których zbyteczne byłoby się rozwodzić. Nie wolno nam jednak zamykać oczu na to, że nawet nieliczni dywersanci i agenci obcych wywiadów, rekrutujący się głównie spośród niedobitków obszarniczo-spekulanckich, mogą przez dywersyjne plotki i propagandę szeptaną wyrządzić szkodę, tym bardziej, że zakłamana aż do idiotyzmu, lecz krzykliwa propaganda radiowa imperialistów usiłuje przesączyć się do najbardziej zacofanych zakamarków naszego życia. Ta zbrodnicza dywersja musi być zlikwidowana bez reszty.

Walka o pokój jest to tego rodzaju walka, w której naród nasz powinien być jak najbardziej jednolity. Z tego bowiem, co już powiedziałem, wynika jasno, że walka o pokój jest w obecnych warunkach najwyższym obowiązkiem patriotycznym i ogólnoludzkim.

W jakim znaczeniu politycznym możemy mówić o froncie ogólnonarodowym?

Wiemy, że zagadnienie jedności narodowej w walce o wyzwolenie, które miało sens postępowy w okresie naszych powstań narodowych w wieku XIX, w okresie wschodzącej linii rozwojowej polskiej burżuazji — w następnych dziesięcioleciach w rękach endecji, piłsudczyzny, prawicy PPS, a później reżimu sanacyjnego stało się hasłem szalbierczym. W tym okresie, kiedy burżuazja polska sprzęgnięta z obszarnictwem była już klasą wsteczną, klasą, której interesy kolidowały z interesami narodu, klasą, która coraz bardziej wchodziła na drogę zdrady narodowej — w owym okresie hasło frontu narodowego było w jej ustach instrumentem obezwładniania mas robotniczych, chłopskich i drobnomieszczaństwa miejskiego, czadem rozpalonego do białości nacjonalizmu lub zapożyczonych z hitlerowskiego arsenału teoryjek rasistowskich.

Chodziło o to, aby listkiem figowym takiej karykatury frontu narodowego zasłonić odrażającą nagość zdrady i zaprzaństwa rządzącej klasy wyzyskiwaczy. Polityka tej klasy doprowadziła Polskę do katastrofy wrześniowej z całym ogromem ofiar, zniszczeń i cierpień, które stały się udziałem narodu.

Dziś wszyscy oglądać możemy z obrzydzeniem tę garstkę bankrutów, która znalazłszy się na emigracji stoczyła się na same dno zaprzaństwa i zdrady. Sprzedają się oni hurtem i w detalu każdemu wywiadowi imperialistycznemu, który chce ich kupić. Te gryzące się nawzajem kliczki emigracyjne bajdurzą o jakimś „międzymorzu" i aby dogodzić swemu amerykańskiemu pryncypałowi, licytują się w wykpiwaniu suwerenności narodowej, a równocześnie szermują hasełkiem jedności narodowej.

Podstarzałe emigracyjne syreny o głowie faszysty i ogonie amerykańskiego szpiega zerkają coraz czulej w stronę Trizonii i posyłają w konkury swoich Andersów, Hutten-Czapskich i Mackiewiczów, aby śladami generała Prchali sprzedawać obałamuconych emigrantów polskich na mięso armatnie hitlerowskim generałom.

Zwalczaliśmy i demaskowaliśmy tych wrogów ludu, kiedy przykrywali się frazeologią endecką czy chadecką, ludowcową czy pepesowską, ozonową czy naprawiacką. Dziś sami oni demaskują się jako najmici amerykańsko-hitlerowscy.

Nasza partia w ciemną noc hitlerowskiej niewoli okupacyjnej wysunęła bojowe hasło frontu narodowego dla walki z niemieckim najazdem i front ten zwycięsko budowała, grupując najlepsze siły narodu dokoła Krajowej Rady Narodowej. Staliśmy twardo na stanowisku, że frontowi temu powinna przewodzić klasa robotnicza, gdyż spełznięcie na tory tzw. Rady Jedności Narodowej, której ster trzymały w rękach partie burżuazyjne — jak tego chcieli odchyleńcy prawicowo-oportunistyczni — doprowadziłoby niechybnie walkę narodowo-wyzwoleńczą do zguby, do zaprzedania się imperializmowi anglosaskiemu.

Dzięki tej patriotycznej, konsekwentnej pod względem klasowym i narodowym postawie, dzięki sojuszowi z wielkim Związkiem Radzieckim, dzięki pomocy bohaterskiej Armii Radzieckiej Polska została wyzwolona. Władza ludowa przystąpiła do budowania Polski na nowych, socjalistycznych zasadach. Dzięki temu możemy dziś stawić czoła wszelkim niebezpieczeństwom zagrażającym ze strony imperializmu amerykańskiego. Dziś, gdy niebezpieczeństwo agresji amerykańskiej zagraża światu, świadomość amerykańskiej przemocy i utraty niezawisłości przez kraje zachodnio-europejskie coraz bardziej już dociera do milionów ludzi, stanowiąc podstawę szerokiego, narodowego frontu walki o pokój i o przywrócenie niezawisłości tych krajów. Świadczy o tym bohaterska walka milionowych mas we Francji i Włoszech. Przewodzą w tej walce partie komunistyczne, niezłomne orędowniczki wolności i niepodległości swych narodów.

Cenny pod tym względem dokument przedstawia ogłoszony niedawno program Komunistycznej Partii Anglii, w którym czytamy między innymi:

„Po raz pierwszy w swych dziejach kraj nasz utracił niezależność i swobodę działania w dziedzinie polityki zagranicznej, gospo-

darczej i militarnej, podporządkowując się obcemu mocarstwu — Stanom Zjednoczonym.

Przywrócenie niezawisłości narodowej W. Brytanii, którą zaprzedali przywódcy partii konserwatywnej, liberalnej i labourzystowskiej, jest nieodzownym warunkiem odrodzenia Anglii, jej postępu politycznego, gospodarczego i społecznego.

Wzywamy wszystkich prawdziwych patriotów, aby zjednoczyli się w obronie brytyjskich interesów narodowych, w obronie niezawisłości kraju.

Wypowiadamy się za wolną, silną i niezawisłą Anglią."

Fronty narodowe w krajach zachodnio-europejskich dla walki o pokój i o przywrócenie niezawisłości, wynikające z konkretnej sytuacji w tych krajach, są sprzymierzeńcami w naszej walce.

A jaką treść polityczną my wkładamy w nasze hasło frontu narodowego walki o pokój i realizację Planu Sześcioletniego?

Dziś występujemy z tym hasłem, aby mocniej jeszcze zewrzeć szeregi milionów Polaków.

Nie jest przypadkiem, że hasło to dziś właśnie u nas szczególnie wysuwa się na czoło. Złożyły się na to trzy czynniki:

P o p i e r w s z e: niebezpieczeństwo wojny, niebezpieczeństwo agresji amerykańsko-hitlerowskiej stało się w ostatnim czasie znacznie ostrzejsze. Świeżo jeszcze mamy w pamięci całą grozę ubiegłej wojny, pamiętamy — dobrze pamiętamy — zwierzęce oblicze hitlerowców, obecnych pupilów amerykańskich. Dziś wyciągają oni swe drapieżne łapy zarówno po nasze ziemie zachodnie jak i po całą Polskę, którą chcą mieć pod swoim butem. Wiemy, co oznaczałby pochód hord hitlerowsko-amerykańskich: śmierć, głód i kalectwo. Czyż znajdzie się choć jeden uczciwy Polak, który by wobec tych zbrodniczych planów nie zajął jasnego i zdecydowanego stanowiska? Czyż może być na to inna odpowiedź niż zwarcie szeregów w Narodowym Froncie walki o pokój i Plan Sześcioletni?

P o w t ó r e: imperializm amerykański w oparciu o tzw. pakt atlantycki i Trizonię, w której znów uzbraja hitlerowskie hordy i oddaje władzę w ręce zbankrutowanych hitlerowskich generałów — zagraża naszej niepodległości. Chciałby przekształcić Polskę w swoją kolonię, w surowcowy hinterland rządzony przez hitlerowskich gauleiterów.

Czyż znajdzie się choć jeden uczciwy Polak i prawdziwy patriota, który by nie zacisnął pięści w odpowiedzi na te nikczemne plany i zakusy?

Czyż może być na to inna odpowiedź niż zwarcie szeregów w Narodowym Froncie walki o pokój i Plan Sześcioletni — rękojmię naszego uprzemysłowienia, naszej siły i suwerenności?

P o t r z e c i e: nawołujemy do skupiania się w szeregach Frontu Narodowego, bo robotnicy, chłopi pracujący i inteligencja pracująca

stanowią trzon naszego narodu. Naród polski na przestrzeni wieków ulegał głębokim przeobrażeniom, dziś wkracza w okres swego rozkwitu, gdyż staje się narodem socjalistycznym.

A jak się to zagadnienie kształtowało historycznie? W okresie rozdrobnienia feudalnego, w okresie przedkapitalistycznym, mniej więcej do końca XVIII wieku, rozwijała się narodowość polska. Istniały wtedy dopiero elementy przyszłego konsolidowania się narodu, jak język, terytorium, wspólnota kulturalna itp. Szlachta sama się wówczas kreowała „narodem szlacheckim", pozostawiając poza jego nawiasem mieszczan i chłopów.

W wieku XIX uformował się naród polski w znaczeniu współczesnym; oblicze jego kształtowała burżuazja sprzęgnięta ze szlacheckim ziemiaństwem, był to więc naród burżuazyjny. Inne klasy, mimo swej liczebności, podporządkowane burżuazyjnej hegemonii, nie odegrały w formowaniu i kształtowaniu oblicza narodu decydującej roli.

Dojście do władzy polskiej klasy robotniczej w r. 1944 rozpoczęło nowy okres historyczny — przekształcanie narodu burżuazyjnego w naród socjalistyczny, o nowej strukturze gospodarczej, o nowym składzie klasowym, o nowym obliczu moralno-politycznym.

Naród nasz przeżywa więc w obecnym etapie historycznym najgłębszy proces przekształcania się i przerastania w społeczeństwo socjalistyczne. Proces ten trwa i póki nie osiągnie właściwego stadium, musi być powiązany z walką klasową. Ale jest to proces, który prowadzi do społeczeństwa bezklasowego.

Usunięte u nas zostały bezpowrotnie podstawowe filary poprzedniego społeczeństwa burżuazyjnego: kapitaliści przemysłowi i obszarnicy. Wyparte zostały już w przeważającej mierze z naszego przemysłu, handlu, transportu i wymiany warstwy średniej burżuazji. Pozostały warstwy drobnej burżuazji. Pozostała na wsi warstwa kułacka, której wpływ na gospodarkę rolną będzie się kurczył. Wielka masa chłopskich gospodarstw drobnotowarowych powiązana jest z naszą ogólną ekonomiką socjalistyczną całym szeregiem form, jak spółdzielczość, kontraktacja itp. i — co najważniejsze — zaczyna przechodzić coraz śmielej na tory spółdzielczości produkcyjnej. Polityczną formą powiązania mas chłopskich z budownictwem socjalistycznym jest u nas umacniający się coraz bardziej sojusz robotniczo-chłopski pod kierownictwem klasy robotniczej.

Rzecz jasna, że dzieje się to wszystko w ogniu coraz ostrzejszej walki klasowej. Wypierane warstwy burżuazyjne chwytają się coraz ostrzejszych form walki, zrastających się częstokroć z dywersją, sabotażem, szpiegostwem, z prowokacją, z podziemną akcją bandycką, z działalnością głęboko zakonspirowanych agentur imperialistycznych. Ale proces zrastania się rozbitków starego ustroju z dywersyjną akcją imperializmu i podżegaczy wojennych przeciwstawia je najżywotniejszym interesom narodu — wyłącza te elementy z ram narodowych. Na te elementy karzący miecz naszego wymiaru sprawiedliwości będzie spadał

z całą surowością prawa. Będziemy z całą stanowczością łamali opór wroga klasowego i dywersji imperialistycznej.

Równocześnie będziemy z całą wyrozumiałością i życzliwością traktowali tych, którzy w przeszłości błądzili, znajdowali się pod wpływem obcej ideologii, a dziś chcą z całym oddaniem służyć narodowi, oddawać swe siły dla umocnienia naszej Ojczyzny.

A jak się kształtuje naród socjalistyczny?

Na to pytanie dał odpowiedź towarzysz Stalin w r. 1929 w swej pracy: „Kwestia narodowa a leninizm":

> „Sojusz klasy robotniczej z pracującym chłopstwem w łonie narodu dla likwidacji resztek kapitalizmu w imię zwycięskiego budownictwa socjalizmu; unicestwienie resztek ucisku narodowego w imię równouprawnienia i swobodnego rozwoju narodów i mniejszości narodowych; unicestwienie resztek nacjonalizmu w imię utrwalenia przyjaźni między narodami i ugruntowania internacjonalizmu; jednolity front z wszystkimi uciskanymi i niepełnoprawnymi narodami w walce przeciwko polityce najazdów i wojen zaborczych, w walce z imperializmem — takie jest duchowe i społeczno-polityczne oblicze tych narodów."

Towarzysz Stalin, który przez całe życie walczy z nihilizmem narodowym, z niedocenianiem zagadnienia narodu, zastrzega się kategorycznie, że likwidacja narodów burżuazyjnych w żadnym razie nie oznacza likwidacji narodów w ogóle, lecz jedynie likwidację narodów burżuazyjnych.

Towarzysz Stalin podkreśla, że nowe, socjalistyczne narody są bardziej zwarte niż jakikolwiek naród burżuazyjny, gdyż „wolne są od nie dających się pogodzić przeciwieństw klasowych, które zżerają narody burżuazyjne i są o wiele bardziej ogólnonarodowe niż jakikolwiek naród burżuazyjny".

W świetle tych słów stwierdzić należy, że wprawdzie istnieją u nas jeszcze przeciwieństwa klasowe, ale jest faktem niezaprzeczalnym, że posunęliśmy się już znacznie po drodze przekształcania się w naród socjalistyczny. Dlatego obecny naród polski, używając słów towarzysza Stalina, jest o wiele bardziej ogólnonarodowy, niż był kiedykolwiek naród polski w okresie burżuazyjnym. Dlatego wysunięte przez nas hasło frontu narodowego oznacza zwarcie szeregów narodu przekształcającego się w naród socjalistyczny — pod przewodem klasy robotniczej — w walce o najważniejsze cele ogólnonarodowe, jakimi są: pokój, zabezpieczenie niepodległości i realizacja Planu Sześcioletniego.

W tym właśnie a nie innym sensie — jakościowo różnym od poprzednich haseł — wysuwamy hasło ogólnonarodowego frontu walki o pokój i realizację Planu Sześcioletniego.

Likwidując klasy pasożytnicze, pozostawiamy wychodźcom z tych klas drogę do włączenia się do nowej społeczności narodowej poprzez udział w pracy produkcyjnej, poprzez udział w pracy całego narodu.

Umacniając front narodowy walki o pokój i realizację Planu Sześcioletniego najskuteczniej wzmacniamy siłę narodu, zapewniamy mu najpomyślniejsze warunki rozkwitu w oparciu o przebogatą, wielowiekową i chlubną jego spuściznę i poprzez nieustanne wzbogacanie naszej skarbnicy narodowej, naszego wkładu do ogólnoludzkiego dzieła pokoju i postępu.

Walka o pokój jest dziś naczelnym i najważniejszym zadaniem naszej partii — tak jak jest najważniejszym zadaniem wszystkich partii robotniczych w całym świecie i wszystkich postępowych i uczciwych ludzi. Zadania partii są nieodłączne od troski o polityczne i organizacyjne kierownictwo w tej walce.

Gdy mówimy o szerokim froncie ogólnonarodowym w walce o pokój, to w dziedzinie organizacyjnej chodzi o to, aby większość ludzi pragnących pokoju zorganizować do aktywnej i ofiarnej walki w jego obronie. Na pozór jest to zadanie jak gdyby nietrudne, gdyż wiemy, że większość ludzi rzeczywiście pragnie trwałego pokoju. W rzeczywistości jest to zadanie wielkie i niełatwe. Ujęcie organizacyjne mas niezorganizowanych, rozbudzenie w nich trwałej aktywności, czujności, gotowości do ofiarnego wysiłku społecznego, pokierowanie masami nie tylko pragnącymi pokoju, ale rozumiejącymi już, jak skutecznie walczyć o pokój — to zadanie, jak wiemy z doświadczenia, trudne.

Może ktoś powiedzieć: Jak to? Zebraliśmy 18 milionów podpisów pod Apelem Sztokholmskim, mamy w kraju tyle to tysięcy komitetów pokoju, cóż tu więc trudnego?

Oczywiście, zebranie podpisów było pięknie przeprowadzoną akcją, ale wyrażało tylko deklarację podpisanych, wyrażało ich wolę w określonej sprawie Apelu Sztokholmskiego, ale nie ich trwałą aktywność, czujność i gotowość do stałego ofiarnego wysiłku dla sprawy pokoju.

Pogląd, że podpisanie apelu, zadeklarowanie, że jest się zwolennikiem pokoju, jest już wystarczającą formą udziału w walce o pokój, samouspokajanie się liczebnością komitetów pokoju — jest objawem niebezpiecznym. Nie należy zwężać zadań walki o pokój tylko do form propagandowych i deklaratywnych. Wielu naszych towarzyszy grzeszy podobnymi skłonnościami.

Niebezpieczną i szczególnie szkodliwą skłonnością wielu towarzyszy jest chęć zastępowania pracy propagandowej i organizacyjnej przez mechaniczne metody i karygodne nadużywanie tych lub innych form władzy dla „ułatwiania" sobie pracy — oczywiście nie tylko w akcji pokojowej.

Można by przytoczyć długą litanię przeróżnych sekciarskich wyczynów w przeprowadzaniu różnorodnych akcji społecznych, ale obecni tu towarzysze z terenu na pewno znają te „wyczyny" lepiej ode mnie. Natomiast, co uważam za konieczne podkreślić tu na Plenum KC, to niepokojący fakt tolerancyjnej atmosfery w terenie względem tego wysoce niebezpiecznego sekciarstwa, które nie tylko nie przyspiesza naszego marszu naprzód, ale go nader poważnie hamuje.

Wszystkie wyczyny sekciarskie, którym towarzyszy nadużycie władzy, muszą być zakwalifikowane jako karygodne szkodnictwo w stosunku do tej władzy ludowej, tym cięższe, że popełniane przeważnie przez członków partii. Poszanowanie dla autorytetu władzy ludowej, odnoszenie się do praw przez tę władzę wydawanych z najwyższym szacunkiem, przestrzeganie na każdym kroku zasad praworządności rewolucyjnej — jest zdawałoby się elementarnym obowiązkiem obywatelskim. A tymczasem stosunek wielu członków partii do sprawy praworządności przypomina niekiedy postawę ludzi najbardziej społecznie zacofanych.

Są to uwagi raczej na marginesie i sądzę, że powrócimy do tych spraw przy najbliższej okazji, względnie, że znajdą one swój wyraz w dyskusji.

Wracając do zadań dotyczących walki o pokój, chcę przestrzec jeszcze przed poważnym niebezpieczeństwem spłycania tej walki, traktowania jej w sposób, który można by upodobnić raczej do pacyfizmu burżuazyjnego. Chodzi nam nie o „święty spokój", nie o zgodę klasową, nie o tuszowanie przeciwieństw i walki klasowej, nie o zwolnienie tempa budowy społeczeństwa bezklasowego, lecz chodzi o to, że walczymy o pokój, walczymy przeciwko rozpętywaniu imperialistycznej wojny agresywnej i tworzymy Front Narodowy jako dźwignię realizacji Planu Sześcioletniego, który jest dla naszego narodu podstawą walki o zabezpieczenie naszej niepodległości i pokojowego rozwoju.

Jako marksistom obca nam jest neutralna postawa w toczących się walkach społecznych. Tego rodzaju neutralność jest zawsze przejawem oportunizmu. A oportunizmu w naszych szeregach jest jeszcze niemało. Objawom tego oportunizmu musimy przeciwstawiać się jak najkategoryczniej i walczyć z nimi w sposób stanowczy. Również w walce o pokój istotna jest rzeczywista aktywność, a nie pasywna, czyli faktycznie „neutralna" postawa.

Aktywność w obronie pokoju wymaga przede wszystkim czujności wobec knowań agresorów i podżegaczy wojennych wszelkiego typu, a więc czujności w codziennej naszej pracy w stosunku do podstępnej i zamaskowanej działalności wrogich agentur dywersyjnych, szpiegowskich, sabotażowych itp. A jak w praktyce wygląda ta nasza czujność? O tym może opowiedzą dokładniej np. towarzysze z NIK-u, którzy sprawdzili niedawno, jak są przechowywane w naszych urzędach dokumenty stanowiące tajemnicę państwową. O tym opowiedzą towarzysze z naszego aparatu partyjnego, jak przechowywane są nawet w instancjach partyjnych dokumenty partyjne — przy tolerancyjnym stosunku do tych karygodnych objawów ze strony komitetów wojewódzkich. O obowiązku czujności wobec wroga klasowego mówiliśmy na III Plenum KC, ale jak stosunki pod tym względem wyglądają jeszcze dziś w wielu organizacjach partyjnych, powiedzą tu zapewne występujący w dyskusji towarzysze. Ja tylko przy tej okazji nadmienię krótko, że stosunek do wykonywania podjętych uchwał partyjnych i kontrola wykonania tych

uchwał jest jedną z głównych słabości naszej pracy partyjnej, słabości, z którą powinniśmy jak najrychlej skończyć.

Walka o pokój wiąże się jak najściślej — jak to już podkreśliłem we wstępie — z naszą walką o Plan Sześcioletni. Bo Plan Sześcioletni — to plan likwidacji naszej słabości — zacofania, a więc i bezbronności. Imperialiści narzucają swą wolę przede wszystkim krajom słabym, zacofanym, bezbronnym. Słabość gospodarcza kraju — to pokusa dla imperialistów, którzy się wciskają do słabego kraju, działając albo przemocą, albo tzw. pomocą, która również może się stać swoistą formą przemocy. Każdą np. pożyczkę zagraniczną z krajów kapitalistycznych usiłuje się łączyć z narzuceniem krajowi, korzystającemu z pożyczki, warunków zależności gospodarczej i politycznej. Byli i u nas tacy, którzy dowodzili, że bez pomocy pieniężnej z Ameryki czy z Anglii Polska nie da sobie rady. Jesteśmy dziś szczęśliwi, że dzięki braterskiej pomocy Związku Radzieckiego daliśmy sobie doskonale radę bez pomocy amerykańskiej. Mamy przykład, jak wyglądają kraje, które ta pomoc podtrzymuje tak, jak sznur podtrzymuje powieszonego.

Plan Sześcioletni wzmacnia siły Polski i wzmacnia jej niezależność, a wraz z tym wzmacnia wkład Polski do ogólnoludzkiego dzieła pokoju.

Aktywność w walce o pokój oznacza więc codzienną pracę każdego z nas nad umacnianiem sił Polski Ludowej, nad umacnianiem jej bazy ekonomicznej, nad umacnianiem jak najszybszego wzrostu jej sił wytwórczych, tzn. jej przemysłu, transportu, żeglugi, jej rolnictwa, a wraz z tym wszystkim jej kultury, która jest niewątpliwie ważnym czynnikiem siły narodu.

Aktywność w walce o pokój — to przyczynianie się ze wszech miar i na każdym kroku do realizacji naszego Planu Sześcioletniego. Jakież podstawowe wymagania stawia przed nami realizacja tego planu? Ponieważ będzie o tym szczegółowiej mowa w następnym referacie tow. Minca — ograniczę się do krótkiego tylko stwierdzenia, że podstawowymi warunkami dalszej pomyślnej realizacji naszych zadań gospodarczych są:

a) zwartość i ofiarność polskich mas pracujących — milionów robotników, chłopów i inteligencji pracującej;

b) zwiększanie wydajności pracy i dalszy, jeszcze wydatniejszy rozwój współzawodnictwa socjalistycznego;

c) obniżanie kosztów własnych produkcji przez najbardziej racjonalne i oszczędne gospodarowanie; wprowadzenie zasady oszczędzania jako nakazu w codziennym postępowaniu w społecznej pracy produkcyjnej i we własnym gospodarstwie domowym;

d) energiczna i nieubłagana walka z wszelkim niechlujstwem, marnotrawstwem, szkodnictwem i grabieżą własności społecznej — za pomocą krytyki i samokrytyki, tępienia nadużyć, walka z wszelką bezdusznością i biurokratyzmem;

e) stała, systematyczna kontrola wykonania zadań partyjnych i państwowych.

Te podstawowe wytyczne muszą kierować naszą pracą organizacyjną. Pomogą nam one wykonać pomyślnie nasze zadania, pomogą nam one osiągnąć zwycięstwo w walce o Plan Sześcioletni, który jest również spiżowym fundamentem w naszej walce o pokój.

Towarzysze!

Ustrój kapitalistyczny wkracza znów w okres ostrego nasilenia awanturnictwa i polityki wojennej. Targają nim sprzeczności, których nie jest w stanie ani rozwiązać, ani opanować. Lekceważąc lekcje i doświadczenia historii, imperialiści szukają wyjścia z ciężkiego kryzysu, jaki ciąży na ich systemie gospodarczym, w rozpętywaniu wyścigu zbrojeń, a więc w rozpętywaniu wojny. Ta obłędna polityka przyspiesza i pogłębia kryzys ogólny ustroju kapitalistycznego, którego chcieliby właśnie uniknąć, przed którym drżą imperialistyczni podżegacze wojenni. Podniecani tą samą żądzą panowania nad światem, która doprowadziła do katastrofy ich hitlerowskich poprzedników, zmierzają po tej samej drodze, to znaczy — ku nowej katastrofie ustroju kapitalistycznego. Twardo stoimy na stanowisku możliwości pokojowego współżycia systemu kapitalistycznego i systemu socjalistycznego. Nędznym oszczerstwem jest pomawianie obozu socjalistycznego o dążenie do agresji.

Ustrój socjalistyczny nie obawia się rywalizacji pokojowej z kapitalizmem, ponieważ budownictwo pokojowe krajów socjalistycznych, ich gospodarka, ich kultura rośnie szybko i nieprzerwanie, wyzwala i rozwija coraz wspanialszą energię twórczą społeczeństw socjalistycznych, pomnaża ich siły wytwórcze. Wzmaga to wściekłość imperialistycznych podżegaczy wojennych i budzi podziw wśród mas pracujących całego świata.

W dotychczasowej rywalizacji dwóch ustrojów społecznych wyższość socjalizmu i twórczy, postępowy, zbawienny dla ludzkości charakter jego rozwoju stają się widoczne dla setek milionów ludzi we wszystkich zakątkach ziemskiego globu.

W zawrotnym tempie, niespotykanym w żadnym okresie historii społecznej, wzrastają siły i zdolności wytwórcze wielkiego, przodującego państwa socjalistycznego — ZSRR. Jeśli porównać obecny poziom produkcji ZSRR z poziomem produkcji tego kraju w okresie kapitalizmu, tj. z poziomem 1913 roku — to samo to porównanie jest druzgocące dla kapitalistycznego ustroju społecznego.

Szereg przodujących niegdyś krajów kapitalistycznych — takich jak Anglia, Francja, Niemcy, Włochy, Belgia, Japonia — ani rusz nie może w swej produkcji poważnie przewyższyć poziomu sprzed 40 lat i drepce w miejscu. Związek Radziecki w ciągu połowy tego okresu, w ciągu 20 lat, mimo potwornych zniszczeń, jakie przyniosła mu napaść hitlerowska — pomnożył siły i zdolności wytwórcze narodów radzieckich wielokrotnie w porównaniu z okresem kapitalistycznym, tj. w porównaniu z 1913 rokiem i pomnaża je odtąd z roku na rok coraz szybciej, na coraz

to wyższym poziomie technicznym, z rozmachem godnym podziwu i dumy.

Oto np. w najważniejszych i zarazem najtrudniejszych działach produkcji —w produkcji ciężkiego przemysłu — ZSRR osiągnął w r. 1940 (tuż przed wojną) produkcję roczną 15 milionów ton żelaza surowego i przeszło 18 milionów ton stali, co oznaczało 4 i półkrotny wzrost w porównaniu z 1913 rokiem. W roku 1950 produkcja hutnicza ZSRR wzrosła w porównaniu z rokiem 1940 o przeszło 50 proc., czyli jest już przeszło 6-krotnie większa niż w roku 1913. W roku 1940 wydobyto w ZSRR 166 milionów ton węgla, tj. 5 i pół raza więcej niż w roku 1913. W roku ubiegłym produkcja węgla wzrosła o dwie trzecie w porównaniu z rokiem 1940, czyli że obecne wydobycie węgla w ZSRR jest około 9 razy większe niż w okresie kapitalistycznym w Rosji.

W dziedzinie produkcji maszyn nie podobna przeprowadzać porównań z okresem kapitalistycznym, ponieważ w tej dziedzinie dokonał się w ZSRR olbrzymi skok, nieporównywalny ze stanem sprzed pierwszej wojny światowej. Ludzie radzieccy nie tylko przyswoili sobie zdobycze najnowszej techniki, ale dźwigają tę technikę wzwyż, ulepszają ją, doskonalą. W ciągu jednego tylko roku 1950 radzieckie fabryki budowy maszyn wytworzyły z górą 400 nowych typów i marek wysokowydajnych maszyn i mechanizmów. Mechanizacja przemysłu, rolnictwa, transportu, budownictwa osiągnęła poziom najwyższy w porównaniu ze wszystkimi krajami i przyczynia się do nieustannego wzrostu wydajności pracy ludzkiej. Wzrost produkcji, rozwój techniki, osiągnięcia gospodarcze sprzyjają wzrostowi kultury i dobrobytu narodów radzieckich.

Kapitalizm chyli się natomiast nierównomiernie, lecz nieubłaganie do upadku. Niszczy on i marnotrawi społeczne siły wytwórcze, prowadzi społeczeństwa krajów podległych dyktaturze oligarchii imperialistycznej do degradacji, sieje rozpacz i śmierć.

Socjalizm zapewnia społeczeństwu wspaniały rozwój wzwyż, pomnaża społeczne siły wytwórcze, wznosi na niezrównanie wyższy poziom osiągnięcia myśli ludzkiej, rozwija zdobycze techniki.

Kapitalizm grozi ludzkości wojną i zniszczeniem.

Nauka, twórcza myśl ludzka, technika, sztuka, talenty ludzkie znalazły w ZSRR warunki i bodźce dla nieskrępowanego i coraz wspanialszego rozwoju.

Imperializm zachłystuje się nikczemną radością z powodu każdego wynalazku nowych środków ludobójstwa. Mimo tej „cudownej broni" biją go słabiej uzbrojone, ale bohatersko walczące o swą wolność narody azjatyckie.

Socjalizm czyni wszystko dla rozwoju człowieka, dla podniesienia jego materialnych i duchowych osiągnięć, uczy cenić w człowieku jego godność, pobudza w nim szlachetne idee i gorącą miłość dla swego kraju ojczystego i dla wielkich postępowych dążeń ludzkości.

Imperializm upaja się kultem dolara, który wciąż toczy się w dół, a człowiekiem pogardza. Ustrój społeczny, który nie ceni człowieka, skazany jest na zagładę.

Odwiedzają nas często delegacje robotników, kobiet, młodzieży, uczonych i artystów z różnych krajów. Zdajemy im sprawę z naszej pracy i to jest wyrazem naszej solidarności i postawy internacjonalistycznej, którą winniśmy pogłębiać. Równocześnie zaś jest to źródłem naszej uzasadnionej dumy narodowej, płynącej nie z zarozumialstwa i pyszałkowatości, lecz z głębokiego patriotyzmu. Duma z osiągnięć dokonanych wspólnym wysiłkiem, duma każdego robotnika i nauczyciela, lekarza i inżyniera z własnych osiągnięć w pracy — jest pięknym uczuciem, które winniśmy kultywować. Ambicja coraz większych osiągnięć jest piękną, szlachetną ambicją.

Cenimy naszych inżynierów i techników, cenimy naszą twórczą inteligencję, która tyle przyczyniła się do sukcesów Polski Ludowej. Chcemy, aby byli otoczeni szacunkiem i uznaniem. Czekają ich wielkie zadania i w tym roku, i w latach następnych, chcemy więc, aby mieli jasną perspektywę życiową, aby dzieci ich korzystały z podobnych przywilejów, co i dzieci robotnicze.

Dumni jesteśmy z tego, że nie stoimy w miejscu, że dzięki żarliwości i twórczym poszukiwaniom — mamy, mimo wahań i popełnianych błędów, pewne osiągnięcia w nauce i literaturze, w teatrze i malarstwie, w muzyce i filmie.

Nie wolno się nam zadowalać dotychczasowymi osiągnięciami. Jest naszym gorącym pragnieniem, aby powstały u nas dzieła godne naszej wielkiej epoki, godne naszego narodu.

Nie szczędźmy więc krytyki, zachęcajmy do śmiałych poszukiwań twórczych w naszym przebogatym, pulsującym, nowym życiu. Jeszcze głębiej sięgnijmy do naszej wspaniałej spuścizny kulturalnej. Jeszcze usilniej czerpać winniśmy z nieocenionego dorobku uczonych i artystów wielkiego kraju socjalizmu.

Partia nasza, Polska Zjednoczona Partia Robotnicza, jest dumna, że wskazała narodowi polskiemu drogę wzrostu i rozwoju, że dopomogła mu wejść na nowe tory budowy socjalizmu.

Czerpiemy wzór z wielkiego i potężnego kraju, w którym zwyciężył socjalizm. Osiągnięcia ZSRR są niezawodnym przykładem, że krocząc po twórczej drodze socjalizmu naród nasz będzie wzrastał w siły i dobrobyt, będzie szybko pomnażał swą gospodarkę i swą kulturę.

Jesteśmy złączeni głębokimi uczuciami przyjaźni z ZSRR i krajami demokracji ludowej. Przyjaźń ta jest niezawodna.

Wraz z ZSRR i krajami demokracji ludowej walczymy o utrwalenie pokoju. Wspólnie z setkami milionów ludzi współuczestniczymy w potężnym i wciąż rosnącym ruchu bojowników o pokój. Kroczymy w czołowych szeregach tego wspaniałego ruchu, któremu przewodzi Wielki Orędownik Pokoju — towarzysz Stalin.

Siły obozu pokoju rosną i są niezwyciężone. Bowiem niewyczerpanym źródłem ich wzrostu jest to, że rozwijają się zgodnie z odkrytymi dzięki

wielkiej nauce Marksa, Engelsa, Lenina i Stalina prawami postępowego biegu dziejów ludzkich. Gwarancją ich wzrostu jest nigdy nie kostniejąca, twórcza, śmiała, przodująca myśl i ideologia marksizmu-leninizmu. Obóz pokoju wyraża tęsknoty i pragnienia olbrzymiej większości ludzi, wzmacnia on sprawiedliwą walkę o wyzwolenie wszystkich uciskanych i pokrzywdzonych. Przyciąga więc ku sobie uczucia i poparcie milionów ludzi w krajach kapitalistycznych i zależnych, które pragną być wolne.

Siły obozu pokoju opierają się na najtrwalszej podstawie — na przyjaźni, współpracy i braterstwie międzynarodowym.

Dlatego złe i wrogie siły imperializmu nie mogą uniknąć klęski, jeśli poważą się na zbrodniczą wojnę, na nowy zamach przeciwko ludzkości.

Warunkiem zwycięstwa sił obozu pokoju jest ich pełne uaktywnienie, wykorzystanie przez nie wszystkich czynników ich politycznej, moralnej i materialnej przewagi.

Na pytanie: Czym zakończy się walka między siłami agresji a siłami miłującymi pokój? — towarzysz Stalin odpowiedział:

„Pokój będzie zachowany i utrwalony, jeżeli narody ujmą w swe ręce sprawę zachowania pokoju i będą broniły jej do końca. Wojna może się stać nieunikniona, jeżeli podżegaczom wojennym uda się omotać siecią kłamstw masy ludowe, oszukać je i wciągnąć je do nowej wojny światowej.

Dlatego też szeroka kampania na rzecz zachowania pokoju jako środek zdemaskowania zbrodniczych machinacji podżegaczy wojennych ma obecnie znaczenie pierwszorzędne.

Co się tyczy Związku Radzieckiego, to będzie on i nadal niezachwianie prowadził politykę zapobiegania wojnie i zachowania pokoju".

Towarzysze!

Organizując walkę narodu polskiego o pokój i Plan Sześcioletni winniśmy pamiętać o ciążącej na nas wielkiej odpowiedzialności za słuszne kierownictwo polityczne tą walką. Zarówno bezduszne sekciarstwo jak i oportunizm, tracący z oczu postawę klasową, grzeszący ślepotą i brakiem czujności są podstawowymi niebezpieczeństwami, które grożą wypaczeniem naszej linii politycznej. Wypróbowanym orężem krytyki i samokrytyki walczmy z wszelkimi wypaczeniami.

Wzmocnijmy kontrolę wykonania uchwał i wytycznych partii. Usprawniajmy swą organizację — każdy na swym odcinku pracy i wszyscy razem wspólnym wysiłkiem.

Nasz Plan Sześcioletni — to fundament niezłomnej siły narodu polskiego, to wielki i poważny nasz wkład do dzieła pokoju.

Czyńmy więc wszystko, aby wcielać ten plan w życie.

Wyjaśniajmy narodowi jego wagę, mobilizujmy masy do coraz wydajniejszej pracy nad realizacją tego historycznego twórczego dzieła.

Uczmy naszą dzielną i pełną zapału młodzież, aby przyśpieszała swym szlachetnym entuzjazmem osiągnięcia naszej pracy, aby młodzieńczą energią wzmacniała siły pokoju.

Niech każdy Polak, miłujący swój kraj, wzmacnia swą czujność wobec podstępnych knowań wroga, niech nie szczędzi wysiłku w umacnianiu sił gospodarczych Polski Ludowej, niech gotowością do ofiarnej pracy dla swego narodu daje wzór i przykład swego patriotyzmu, niech gotowością do obrony pokoju służy ludzkości.

Silna gospodarczo, uprzemysłowiona i socjalistyczna Polska Ludowa— to potężna ostoja wolności i niezawisłości naszego narodu.

Złączona przyjaźnią i wspólną ideą z ZSRR, z krajami demokracji ludowej i światowymi siłami obrońców pokoju — Polska Ludowa staje się niezwyciężonym bastionem, o który rozbiją się wszelkie zbrodnicze zakusy imperialistycznych agresorów. Siły obozu pokoju potrafią sparaliżować knowania obozu agresji, tyranii i zbrodni, potrafią zapewnić ludzkości trwały pokój.

Naszym wodzem jest Stalin — nasze będzie zwycięstwo!

Bolesław Bierut

ZBIGNIEW BIEŃKOWSKI

ABY POKÓJ ZWYCIĘŻYŁ

Czy wojna jest nieunikniona?

Znów jak przed rokiem to ciężkie od grozy pytanie ciśnie się na tysiące ust we wszystkich językach świata. Wydarzenia polityczne ostatnich miesięcy nadały mu sens wyzywający. Nasze myśli, uczucia nasze, które ono budzi wezbrały konkretnością także.

Podpisując Apel Sztokholmski protestowaliśmy przeciwko samej możliwości zagłady, przeciwko samemu poczuciu zagrożenia. Zjednoczyliśmy się przeciwko pojęciu wojny, przeciwko pojęciu nieszczęścia. Wojna przed rokiem jeszcze miała dla wielu sens metafizyczny, doszukiwano się w tym pojęciu figury apokaliptycznej, wydawała się jakimś nieodwołalnie zawisłym nad światem koszmarem jak biblijny potop czy koniec świata. Przed rokiem wojna była dla niektórych pojęciem nieokreślonym politycznie.

Pod Apelem Sztokholmskim znalazły się także podpisy ludzi, którzy nie rozumieli pełnej wartości swojego protestu, dla których protest przeciwko użyciu bomby atomowej był dopiero próbą moralną.

Minął rok. Dzisiaj nie ma już na świecie nikogo, kto by nie dostrzegał konkretnego zagrożenia, konkretnego niebezpieczeństwa wojny. Dzisiaj dla wszystkich, tak samo dla wierzącego katolika jak i dla marksisty niebezpieczeństwo wojenne posiada jednoznaczny sens polityczny. Wydarzenia minionego roku wdarły się brutalnie do świadomości wszystkich bez wyjątku ludzi.

Amerykańska agresja w Korei odsłoniła mechanizm obracający tryby kapitalistycznego świata. Ukazała barbarzyństwo, szantaż, cynizm, nienawiść do człowieka. Imperializm zrzucił maskę demagogii, by przemawiać właściwym sobie językiem: brutalną przemocą, okrucieństwem, zniszczeniem, śmiercią. Kraj ludzi miłujących jak wszyscy ludzie na świecie pokój, został z woli Wall Street pokryty ruinami. Zapalano miasta, niszczono pomniki wielowiekowej kultury narodu dlatego tylko, że chciał on być gospodarzem na własnej ziemi, że chciał żyć wolny i niepodległy. Korea miała być argumentem wszechmocy imperializmu. Stała się dowodem jego słabości. Miała być dla świata ostrzeżeniem i przykładem losu, jaki go czeka, kiedy sprzeciwi się interesom kapitału. Stała się natchnieniem mobilizującym ludzkość do walki o pokój.

Miniony rok rozwiał wiele iluzji, którym ludzkość przypisywała realne znaczenie. To prawda. Lecz i to jest prawdą także, że imperializm niszcząc z brutalną pewnością siebie te iluzje sam siebie osłabił przede wszystkim. Cóż bowiem zyskał Departament Stanu na przeobrażeniu

ONZ w narzędzie swojej polityki? Któż się liczy dzisiaj w świecie z kupioną za naftę i coca cola automatyczną większością Rady Bezpieczeństwa? Na froncie koreańskim runął mit amerykańskiej wszechmocy.

Wojna nie jest dzisiaj widmowym pojęciem zagłady i nieszczęścia. Jest niebezpieczeństwem zagrażającym z wiadomej strony i z wiadomych powodów. Odpowiedź na pytanie, czy jest ona nieunikniona, nie zależy od nieokreślonych czynników. Znamy od dawna agresora. Dzisiaj znamy już dokładnie jego metody działania. Pokój na świecie zależy dzisiaj od tego, czy potrafimy sparaliżować rękę sięgające po broń morderczą.

Nie ma dziś na świecie człowieka, któremu nie zagraża amerykański imperializm. Każdy naród niepodległy jest dla amerykańskich trustów przeciwnikiem, którego Wall Street zamierza zniszczyć. Znamy los narodów ujarzmionych. Kapitalistyczne reżimy zachodniej Europy na rozkaz banków i trustów nowojorskich gotują milionom Francuzów, Włochów, Niemców los najemnych żołnierzy przeznaczonych na rzeź. Przeciwko wolnym, niepodległym, przeciwko nam Polakom, Rumunom, Węgrom, Bułgarom, przeciwko narodom Związku Radzieckiego remontuje się już nową wojenną maszynę hitleryzmu. Konkretne niebezpieczeństwo znowu nam zagraża. Nie jesteśmy bezbronni. Na straży naszej wolności i pokoju świata stoi potęga Związku Radzieckiego, Chin Ludowych i Republik Demokratycznych.

Dzisiaj już nie o protest chodzi, nie o manifestację naszych uczuć pokojowych. Mobilizacja ludzkości wokół Apelu Sztokholmskiego stworzyła wielką siłę moralną, która poraziła ręce sięgające po bombę atomową. Dziś trzeba ich zmusić do rezygnacji z morderczych planów.

Niebezpieczeństwo zagrażające światu skupiło całą ludzkość. Ludzkość po raz pierwszy w dziejach świata posiada swój organ wykonawczy, który autorytetem sięga poprzez granice państw i kultur. Wyłoniona na drugim Światowym Kongresie Pokoju w Warszawie Światowa Rada Pokoju posiada dziś znaczenie, jakiego nigdy żadna międzynarodowa organizacja nie posiadała. Jej uchwały mają moc obowiązującą sumienia ludzkie. Z klęski iluzji wyłoniła się siła zdolna zapanować nad grozą i wstrzymać rozpad świata.

Na berlińskiej sesji Światowej Rady Pokoju wypracowany został taki program polityczny, który posiada aprobatę wszystkich uczciwych ludzi na świecie. Nie ma na świecie uczciwego człowieka, który nie żądałby zawarcia pokoju trwałego i gwarantującego spokojną przyszłość świata, kto by nie żądał zawarcia paktu między Związkiem Radzieckim, Stanami Zjednoczonymi, Anglią, Francją i Chinami Ludowymi. Któż z nas, którzyśmy przeszli potworną noc okupacyjną, nie sięga trwożną myślą poza amerykański kordon w Niemczech, gdzie tworzy się nowe kadry hitlerowskie zagrażające Europie? Któż z nas nie żąda demilitaryzacji Niemiec adenauerowskich? Któż z was nie żąda zaprzestania rozlewu krwi w Korei? Program polityczny Światowej Rady Pokoju jest programem życia każdego z nas. Od jego realizacji zależy osobiste szczęście człowieka, przyszłość kultury i przyszłość świata.

31 marca odbyło się w Warszawie plenum Polskiego Komitetu Obrońców Pokoju. Przedstawiciele polskiego społeczeństwa, przedstawiciele wyznań, przedstawiciele świata pracy, nauki i sztuki postanowili wezwać cały naród do poparcia programu Światowej Rady Pokoju. Plebiscyt, który w połowie maja odbędzie się na całym świecie, zmobilizuje także naród polski. Każdy Polak, każda Polka składając swój podpis pod manifestem Światowej Rady Pokoju spełni nie tylko swój obowiązek obywatela i człowieka. Podpis pod manifestem będzie zobowiązaniem do walki i pracy dla najbardziej wzniosłej sprawy świata, dla najbardziej osobistej sprawy każdego człowieka.

Plebiscyt pokoju jak przed rokiem Apel Sztokholmski zjednoczy całą ludzkość. Setki milionów ludzi zamanifestuje nie tylko swoje uczucia. Zamanifestuje także swoją gotowość do obrony życia. Świadomość naszej siły będzie ostrzeżeniem dla morderców. Przeciwko agresorom zjednoczą się siły niepokonane. Gdyż niepokonany jest człowiek.

Kapitalizm zdolny jest, wiemy, do wszystkiego. Zdolny jest do ucisku, do przemocy, do okrucieństwa, do zbrodni. Tę jego zdolność znamy aż nadto dobrze. Są jednak sprawy, do których nie jest zdolny. Kapitalizm nie jest zdolny do poświęceń, nie jest zdolny do bohaterstwa. Poświęcenie i braterstwo należą do człowieka. A człowiek jest z nami. Człowiek jest po stronie pokoju, po stronie życia, przeciwko śmierci.

Ludzkość swoim pragnieniem pokoju, pragnieniem życia, zdolna jest przeciwstawić się i uniemożliwić uruchomienie maszyny imperializmu. Nie należy do właściwości kapitalizmu porywać się z motyką na słońce.

Zbigniew Bieńkowski

Z „Listów z podróży do Ameryki"

Marmury, brązy, dywany, zwierciadła: oto hotele amerykańskie. W New Yorku są to obok banków i poczty najpiękniejsze budynki miejskie. Prócz numerów przeznaczonych do najęcia, w każdym hotelu znajduje się mnóstwo ogromnych sal, gdzie goście mogą przyjmować swoich odwiedzających, i buduarów urządzonych z książęcym przepychem, przeznaczonych dla kobiet. „Central Hotel", w którym zatrzymałem się na parę dni, jest to pod względem ogromu prawdziwe małe miasteczko, prócz gości bowiem stałych i nocowych mnóstwo osób z miasta zbiera się wieczorem w jego wspaniałym przedsionku dla czytania gazet, spotkania się ze znajomymi, palenia lub żucia tytoniu, wreszcie dla pokołysania się na jednym z biegunowych krzeseł, których tu mnóstwo.

Leży on na ulicy Broadway, największej i najruchliwszej ulicy New Yorku, odznaczającej się szczególniej swoją długością. Wieczorem, gdym tu przybył, zwiedzać już miasta z powodu spóźnionej pory nie mogłem, musiałem więc zadowolić się tylko zwiedzeniem hotelu, po czym wraz z towarzyszami udaliśmy się do *dining-roomu*, tj. do sali jadalnej.

Jest to istotnie ogromna sala, mogąca pomieścić kilkaset osób, urządzona z przepychem, ale bez smaku. Słupy podpierające sklepienie są marmurowe, ale zbyt grube i niskie, pułap za ciężki, wejście zaś jak do stodoły. Ogromne drzwi, podwójne, z okrągłym wierzchem, przypominają zupełnie wierzeje.

Trzy razy dziennie schodzą się tu wszyscy mieszkańcy hotelu. Za jedzenie w hotelach amerykańskich nie płaci się osobno, ale koszta jego wliczone są w cenę numeru. Każdy z gości wynajmujący numera ma tu prawo przyjść pięć razy dziennie i jeść, co mu się podoba, bez żadnej osobnej dopłaty, większość jednak schodzi tylko na *brekfest*, *lunch* i obiad wieczorny. Przy stole goście rozmawiają ze sobą jak znajomi, co jednak nie pociąga za sobą bliższych stosunków. Po skończonym posiłku wstają i rozchodzą się, gdzie kto chce, nie dziękując sobie wzajemnie za towarzystwo, jak również nie czekając jedni na drugich. Mnóstwo kobiet przychodzi bez mężczyzn, mnóstwo bowiem nawet panien podróżuje bez żadnej opieki. Wszystkie stroją się tak, jak nigdzie w Europie, wszystkie przychodzą bez kapeluszów; dlatego obiady, zwłaszcza wie-

czorem, wyglądają jakby obiady proszone i nader ceremonialne. Służbie nie daje się tu nic. Składa się ona we wszystkich prawie hotelach wyłącznie z Murzynów. Należy to do mody, a przy tym kolorowa obsługa zapewne taniej kosztuje od białej. Przy każdym stole stoi dwóch lub trzech Murzynów o głowach podobnych do głów czarnych baranów. Są to ludzie bardzo grzeczni, usługują szybko i wprawnie, wyglądają zaś we frakach i białych krawatach, jeżeli nie pięknie, to przynajmniej nader oryginalnie. Zresztą usługa tu nie jest trudna. Według zwyczajów amerykańskich przed każdym z gości stawiają tu mnóstwo porcelanowych miseczek ze wszelkiego rodzaju jadłem od razu. Masz przed sobą od razu zupę, mięsiwa, ryby, jaja, pudingi, pomidory, kartofle, lody, poziomki, jabłka, migdały, kawę, słowem: niezliczoną ilość dań w małych dozach. Zaczynaj, skąd chcesz, jedz, co chcesz, nikt tu na to nie patrzy. Murzyn stoi nad tobą jak kat nad dobrą duszą i ustawicznie dolewa ci wody z lodem w szklance, skoro ją tylko wypijesz, odpowiadając niezmiennym: *„Yes, sir!"* na wszystkie twoje żądania. Skutkiem tego systemu w jedzeniu wszystko tu jada się zimne, skrzepłe, zdębiałe, nawet w najlepszych restauracjach. Kuchnia amerykańska jest najniegodziwszą kuchnią na świecie. Nie chodzi jej o to wcale, żebyś zjadł zdrowo i dobrze, ale o to, byś zjadł jak najprędzej i mógł wrócić do *business;* wszystko więc obliczone jest na łap cap i tylko wieczorne obiady podają ci cokolwiek staranniej, wieczorem bowiem wszelki *business* kończy się wraz z uderzeniem piątej godziny.

New York jednak nie tylko nie zachwycił mnie, ale rozczarował potężnie. Każde z europejskich miast ma jakąś swoją osobliwość, którą istotnie widzieć warto: Paryż ma ich tysiące, Londyn również, Wiedeń ma swego Stefana, Berlin swego Kaulbacha, Bruksela — Wiertza i Św. Gudulę, Wenecja — swoje kanały, Rzym — papieża i Rzym starożytny, Kolonia — tum najpierwszy na świecie, Kraków — Wawel i Matejkę, Warszawa — dobre chęci, którymi jest brukowaną, wielkich ludzi do małych interesów, najdłuższe na świecie języki, Saski Ogród i dobro społeczne w kształcie dziurawego orzecha, na którym świszcze, kto chce i jak mu się podoba. Wszędzie jest jakaś tradycja, wszędzie z murów patrzy na ciebie, jeśli nie czterdzieści wieków, jak było raz powiedziane na pewnym obiedzie dla jednego z jubilatów warszawskich, to przynajmniej kilkanaście; wszędzie widzisz historię zakrzepłą w mur i kamień, wszędzie pewną odrębność narodową, wszędzie jakiś wielki ideał, którego początek w mrokach przeszłości. W New Yorku nie ma tego wszystkiego. Główne ciekawości miasta to hotele i banki, czyli inaczej

mówiąc: nie ma tu żadnych pamiątek historycznych, żadnych ciekawości. Historii Stanów Zjednoczonych szukaj w Waszyngtonie; w New Yorku masz tylko kupców. Handel, handel i handel, *businness i business*, oto, co widzisz od rana do wieczora, o czym ustawicznie słyszysz i czytasz. Na rzut oka nie jest to miasto zamieszkane przez taki a taki naród, ale wielki zbiór kupców, przemysłowców, bankierów, urzędników, kosmopolityczny zarwaniec, który imponuje ci ogromem, ruchliwością, przemysłową cywilizacją, ale nuży cię jednostronnością społecznego życia nie wytwarzającego nic więcej prócz pieniędzy. Chcąc opisać to miasto, nie wiedzieć, od czego zacząć, gdzie zaczepić myśl i oko; jedna ulica podobna do drugiej, wszędzie ruch, gwar i ścisk, tłumy powozów i omnibusów; mieszkańcy śpieszą się z gorączką na twarzy i w ruchach, jak gdyby mieli pomieszanie zmysłów. Pośpiech ten widzisz wszędzie: w budowie domów, ulic, chodników. Jedno zrobione i doprowadzone do możliwej doskonałości, drugie zaledwie poczęte. Oto np. Broadway: domy tu podobne do londyńskich, obok hotelu zbudowanego z białego marmuru od dachu aż do fundamentów stoją czerwone ceglane domy, tam dalej plac pusty ze znakami pogorzeliska; wczoraj tam był pożar, dziś postawią nowy gmach, a jak się ten jutro spali, to pojutrze znów będzie inny. Tam oto kościół, w którym ludzie chwalą Pana Boga becząc jak cielęta, w innym znów rżą, w innym modlą się po katolicku. Ale kościoły te zamknięte, bo to dzień powszedni, więc *business* nie pozwala się modlić. Zresztą kościoły nie odznaczają się ani wielkością, ani starożytnością, rzekłbyś: także zbudowane naprędce. Koło kościołów małe cmentarzyki, które tu więcej niż gdzie indziej są miejscami wypoczynku; dalej sklepy pogrzebowe, *businessy* w trumnach i nagrobkach, dalej znowu ulica. Wystawy sklepowe nad podziw świetne i bogate, ale urządzone bez smaku. Na chodnikach przed lustrzanymi szybami sklepów leżą kupy śmieci. Miasto zabłocone, brudne, źle wybrukowane; miejscami stoją małe kałuże czarnego błota, które nie może spłynąć przez zatkane ścieki ku morzu. Mnóstwo papierków, szczątków gazet, podeptanych skórek z jabłek i pomarańcz leży wszędzie, tak na chodnikach jak i na środku ulicy. Między pysznymi powozami, omnibusami — jeżdżą wozy ładowane ogromnymi pakami towarów, lub przechadzają się świnie, nie wiadomo do kogo należące, z powystrzępianymi przez psy uszami. Świń tu mnóstwo. „Oto jedna z nich — mówi pan Dickens w swym opisie New Yorku — patrzcie, jak przedziera się między powozami i przechodzącymi. Ma jedno ucho, drugie oberwały psy w zaciętej walce na placu, gdzie okazała nadzwyczajne męstwo. Szanowna ta świnia po-

stępuje zupełnie tak, jak przystoi na dorzecznego człowieka z liczby tych, co to żyją tak zwanym traktierskim życiem. Co rano w pewnej godzinie wychodzi z domu, wędruje po mieście, je, co się trafi, a wieczorem akuratnie staje przed bramą swego domu. Jest niedbałą, leniwą, wysoką ceni swą niepodległość, nienawidzi wszelkiego przymusu i jak z równą obchodzi się z każdą inną świnią" itp.

Teraz jest zapewne już mniej tych stworzeń, niż było za czasów pana Dickensa, ale i teraz spotkać ich można więcej niż w dziesięciu europejskich miastach, zwłaszcza w dolnych ulicach New Yorku. Krótko mówiąc, nie widziałem, jak żyję, miasta nieporządniejszego i z góry zapowiadam, że wszelkie usiłowania w tym kierunku municypalności warszawskiej nie przyprowadzą do żadnego rezultatu: New York będzie miał zawsze pierwszeństwo, choćby ze względu na swoje położenie portowe.

A jednak żadne może z miast europejskich nie wydaje tyle na utrzymanie porządku i na potrzeby miasta, ile New York; ale na nieszczęście, jak inne dykasterie urzędowe, tak i municypalność tutejsza składa się z tak biegłych w zawodzie swym złodziejów, że wobec nadużyć ich bledną wszelkie europejskie grynderstwa. Jeżeli np. w jakim z miast europejskich z oficjalnego ratusza rodzi się prywatne ratusiątko, to tu oficjalna mysz musi urodzić prywatną górę, choćby sama mysz miała nie wytrzymać porodu. Grosz publiczny i dobro publiczne są tu niczym więcej jak tylko tłustością, którą smarują sobie buty ci, co chcą suchą nogą przejść przez błoto.

Niedaleko City Hall, w kamienicach otaczających *square*, czyli piękny wirydarz, mieszczą się redakcje takich potężnych dzienników, jak: *„Herald"*, *„Tribune"*, *„Times"* i *„Staats-Zeitung"*. *„Herald"*, własność rodziny Bennetów, uważa się dotychczas za najpierwszy dziennik amerykański. Przynosi on miliony dolarów rocznie właścicielom, zatrudnia tysiące ludzi. Redaktorowie jego uważani są za najpierwsze potęgi w kraju, z którymi tak rząd jak i pan prezydent bardzo rachować się muszą. Niezmiernie liczne linie telegrafów przynoszą tu codziennie wiadomości z całego świata i całych Stanów Zjednoczonych. Częstokroć się zdarza, że o sprawach nawet europejskich nie tylko *„Herald"*, ale i *„Tribune"*, i *„Times"*, który dawno wyścignął angielskiego, mają wiadomości i wcześniejsze, i dokładniejsze od dzienników europejskich.

A jednak pod względem obrobienia literackiego dzienniki te ustępują europejskim. Talent pisarski nie odgrywa tu dotychczas tak wielkiej

roli jak w Europie. W całej prasie periodycznej przeważa charakter informacyjny nad literackim: pośpiech i dokładność w otrzymaniu wiadomości uważa się tu za rzecz najważniejszą; dlatego dzienniki są raczej agencjami niż ogniskami skupiającymi siły literackie. Osobistości giną tu w ogólnym organizmie dziennika, tak że pisarze mają niejako znaczenie komisantów, których skutki działalności są zbiorowo wzięte ogromne, ale których imiona rzadko pod względem czysto literackim wybić się na wierzch mogą.

Z redakcji dzienników przejdźmy teraz na Wall Street, ulicę niewielką, dość ciasną, ale może jeszcze od Broadway ważniejszą. Jest to ulica bankierów. Od samego rana ludniej na niej niż na Broadway. Tu mieszczą się skarby, za które można by zakupić całe kraje. Rozmaite domy handlowe robią tu rocznie transakcyj na sto siedemdziesiąt miliardów franków; o której to sumie dopiero wówczas będziemy mieli jakie takie pojęcie, gdy przypomnimy sobie, że pięcioma tylko miliardami Bismarck miał nadzieję zrujnować na zawsze Francję. Na pozór jednak nic nie zdradza ważności tej dzielnicy, chyba tysiące ludzi, zgorączkowane ich twarze i pośpiech, z jakim witają się, mówią i żegnają, wskazuje, iż dzieją się tu rzeczy ważne, dla nich zaś rzeczy najważniejsze na świecie. Tu także mieści się *stock-exchange*, czyli giełda albo jeszcze, jeżeli kto chce: szpital wariatów cierpiących na *febris aurea*. Spokojnego widza strach przejmuje na widok tego, co się tu dzieje! Gwar tu, wrzask i wrzawa taka, jakby za chwilę miało przyjść do bitwy. Widzisz zaczerwienione twarze, słyszysz ochrypłe głosy. Ludzie przyskakują do siebie i krzycząc jakby w napadzie maligny, wytrząsają sobie pięściami przed oczyma. Jeden stara się przekrzyczeć drugiego. Sądzisz, że tłumy te ogarnęła naraz niewytłumaczona wściekłość, pod wpływem której natychmiast poczną się mordować wzajemnie. I któż by domyślił się, że jest to nic więcej, jak tylko sposób porozumienia się handlowego, a owe krzyki i wywijania pięściami służą tylko do tego, żeby się dać lepiej zrozumieć. Gdy wreszcie ozwie się dzwonek prezesa na znak, że obroty się kończą, po niejakim czasie ciż sami ludzie wychodzą spokojnie, trzymając się wzajemnie pod ręce.

Prócz banków, prócz *stock-exchange*, *goldroomu* (izby złotej) i innych giełd: zbożowych, wełnianych i bawełnianych, na całej Wall Stret nie masz zresztą nic godnego widzenia. Schodzimy teraz trochę na dół ku ulicom portowym. Ruch tu mniejszy, nieporządek jeszcze większy, błoto częstokroć nie pozwala przejść przez ulicę. Między ludnością spo-

tykamy coraz więcej Murzynów. Są to furmani, wyrobnicy, tragarze towarów itp. Ubrani są po największej części tylko w spodnie i flanelowe koszule. Wełniste głowy ich, nie znające grzebienia ani nożyczek, wyglądają jak kłęby czarnej wełny. Niektórzy z nich pracują, inni stoją przed domami, z rękoma w kieszeniach, nic nie robiąc, paląc krótkie fajki, poruszając szczękami wypchanymi tytuniem i gapiąc się na przechodzących. Wyglądają wszyscy brzydko i niechlujnie.

Obok Murzynów w tych dzielnicach miasta tulą się także w mizernych, brudnych nad wszelki wyraz i ciasnych domach biedni emigranci, którzy zwabieni wieścią o łatwym zarobku w Ameryce, przyjechali tu mając zaledwie czym opłacić przewóz za Ocean. Zarobek w Ameryce istotnie nader jest łatwy, ale w głębi kraju, na Dalekim Zachodzie; w samym zaś New Yorku panuje przeludnienie i dlatego najbiedniejsi właśnie z emigrantów, którzy nie mają czym opłacić dalszej, bardzo kosztownej kolejami podróży, mrą z głodu, chłodu i wszelkiej nędzy. Dzielnice te przypomniały mi zaułki londyńskie, z tą różnicą, że tu stokroć jeszcze brudniej, a ludność, stanowiąca szumowiny proletariatu wszelkich narodów, gorzej jeszcze wygląda od londyńskiej. Wszelakie choroby epidemiczne i nieepidemiczne dziesiątkują ciągle tych nieszczęśliwych.

Miasto to ze względu na brak wszelkich pamiątek historycznych, wspaniałych budowli, kościołów, galerii, muzeów, wreszcie przez swój nieporządek i brak smaku we wszystkim niesympatyczne czyni wrażenie.

Dwa dni pobytu nie starczyło mi oczywiście na dokładne zwiedzenie tego olbrzymiego grodu, który sam siebie *empire city* nazywa. Poznałem jednak jego części najważniejsze, których poznanie tym bardziej wystarczać powinno, że jak mnie zapewniano, inne nie różnią się od nich niczym więcej, chyba tylko większym jeszcze zaniedbaniem i większym nieporządkiem, dochodzącym do tego stopnia, że na ulicach leżą częstokroć zdechłe zwierzęta, na wzdętych ciałach których korzystający ze wszystkiego przemysłowcy przyklejają kartki z anonsami. Jest to szczegół nader charakterystyczny, którego sam wprawdzie nie widziałem, ale o którym czytałem i słyszałem opowiadania naocznych świadków.

Z zakładów publicznych miejskich zasługuje jeszcze na wzmiankę Central Park, leżący na Broadway, a będący tym dla New Yorku, czym Lasek Buloński dla Paryża. Jest to park ani brzydszy, ani piękniejszy od innych parków miejskich, nie może jednak moim zdaniem, iść w po-

równanie z Hyde Parkiem londyńskim ani nawet z Thiergartenem berlińskim. Zresztą mniej od tych obydwóch jest odwiedzany, albowiem mieszkańcy w dzień powszedni zajęci są *businessem*, w niedzielę zaś, według amerykańskiego zwyczaju, siedzą po domach.

Pomiędzy kościołami, nie licząc kościołów Brooklynu, który tu miastem kościołów nazywają, nie masz ani jednego, który by na bliższą zasługiwał uwagę. Najznakomitszy jest Trinity Church, założony jeszcze przez Anglików. Jest to dosyć obszerny budynek z wysokimi, spiczastymi wieżami w stylu nie czysto gotyckim, ale do gotyckiego zbliżonym. Otacza go mały cmentarz, na którym dziś już ludzi nie chowają, ale na którym znajdują się groby kilku znakomitości amerykańskich.

Teatru narodowego amerykańskiego w wyższym słowa tego znaczeniu nie ma wcale ani w Now Yorku, ani, o ile wiem, w całej Ameryce. Teatra istnieją wprawdzie i nawet z wszelkim przepychem urządzone, ale grają w nich i śpiewają po największej części zagraniczni artyści, europejskie znakomitości opłacone na wagę złota. Oczywiście sztuki przedstawiane są również pióra europejskich pisarzy, a jeżeli czasem trafiają się i oryginalne amerykańskie sztuki, stoją one niżej wszelkiej krytyki i uchodzić mogą zaledwie za niezgrabne początki, które i na przyszłość nie rokują nic wielkiego.

Jeżeli z tego, co powiedziałem dotychczas, wypada, że New York jako miasto ujemne raczej niż dodatnie czyni wrażenie, nadmienić teraz wypada, że mieszkańcy jego przedstawiają się jeszcze mniej sympatycznie. Mają oni wprawdzie wiele niepoślednich przymiotów, ale te dopiero po bliższym poznaniu ocenić można; na pierwszy rzut oka uderza przede wszystkim ich brak ogłady, gburowatość, niektóre dzikie przyzwyczajenia rażące nadzwyczaj każdego świeżego zza Oceanu przybysza. Oczywiście klasy najwyższe, ludzie bogaci, którzy podróżowali lub znaczną część życia spędzili w Europie, nie różnią się niczym od odpowiednich klas europejskich, ale ogół publiczności, tak jak on się przedstawia od razu badaczowi, odznacza się takim brakiem ogłady i delikatności w obyczajach, że nawet najzapaleńsi wielbiciele Amerykanów zgodzić się muszą, iż naród rzeczony pod tym względem niżej stoi od każdego innego w Europie. Obyczaje owe i przyzwyczajenia, o których teraz będę pisał, poznałem nie przez owe dwa dni, które spędziłem w New Yorku, ale po dłuższym z Amerykanami pożyciu.

Przede wszystkim tedy cudzoziemiec przybyły do Stanów na próżno by szukał tej uprzejmości i gotowości do wskazówek i objaśnień, z jaką spotyka się np. we Francji. Mieszkaniec Nowego Jorku wiecznie się śpieszy i zapytany np. o drogę, odpowiada najczęściej bez namysłu

„*O! I don't know*" (o! nie wiem), nie dlatego, żeby istotnie nie wiedział, ale że nie chce mu się namyślać i odpowiadać. Grzeczność francuska jest tu rzeczą zgoła nie znaną, jeżeli zaś nawet trafi się cudzoziemcowi spotkać z pewną uprzejmością, jest ona tak szorstką, tak jakoś niesmaczną, tak pełną gburowatej poufałości, że mimo woli chce się odpowiedzieć jak ów szlachcic spod Radomska: „*Plus de confidence que de z n a j o m a n c e!*" Powszechnie jednak o cudzoziemca nikt się tu nie troszczy.

Wreszcie Amerykanie sami wiedzą dobrze o tej gburowatości; niektórzy, zwłaszcza oświeceńsi, starają się nawet wyleczyć z niej i siebie, i swych braci; większość jednak uważa ją za pewną republikańską i demokratyczną cechę narodową i skutkiem takiego poglądu raczej szczycić się z niej, niż poprawić się jest gotowa.

Jest to równie często spotykany jak i głupowaty objaw miłości własnej. Tak narody całe jak i pojedynczy ludzie przez rozmiłowanie się zbytnie w samych sobie dochodzą do tego stopnia głupoty, że nawet na wady swoje patrzą przez szkła różowe, jakoby na coś takiego, co szczególniejszy stanowi ich przymiot, którym górują nad innymi. Objaw tej słabości w pojedynczych ludziach każdemu zaobserwować nader łatwo. Jeżeli pan Jacek może i odważa się wypić od razu garniec wina, dla ludzi obdarzonych zdrowym rozsądkiem jest to tylko dowód, że pan Jacek jest prosięciem; ale pan Jacek z dumą zawsze wspomina o tych swoich zdolnościach i gotów jest nawet wyzwać na rękę każdego, kto by mu ich stanowczo zaprzeczał. To uwielbienie nawet ujemnych stron własnych dochodzi do tego stopnia, że słyszymy często ludzi mówiących: mój paraliż, mój katar żołądka, mój wściekły charakter itp., z pewnym odcieniem nie już pobłażania, ale jak gdyby chluby. Między narodami dzieje się, jak wspomniałem, podobnie.

Amerykanie pod tym względem nie stanowią wyjątku. Uważają się przy tym za najpierwszy naród na świecie; tymczasem większa część wykształceńszych przybyszów skłonna jest raczej twierdzić, że w Stanach Zjednoczonych istnieje państwo, ale nie ma narodu w ścisłym europejskim tego słowa znaczeniu. Według powyższej opinii jest to wielki zbiór ludzi wszelkich narodowości, handlujących, sprzedających, pracujących w roli lub przemyśle, urządzonych w wielką spółkę, zorganizowanych w pewien kształt państwowy pod takimi a takim prawami, ale pozbawionych wszelkich cech, jakimi zwykle oznacza się każdy jednolity naród.

Do pewnego stopnia jest to nawet prawda, ale o ile ona jest bez-

względna, nie będę teraz rozstrzygał, chcę bowiem mówić o pewnych poszczególnych zwyczajach, które, jak mam nadzieję, więcej będą zajmować moich czytelników. W czymże tedy objawia się ów brak cywilizacji obyczajowej, o której wspominałem powyżej? Mogę odpowiedzieć: we wszystkim; a zresztą niech sam czytelnik osądzi. Do godziny czwartej lub piątej po południu każdy prawie z mieszkańców tak New Yorku jak w ogóle i całej Ameryki pracuje z gorączkową namiętnością nad zrobieniem fortuny, która tu stanowi główną wartość człowieka, co nawet wyraziło się i w języku, nie mówią tu bowiem: człowiek ma tyle a tyle, ale: wart jest tyle a tyle. Wieczorem wszelkie zajęcia kończą się i następuje obiad, po którym z kolei odpoczynek. Każdy należący do średniej klasy Amerykanin (bo powtarzam jeszcze raz, że nie mówię o klasach wyższych) wydobywa wówczas z kieszeni kłak tytuniu, ucina go scyzorykiem, pogrąża w ustach i poczyna żuć ze smakiem. Jednocześnie z tą czynnością siada na biegunowym krześle, zakłada nogi na stół lub na okno i nie chowając scyzoryka kraje nim, co mu popadnie pod oczy, chociażby poręcz krzesła, ramę okna; jeżeli się rzecz dzieje w ogrodzie, to kratę werandy; na koniec stół lub wreszcie cokolwiek bądź innego. Owo krajanie scyzorykiem tak dalece wsiąkło w naturę tych ludzi, że wielu z nich nosi umyślnie na ten cel przeznaczone kawałki drzewa. Częstokroć takie zajęcie służy także do pokrycia głupoty lub braku zasobów umysłowych. Jeżeli Amerykanin znajduje się wypadkiem w towarzystwie cudzoziemców, z którymi pod żadnym względem nie stoi na równi, wówczas niezawodnie będzie coś krajał scyzorykiem i milczał pogardliwie niby dla okazania, że jak prawdziwy republikanin i demokrata nic sobie nie robi z owej wykwintności i ogłady, których w głębi duszy innym zazdrości i których braku się wstydzi.

Ohydny zwyczaj żucia tytuniu zmniejsza się już wprawdzie, zwłaszcza po większych miastach, coraz bardziej, ale i dziś jeszcze jest dość powszechny. Rzuciwszy okiem na pierwsze lepsze zgromadzenie ludzi dostrzeżesz, że większa część mężczyzn porusza systematycznie szczękami, jakby należała do zwierząt przeżuwających i spluwa co chwila obrzydliwy sos tytuniowy; przy czym policzki ich, wypchane od wewnątrz tytuniem, wyglądają jak gdyby napuchłe. W hotelach i restauracjach, gdzie tylko są marmury, znajdują się także i drukowane ostrzeżenia proszące publiczności, aby raczyła spluwać w spluwaczki, nie zaś na marmury, które się od tego plamią i psują. Wreszcie spluwaczki znajduje się w ogromnej ilości wszędzie, tak w mieszkaniach prywatnych jak i w miejscach publicznych.

Ale gburostwo amerykańskie nie w tych tylko zwyczajach się uwi-

docznia. Amerykanie wstają od stołu nie dziękując sobie wzajemnie za towarzystwo; witają się prostym kiwnięciem głowy lub ręki; w rozmowie trzymają się wzajemnie za guziki lub klapy od surdutów, co tak dalece jest rozpowszechnionym, że ma miejsce nawet między służącymi a panami; na koniec, nie zdejmują kapeluszów nawet w mieszkaniach prywatnych, a surduty zrzucają wszędzie, nawet wobec kobiet lub w miejscach, których sama powaga przyrodzona na podobne postępowanie nie zezwala.

W New Yorku nie byłem wprawdzie z braku czasu w żadnym z urzędowych miejsc publicznych, ale zdarzyło mi się w parę miesięcy później być na sądzie przysięgłych w Sacramento, w stolicy Kaliforni. Cóż powiecie, czytelnicy? Sędzia prezydujący siedział na osobnej katedrze, męczony przez głośną czkawkę, i poruszając jak wół szczękami wypchanymi tytuniem, wodził omdlałym wzrokiem po zgromadzeniu; sędziowie przysięgli, bez mundurów, żując również tytuń, leżeli raczej, niż siedzieli na swych krzesłach, z nogami pozakładanymi na pulpity; adwokaci również byli tylko w kamizelkach i publiczność trzymała nogi wyżej głów, a kapelusze na głowach; wszyscy chrząkali, pluli, jakby pobierali za to osobne pensje, całość zaś zgromadzenia na mnie, przyzwyczajonym do powagi i uroczystości sądów europejskich, zrobiła wrażenie jakiejś brudnej niemieckiej knajpy, o której można powiedzieć, że tym oddycha się swobodniej, im prędzej się ją opuszcza.

Zapewniano mnie, że w miastach pomniejszych wszystko jeszcze bez porównania gorzej wygląda. Można by wreszcie darować sądom tym ich republikańską prostotę i nieobyczajność, gdyby również republikańskimi były ich sumienia i sprawiedliwość w wydawaniu wyroków. Ale sami Amerykanie przyznają, że nie masz więcej złodziejskiego sądownictwa na świecie jak ich własne. Jeżeli tu chcesz suchą nogą przejść przez błoto, posmaruj sprawiedliwość, jak mówi stary John, a sprawiedliwość posmaruje ci buty. Jest to jedna z większych prawd na świecie. Zresztą odnosi się to nie tylko do sądownictwa, ale do całego systemu administracji w Stanach Zjednoczonych; nigdzie bowiem zapewne sumienie publiczne nie jest tak uśpione, jak tutaj.

A teraz kilka słów o kobietach amerykańskich. Pod wieloma względami kobiety amerykańskie niższe są od europejskich, i owo dobitne rzymskie określenie: *domiseda, lanifica, pia* — żadną miarą do Amerykanek zastosować się nie da. Tu powszechnie taki jest stosunek: mąż pracuje, żona panuje i używa darów bożych, jak jej się podoba. Można by tu słusznie, na wzór owego starosty austriackiego, który powiesiw-

szy na drągu kapelusz kazał mu się kłaniać szwajcarom, powiesić na drągu pantofel. Rozkaz kłaniania mu się jednak byłby zupełnie zbyteczny, bo każdy mąż, jeśliby tylko chciał być szczerym, zdjąłby przed nim kapelusz z własnej woli. Amerykanki stroją się więcej jak wszystkie kobiety na świecie. Stojąc przez pół godziny na Broadway w New Yorku, więcej widziałem rozmaitych sukien jedwabnych i kaszmirowych, czarnych, żółtych, zielonych, pstrych i czerwonych, niżbym mógł zobaczyć na bulwarach w Paryżu. Niewiele w tym wszystkim smaku, ale wiele przepychu. W hotelach na obiady przychodziły damy postrojone jak na bal, w złotych manelach, zausznicach, naramiennikach itp. Są przy tym nadzwyczajnie śmiałe, wyzywające i kokietki do tego stopnia, że słusznie można rzec, iż role tu zostały zmienione i stroną prowokującą jest kobieta. Nie brak tu i „niebieskich pończoch", ale w ogóle wieści, jakie krążą o wykształceniu Amerykanek w Europie, są do wysokiego stopnia przesadzone. Owszem, przeciętne wykształcenie kobiet w Europie, moim zdaniem, jest daleko wyższe.

Cudzoziemcy mają tu wiele powodzenia u kobiet ze względu na swą ogładę i wykwintność, którą nad krajowcami celują; często jednak biorą fałszywą monetę za dobrą, a jeżeli i znajdują istotnie dobrą, to tym gorzej dla nich, bo ołtarz jest tu konsekwencją, lada nie winy nawet, ale lada nieostrożności.

Zresztą kobiety amerykańskie nie są piękne. Brak w ich rysach rasy i dystynkcji, ale to tym nieznośniejszym czyni ich despotyzm. Despotyzm ten daje się czuć wszędzie: w domach, na kolejach, w wagonach, a nawet na ulicach, gdzie powożące *ladies* jeżdżą jak szalone, ani dbając, że kogoś mogą rozjechać. Prawo nie tylko nie kładzie despotyzmowi pewnej miary, ale bierze go nawet w opiekę.

Szacunek, jakim otoczona tu jest kobieta, łatwo wyjaśnia się tym, że — mówiąc językiem handlowym — popyt tu na płeć piękną daleko jest większy od podaży. Kobiet w ogóle w Ameryce jest mało, w nowo zaludniających się zaś okolicach tak mało, że zaledwie jedna na dwudziestu lub trzydziestu mężczyzn przypada. Tym się tłumaczy, że nawet bardzo nieokrzesani i pozbawieni wszelkiej ogłady ludzie obchodzą się tu z kobietą jak z czym szklanym.

W ogóle Europejczycy mają pod wieloma względami fałszywe o Amerykanach i Ameryce wyobrażenie. Wspomniałem o religijności; niech mi więc wolno będzie pobieżnie i o tej stronie życia tutejszego wspomnieć. Społeczeństwo amerykańskie uchodzi za najreligijniejsze na świecie. Ludzi wątpiących istotnie nie ma tu wcale, przepisy religijne zachowywane są najściślej, w niedzielę i święta głucha martwota upada na

wsie i miasta, sklepy są pozamykane, fiakry i omnibusy nie kursują prawie zupełnie; w teatrach nie grają, miejsca publiczne są puste; słowem, powaga tu i uroczystość większa niż wszędzie na świecie. Ale wejrzawszy w to bliżej, widzimy w tym raczej wpływ zwyczaju nie wdającego się w żadne rozumowania niż żywotnej, gorącej, świadomej siebie wiary. Społeczeństwo tutejsze nadzwyczaj jest pozytywne; nad rzeczami nie mającymi związku z rzeczywistością, z korzyściami materialnymi, z czymś, co się da uchwycić i obrachować, nikt tu nie łamie sobie głowy. Kwestie takie, jak początek wszechrzeczy, istnienie Stwórcy, nieśmiertelność duszy i tym podobne, które odgrywają tak potężną rolę w umysłach młodzieży europejskiej, uniwersytetów, filozofów i ludzi nauki, a które tak często prowadzą najprzód do filozoficznego bankructwa, a potem do zwątpienia, łatwo udzielającego się ogółowi, tu nie mają najmniejszej wagi. Żaden naród na świecie nie jest mniej zdolny do wszelkiej refleksji filozoficznej jak Amerykanie. Tu każdy więcej żyje życiem czynów niż myśli, więc zajęty handlem, przemysłem, rolą itp., o racje religijności się nie pyta. Przychodzi niedziela, Amerykanin idzie więc do kościoła, bo tak chce zwyczaj; czyta pobożną książkę, bo tak chce zwyczaj; siedzi w domu, bo wszyscy siedzą w domach; kto tam wie jednak, czy w tej całej religijności nie masz więcej rutyny i mechanicznego przyzwyczajenia niż prawdziwego uczucia.

Z drugiej strony mnóstwo sekt i emulacja między nimi, walka z potężniejącym coraz katolicyzmem zabarwia cokolwiek owe uczucia religijne polityką, która bądź co bądź, jeżeli jest bodźcem, to jest bodźcem czysto światowym. Wyznawcy danej sekty starają się ją podtrzymywać i rozszerzyć, muszą więc dawać z siebie przykład. Stronnictwo zawsze przywiązuje do siebie, a wskutek poplątania interesów ogólnych z osobistymi rodzi stronników, którzy tyloma już węzłami są z nim spojeni, że odłączyć się ani chcą, ani mogą, choćby dla głównej zasady byli chłodni.

Natomiast każdy Amerykanin ową wolność religijną uważa za perłę konstytucji Stanów Zjednoczonych, a chcąc tę wolność zamanifestować, musi spełniać gorliwie wszelkie obrządki sekty, do której należy.

Pierwszy jednak przytoczony przeze mnie wzgląd jest najważniejszy. *Business* nie pozwala rozstrzygać transcendentalnych kwestii, zatem nikt ich nie rozstrzyga i sprawy religijne idą tak, jak każe zwyczaj i pamięć ojców.

Na tym kończę ten pobieżny rys o Ameryce i Amerykanach w ogólności, o New Yorku zaś w szczególności.

Henryk Sienkiewicz

KAMIEŃ

Pamięci Teodora Bujnickiego

Został z pożaru kamień,
Zczerniał i wystygł.
Bierzcie ode mnie pamięć,
Drzyjcie, jak zżółkłe listy.

Od tego, który nie przyjdzie,
który na zawsze odszedł,
Nie ma go nigdzie,
Jest tylko w moich oczach.

Po co mi te wspomnienia,
przeszłości zarosłe ścieżki.
Niechaj będę kamieniem,
prostym i ciężkim.

Ominięty pożogą,
czego mam jeszcze pragnąć?
Może porazi wroga
moja celna bezwładność.

A kiedy padnę, dopilnuj,
łosie, pożytku po mnie:
wrogowi kamień mogilny,
towarzyszowi pomnik.

Lublin, grudzień 1944. **Jerzy Putrament**

TADEUSZ KUBIAK

ROZMOWA Z POETĄ

I

Tyle mam niepokoju w otwartych źrenicach,
ile jest przerażenia w sadach przed burzą.
Bije grom.
Czy to tylko wiosenna błyskawica
znad światowidowego wzgórza
oślepiła mój wiklinowy dom?

Myślałem — przyjdzie czas i na moje piosenki,
jak w lesie przyfrontowym był czas na śpiew słowika.
Bije grom.
Nie wypuszczając pióra lekkiego jak pióro kolibra z ręki,
okiennice mojego domu bym zamykał.
Kocham ten dom, ten kruchy dom.

II

Poeto — twoja miłość do dwojga najbliższych,
do domu — nie jest jeszcze miłością do świata.
Bije grom.
Werbel najemnej roty bije zza wzgórz okolicznych,
ty musisz iść w pierwszej linii, prowadzić atak,
za każdy na tej ziemi dom.

Gdy miłość do ludzi będzie ci obca,
gdy pójdziesz uboczem — powolny kruczym wieściom,
uderzy grom.
Uderzy grom.
I nikt nie odnajdzie serca samotnego wędrowca
i odtąd będzie koniec wszelkim pieśniom,
wiatr rozniesie twój kruchy, wiklinowy dom.

NIE UTRACIŁEM JEJ NIGDY

Przeszedłem przez niejedno zielone wzgórze
pełne gorących, letnich róż.
Zrywałem róże, wciskałem w ręce dziewczętom.
A potem odchodziły dziewczęta i róże
ku jaworowym, cienistym zakrętom
drogi, na której tylko kół skrzyp i kurz.

Prawdę mówiła stara pieśń,
choć śmiałaś się z niej do łez —
Ty pójdziesz górą, ty pójdziesz górą,
ja pójdę doliną.

I przeszedłem niejedną z liliowych dolin,
smutnych, wilgotnych jak twoje dłonie
odjęte od zapłakanych oczu.
I mijało mnie szczęście w fałszywej aureoli.
I grzmiały kopytami miedziane o zmierzchu
artyleryjskie konie.
Krzyk jesienny derkacza zamilkł na uboczu.

Dom mój i stół w nim, i łoże, i krzesło
stały się żerem czarnych pokoleń mrówek.
W mgle widziałem kobiety blade jak giezło.
Żandarm ze swastyką na widok serca
twojego, matko, odbezpieczał „spluwę".

Byłem na tej ziemi bosy jak ptak,
byłem na tej ziemi głodny jak pies.
Na pustych wieżach dzwony nawiedzał tylko wiatr.
I nadchodziły noce,
w których półksiężyc ostry,
zdawało się, że ostygł.
A w oczach żony nie było nic, prócz łez.

Śmiech judaszowy rzęził w jesiennej gałęzi.
Noc ukrywała w sadach letnie instrumenty.
Śmiech milkł. Niebo w oczach miało tylko pogardę.
Żona kryła źrenice żalu. Patrzyła — gdzie?
Smutna — w jej oczach nawet łza była pięknym skarbem.

Zazdrościłem jej tego. Oswajałem tak długo
serce z widokiem ludzi tonących w rzekach.
Był to czas, gdy tylko zwierzęta
pilnujące kwiatów i owoców wśród liści
okazywały się przyjacielem człowieka.
W latach głodu, w latach nienawiści.

Świtem z jarów śnieżystych dochodziły mnie wieści
o najbliższych poległych w drodze do wolności.
Nie zamieniłem słów ostatnich nawet z ojcem.
Proch i ciemność walczyły ze światłem i słońcem.
Nosiłem broń, zapominałem słowa — miłość.

Doświadczyłem wielu spraw życia i śmierci,
najpiękniejszej przyjaźni i najciemniejszej zdrady,
uderzającej zawsze w plecy, nigdy w piersi.

A był też dzień w tym kraju — gdy powiedziano mi —
umarł. Wiosenne światło zastygło u powiek.
Trumna mojego syna
była tak mała i lekka,
że uniósł ją na ramieniu
jeden samotny człowiek.

Potem w mieście rodzinnym, pod gwiazdą, gdzie powietrze
wypalone zostało po najmniejsze skrzydło
jaskółki — ustawiałem kamień na kamieniu.
Z lewa i z prawa czyniono to samo.
I wiedziałem, że gdyby nawet mojemu sercu
odebrano ciało — odejść stąd
ja nigdy bym nie umiał, a cień mój nie mógł.

Jestem szczęśliwy. Noc. Ulice strome
spadają w dół ku Wiśle. Noc i deszcz. Z balkonu
może do mnie chusteczką powieje ktoś. Domu
nie ma. Syczą kamienie. Noc. Śnieg. Chciałbym śpiewać.
Śpiew witać. Świt. Obracać kołami garncarzy,
starych młynów, źdźbła zbierać na gniazdo jaskółki
i wchodzić w groty, w których śpią poległe pułki,
być wśród zwierząt u źródła, wśród ludzi na straży
u bram uśpionych, ostrych jak szpady. Ufności
jestem pełen — choć żyłem lata w pognębieniu,
choć w moim cieniu ojciec nie dożył siwizny,
przyjaciół pochłonęła ziemia, choć doznałem
klęsk wielkich i powszednich — ja jestem szczęśliwy,
szczęśliwszy od wielu — bo nigdy, przenigdy
nie utraciłem mojej ojczyzny.

Tadeusz Kubiak

JULIAN GAŁAJ

JESIENNA ORKA

Starzy Antoniakowie zacięli się... Nie mógł wpłynąć na zmianę ich decyzji, a zwłaszcza ojca, i najmłodszy ich syn, Ignacy, zwany na wsi Ignackiem. Nowa ich działka leżała nie nawiedzana, pokryta kwiatami łopuchy niby biało-żółtym szronem koloru cytryny. W sąsiedztwie tej działki daleko aż po widnokrąg krzątali się ludzie na polu. Tu i ówdzie chodził oraz za koniem napiętym z wysiłku tak, że po obydwu stronach brzucha rysowały się wyraźnymi falami żebra okryte drgającą skórą. Chłop chlastał batem zapatrzony w odkładającą się na boki szarą, wyschniętą skibę ziemi. Na polach spółdzielni pykał traktor ciągnący za sobą siedmiozębny kultywator. Po grobli kolejowej przecinającej równinę ze wschodu na zachód pędził od czasu do czasu sznur wagonów; zatrzymywał się przy czerwonym budynku stacyjnym i wystawszy przepisową minutę ruszał dalej. Tylko gwizd rozdzierał uszy, tylko sapanie lokomotywy płynęło ciepłą, przejmującą człowieka na wskroś watą nieprzyjemnych drgań, tylko monotonny, jednostajnie zmienny stukot kół słał się po polach zamierającymi pomału falami powietrza.

Antoniak chodził codziennie po podwórku jak bezduszny, nieczuły na wszystko automat. Mijając w milczeniu żonę i syna, nie rzucał im według tyloletniego zwyczaju żadnych rozkazów, nie mruczał pod nosem ze złości i zdenerwowania. Czasem przystawał. Słuchał... Topole rosnące gęsto wokół podwórza trzepotały miłosiernie liśćmi i zdawały się bądź cichszym bądź głośniejszym szeptem pocieszać gospodarza. Niekiedy szumiały głucho pod naporem wiatrów. Antoniak wbijał oczy w jeden punkt, przeżywał coś głęboko, zdawał się wpadać w stan graniczący z obłędem.

Topole szumiały. Stary tracił poczucie rzeczywistości. Czy to nie pora podorywek i orki jesiennej? Czy pług gotowy, bez feleru? Nóż wytoczony na kamieniu? Konie nakarmione? Antoniak wszedł do stajni; wsypał do koryta sieczki, krasząc ją obficie otrębami. Polał wodą, wymieszał i klepnąwszy pieszczotliwie ogierka wyszedł. Stado wróbli zerwało się sprzed stajni i pofrunęło niespiesznie między gęstwę liści. Gdzieś zza stodoły zaskrzeczała przeraźliwie sroka. Nad topolami przeleciał jastrząb odprowadzony zestrachanym, klępim pokrzykiwaniem

drobiu. Kogut uderzył bohatersko skrzydłami i potoczył wokół zwycięskim wzrokiem. W pewnej chwili zdawało się Antoniakowi, że na miejscu jednego koguta bije skrzydłami dziesięć. Wpatrzył się z natężeniem — zobaczył jednego. Za chwilę znów zjawiło się kilkanaście podobnych jak bliźniacy. Antoniak wybałuszył oczy; ruszył prosto. Kogut zagdakawszy po kurzemu pofrunął do ogrodu ledwo dotykając ziemi. Antoniak stanął; potarł ręką czoło. Pora orać. Przecie to po żniwach, zboże w stodole, jedna sterta na polu. Pora robić podorywki, pora drapać jęczmiączysko i pszeniączysko. Pora. Konie nakarmione, poczyszczone... Czy przypadkiem nie dlatego, że ma jechać z ojcem na zaloty? Niedaleko, do Snopek, ale szanującemu się gospodarzowi nie pasowałoby udawać się na zaloty inaczej niż bryczką. Co to za dziewuchę wynalazł mu ojciec? Anielę, Maryśkę, Zośkę? Antoniak pociera drżącą ręką czoło. Natęża myśl... Nic... Gdzie on się znajduje? Pora orać, czas pożniwny a tu... zaloty? Ojciec, bryczka, konie... Znów trze Antoniak ręką czoło. Oddycha lżej... Tak, to pora orki... To nie zaloty. Tamte czasy minęły. A teraz Dąbek go prześladuje. Przeklęty zięć, za którym jego dziewucha poleciała. Poleciała na jego urodę — bezbożnika i komunisty, choć niby bezpartyjnego udaje. Miedzę mu zaorali.

Rozdygotał się Antoniak jak w ciężkiej gorączce. Pamiętał ten dzień, pamiętał... I nie zapomni go. Traktor i dwuskibowiec. Tak schlewały jego miedzę jak wychudły, żarłoczny brytan schlewa wstrętną mordą długą, apetyczną kiełbasę. Brytan ma chociaż na sobie trochę mięsa i skóry, a traktor — to prawdziwy szkielet. Na tym szkielecie chłopak. Że też nie spadł ze swojego siedzenia, że też Pan Bóg nie spuścił z jasnego nieba piorunu prosto w tego kierowcę. I w Dąbka. I w Dąbka.

Antoniak stał z wysiłkiem na nogach. Utrzymywał równowagę jak utrzymuje równowagę pijany, chwiejąc się i walcząc z coraz bezwzględniej opanowującym mózg alkoholem. Dąbek, „famielija“ niczego... Stary pobożny był, szanujący się i prawdziwy gospodarz. Nie bawił się w jakieś tam bezbożności, nowinki i podobne głupstwa. Szanował się. A Jasiek? Ten obibok, hultaj, komunista? Do kościoła nie chodził. To wystarczało. Czego więcej potrzeba, żeby człowieka uważać za zmarnowanego? Przy sobie zmarnował Małgosię. „A tako dobro beła dzieucha, kiej beła mało“ — prześladowała Antoniaka uparcie ta jedna myśl.

Włożył chomąta na konie napoiwszy je przedtem i wyprowadził na podwórze. Słońce dochodziło nad Snopki przyciemniane co jakiś czas popielatymi, sunącymi na wschód chmurkami. Wiaterek powiewał trzęsąc co delikatniejszymi listkami topól, gnąc trawę i zielsko rosnące pod

stodołą i pomuskując siwe, zmierzwione włosy Antoniaka. Ten namyślał się chwilę. Jazda w pole pługiem odbywała się w trojaki sposób. Mógł Antoniak ująć pług za czepigi i poprowadzić przyciskając czepigi do ziemi. Ostrze noża kierowało się wówczas ku górze i nie ryło dzięki temu gruntu ani kaleczyło. Mógł Antoniak włożyć pług na sanki i na sankach zawieźć w pole i mógł pojechać wozem. Zastosowanie jednego z tych trzech sposobów zależało od tego, w jakiej odległości leżał orany obszar. Teraz Antoniak ujął pług za czepigi i nacisnął... W zmęczonym swoim mózgu zaplanował orkę niedaleko, tuż za ogrodem. Wszystkiego raptem dwieście metrów drogi.

Dąbek, mimo że był to dzień roboczy, siedział u Oseta. Męczyli się z Traczykiem nad dniówkami obrachunkowymi. Prawie codziennie ktoś z członków spółdzielni proponował jakieś poprawki do norm, to znów wyrażał niezadowolenie, krytykował, przekonywał, a robota... stała. Trzeba było wreszcie skończyć z tym. Dlatego właśnie siedział Dąbek i Traczyk u Oseta. Rozgryzali normy orki. Podorywka, średnia orka, głęboka, pod zagon... Lekka ziemia, średnia, ciężka... Jednoskibowcem, dwuskibowcem, traktorem... Było się nad czym głowić. Cieślik Jan wyrobił w orce średniej jedną i pół dniówki obrachunkowej, Najdeczek, który dorwał się raz do sprzęgniętych koni Stolarczyka i Muszyńskiego—niecałą dniówkę. Konie, obydwóch nie stanowiły dobranej specjalnie pary. Szkapsko Stolarczyka, chude, z „puszczonymi" przednimi nogami—zasługiwało już na emeryturę. Czasem nieszczęsne kończyny nieszczęsnego stworzenia drżały dłuższy czas, jakby jabłka kolan zdenerwowały się i chciały opuścić swoją kryjówkę. Wyleniała, porechowana w tysiącach miejsc skóra broniła się bohatersko przeciw temu i wysiłek ów wprawiał kolana w nieustanne drżenie. Wałach Muszyńskiego mógł śmiało rywalizować pod względem wewnętrznych i zewnętrznych walorów ze Stolarczykową szkapą. Grała mu co chwila grdyka i łykał ślinę, jakby się dusił. Pozostawał zupełnie obojętny na świst bata. Co innego orczyk, co innego gruby, sękaty kij, co innego wyrwana w srogim gniewie ze swojego miejsca w płocie sztacheta. Muszyński takie tylko narzędzia perswazji stosował, zwłaszcza gdy podpił. Poodbijał wałacha na bokach rzetelnie. W okaleczałych miejscach roiły się muchy.

Najdeczek zupełnie przypadkowo orał w opisane wyżej konie. Stolarczyk, Zając i Muszyński dłubali po trochu fundamenty pod swoje domki i oczekiwali zamówionej cegły. Najdeczek denerwował się. Denerwował się, gdy widział łubniewiaków orzących spółdzielcze pola... Denerwował się, gdy Traczyk, kierownik grupy polowej, zapisywał dniówki obrachun-

kowe... Skończyła się praca przy wyrabianiu kręgów studziennych. Mitręga zaproponował w porozumieniu z Dąbkiem i kierownikiem grupy — Traczykiem, by Najdeczek na razie orał i by orał w konie Stolarczyka i Muszyńskiego.

Poszedł Najdeczek orać. Pyskał, pyskał, aż wreszcie po usłyszeniu krytyki z ust Traczyka co do jakości pracy usłyszał wynik ilościowy. Nie wyrobił Najdeczek normy. Wtedy dopiero rozpętało się piekło. Orka Najdeczka była kijem wetkniętym w mrowisko.

— Nie tylko ino człowiek wypracowuje normy, i konie też wypracowują — krzyczał Najdeczek.

— Mówiliśmy — sprzedać lichostwa — wywodził Jantol. — I co dzisiaj? Mota. W takie hoki nikt nie wyrobi normy.

Zarząd postanowił zrewidować dniówki obrachunkowe dotyczące orki. Postanowił wziąć pod uwagę nie tylko rodzaj orki i rodzaj ziemi, ale i jakość siły pociągowej... Postanowił po prostu zindywidualizować normy zależnie od użytej pary koni. Dlatego właśnie Dąbek nie czekając dnia świątecznego zawołał Traczyka i poszli do Oseta, u którego znajdowały się wszelkie papiery biurowe. Wetknął Dąbek nos w „Wytyczne dla ułożenia tabeli przeliczenia pracy na dniówki obrachunkowe", gdy nagle Oset spoglądający co chwila w okno zerwał się na nogi:

— Antoniak orze na spółdzielczym.

Traczyk z Dąbkiem tak byli pochłonięci biegiem swoich spraw, że w pierwszej chwili okrzyk ten pozostał bez odzewu. Tylko dwie pary oczu utknęły w rumianym, tęgim i niewysokim Osecie.

— Orze stary — coraz bardziej gorączkowo mówił Oset wpijając się palcami w futrynę. — I to, cholera, gdzieśmy mieszankę zasieli.

Podnieśli się obaj pozostali łubniewiacy. Traczyk flegmatycznie, z obowiązku, Dąbek jak żgnięty ostrym, szewskim szydłem. Wpatrzył się w okno:

— Rzeczywiście, orze.

Oset zaczął kiwać głową i ni stąd ni zowąd roześmiał się głupkowato:

— Żwawo gania. Ciekawe, że mu stara z Ignackiem pozwoliły...

Dąbek zrozumiał sens czynu teściowego. Błyskawicznie ujrzał konsekwencje tego czynu. Myślą zatrzymał się przy Małgosi. A potem jak iskra elektryczna po przewodach tak myśl jego przeskoczyła przez piękne, reprezentacyjne domy niektórych łubniewskich gospodarzy. Waliński, Goździk, Lipiec, Bajenda, Plania... I wieczny malkontent — Sapka... I Mucha z Kołuckim i Górką... I baby łubniewskie... I okularnik

ze Snopek, były sklepikarz i kombinator z czasów okupacji — dzisiaj „bezrobotny“ i — Dąbek wiedział to na pewno — czynny w podziemiu. Czy w zorganizowanym — Dąbek nie przysiągłby — ale że w podziemiu — głowę by dał.

Nie mógł Dąbek pozwolić sobie na kontynuowanie tych myśli; w pewnej chwili zwrócił się do niego Traczyk:

— No i co? — spytał z wyraźnym akcentem bezradności.

— To, cholera — zaklął Dąbek po raz nie wiedzieć który dzisiaj. — Żeby chociaż w mieszankę nie wlazł.

A właśnie mieszankę orze — oznajmił z nutką radości w głosie Oset.

— Niech Małgośka przychodzi zaraz na pole — zlecił Dąbek rozkazująco Osetowi. — A my — skinął na Traczyka — idziemy do tego star-r-r-ego... — Mełł w ustach pełne zjadliwości słowo.

Oset skrzywił się nieznacznie, nic jednak nie powiedział. Zaczął się kręcić w poszukiwaniu czapki. Dąbek z Traczykiem wybiegli pędem jak zaalarmowani dzwonami pożarnymi.

Antoniak „orał“. W słabych, starczych, w tej chwili nie kierowanych świadomą wolą dłoniach, pług wyczyniał niesamowite piruety. Po dawnej miedzy został pewien ślad w postaci rozrzuconych wzdłuż „koter“. Były one teraz mało widoczne spod zieleni mieszanek. Niestety. „Zieleń“ to zbyt dumne słowo w odniesieniu do wschodzących skąpo mieszanek spółdzielni produkcyjnej w Łubniewie. Deszcz na moment tylko błysnął odżywczym złudzeniem. Susza zwyciężyła... Tym trudniej było Antoniakowi utrzymać czepigi. Nóż pługa to wrzynał się głęboko w ziemię, to wyskakiwał jak zdmuchnięty potężną siłą płuc jakiegoś złośliwego, mieszkającego w głębi ziemi bożka. Czasem zawadzał o koterę — kępę trawiastej ziemi — pozostałość miedzy. Wtedy na szerokiej, zielonkawej niwie tworzyła się nierówna, poszarpana bruzda. Konie ze swej strony robiły wszystko, by podkreślić zdecydowaną pogardę dla mieszanki spółdzielczej. Szarpane leckami i bite batem w najmniej odpowiednich momentach biesiły się i obtańcowywały gruntownie mieszankę na przestrzeni półtora metra wzdłuż całej miedzy. Po przejściu pary koni, pługa i starego, dygocącego z emocji chłopa, zostawała potrypana ziemia, powyrywane i pogniecione skromniutkie roślinki gorczycy i powywłóczone tu i ówdzie „kotery“ sterczące we wręcz prowokacyjnym nieładzie.

Dąbek dobiegłszy na miejsce złapał się za głowę. Patrzał chwilę w milczeniu, potem skoczył do koni i chwycił za lecki. Tuż za nim pędził

zdyszany Traczyk. Jego gospodarska natura wzburzyła się na widok zniszczeń dokonanych przez Antoniaka. Chwycił z kolei za pręt pługa.

— Co wy, Antoniaku, robicie?

— Odeńdźta, łobuzy — szarpał się stary — gdzie tu się pchata?

— To spółdzielni grunty.

— Czyje? — Antoniak utkwił w Traczyku błędne, zaszłe bielmem i trochę kaprawe oczy. — Czyje?

Dąbek ściągnął lecki; trzymał konie w miejscu. Te zaczęły się cofać, stając na tylnych nogach. Dąbek krzyknął ostro — konie uspokoiły się. Od chałupy Antoniaków pędził co sił Ignacek z matką, a z drugiego krańca wsi biegła śpiesznie Małgosia z Kubą Osetem. Przed chałupy, na drogę wychodzili ludziska zaintrygowani rozgrywającą się na polu sceną. Widać było z daleka szarpaninę i szybkie, wielomówne ruchy aktorów: Antoniaka, Dąbka i Traczyka...

Antoniak zbladł. Zdawało się, że siwy, rzadki zarost rozsiany jest na gipsie. Gips pociągnęła pędzlem niewidzialna dłoń najpierw na blado-różowy kolor i stopniowo wzmacniała go aż do szkarłatu. Złapał stary lecki omdlałym, pozbawionym siły ruchem; zaczął je szarpać. Szarpał tak, że patrzącym zdawało się, iż między teściem a zięciem trwa bójka. Koniom udzieliło się szaleństwo pana. Uspokojone głosem Dąbka znów zaczęły wariować. Traczyk puścił pług i doskoczył do pysków koni. Niezawodny instynkt gospodarza podszepnął mu, gdzie tkwi prawdziwe niebezpieczeństwo. Antoniaka mógł uspokoić mocniejszy chwyt ręki — dla koni chwyt taki nie wystarczał. Nie wystarczał zwłaszcza dla młodego, trzyletniego ogierka... Półarab — płochliwy był i czuły na każdy ruch. Tylko obecności matki jego, spokojnej, leciwej już kobyły zawdzięczali obecni, iż ogierek dał się utrzymać. Przyczyniła się do tego również niesłabła dłoń Traczyka.

W pewnej chwili Traczyka wspomógł Ignacek i wtedy Traczyk mógł rzucić okiem w stronę przewodniczącego spółdzielni produkcyjnej w Łubniewie. Ujrzał niecodzienny obraz. Dąbek zasłaniał rękoma głowę, a teść z teściową atakowali go zaciekle. Teść wywijał koziczką, Antoniaczka okładała zięcia pięściami. Dąbka oszołomiła początkowo huraganowa wściekłość rodziców Małgosi; wkrótce odzyskał równowagę. Zmierzył przytomnymi, choć wypełnionymi gniewem oczami wywijającego kozicą teścia i szybkim ruchem chwycił kozicę. Szarpnął ją, znalazła się w jego ręku. Lecz już do szamocących się dobiegła Małgosia z Osetem. Małgosia rzuciła się do matki, a Oset ujął wpół starego Antoniaka i, choć z trudem, obezwładnił.

Bijatyce i szarpaninie towarzyszyły krzyki. Teraz ponad nie wybił się cienki, zajadły głos Małgosi:

— Za co go bijecie? Co on wam winien?

Jasiek trzymał w ręku koziczkę i pasował się ze sobą, by jej nie użyć. Koziczka dygotała wraz z trzymającą ją dłonią. Ignacek poklepywał ogierka. Traczyk zbliżył się do zadyszanej rodziny. Uwaga wszystkich skierowała się teraz na Oseta i Antoniaka. Ten ostatni nie przestawał się wyrywać z żelaznego objęcia Kuby. Antoniaczka skoczyła do nich.

— Puść, ty Kubosie — wrzasnęła na Oseta — puść, bo ci oczy wydrapię.

Z rozcapierzonymi palcami, z rozwianymi włosami i długim, spiczastym nosem przypominała czarownice, zjeżdżające się według bajań ludu na łopatach na Łysą Górę. Oset zwolnił uścisk i stary Antoniak odskoczył. Wziął tak silny zamach, że upadł jak kot na cztery kończyny. Zerwał się zaraz. Zwrócił się do Małgosi i potrząsnął wyciągniętymi w górę rękoma:

— W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego przeklinam cię po wieki wieków. Niech dziecko twoje pójdzie na żebry a ty razem z tym jawnogrzesznikiem, żebyś konała i nie mogła skonać. Żeby ci na stare lata nie beło komu podać gornyszka wody. Żebyś...

— Przestańcie, ojciec — krzyknął nagle od pysków końskich Ignacek. Wysoki, szczupły podał się cały naprzód jakby zdecydowany zmusić ojca do milczenia siłą, gdyby krzyk nie pomógł. — Przestańcie, ojciec. Ciągle szastacie tymy przekleństwamy jak jaki znachor. Przeklinam i przeklinam, przeklinam i przeklinam. Aby to w gębie, więcej nic. Niedługo cały świat przeklniecie, a świat będzie istniał, a wy musicie iść do grobu, boście już starzy. I po co wam to wszystko?

Dąbek uspokoił się, opełgła z gniewu i Antoniaczka. Małgosia spojrzała pełnym podziwu wzrokiem na młodszego brata. Oset wskazał uślinionego Antoniaka i rzekł w stronę Ignacka:

— Wstyd, żebyś do tego dopuścił. Kto powinien być u was gospodarzem — ten starowina czy ty?

Ignacek zmieszał się. Osetowi wpadł w słowa Jasiek Dąbek:

— Jak mi przyobiecasz, że pójdziesz robić na nowych działach, to ja straty spółdzielni wyrównam i postaram się, żeby ta sprawa nie wyszła dalej. W przeciwnym razie — Dąbek rozłożył ręce — nie odpowiadam za nic...

— Idź, Ignaś — błagalnie poparła Małgosia. — Idź i nie róbta już piekła we wsi, bo i bez was jest go dosyć.

— Niech się nie waży — wrzasnęła Antoniaczka, która przenosząc wzrok kolejno po wszystkich łapała z trudem sens rozmowy. W takim zdenerwowaniu mózg albo pracuje bystrzej, albo doznaje chwilowego zaćmienia. Co nastąpiło u Antoniaczki — nie wiadomo, dość że w pewnym momencie zrozumiała w czym rzecz. Wrzask jej zdopingował starego. Stąpnął kocim ruchem w kierunku syna i wygroził pięścią:

— Ani mi się waż, smarku, bo cie...

— Przeklniecie mnie — przerwał z wybuchem Ignacek. — A ja pójdę na nowe działy. Sam jeden mam być parszywą owcą? Pójdę i... tyle.

Antoniak nagle złapał się obiema rękoma za piersi i jęknął przeciągle. Zachwiał się... Kolana zaczęły mu drżeć... Byłby upadł, lecz podtrzymał go najbliżej stojący Traczyk:

— Co wam?

Oczy Antoniaka stanęły w słup. Zesztywniał... Zarzęziło mu w gardle... Szarpnął rękami kołnierz koszuli, zerwał guzik. Obecni otoczyli go... Małgosia chlipała żałośnie.

— Nie becz — przerwał twardo Dąbek. — Nie becz i nie rozczulaj się. Albo, albo... Tu nie ma trzeciego wyjścia. Kto wróg — niech ginie i kto głupi — niech ginie. A ty nie płacz — zmiękł mu głos — Ignacek wszystko naprawi i wszystko będzie dobrze. Nie płacz.

Julian Gałaj

Z powieści „Przedpole".

JERZY BROSZKIEWICZ

POWRÓT OJCA

Faselli coraz częściej opowiadał o końcu wojny.

Rozmowy zresztą szły podwójnym torem. Temat pierwszy był bardzo poważny — trudny do dokładnego zrozumienia nawet dla Eleny. Tu zwykle najczęściej i najwięcej mówił ojciec Rouget. Żółtobiała, lśniąca jak polerowana kość łysina ojca Rouget podbiegała krwią, wąsy wysuwały się ku przodowi, brwi unosząc się w górę odsłaniały głębokie, czarne jak przepalony żużel oczy.

— Upadek europejskiego faszyzmu musi — mówił bijąc pięścią w stół — musi przyśpieszyć... musi stworzyć warunki dla światowej rewolucji. My, tu na Zachodzie, będziemy mieli jeszcze rozgrywkę z kapitałem. Będzie ciężko. Ciężko jak w czyśćcu. Nawet diabeł nie wie, z czym przyjdą Amerykanie. A z czym Anglicy? Pamiętacie wy przyjaźń Churchilla dla światowego proletariatu w osiemnastym, dziewiętnastym i dwudziestym roku? Ale my, tutaj... rozumiecie?

Rozumieli.

Teraz jednak wsłuchani w rytm kroków nadchodzącego zwycięstwa mimo coraz ostrzejszego głodu, mimo aresztowania trzynastu górników i wywiezienia ich rodzin chętniej słuchali optymisty Fasellego, który mówił o pierwszych dniach i miesiącach pokoju, jako o czasach niczym nie zmąconego triumfu i radości. Zapowiadał on wspaniałe święta, powroty Kuli, Jacques'a, Robina, opanowanie rządów przez ludy, dni odlotu z Montigny do krajów, z których zwycięstwo tych rządów wygna nędzę, głód i emigranckich agentów.

Ojciec Rouget niezbyt chętnie poddawał się urokowi takich przepowiedni. Ale kobiety na przykład nie raz się popłakały — szczególnie skora do łez Cudakowa — Mohammed zapomniał nawet o gitarze, Elena i Gianni patrzyli sobie w oczy.

Jacek zaś słuchał pochylony ku przodowi; oszołomiony nadzieją i radością, jak pięknym snem.

Oczywiście — ojciec wróci. Z orderami — z bronią. Wiadomo przecież, że jest gdzieś na południu — w Rèsistance. Walczy.

Opowiedzą sobie wszystko. Ojciec Jackowi — Jacek ojcu. Wtedy będzie można już mówić o wielu sprawach, o których się teraz milczy.

Ojciec zrozumie i oceni to, że Montigny przecież tak samo nie śpi snem zimowym, jak nie śpią równiny naddnieprzańskie i lasy środkowej Europy, jak nie śpią Apeniny i Piemont, jak nie śpią przedmieścia, osiedla i wsie wszystkich okupowanych krajów.

Nie ma zimowego, ani wojennego snu dla ludzi walczących. Front biegnie — tak mawia ojciec Rouget — wszędzie tam, gdzie my jesteśmy... Może to być stanowisko bojowe, ulica okupowanego miasta, chodnik kopalni, las, przez który biegną tory, maszyna tkacka, obrabiarka, skryta w piwnicy drukarnia, więzienna cela, obóz... Tam, gdzie my jesteśmy!

A zatem ojciec wróci i wtedy będzie można opowiedzieć, że:

— Ja też byłem z tobą.

Potem wrócą do Polski.

Tu jednak obraz się rozprasza i mąci. Elena ani Paolino nie znają Włoch — młodzi Kowalscy, Jacek, nawet dorośli już Grzesiakowie nie znają Polski. Trzeba więc zawierzyć opowiadaniom.

Czyim? Ojciec Faselli mówił, że w Polsce są góry niezwykle wysokie i piękne rzeki. Mohammed powiadał, że musi być tam też szerokie, zielone morze i drzewa nad nim — na przykład swego rodzaju palmy. Ojciec Rouget śmiał się z Mohammeda i wytłumaczył, że w Polsce są kopalnie tak samo jak w Montigny i Coubray — tylko, że rządzić nimi będą robotnicy i dlatego warto do nich wrócić, niby do rodzinnego domu.

Cudakowie jednak, od których powinno się było usłyszeć najwięcej, bardzo niechętnie odpowiadali na pytania. Dzięki nim Jacek znów mówił po polsku — mówił teraz lepiej od wszystkich Grzesiaków, lepiej nawet od Nowackich i Musiałów. Cudakowie nauczyli go pisać i czytać. Mieli książkę z wierszami, w której można było przeczytać, że ojczyzna jest jak zdrowie.

Mimo to milczeli. Cudak zresztą miał to zawsze w zwyczaju. Patrząc na tę wielką postać, na twarz okrągłą, pomarszczoną uśmiechami, na małe, schowane między wypukłym czołem a wypukłymi kośćmi policzkowymi, oczy — myślało się: chyba gaduła. Otóż nic podobnego. Cudak odzywał się rzadko, tylko w sprawach wielkiej wagi. I właściwie głosu używał niemal wyłącznie do fałszowania powszechnie znanych melodii, lub głośnego czytania (co czynił i chętnie, i dobrze). Wiadomo było, że na niego nie można w tej sprawie liczyć.

Ale Cudakowa lubiła mówić. Szybkości wymowy i gestykulacji uczyła się jakby u Fasellich — tyle że nie bardzo wiadomo było, o co chodzi.

Zaczęła mówić o praniu, to po drodze mogłeś się dowiedzieć: co wczoraj mówiono w sklepiku o bliskim ślubie wdowy Villac z młodziutkim Czechem z Coubray — co było na obiad u sztygara Brosa — jaką sukienkę kupiła sobie Anka Musiałówna — ile razy bombardowano wczoraj Hamburg i na długi którego pijaka najbardziej skarży się właściciel „Małgorzatki".

Tu jednak i jej wymowność zawiodła. Gdy pierwszy raz, już dawno, spytał o kraj — od razu ściągnęła brwi w jedną linię.

— Co ci w głowie? — była zła. — Góry? Morze? Ja tam gór ani morza nie widziałam. A gdybym nawet widziała, to i tak tym się nikt nie nasyci, ani nie ustroi — podniosła głos.

Cudak, który właśnie wrócił z roboty i mył się w kuchni, spytał przez drzwi, o co chodzi.

— Jacek o kraj się pyta. To mu mówię.

— Tak mu nie mów.

Zezłościła się do reszty:

— A jak mówić? Piasek na glinie. Ziarno posiejesz, jałowiec urośnie, a kamienie będziesz miał na żniwa... Nie wiem, co mówię? Bajki mu będę śpiewać? To po coś z tego piasku uciekał, gdzie węgiel rośnie...

Stanął w drzwiach i tak spojrzał, że natychmiast umilkła...

— Masz tak gadać, lepiej milcz — sapnął, splunął i zawrócił.

Od tego czasu milczała. Lepiej było w ogóle nie ruszać całej sprawy. Kogóż więc słuchać? Pozostawało jedno — czekać na ojca. Wytłumaczy, nauczy, opowie. Ładniej niż książka, dokładniej niż ci wszyscy.

* * *

We wrześniu wróciły do Montigny sztandary Francuzów, Polaków, Włochów, Hiszpanów, Czechów. Zszyte na prędce z kawałków byle gdzie wyrwanego właściwej barwy płótna — zszywane drżącymi dłońmi kobiet płaczących z radości — unoszone wysoko, wysoko nad głowami wybiegającego z domów tłumu — wróciły do Montigny jesienią, lecz były jak płatki wspaniałej wiosny.

Ofensywa alianckich czołgów szła północą przez Arras. Tu jednak na polach pomiędzy Montigny, Coubray, Sallaumines, Artois, nie czekano na huk motorów. Gdy wiatr zachodni przyniósł wczesnym popołudniem pierwszą, dudniącą falę echa bitwy osiedla słuchały tej muzyki w milczeniu tylko do wieczora. O późnym zaś zmroku same rozpoczęły swój koncert. Nazajutrz syreny kopalni nie wezwały nikogo do pra-

cy — tym bardziej że praca trwała całą noc. Przy owej pracy byli Faselli, Rouget, Cudak, Gianni... — stu sześćdziesięciu górników z Montigny i Coubray pędziło przez noc i świt resztki hitlerowskich i żandarmskich posterunków oraz zbłąkany batalion saperów na wschód.

Syrena kopalni odezwała się dopiero o dziewiątej rano. Zachłystywała się swym głosem jak śmiechem. Nocna zaś muzyka ścichła. W świetle październikowego słońca widać było na szerokiej równinie wracającą od strony Coubray skupioną grupę mężczyzn. Szli polami na przełaj i śpiewali. Montigny wybiegło im naprzeciw. Prowadził je ojciec Jacques'a. Podtrzymywano mu drżące ramiona, by mógł utrzymać ciężki, wysoki, najpiękniejszy sztandar tego wielkiego dnia.

Obie grupy zbliżały się ku sobie. Tamtych prowadził ojciec Rouget. Szedł, wysoko unosząc kolana i szerokimi ruchami rąk zagarniając powietrze. Na piersiach kołysał mu się automat, który pięknie napracował się tej nocy. Za nimi szli Cudak, Faselli, Musiał, Mohammed, obaj młodzi Roullot, Gianni, Hawlicek... — szło ich ze stu. Uzbrojeni byle jak, czarni, zmęczeni — kilku miało śpiesznie nałożone opatrunki. Nie wyrównali kroku, nie sformowali czwórek. Zbliżając się do prowadzonej przez starego Jacques'a grupy przestali nawet śpiewać. Szli już w milczeniu wlepiając oczy w rozśpiewany, tańczący, gwiżdżący i płaczący tłum, nad którym powiewały dziesiątki chorągiewek i chorągwi biało-niebiesko-czerwonych, biało-czerwonych, czerwono-białych, czerwono-biało-zielonych, które wiódł unoszony ku górze słabymi dłońmi osiemdziesięcioletniego Jacques'a czerwony sztandar z Montigny.

Gdy byli już blisko siebie z tłumu wyrwało się kilka dzieciaków i z krzykiem pobiegło ku ojcu. Faselli uniósł Paolina wysoko nad głowę i wsadził go sobie okrakiem na kark — to samo zrobił Musiał ze swoim Frankiem. Z obu stron buchnął śmiech dorosłych i ptasi pisk malców. W ostatniej jednak chwili — gdy ojca Rouget dzieliło od Jacques'a kilka zaledwie kroków — wszyscy umilkli. Z północo-zachodu dudniła daleka bitwa, wiatr zginał z szelestem wysoką trawę ku ziemi, w chmurach szumiał niczym trzmiel pojedynczy samolot. Nawet kobiety zdusiły swój płacz.

Ojciec Rouget przystąpił do starego Jacques'a i wziął go w ramiona. Ucałował drzewce sztandaru, potem policzki towarzysza. I wtedy obaj rozpoczęli po francusku pieśń, którą podjął Faselli po włosku, Hawlicek po czesku, Cudak zaś, Musiał i Jacek takimi słowami:

...powstań ludu ziemi
powstańcie, których gnębi głód.

Mamma nie śpiewała, bo dusił ją szloch. Zastąpił ją jednak czystym, jasnym sopranem Paolino, który siedząc wciąż na ojcowskim karku, rozłożywszy szeroko ręce zanosił się śpiewem jak śmiechem.

Potem zaś na frontonie pustego budynku zarządu kopalni — z którego strącono tablicę ze swastyką — rozwinął się po raz pierwszy w historii Montigny czerwony sztandar.

Tak też rozpoczął się nowy okres owej historii.

* * *

W trzy dni później Jacek wyszedł z domu zaraz po obiedzie. Poszedł do Gianniego i uprosił go o pożyczenie roweru „na godzinkę". Potem stał razem z Paolino przez dobry kwadrans na drodze do Sallaumines i coś mu szeptał do ucha. W końcu wsiadł na rower i ruszył całym pędem stając w pedałach i kładąc się nad kierownicą jak zawodowy torowiec.

Na kolację nie wrócił. Faselli był wściekły. Potem jednak drewniany zegar z zakonnikiem wystukał dziewiątą i dziesiątą. Gniew przemienił się w niepokój, którego nie udało się zagadać. Dopiero wtedy gdy Mamma zaczęła płakać, Paolino zdradził tajemnicę:

— Giacchino wróci jutro.

Nie chciał nic więcej powiedzieć, ale pod groźbą bicia wyznał co następuje: Jacek mówił, że wróci jutro, że jedzie do Douai i że niech się nikt nie niepokoi, bo i tak trzeba, żeby to ktoś zrobił. Nie wiedział jednak co — i Faselli przestał nań krzyczeć, bo widać było, że Paolino nic więcej nie potrafi powiedzieć.

Jacek bywał w Douai przez ostatnie pół roku dosyć często. Ojciec Rouget posyłał go regularnie trzy razy w tygodniu po szmuglowany belgijski tytoń — w zimie jeździł czasem z Giannim sprzedawać węgiel — załatwiał też bardziej skomplikowane sprawunki Mammie i Cudakowej. Faselli nie bił chłopców prawie nigdy, ale tego wieczoru strach o Jacka obudził w nim złość duszącą gardło i unoszącą włosy na głowie. Po okolicy kryli się i włóczyli ostatni maruderzy Wehrmachtu — mówiono też, że wczoraj i przedwczoraj Douai było jeszcze bombardowane przez zbłąkane niemieckie eskadry...

— Basta — wrzeszczał Faselli — zbiję go, ale tak, że przez trzy lata smutno mu będzie siadać na twardym.

— Madonna — wzdychała Mamma — niech tylko wróci, sama przytrzymam.

Elena pobiegła do Gianniego. Gianni pożyczył rower, wsadził w kieszeń zdobytego przed czterema dniami „Waltera" i tuż na godzinę przed świtem ruszył do Douai.

Tej nocy u Fasellich prawie w ogóle nie spano. Ojciec wstał o godzinę wcześniej niż należało iść do kopalni i wsadziwszy w kieszeń kawałek suchego placka od razu wyszedł. Mamma po pierwszej syrenie pobiegła do Cudaków — ci też niczego nie rozumieli. Elena zaś wyszła na drogę do Sallaumines, wyglądać ich powrotu. Ranek jednak był mglisty, wyszarzały, zadymiony — mogłaś wytężać oczy do łez i nic: w szarości dojrzewającego dnia wzrok gubił się jak w gęstym deszczu.

Faselli wpadł po drodze na kopalnię do ojca Rouget, ale stary już wyszedł. Miał tego dnia zwołać wiec w Coubray, gdzie część górników wciąż jeszcze świętowała wyzwolenie. Komórka partyjna była tam osłabiona aresztowaniami, które gestapo przeprowadziło jeszcze w sierpniu i dyscyplina załogi nie była godna tradycji Coubray.

W instrukcjach zaś partii wielką wagę zwracano już od dawna na konieczność natychmiastowego rozwinięcia produkcji tuż po wyzwoleniu. Jasne było, że kraj będzie potrzebował węgla, węgla i jeszcze raz węgla — „Towarzysze górnicy!" pisał „Huma" — „Od waszych serc i rąk zależeć będzie siła nowej, wolnej Francji!"

Montigny straciło tylko jeden dzień. Coubray trzeba było jednak rozruszać — dlatego właśnie Faselli nie zastał ojca Rouget w domu. Poszedł więc wprost na kopalnię — niespokojny i wściekły zarazem. Po drodze mruczał do siebie, wymachiwał rękami, ledwo odpowiadał na powitania. Na kopalni skrzyczał od ostatnich młodszego Roullota, który zamienił mu lampę. Dopiero awantura go uspokoiła.

Tego dnia partyjni z Montigny mieli szczególnie trudną robotę. Przed dwoma miesiącami zawalił się z bliżej niewyjaśnionych powodów nowy chodnik, który prowadził do grubego, idącego lekkim uskokiem, ale pięknego pokładu. Przyjechało wtedy do Montigny gestapo z Douai. Przymknęli na tydzień czterech ludzi — po tygodniu wypuścili jednak wszystkich, bo sabotaż miał wszelkie cechy przypadkowej katastrofy.

— Brakło dobrych stempli — operowaliśmy starym materiałem — nic dziwnego, że chodnik zasypało, a cud, że myśmy tam nie poginęli!— krzyczał na śledztwie starszy Roullot. Stracił dzięki tym krzykom dwa zęby, ale w efekcie puścili wszystkich. Brakło im już — chełpił się swą odwagą Roullot — fantazji.

Teraz trzeba było jednak chodnik znowu otworzyć. Tamten pokład nęcił: węgiel jak złoto — samymi rękami wybierzesz. Droga do niego

prowadziła jednak przez chodnik z szeroko oberwanym stropem. Plan całej akcji przygotowany był już od dawna — mimo to gdy przyszła pora na jego realizację nawet Cudak zawahał się. Przystanął u wejścia do chodnika, potarł brodę i obejrzał się na towarzyszy.

— Uuch — mruknął — nieprzyjemnie.

Faselli prychnął złośliwie i ruszył przodem. Szli gęsiego — w milczeniu. Krok Fasellego nabierał lekkości i czujności. Gdy przystanęli pod ostatnimi, całymi jeszcze, lecz już wygiętymi w łuk stropnicami, Faselli uniósł wysoko lampę. W ciszy słychać było tylko niespokojne oddechy jedenastu ludzi i przenikliwy, jak syk węża, szelest przesypujących się szczelinami zawalonego stropu drobnych kamieni.

— Tu, proszę was, robota delikatna — zagadał z namysłem Faselli — jak przy naprawie damskiego zegarka. Tyle, że siły więcej trzeba.

— Pięty trochę swędzą — szepnął młodszy z Roullotów, Jakub, któremu spod hełmu, jak zwykle, sterczała wiecha rudych, czerwonych niemal włosów. Nagle skrzywił twarz i kichnął cienko jak kocica.

Wszyscy parsknęli śmiechem. Faselli spojrzał w górę na cisnący straszliwie strop — błysnął zębami i obrócił się do reszty.

— Ruszajmy się szybciej. Jakubek zmarznie i katar gotów. A co wtedy? — spytał dramatycznie kładąc dłoń na sercu.

* * *

Najtrudniejsze były pierwsze godziny roboty. Koło ósmej rano omal nie stało się nieszczęście. Mimo nakazu najwyższej ostrożności kopalniany idiota i pijak, Saurat, zaczął strzelać na pobliskim filarze. Od wstrząsu zerwał się kawał stropu. Osuwający się głaz skaleczył Mohammeda i o mało nie zmiażdżył nóg Hawlickowi. Spokojny, milkliwy Cudak wykrzywiwszy twarz i prasnąwszy kilofem o ziemię pognał na filar Saurata. Faselli, który rzucił się za nim, ledwo wybronił tamtego od straszliwego bicia. Cudak trząsł się jak w febrze, ale usłuchał.

Około dwunastej jednak, po siedmiu godzinach milczącej pracy minęło najgorsze. Grożący zawaleniem odcinek chodnika ubezpieczyli — osiem najbardziej popękanych stropnic udało się wymienić. Teraz można już było puścić tu większą ekipę i pracować nawet dość swobodnie. Faselli zarządził odpoczynek.

Zmęczeni byli wszyscy tak, że trudno było nawet jeść. Ręce drżały niczym bezradnym staruchom — chleb rósł w ustach i lepił się do suchego podniebienia. Jeden Jakub Roullot nie mógł usiedzieć spokojnie

i plótł, co mu ślina na język przyniosła — ale nikt się temu nie dziwił, bo Roullotowie pochodzili z Marsylii.

Faselli siedział obok Cudaka żując kawałek gliniastego placka. Odgryzając przedostatni kęs uraził się w bolący ząb i zaklął szpetnie.

Cudak spojrzał na niego z uwagą:

— Co ten szczeniak mógł wymyśleć? — mruknął.

Fasellemu ze zmęczenia i zmartwienia łzy stanęły w oczach tak nagle, że ledwo zdołał je ukryć. W trakcie roboty stłumił w sobie myśli o Jacku. Teraz przypomnienie całej sprawy rozkleiło go zupełnie. Począł znowu kląć półgłosem, ale szeroko i wysoko jak portowy złodziej czy jak najgorszy alfons.

— Uchowałem go — mówił — po takie, takie dni. Rozumiesz? Ważniejszy był, cenniejszy od własnych. I teraz...

— Nic się jeszcze nie stało — wtrącił speszony jego żalem Cudak.

Faselli wepchnął resztę placka w kieszeń i zerwał się:

— Ech, żeby tylko wrócił, to pas na nim zedrę... — syknął i wspinając się na palce zawołał piskliwym, żałosnym właściwie głosem — Nie spać! Węgiel czeka!

* * *

Następna zmiana zjawiła się przed czasem. Oddając im robotę Faselli ledwo dobywał głosu. Nie darował jednak sobie minuty złośliwości.

— Macie — mówił — bierzcie, co wasze. Robota na drugiej zmianie już i dla dzieci nietrudna.

— Oj, bohaterowie! — zaczął się złościć mały, ale pierwszy do kłótni Bouton — Czemuście nas nie puścili na pierwszą zmianę, tylko sami darli się do roboty, co? Fabrykę bohaterów z pierwszej zmiany zrobili...

Faselli machnął ręką i ruszył za swoimi ku windzie. Po drodze dowiedział się, że Rouget wrócił z Coubray i czeka nań w biurze zarządu. Ucieszyło go to — może stary da dobrą radę.

Ojciec Rouget siedział sam w pustym gabinecie naczelnego inżyniera i dymił z fajki tak, że w pokoju nawet przy słońcu, stał niebieski dym jak woda w ciemnym stawie. Na widok Fasellego uniósł ręce w górę:

— Coubray poszło do pracy — rzekł z namaszczeniem.

Faselli kiwnął głową — usiadł na parapecie okiennym. Zmęczenie dusiło go jak zmora.

— Chodnik będzie gotów chyba pojutrze — mruknął.

Rouget skoczył w krześle, podbiegł do niego uśmiechając się szeroko.

— Dzielnie — wołał — Tyleście już zrobili?

Faselli cmoknął kilka razy z przechwałką, ale zaraz znowu spochmurniał.

— Jacek gdzieś przepadł — powiedział.

— Jakto?! Co?

— Wziął wczoraj rower Gianniego i pojechał do Douai, głupi diabeł!

Ojciec Rouget przetarł łysinę gestem bezradnego zakłopotania. Poczerwieniał, ciągnąc uparcie wygasającą fajkę.

— Do Douai — spytał niepewnie — powiadasz?

— Tak.

Faselli spojrzał na przyjaciela podejrzliwie. Tamten grzebał w cybuszku fajki — pochylił głowę. Odstające od łysej czaszki uszy świeciły pod słońce żółtawą czerwienią. Wyglądał tak, jakby coś wiedział.

— Ja nic nie wiem — burknął — ale...

Fasellemu zmęczenie łomotało w skroniach. Spojrzał w okno, zadziwił się. Kilka grup wychodzących z pierwszej zmiany a stojących jeszcze przy maszynowni ludzi sypnęło się nagle biegiem w stronę wyjścia. Rzucił wzrokiem ku bramie i zerwał się na równe nogi. Od bramy biegli im naprzeciw Jacek, Gianni i kilku jeszcze widać ledwo co wyszłych z pracy, młodszych chłopców.

Jacek biegł pierwszy — przyciskał do piersi jakąś paczkę...

Faselli rzucił się ku drzwiom. Zepchnął z drogi porażonego zdumieniem ojca Rouget. Zbiegając po schodach po trzy stopnie naraz odpinał trzęsącymi się rękami wąski, rzemienny pasek od spodni. Za nim śpiesznie tupał ojciec Rouget.

Faselli wybiegł na podwórze i rozglądał się nieprzytomnie. Ujrzał Jacka o kilka metrów przed sobą.

Ale ujrzał go nad kilkudziesięcioosobową grupą tłoczących się bezładnie ludzi — uniesionego wysoko w powietrze — krzyczącego coś — roześmianego, czerwonego jak jabłko — wymachującego płachtą papieru niby sztandarem! Co u diabła? Co on krzyczy? Co on krzyczy?! Faselli stał mrugając oczami.

Jacek krzyczał:

— Huma! Huma! Huma!

Ściskał kurczowo plik gazet pod pachą, wymachiwał jednym egzemplarzem i odpychając wyciągające się dłonie — krzyczał:

— Huma! — i — czekajcie! Kazali sprawiedliwie rozdzielić! Niech ojciec Rouget... Niech on dzieli! — i znowu — Huma!

Faselli spocił się ze zdumienia. Mimo to zetknąwszy się ze wzrokiem Jacka wrzasnął:

— Gdzieś był?

Jacek speszył się. Oblizał wargi i uczynił taki ruch, jakby chciał zeskoczyć z ramion Gianniego. Ale od razu zhardział.

— Woziłem tyle razy — odkrzyknął — to mogłem i teraz!

Wszyscy ucichli wytrzeszczając oczy. Tłum rósł. Od wind i maszynowni nadbiegali ludzie. Jacek dodał:

— Ktoś musiał to zrobić! — i zaraz fuknął wściekle na jednego z ludzi, który chciał mu wyrwać egzemplarz. — Nie dam! Niech ojciec Rouget dzieli!

Ojciec Rouget ścisnął Fasellego za łokcie:

— Daj chłopcu pokój! Potem ci wszystko powiem! — i już przepychał się do Jacka. Śmieli się do siebie radośnie.

— Widzisz — tłumaczył ze speszoną miną ojciec Rouget Fasellemu, gdy już wracali do domu. — Posyłałem Jacka nie tyle po tytoń, ile po... no, właśnie po „Huma". Niemcy nie zwracali na chłopca uwagi...

Szli w trójkę. Jacek po środku naciągał kroku, by iść w równym rytmie i zaglądał im w twarze. Pokaszliwał surowo i z powagą. Wracali przecież z winiarni, do której starzy górnicy, starzy partyjnicy zaprosili... ba, zanieśli na ramionach właśnie jego. Pytali o drogę do Douai — o zdobycie „Huma" — o samo Douai — o powrót. A on — choć z bolesnej senności chwiał się na nogach, załamywał w krzyżu — mówił, gadał, opowiadał. Słuchali. Pili jego zdrowie — ech!

— Czemuście mi nic nie powiedzieli? — spytał ponuro Faselli.

— Głupiś! — ojciec Rouget poczerwieniał niby stary indyk. Nawet białka podbiegły mu krwią — Jan, gdyby tu został, sam by go posyłał. Jacek był w drodze stosunkowo bezpieczny. A ty nie potrzebowałeś niczego wiedzieć. Nie do ciebie to należało. Kropka. I... i głupiś!

Faselli spojrzał na Jacka. Chłopak zerkał nań ze strachem — i z miłością. Umilkł więc — westchnął. Westchnął z urazą i ulgą. A potem uśmiechnął się do Jacka, do starego i machnął ręką:

— Ech, wy!

Roześmieli się wszyscy trzej. Na całe gardło. Potem ruszyli w drogę trzymając się za ręce. Jacek przejmująco ziewnął. Oczywiście zaraził ich.

— Będę od poniedziałku stale jeździł. Kazali — powiedział już koło domu surowo i grubym głosem.

Faselli o mało się nie przeżegnał.

— Słyszałeś? — sapnął do Rougeta.

* * *

Tak więc rozpoczął się czas powrotów.

Wpierw wrócił w orszaku francuskich, polskich, czeskich, włoskich i hiszpańskich barw czerwony sztandar Montigny.

Potem wróciła w dłoniach Jacka pachnąca farbą drukarską, triumfalna, wolna „Huma".

27 zaś listopada ojciec Rouget wyjechał nagle do Paryża. Tego przecież dnia powrócił do Francji towarzysz Maurice Thorez. Ojciec Rouget pojechał witać go w imieniu Montigny.

Zdążył na czas. Zdążył na wiec, na którym w dniu 30 listopada w olbrzymiej sali zimowego Welodromu towarzysz Thorez w imieniu francuskiego ludu witał czas zwycięstwa. Thorezowi przybyło siwych włosów.

Rouget wrócił z Paryża po tygodniu.

— Widziałem go — opowiadał. A w prezydium byli też Duclos, Cachin, Billoux... Słuchajcie! Zebrało się tam nas na sali i wokół Welodromu chyba ze sto... albo i więcej tysięcy. Wspominając marszczył się ze wzruszenia. Powiadam wam, chłopcy...

W połowie grudnia wrócił niespodzianie ostatni przedwojenny sekretarz organizacji partyjnej Montigny — Jacques. Nosił rękę w szynie i bandaże na karku. Mimo to już pierwszej nocy tańczył w „Małgorzatce" daleko poza północ. Opowiadał zaś swoje dzieje do białego świtu.

Stary Jacques siedział przy głównym stole a słuchając opowieści syna rozwichrzał szeroką jak łopata brodę i uderzał pięścią w stół. Duma biła od niego, niczym słoneczne światło. Jego syn był bohaterem, co tu dużo gadać! Walczył przez trzy lata w upał i mróz, na wiosnę i jesienią, w górach i dolinach. Walczył z faszystami, jak należało. Co?

Wrócili inni. Wrócił nawet aresztowany w 43 inżynier Buloz. Piękne to były miesiące. Wracali młodzi i starzy — kobiety i mężczyźni. Wracali ci, o których nie wiedziano, czy żyją, których opłakano, których wspomnienie od miesięcy lub lat mąciło smutkiem i myśli, i sny. Wracali coraz gęściej i ze wszystkich stron kraju — od strony Bretanii, od Wogezów i Alp. Wszystkie trzy kafejki Montigny świeciły oknami do pó-

źna w noc — najdłużej zaś „Małgorzatka", w której skrzeczał już od wczesnego popołudnia diablo krzykliwy patefon.

Miesiące były piękne. Mimo to od dnia powrotu Jacques'a Faselli i ojciec Rouget, choć witali go goręcej niż brata — spochmurnieli na dłuższy czas.

Opowiedział im o rozbiciu oddziału, w którym był razem z Kulą.

— Nie wielu z nas wtedy uszło — rzekł. — A Jan nie zgłosił się na punkt zborny.

— Może jeszcze wróci?

— Może.

Skinęli głowami. Faselli dodał złym głosem:

— Nie wspominaj jeszcze o tym nikomu. Mały... to znaczy syn... czeka...

— No i może Jan jeszcze wróci — powtórzył patrząc w bok ojciec Rouget.

— Może.

Nie mówiono już o tym więcej. Tylko w dzień Nowego Roku Faselli — który podpił sobie nieco w „Małgorzatce" i wrócił do domu tak późno, że już nawet Mamma nie doczekawszy się go usnęła — stanął nad posłaniem Jacka, a chlipnąwszy po babsku raz i drugi, powiedział:

— Syneczku, oj, syneczku...

Był to późny wieczór pierwszego dnia roku 1945.

Ów Nowy Rok — wiedziano o tym — miał być rokiem, którego wiosna przyniesie Dzień Zwycięstwa. Wprawdzie w Ardenach hitlerowskich marszałek Rundstaedt rozpoczął kontrofensywę, której powodzenie budziło niepokój w amerykańskim i angielskim sztabie, było jednak do kogo się odwołać. Premier Wielkiej Brytanii, Winston Churchill, dyktował dnia 6 stycznia takie zdania depeszy adresowanej na Kreml:

„Na zachodzie toczą się bardzo ciężkie walki i w każdej niemal chwili dowództwo naczelne może stanąć w obliczu konieczności powzięcia ważnych decyzji... czy możemy liczyć na wielką ofensywę rosyjską..." — pytał trwożnie.

Nad Europę napłynęła z północy fala mrozów. Rzeki stały w bezruchu i ciszy. Nocami świeciły nad rzeką Wisłą gwiazdy i coraz większy księżyc — ich światła odbijał lód omieciony przez mroźne wiatry ze śniegu do czysta. Trwała cisza.

Cisza skończyła się o świcie 15 stycznia. Lufy armat uniosły się po-

woli ku górze — rozkaz rozpoczęcia ognia został wydany o godz. 5.00 — w dwie godziny później ruszyły do ataku czołgi trzech frontów białoruskich, obu ukraińskich i pierwsza armia Wojska Polskiego.

Tak więc 15 stycznia wolne były Kielce, 16 stycznia Radom, 17 stycznia Warszawa, 18 stycznia Kraków...

Wieczorem 17 stycznia pan Winston Churchill dyktował nową depeszę adresowaną na Kreml:

„W imieniu rządu Jego Królewskiej Mości i z całej duszy pragnę wyrazić Panu naszą wdzięczność w związku z rozwiniętą przez Pana na frocie wschodnim gigantyczną ofensywą..."

Ofensywa trwała czterdzieści dni i czterdzieści nocy. Gdy zaś zatrzymała się — przed nowym skokiem — nad spływającą już pierwszymi krami rzeką Odrą, wiejący od wschodu wiatr donosił dudnienie artyleryjskiej kanonady aż do Brandenburger Tor.

* * *

Jacek czekał z dnia na dzień niecierpliwiej. Wprawdzie zdarzało się i tak, że przychodziły wieści o ludziach, którzy już nie wrócą nigdy — mimo tego nie można ich w ogóle wiązać z myślą o ojcu. To, że ojciec wróci, było tak pewne jak światło dnia i ciemność nocy. Więc choć Jacek czekał z dnia na dzień niecierpliwiej, było to jednak oczekiwanie szybkie, radosne, bez dłużenia się czasu, niepokoju i strachu.

— Ach, powiadam ci— mówił do Paolina — kiedy mój ojciec wróci, wszyscy będą go witać jak w święto. I na kopalni, i w „Małgorzatce". Zobaczysz, jakie historie będzie opowiadał, niezwykłe i przepiękne historie. Zobaczysz, jak wszyscy będą otwierali gęby i jakie będzie miał ordery.

— A kiedy wróci? — pytał ciekawie i niecierpliwie Paolino.

— Najpóźniej na wiosnę.

Wiosna szła.

Spod śniegu wylazły czarne hałdy. Krajobraz poszarzał, potem poczerniał. Z okapów spadły sople — na uliczkach śnieg umiesił się w ziarnistą kaszę, kasza w błoto, a potem wyschło błoto, zaś łąki pomiędzy Coubray a Montigny zazieleniły się już z końcem marca.

Kwiecień był słoneczny. W czwartym zaś dniu jego pięknej pogody Jacek powróciwszy ze swego kolporterskiego objazdu zastał w domu

Jacques'a, ojca Rouget i trzech jeszcze innych członków egzekutywy. Siedzieli wraz z Fasellim wokół stołu rozmawiając o czymś surowo i skąpo.

Na widok Jacka wstali wszyscy z hałasem odsuwając krzesła. Faselli uśmiechał się z dumą i przyjaźnią — ojciec Rouget wesoło mrugając oczami gładził swe piękne wąsy.

Jacques natomiast był bardzo poważny. Podszedł ku chłopcu i rzekł:

— Drogi towarzyszu, Jacku. Uznaliśmy, że za twoją działalność przy kolportowaniu naszego pisma należy ci się serdeczne podziękowanie ze strony organizacji partyjnej w Montigny. Składamy ci zatem podziękowanie słowami i — zdjął ze stołu rulon papieru — na piśmie. Przyjmij je.

Wyciągnął dłoń. Jacek czuł oblewający szyję, policzki i czoło rumieniec. W pierwszej chwili szarpnął się w nagłym wstydzie ku drzwiom. Zaraz jednak stanął, prostując się po żołniersku. Wziął rulon od Jacques'a prawą ręką — musiał go potem przełożyć do lewej. Niezręcznie to szło — serce biło: byle się nie rozpłakać!

Jacques ścisnął mu rękę aż do bólu. To pomogło. Jacek napiął wszystkie mięśnie, by Jacques też poczuł co nieco. Wtedy obaj roześmieli się.

Potem tamci wszyscy podchodzili, by uścisnąć dłoń drogiego towarzysza Jacka. Przez drzwi od kuchni zaglądała Mamma założywszy ręce na piersiach i przechylając po swojemu głowę na lewe ramię, a przy niej stał czerwony jak burak Paolino.

Ostatni podszedł do Jacka Faselli.

— Dostałeś jeszcze prezent — mruknął poufnie. — Idź do kuchni.

Jacek rozejrzał się podejrzliwie. Stali wokół niego z wesołymi uśmiechami, przyjacielscy, lecz oficjalni. Należało się zachować w sposób godny. Potrząsnął więc ku Fasellemu głową.

— Ja dziękuję — powiedział schrypniętym głosem, ale zaraz poprawił się ściągając surowo brwi — ja wam — podniósł głos — towarzysze, dziękuję i... i obiecuję, że wszystko będzie w porządku.

Skinęli głowami.

— To my pójdziemy — rzekł Jacques.

Zostali tylko ojciec Rouget i oczywiście Faselli. Mamma cofnęła się do kuchni, a Paolino nabrawszy nagle oddechu krzyknął jak na pożar:

— Giacchino! Chodź zobacz!

Jacek ciągle jeszcze stał na środku pokoju trochę nieprzytomnie mrugając oczami. Okrzyk Paolina obudził go. Zawrócił na pięcie i trzymając ciągle wręczony przez Jacques'a dyplom przy piersi skoczył do kuchni. Zatrzymał się w progu. Spojrzał bezradnie na Mammę — ta obierając ziemniaki uśmiechała się łagodnie i kiwała potakująco głową. Faselli i Rouget podeszli w ślad za Jackiem do drzwi. Obejrzał się na nich niespokojnie — oni również uśmiechali się i kiwali głowami. Paolino zaś podskakując na jednej nodze wołał:

— Tak... to twoje! To twoje!

Na stole stała wielka piękna klatka. W klatce — raz, dwa, trzy, cztery, pięć... — pięć gołębi!

Pięć pięknych gołębi siedzących godnie i spokojnie, nie zwracających uwagi na krzyk Paolina, na jego skoki i szerokie ruchy rąk. Jacek powoli podszedł do stołu i głęboko odetchnął.

— Muszę prędko zbudować gołębnik — powiedział z powagą. Ale nie udało mu się jej zachować. Odłożył ostrożnie dyplom, klasnął w ręce i zaczął wraz z Paolinem tańczyć po kuchni wokół klatki tak szerokiego walca, że Mamma wpierw przestała się uśmiechać a potem, gdy przewrócili garnek z barszczem, z krzykiem wygnała ich na dwór.

Ojciec Rouget i Faselli popłakali się ze śmiechu, a potem poszli radzić z Jackiem, w którym miejscu należy zbudować gołębnik.

Dyplom oprawiony w ramkę i szkło wisiał na ścianie w pokoju już nazajutrz, gołębnik zaś był gotów w cztery dni.

Piątego dnia Jacek po wielu naradach z Kubą Roullotem, największym gołębiarzem Montigny, który miał półtora tuzina wspaniałych, wybieranych ptaków, po raz pierwszy wywiódł swoje gołębie.

Stadko prowadził „Siwy" — rozrosły, poważny, mądry samczyk o zielonkawo-perłowym kołnierzu i pięknym, niezwykle szybkim locie. Ptaki zataczając nad domem wpierw niewielkie koła poczęły się wznosić coraz wyżej i wyżej, trzepocząc białymi skrzydłami, urzekając swym lotem wzniesione ku górze oczy chłopców.

* * *

W drugiej połowie kwietnia wiatr przyniósł znad kanału La Manche zimne, nieprzyjemne deszcze. Gołębie spały w gołębniku, Jacek zaś co wieczór przyglądał się przed snem niebu.

Wreszcie wstał dzień tak piękny, jak tylko wymarzyć sobie można. Mimo to „Siwemu" nie chciało się latać. Po kilku niewielkich kręgach sprowadził stadko na dach domku Cudaków i złośliwie, basem gulgotał.

Rozleniwił się, diabeł rogaty! — sapał ze złością Jacek wymachując ręcznikiem. Nie pomagało.

Dopiero w dwa dni później stadko zerwało się do lotu, jak na gołębią paradę. W pobliżu kopalni krążyły już od kwadransa „mewki" Kuby Roullota. — „Siwy" od razu poszedł błyskawicznym skośnym lotem ku górze, od razu począł toczyć koła o szerokim, coraz szerszym, coraz odważniejszym promieniu — chłopcy biegli ulicą zadzierając głowy ku górze. Paolino aż pojękiwał z przejęcia i na koniec wpadł pod nogi niosącemu zwój kupionego w Douai czerwonego płótna młodemu Musiałowi. Uciekał potem jak mysz kotu. Musiał klął go od ostatnich, bo przewróciwszy się uwalał płótno w czarnym żużlowym pyle. Prać je teraz przyjdzie do najcięższej, najjaśniejszej cholery, czy co? Ojciec Rouget kazał mu płótna strzec jak kochającego serca. Drogie poza tym było i ledwo je dostał. Do pierwszego maja brakowało tylko cztery dni, a niesposób było obejść się tym razem bez szczególnego bogactwa transparentów i proporców. Miał to być przecież pierwszy maja 1945 roku!

„Siwy" leciał ku słońcu. Chwilami ptaki gubiły się w wielkim złotym blasku, by znów po chwili, w innej stronie nieba zamigotać białymi i złotymi skrzydłami. Pięknie leciały.

Chłopcy biegli z trudem łapiąc powietrze, dudniąc bosymi piętami, śmiejąc się i krzycząc. Lot stadka prowadził ich znów w stronę domu. Przebiegali właśnie koło „Małgorzatki", gdy wpadł na nich zdyszany Gianni.

— Giacchino — krzyknął — biegnij do domu!

— Ale... gołębie...

— Słyszysz? Do domu! Biegiem!

Jacek pobiegł niechętnie. Odwracał głowę za „Siwym" — chciał przystanąć, ale Gianni popędził go krzykiem.

W kuchni było pusto. Jacek szarpnął drzwi do pokoju.

— Co... — zaczął zdyszanym głosem.

Urwał.

Przy stole siedziały obejmując się i śmiejąc radośnie Mamma z Eleną. Faselli zaś i obcy, wysoki mężczyzna z ogoloną głową stali przed

Jackowym dyplomem. Faselli mówił właśnie coś wysokim, załamującym się jak w chwilach najwyższego podniecenia dyszkantem — miał czerwone powieki, pociągał nosem.

Tamten człowiek stał pod światło, więc Jacek by mu się przyjrzeć osłonił oczy dłonią. Obcy powoli obrócił się ku Jackowi. Był bardzo wysoki — przeraźliwie chudy — oczy w głębokich oczodołach świeciły mętnym blaskiem. Mogło się zdawać, że chwieje się lekko na nogach i że dlatego wyciągnął obie ręce do Jacka.

Jacek szedł ku niemu ciągle osłaniając oczy od światła.

Ojciec rzekł:

— Urosłeś...

A w dziesięć dni później pod wieczór, o nieoczekiwanej porze, syreny całego zagłębia rozpoczęły chórem wielką, niekończącą się muzykę, święcąc w ten sposób wraz z całym światem pierwszy dzień pokoju.

Jerzy Broszkiewicz

JERZY KORNACKI

KRĘGLE I KULE

Rzecz dzieje się w styczniu 1875 r.

Restaurator Zięciakiewicz (Elektoralna 30) mógłby bez przerwy codziennie krzyczeć o swej kuchni, że jest tania i smaczna. Śniadania po dwadzieścia kop! Od godziny jedenastej rozbef prosto z rożna! Obiady po dwa złote, kolacje wszelakie, a do tego piwo, porter, wódki i likiery, miody i wina, kręgielnia i bilard... Jednak wszędzie gdzie indziej, w niezliczonych w Warszawie ustroniach gastronomii, tak samo mogą krzyczeć wielcy i mali kuchmistrze. I zawsze wobec świata swoich własnych bywalców.

— To to to to!... — pan Zięciakiewicz przed sześcioma laty, w generalnym remoncie wszystkich ubikacji, już wiedział, bo powiedział wtedy pierwszy raz, że każda restauracja winna być zwierciadłem swej okolicy. Stąd ów podział świata na dwie połowy, równe, lecz odmienne, prawą i lewą. Z bufetem po środku, dla wszystkich.

Potem po schodkach, w prawo, mogą przechodzić smakosze do malowanej salki z fortepianem i z bębnem, z kanapą, z fotelami przy stołach tylko owalnych, jako że plusz i owal są zawsze najmodniejsze. Z tą salką łączy się bilard.

Natomiast z lewej strony trzeba przejść przez kręgielnię do chłodno kwaśnej „bawarii", gdzie leżą grube beczki na grubych krzyżakach, śród stołów na krzyżakach i ław na krzyżakach. Chudy pan Zięciakiewicz powinien być wszędzie i trzymać wszystko obiema rękami.

Ale szpital, to chyba jakby w prawej ręce, ów tutejszy nowy szpital Świętego Ducha. Daje tam i bierze, jednak inaczej niż tą drugą ręką, na której pięciu palcach lubi liczyć firmy, także tutejsze, a nawet tyczące tego samego, popłatnego rzemiosła: fabrykacji karet i powozów...

— Tylko proszę zauważyć! Na Elektoralnej Stopczyk i Mohaupt, na Orlej Czarnecki, Wernik, Kołujew, na Lesznie Korycki, Berger i Geyer, Miłodrowski, Rentel, Helbing, Loretz, Cieplicki, na Królewskiej Hesse, na Długiej Kreutz, Ziemiński, na Bielańskiej Labisch...

Z tych wszystkich firm codziennie ciągną robotnicy, jakby byli zmó-

wieni, do Zięciakiewicza! Ale albo do bufetu, łyknąć na stojąco, albo na lewą stronę, do ciemnej kręgielni, żeby zagrać, i wygrać...

— Panie Zięciakiewicz, pańska kuchnia nie dla nas!

— Co takiego, co? Moja kuchnia jest zdrowa jak sama apteka! — po namyśle lubi krzyczeć Zięciakiewicz, mrugając w prawą stronę. I wszystko jedno, o której godzinie dnia, bo na pięterku zawsze przy którymś ze stołów siedzą albo lekarze, albo felczerzy szpitalni, więc biały fartuch wyglądający spod palta jest świadectwem od razu oczywistym.

— Rosołek z kury od Zięciakiewicza! Omelette aux fines herbes! Kleik z ryżu! Rybka z wody! W szklance żółtko w maśle! Na mleku kaszka, ale popijana winem gronowym, czerwonym, francuskim, najlepiej zaraz obok, Elektoralna trzydzieści, posługacz może przynieść...

Powiadają niektórzy, że dzięki takim receptom każdy felczer ma tutaj stół raz dziennie darmo. Ale to jest złośliwość! Bo także ksiądz kapelan i starsze siostry szpitalne mogą korzystać dla siebie albo dla swoich biednych. Rzecz prosta, byle w miarę! Oko Opatrzności wymalowane dawno w górze nad bufetem przez pana Emila Froelicha, specjalistę od plakatów i szyldów, nie tylko czuwa nad apteczną zdrowotnością potraw, ale też błogosławi cnocie chrześcijańskiej w dobroczynności.

Jest późno. Pod trójkątem trzech promieni oka zegar bije z przystankami godzinę dziewiątą. I jest pusto. Pan doktór Omieciński pije wódkę samotnie. Tylko ciągle w otwartych, ciemnych drzwiach kręgielni rzemieślnicy tupocą, śmieją się i klną. Pan Zięciakiewicz znowu się zamyśla. Patrzy na swoje ściany dawno malowane, jakby je sprawdzał, jakby chciał je widzieć jeszcze raz po raz pierwszy.

W tej salce bocznej po schodkach. Gdzie pan Emil Froelich lubi pić czarną kawę, gdy przychodzi na bilard. Zresztą, niecodziennie. I to mu się należy. Ale dlaczego dzisiaj, w imię dawnych zasług, żąda uczty weselnej dla wdowy po synu za śmieszną cenę osiemnastu rubli? Skąd w ogóle wymyślił cyfrę osiemnaście?

Pan Zięciakiewicz nie umie mówić cicho, więc zaraz krzyczy:

— Skąd pan wziął osiemnaście?

— Niech pan nie krzyczy, panie Zięciakiewicz! Ja wiem, najtańsza uczta weselna kosztuje trzydzieści pięć! Ale od niej odejmując tamte siedemnaście...

— Które tamte?

— Pan zapomniał, panie Zięciakiewicz? Pierwotna cena, którą wymieniłem opiewała na rubli pięćdziesiąt i trzy... A pan ile mi zapłacił za ściany i szyldy? To wszystko jedno, że to było sześć lat! Po sześciu latach także nie ustąpię! Bo jak tak można!... Panie Zięciakiewicz, pan mi zapłacił trzydzieści sześć rubli! Te ściany niechaj świadczą...

Te ściany różowe jak wschód i zachód słońca! W oszczędnym przyćmieniu szklanych kwiatów i sopli górnej świetnej lampy. Te na ścianach olejno malowane kuce, skaczące z gracją w uprzęży zielonej, niebieskiej, białej, żółtej...

Faeton „Wiktoria" nad owalną estradą z fortepianem i z bębnem wiezie sześć ślicznych twarzy kobiecych z lokami, i trzy męskie w cylindrach. A przez drugą ścianę, w górę pomiędzy okna w niebieskich portierach, jedzie „karykiel" na dwóch kołach, z lordem także całym niebieskim. A na trzeciej ścianie „wolant" przez czarny mostek wiezie oficerów, samych gwardzistów Najjaśniejszej Pani, białych i srebrnych. A po czwartej pędzi złocista „egoistka", tak pędzi, tak pędzi, bo kuce aż ponoszą, a żółta Traviata rozpuszcza włosy i wyciąga rękę, w której fruwają wodze do góry i na dół...

— Przepowiedziałem panu, panie Zięciakiewicz — mówi malutki, zniszczony pan Froelich, celując palcem do restauratora. — Sześć lat minęło, więc wiele tych setek pan już zarobił? Tylko dzięki mnie! Każdy przychodzi tutaj dla ścian, nie dla pana...

— Licz się pan z buzią! — krzyczy Zięciakiewicz.

— Ale pan pożałujesz, panie Zięciakiewicz! Znów panu przepowiadam... — wielki palec Froelicha nad szklanką niedopitą, nad obrusem w kratkę, zdaje się większy i grubszy niż cały pan Froelich. Już kiwnął się razem z pięścią, ale teraz znowu celuje najspokojniej, jakby z pistoletu:

— Mam nowe wiadomości... Oni dzisiaj będą!

— Jacy oni?

— Pan udajesz, panie Zięciakiewicz, że pan zapomniał? Kolacja proszona dla siedmiu panów, dzisiaj po teatrze! Płaci Jasio Tatarkiewicz, a obiecał być pan Karoli, fotograf i główny ogniomistrz wszystkich teatrów... Pragną robić zdjęcia! I więcej powiem, już się założyli, Jaś Tatarkiewicz z Władziem Szymanowskim, bratem nieboszczki, o pięćdziesiąt rubli, że pan Karoli nastawi aparat, błyśnie magnezją, psztyknie...

— Raz już powiedziałem! Nie pozwalam zdjęć robić!

— Przecież tylko jedno, Traviatę w egoistce...

Nagle brzęczą drzwi. Zięciakiewicz w dwóch krokach już patrzy ze schodków.

Ale w dole wchodzi z mrozu tylko swój ksiądz Ubysz, i jeszcze tamten chłopiec w grubej wiejskiej bundzie z kapturem i z rzemieniem. Chłopiec zaraz siada i zaraz ziewa. Jednak ksiądz kapelan, jak się należy, srodze na stojąco przeżegnał się i ukłonił Oku Opatrzności, piwnemu nad bufetem.

*

Ksiądz dostał na talerzu swoją ulubioną wielką kość, na pewno ze szpikiem w środku, a po wierzchu obrośniętą mięsem rosołowym w całej kolekcji smakowitych strzępów, błoniastych i żylastych śród bukietu chrząstek. Aż zamyślił się między widelcem i nożem, na przekór przypływowi mdłego głodu w ustach.

Znów od rana nic nie jadł. Właściwie dlaczego, skoro ma drobne dłonie i wiotkie ramiona, i tylko głowę dostatecznie wielką dla spraw codziennie nowych i coraz trudniejszych...

Rzecz jest pilna! Z łoża śmierci jeszcze jeden grzesznik wyciągnął obie ręce, obie poparzone, schowane w opatrunku... Nie mógł ciepłą ręką dać tych pieniędzy księdzu, gdyby nawet blisko miał przy sobie gotówkę! Stąd wielkie ryzyko, czy śmierć zechce poczekać, aż zjawi się tamten z całą sumą w kieszeni, za tydzień najwcześniej, bo aż z dalekich Puław...

Trzeba będzie czekać! Strażak zemrze tymczasem... Gdyby nie miał fluksji stary ksiądz Chodziszewski, gdyby mógł zastąpić, to ksiądz Ubysz od rana we własnej osobie ryzykowałby do Puław. To jest coś innego niż list napisać! Zwłaszcza że podobno w samych Puławach wcale nie ma księdza, tylko dojeżdża tam niekiedy wikary z Włostowic. A on nie zechce zająć się szukaniem jakiegoś Kordeflackiego. Po prostu wcale nie odpisze na list, albo odpisze, że takiego nie ma nigdzie w Puławach...

Tymczasem chłopiec Pawęski właśnie dostaje na misce bezkształtną masę wszelakiego jadła. Z makaronem z rosołu, z odrobiną flaków na stronie. A na dnie śród kartofli widzi kaszę i ryż w zupie pomidorowej. Gorące jest wszystko! Z daleka dymi z bliska będzie parzyć...

Pawęszczuk lubi łyżką mieszać takie coś, jeszcze dalej znajdować coś innego w zdziwieniu. Kurza łapa? Jest jak rączka trzymająca w palcach, nie do pojęcia, swoje własne serce!

— Ksiądz widzi?

Ksiądz Ubysz patrzy. Mruży ciemne oczy. Był takim samym chłopcem, gdy przyglądał się różnym mięsiwom na talerzach i w garnkach. I płoszył się, i nie wiedział, jak trzeba to widzieć!

Bo można widzieć zgoła rozmaicie... Sam przed chwilą trzymał w palcach gołą mocną kość i szpik wysysał. Można było powiedzieć: — Kapłan katolicki, który ogryza trupa starej krowy!

Ale także chyba można powiedzieć inaczej, że kapłan katolicki dary boże spożywa... Ciekawa rzecz, co o tym sądzi ksiądz Mościcki? Kurza łapa w rosole, trzymająca serce, to coś w sam raz dla niego na jego bezsenność; A może to jest serce czyjej innej kury albo serce kokoszki, a łapa kogucia?

Ksiądz szuka po kieszeniach.

— Weź ostrożnie łyżką, ale ostrożnie! I od razu na papier. Zaniesiemu to zaraz księdzu Mościckiemu!

— Już zaraz?

— Cóżeś myślał? Znów kręgle masz w głowie? Mógłbyś raczej się ostrzyc! Mógłby pójść w szpitalu do pana Muchlińskiego i poprosić grzecznie, to on chętnie by cię ostrzygł... Bo tak szukasz pracy, a jak ten dzik wyglądasz! Cesia dzisiaj na ciebie czekała pół dnia, chciała ci opowiedzieć, że już od pierwszego będziesz mieszkał z nią razem...

— Znowu u Warczaków?

— Gdzie zaś! Ty sobie wybij z głowy tę znajomość...

Takie jedno spojrzenie, dziwacznie strwożone w jasno niebieskiej, wytrzeszczonej senności. Taki ruch ręką w zupie, jakby chciał uciekać! Nagle chłopski i wiejski, nawet polny chłopak.

Ksiądz chowa do kieszeni kurze resztki w papierze, i smutnie wie o wszystkim.

Że Cesia Pawęska codziennie w pralni i w szwalni w szpitalu czeka na brata. Chce mu uprać koszulę. Chce mu darować długie, prawie nowe buty po jednym nieboszczyku. Chce dać cztery ruble, żeby z nimi pojechał do domu do matki, żeby mówił. O chorobie najmniej! A najwięcej o księdzu Wenantym Ubyszu, krewniaku tamtego księdza, Justyna Ubyszu, który jak żył w Radzyminie przed paroma laty, to wtedy się przekradał, w przebraniu, przez Liwiec... I wtedy przyjął do pierwszej spowiedzi ją, grzeszną Cesię, i tego jej brata Ireneusza...

— Nie byłeś u Cesi?... — ksiądz smaruje grubo chrzanem mięso na widelcu i udaje zdziwienie: — Dlaczego nie byłeś? Ani wczoraj nie byłeś...

Ireneusz milczy. W blaszanej łyżce razem sobie niesie makaron z kaszą do gęby wciąż pełnej, i znowu sięga. Jakby nie dosłyszał ostatnich pytań. Pewnie nie dosłyszał, bo drzwi wciąż dźwięczą. Trzech nowych podchodzi napić się do bufetu. Sklepikarz z przeciwka opowiada przez czkawkę, że brata bliźniaka wilk mu zagryzł, jeszcze dzieckiem w łóżku w Falenicy. Inni gadają jeszcze coś innego, a na prawo po schodkach krzyczy Zięciakiewicz, ale do kogo krzyczy?

— Co to mnie obchodzi, że Bakałowiczowa nigdy nie śpiewała, bo nie była śpiewaczką!

— Więc któż był ten pierwszy, który tutaj u pana nazwał ją Traviatą? — huczącym basem trąbi z głębi salki już nie ktoś inny, tylko Omieciński, dyżurny doktór.

Znowu dźwięczą drzwi. Dołem raz po raz wieje ziąb z ulicy, za nogi łapie, albo jeszcze gorzej, bo jakby wodą chlusta. Więc ksiądz przytupuje trzewikami pod stołem.

O tej nocnej porze robi się niemożliwie u Zięciakiewicza, taki gwałt przy bufecie, taki rumor w kręgielni! I smak grzanego piwa, i wszędzie kichanie różnych nosów tabaką! Ksiądz już śpiesznie zbiera ostatnie żółte strzępy tłuszczu sztukamięsy, i martwi się nad nimi:

— Nie umiem, nie umiem myśleć bez mięsa! Ani kluski z serem, ani gołąbki kapuściane z kaszą, nic tylko mięso, wszystko jedno jakie, krowie czy gęsie, czy świńskie, czy rybie... Znów czyjaś śmierć, dzień po dniu! Co najmniej raz dziennie, a w niedzielę i w święta dwakroć, bo na obiad i przy kolacji...

— Traviata nie jest imię! — na prawo po schodkach znów panoszy się w krzyku chudy Zięciakiewicz. Może ciągle jeść mięso, a zawsze był chudy! — Na imię ma Violetta! Panowie nie wiedzą? Traviata na nazwisko, familia Traviata...

— Więc o co chodzi?

— Ale wszystko jedno, bo nie dam, żeby mieli fotografię ściągać.

Ksiądz już nastawił uszu. Wcale niepotrzebnie, bo rzecz się kręci od paru miesięcy, a pęka chyba dwa razy na tydzień. I tylko ksiądz Mościcki jeszcze o to pyta, jeszcze dziś może spytać...

Jakoś rychło po zgonie artystki naiwnej, pani Wiktorii Bałakowiczowej, zobaczył ją jak żywą pan Jan Tatarkiewicz, pierwszy amant dramatu i komedii. Tam ją zobaczył, w tamtej salce po schodkach, wymalowaną żółto przez pana Froelicha na bocznej ścianie. Stoi w „egoistce" i powozi kucami... Ale Zięciakiewicz krzyczy tak od miesięcy, że za nic na świecie nie nazwie jej Wiktorią, dla żadnej pamiątki, skoro

na innej ścianie ma wymalowany cały paradny faeton „Wiktoria", więc będzie mu się mylić...

Ksiądz odsuwa talerz, wyciera usta, spogląda na zegar. Już kwadrans na dziesiątą? Wczoraj Zięciakiewicz tak samo krzyczał do felczera Freka, że dwie Wiktorie w barszczu!

Znowu drzwi trzasnęły i ziąb poszedł po nogach. Skrzypią buty księże pod krzesełkiem, pod stołem, lecz ksiądz dalej siedzi i myśli prędko:

— Trzeba list napisać! Zaraz trzeba list napisać!

Myśli coraz prędzej, jak co dzień po zjedzeniu. Od razu wie wszystko:

— Słuchaj, chłopcze, do tej pani pójdziesz za bufetem, do pani Zięciakiewicz! Ona księdza lubi, ona jest bardzo miła... Ukłonisz się grzecznie i powiesz grzecznie: — Ksiądz kapelan Ubysz kłania się tam od stołu i pokornie prosi, żeby mógł dostać atramentu, pióra, koperty i papieru... Tutaj mi przyniesiesz! I jeszcze spytasz, czy z samego rana ktoś pójdzie stąd na Pragę na bydlęcy targ. To mógłby wziąć po drodze na Krakowskie, na pocztę list od księdza...

*

Bardzo rzadko, coraz rzadziej ksiądz Wenanty Ubysz nawiedza po kolacji sąsiednie stoliki, przy których o tej porze zwykle się gromadzi świat rzemiosła — ojcowie, tylko trochę kobiet, a najwięcej kawalerów i mniejszych chłopaków wracających po pracy. Odechciewa się po prostu! Bo za każdym razem z tego, co oczy widzą i co uszy słyszą, zbiera się w sercu bodaj tylko żałość, bezradna, więc jałowa...

Długi dzień roboczy! Zarobki może nawet jeszcze nie najgorsze, gdy w rodzinie pracują ojciec, matka, syn albo dwie córki. Ale coraz częściej ten traci pracę i ten traci pracę, córka szuka gdzie indziej, syn odchodzi gdzie indziej....

Tak właśnie się zdarzyło w solidnej warszawskiej rodzinie Tustanowskich. Ciemne chłopstwo ze wsi, pół gołe, pół bezdomne, wystaje u bram, oblega majstrów, obłapia za nogi srogiego pryncypała... Więc tenże z litości przyjmuje do roboty za połowę zasług, za jedną trzecią tego, co brał zuch warszawiak, młody Edek Tustanowski! U pana Loretza na fabryce karet i powozów.

Czyli, w rodzinie Tustanowskich od Nowego Roku nikt nie zarabia. Zwolniono Edka, że młody i hardy, a ojca nie chcą przyjąć do pracy na powrót, bo prosto ze szpitala. Trzydzieści lat robił, dnia nie opuścił, pierwszy raz w jesieni zmogło go ciężkie zapalenie nerek, ale już prze-

szło. Wydobrzał, wypoczął, a tymczasem pan Loretz powiada, że nie chce. A jak nie chce, to nie weźmie starego z powrotem!

Na jego miejsce już przyjął dwóch innych, dwóch synów kołodzieja z tamtych Białobrzegów, gdzie robią bryczki. Oni tutaj są, siedzą bliżej bufetu, obaj tacy sami, pewnie bliźniaki, z długimi, końskimi grzywami na bok.

Ksiądz Ubysz dzisiaj także wcale nie zamierza wmieszać się między robotnicze twarze przy najbliższych stolikach. Tylko nie może tak minąć ich wzrokiem, gdy patrzy niecierpliwie za chłopcem Pawęskim, który zamiast przynaglić Zięciakiewiczową, gada z jakimś wytrzeszczonym jak fryzjer w lusterko, śród włosia sutej brody.

We wrześniu miesiącu młodsza siostra, Helunia z Ubyszów Witayska, przysłała bratu księdzu trochę rubli w liście przez chłopca z kuźni, z pobliskich Załubic... I że też ksiądz kapelan nie od razu poznał nieśmiałego Ignasia, który rzucił wioskę dla roboty w Warszawie!

Ukłonił się księdzu. Ksiądz patrzy już gdzie indziej.

Wszyscy mężczyźni tutaj są kudłaci, z brodami na kołnierzach, z gałęziami wąsów. Wszystkie kobiety tutaj są bezzębne. Zapijają grzanym piwem, szare kostki sera i chleb łamany. Kichają stokrotnie, dymią z fajek, trajlują niedbale przez ramię, wszystko jedno do kogo. Tylko w tamtych ciemnych, sklepionych drzwiach kręgielni odprawia się w takcie jakowegoś porządku, co chwila inaczej, ale tak samo głośno, rumor i upadek! A po nim w jednym oklasku wszystkie dzwony śmiechów, jasne jak po zwycięstwie... Klaszczą i wołają o jakimś Błaszkiewiczu.

Ksiądz słucha gdzie indziej:

— Zimową porą „bawaria" z tyłu nieczynna, a to choćby potańcował! — ktoś rzuca przez ramię, jakby już w stronę księdza. Ale z innej strony odpowiada niegłośne, życzliwe westchnienie:

— Dzień już jawi się dłuższy!

— To i co wam z tego?

— Dłużej będzie się robić!

Tak cieszyta się, jakbyście się martwili!

— Bo to i lepiej, i gorzej...

Dwóch rosłych studentów pomiędzy stolikami przemknęło i znikło. Oczywiście, do kręgielni! Ksiądz zna ich z imienia, nie tylko po nazwisku! Zna różnych studentów, którzy tutaj się kręcą... Zawsze się odkłania, z uśmiechami, jak dzieciom. Co wcale nie znaczy, żeby księ-

dza każdy student koniecznie pozdrawiał! Ci dwaj po prostu tylko mrugnęli do księdza...

A może nie do księdza, tylko do dziewczynki, która siedzi tam z boku, taka sama jedna, a różowa jak kwiatek! Umówiona z kimś, kto już zdążył się spóźnić, okrutny, niewierny warszawski motyl...

Później taka klęknie w którymś z kościołów, zaleje się łzami i długo będzie szeptać do konfesjonału... Ksiądz wspomina niejedną! Czyż o nich zapomniał tamten zuchwały student, który raz do księdza zagadał przy stoliku:

— Absolutnie wolę tego Zięciakiewicza, czyli szynk tutejszy niż obydwa kościoły w dwóch końcach, jeden Boromeusza, drugi Reformatów... Dla klasy rzemieślniczej kościołem jest szynk, w dzisiejszych czasach! Inaczej nie może, więc jak może tak się zbiera, spotyka i łączy, i uczy się, i pociesza...

— Nędznie się pociesza! Bezbożnictwa się uczy! — krzyczał wtedy ksiądz. Aż ludzie dookoła obstąpili stolik:

— Ksiądz tak głośno nie krzyczy! Policji ksiądz woła?

To było wtedy! Tylko jeden raz przynieśli trzej studenci do Zięciakiewicza blaszane czarne rury, grube szkła w walizkach... Wyłupali kilka gontów w dachu nad kręgielnią, wystawili teleskop; Tak samo był styczeń, ale przed dwoma laty. Stała inna noc, księżycowa, wysoka...

— Klaso rzemieślnicza, jeden raz spojrzyj w niebo! Z bliska, okiem w oko przypatrz się i poszukaj pomiędzy gwiazdami... Pana Boga nie znajdziesz! — student tak przemówił.

— W czterechsetną rocznicę urodzin tego Polaka, który ruszył ziemię z posad bezruchu, z mroków chrześcijańskich... — dalej przemawiał z krzesła student, Kazik Hildt, syn zacnego pana Hildta, ongiś urzędnika w skarbowości krajowej, teraz właściciela kamienicy na Lesznie.

— Gołębiarz i kręglarz! Przed chwilą jak przechodził, nie skłonił się księdzu! Ruda broda mu rośnie... Pan Bóg nie rychliwy! Chociaż owszem, świat już widział takich kandydatów obojga praw, takich mędrków, zdawałoby się, którzy potem sobie gnili w zwykłym kryminale...

*

Ksiądz zadrzemał, wciąż myśląc. Przez te pół minuty, tak jakby jednym okiem, z uwagą i z troską, patrzał w dół, więc z wysoka na koperni-

kowski piękny warszawski pomnik przed Pierwszym Gimnazjum. Sławne polskie nazwisko, Mikołaj Kopernik, ksiądz kanonik Kopernik!... Od najmłodszych lat ksiądz Ubysz o nim słyszał. Nie pokochał nigdy! Zawsze wolał tych innych, którzy nie umieli, Kościuszkę omdlałego w klęsce Maciejowic, księcia Józefa w nurtach, prostego żołnierza Józefa Chłopickiego śród dymów Olszynki, Wielopolskiego w oknie w pałacu Brühlowskim...

Obudził się jak ze snu. A z między stolików już wychodzi Pawęszczuk, płochy, polny chłopak w grubej bundzie z kapturem. Byle jak przed sobą niesie czarny kałamarz i dwa pióra siwe. A z drugiej ręki tak podaje księdzu białą kopertę, jakby przyniósł list...

Ksiądz od razu pamięta: — Posłuchaj mnie, chłopcze! Ale szczerze mi odpowiedz! Dostaniesz na drogę jeden rubel pięćdziesiąt, jak pojedziesz z listem.

— Do Zazębia, do dworu?

— Chciałbyś do Zazębia?

Owszem, było mówione, żeby Cesia z bratem, nawet cała rodzina Pawęskich z Podlasia, żeby poszła na służbę do dworu w Zazębiu, do pana Witayskiego. W pobożnych Unitach miałby ludzi oddanych, wdzięcznych i uczciwych! Siostra Helunia w swym ostatnim liście okropnie wyrzekała na hardość, lenistwo, a nawet na złodziejstwo rodziny Pietrasów, jednej z czterech fornalskich...

— To jest sprawa dalsza! Dopiero na wiosnę... A ty chciałbyś już zaraz?

Chłopak jeszcze milczy, ociąga się w swojej bundzie. A teraz za głośno śmieje się, że nie pójdzie na służbę do dworu. Za nic w świecie nie pójdzie! W Warszawie chce robić!

Więc ksiądz już surowieje. Mówi sucho i krótko:

— Pojedziesz z listem do Puław!

— A jak nie pojadę?

— To nie pojedziesz... — ale ksiądz już w złości aż mruży oczy. Jakby się siłował.

— Więc chłopak też poważnieje:

— Tutaj taki jeden, on jest chłopak spod Zazębia, Ignac Masztakowski, o tam on stoi, z taką sutą brodą, i patrzy na nas... On mówi, że zna i księdza kapelana, i księżowską siostrę czyli panią Witayską! Zobaczył mnie z księdzem jeszcze we wtorek, i zaraz zagadał, że czy ja może nie chcę robić za kowala z jednym tutaj, z Malinowskim... To ja, pro-

szę księdza, mógłbym już od pojutrza robić za kowala, co też mi się podoba!

— Słuchajno, Pawęski! Posłyszysz coś nowego i już zaraz lecisz? Twój dziadek w Ziemi Chełmskiej jednodworcem się pisał i był prawym Unitą, wiernym kościołowi... Patrz mi prosto w oczy! Może nie był wiernym?

— Był wiernym, proszę księdza!

— W herbie Radwan kościelną chorągiew z krzyżykiem mają wszyscy Pawęscy!

Na to chłopak milczy, i tylko wzdycha.

— Pojedziesz do Puław! Zakonotuj to sobie... Prosi cię z łoża śmierci poparzony strażak, nieopisany!

— Jest nieopisany?... — i Pawęszczuk znowu siedzi na swoim krzesełku. Znowu poczciwie mruga jasną niebieskością, jak polnym kwiatem w rzęsach:

— Bardzo proszę księdza, to jaki on jest strażak?

— Co to znaczy jaki? Jest ze straży ogniowej! Dziś był pożar...

— Na Solcu?

— Pewnie, że na Solcu! U Lilpopa i Rau'a... Raczej, to chyba będzie róg Książęcej i Smolnej! A zresztą, wszystko jedno!

— To jest na Solcu! Pożar był na Solcu!

— Widziałeś pożar?

— Nie widziałem nic!... — Pawęszczuk czerwienieje mocno i od razu, jakby sam własną ręką podłożył tam ogień. Ksiądz baczy pilnie. Więcej ani słowa!

I wznosi oczy, nagle najsmutniejsze, ku jakimś górnym, cichym widnokręgom, jeszcze wyżej niż sufit. Ale spod stolika zaskrzypiały przekornie nowe buty księże, bo znów ktoś wszedł szeroko drzwiami od ulicy i puścił ziąbu.

Zaraz! Jeszcze nie... Zaraz nadejdzie chwila uroczysta! W niecierpliwości ręki, w westchnieniu z dna płuc... Lecz przecież ksiądz Mościcki jeszcze gorzej nie umie listu napisać, zrzędząc, wstydząc się, i wszystkich nudząc w ciągłych wątpliwościach...

Ksiądz Ubysz marszczy czoło i patrzy na drzwi. Jakby na kogoś boleściwie czekał.

— Chwilo jedyna, chwilo osobliwa po sztukamięsie!

W kręgielni dmie śmiechem. Z bufetu dźwięczy kieliszkami po wódce i kuflami po piwie. Znów trzaskają drzwi. Znów ktoś komuś opowiada,

że u pana Oppmana na ulicy Leszno pod numerem czwartym zawalił wiatr pół dachu na jego fabryce...

Ksiądz Ubysz pewną ręką macza gęsie pióro i wcale nie chce myśleć, że dlaczego gęsie dała mu jejmość Zięciakiewiczowa, skoro na pewno w szufladzie kantorka leżało w zeszły piątek, tak samo w nocy, nowe pióro ze stalką...

Koperta przede wszystkim! Adres na kopercie:

W-ny Pan
Idzi Kordeflacki
w Nowej Aleksandrji
szukać
na fabryce wszelkich machin rolniczych
J. Wielmożnego *Pana Mireckiego*

Po prostu wybornie! Każda litera w swoim własnym słowie, każde słowo w swoim miejscu! I wymyślny wywijas pod Nową Aleksandrią, i jeszcze drugi, mniejszy pod Panem Mireckim...

Ksiądz wznosi oczy. Jakby do chłopaka, żeby zobaczyć, czy on coś rozumie z tych pysznych wielkich liter i z tych wykrętasów.

Ale nie ma chłopaka. Jak cień i jak szelma prysnął grać w kręgle.

*

Ignac Masztakowski teraz pracuje w fabryce gwoździ na ulicy Bednarskiej. Ta fabryka gwoździ ma się połączyć z inną i ma być gdzie indziej, w długiej, krętej uliczce Daniłłowiczowskiej, przy żydowskiej Bożnicy, zaraz za Ratuszem. A przecież, wszystko jedno, Ignac Masztakowski woli robić za kowala w kuźni za rogatką!

Ale Pawęszczuk nie słucha. Dziwi się w inną stronę:

— Więc to jest ten pan Hildt?

Śmiało mógłby doń podejść z wyciągniętą ręką: — Panie Hildt, my już jakby się znamy! — bo go tu chyba już trzy razy widział, w tym samym miejscu. Daleko od kręgli, bliżej szafy grającej albo nie grającej, przy stoliku przy piwie. Jednak na stojąco, jakby zaraz miał odejść.

Gdyby nie ksiądz Ubysz ze swoim listem, to była okazja, bo Ignaś Masztakowski niósł Hildtowi piwo, a teraz Hildt już słucha dwóch innych chłopaków, i pewno zaraz pójdzie...

Jeszcze z Ziemi Chełmskiej, ze wsi Strychy, jak dziaduś Damazy Pawęski opowiadał o swoich procesach z ciotecznym Łokociejewskim, to szkaradnie przedrzeźniał różnych adwokatów, a zwał ich kłapaczami. Pan Hildt nie ma jednak nic w sobie z adwokata!

Jest wielki, ciężki, młody, jasno-rudy na łbie, a szeroki i mięsisty na szerokiej twarzy, i gruby w karku. Słucha patrząc w bok, i pociąga się za ucho. Jedne okulary na malutkim nosie przemawiają, że to nie jest w żaden sposób rzeźnik!

Źle się stało! Bo gdyby nie ksiądz Ubysz, to naprawdę już była nielada okazja poznajomić się przyjemnie z panem kandydatem. I już nie tylko w sprawie tamtego kowala Malinowskiego, którego pan Hildt z więzienia wytargował! Gdyby chciał posłuchać, to od razu by podali rewizję procesu masy spadkowej po Łokociejewskim... I mógłby wygrać, bo właśnie jest taki młodszy niż starszy!

Powiedział chłopakom coś takiego nagłego, że zaśmieli się. Śmieją się teraz dalej, a on na nich patrzy z mocną, ostrą uwagą... Nie ma co zazdrościć, nieprzyjemnie się robi! Bo jakby w notesie wszystko z nich przepisywał, odejmował, dzielił, pokazane na zawsze... Można w sobie nie mieć nic a nic do ukrycia, a bać się! Czyli nie chcieć pozostać w pamięci człowieka uważnego.

— On ich wykieruje! Poprowadzi, a kowale pędem za nim pójdą... — otrząsnął się Pawęski, mały, polny chłopak, zagubiony w wolności. Razem z Masztakowskim stał przy drzwiach, wciąż nie wiedząc, czy w lewo spróbować, mimo wszystko pod oczy kandydata Hildta, czy raczej pchać się w prawo, żeby bliżej kręgli...

— Jeszcze dzisiaj do kręgli! Kiedyś, kiedy indziej, bo przecież zawsze można dać się komuś chwycić... Byle jeszcze nie teraz!

Chyłkiem się obejrzał. A tu i tam jest tłoczno w izbie mrocznej i niskiej, z ogonem długich cieni, gdzie urwał się sufit, a czarny dach gontami jak stopień po stopniu coraz niżej się kończy. Duszno jest w tym zimnie! Dymy z fajek i z cygar kręcą się i plączą w parze grzanego piwska, w białej mgle oddechów...

Śród gadających przeciska się wilkiem stary, kulawy Gero, teść Zięciakiewicza. Rozdaje kule i zbiera groszaki, zawsze jakby się wstydząc.

— Także dla nas! Po dwie! — Ireneusz już sięga, żeby mu zapłacić.

— Przed sobotą ja nie gram! — przeczy Masztakowski, i znowu się wytrzeszcza. Ma taki swój wytrzeszcz lewym okiem w bok, jakby mu

pies wygryzał zbytną pchłę śród brody koło prawego ucha. Z takim kosym okiem przychodzi pograć w kręgle?

Śmieje się Pawęszczuk: — Po sobocie mi oddasz! Pół i pół złotego, to razem będzie piętnaście kopiejek... Zawsze tak się zakładam: pół na pół za kulę! A może coś się stanie i ty wygrasz wszystko?

— Przed sobotą ja nie gram! — upiera się tamten.

— Dawajcie kule, Gero! Prędzej, Gero, kule! — już krzyczą inni.

A Gero jest łysy, jeszcze nie bardzo stary, ale widać śmieć w swojej rodzinie. Kule daje z kosza, miedziaki sypie do torby na piersiach, i nagle mówi do Masztakowskiego:

— Kiedyś i ja się wstydziłem! U swojego zięcia nie zagrałem trzy lata!

— U zięcia Zięciakiewicza! — śmieje się Pawęski.

— Aż mnie jednego razu nauczył rzemieślnik, Jan Drygant od Pfeiffera, znaczy się, z garbarni... Potem to on pracował u Temlera i Szwede, także w garbarni, a teraz to nie wiem, pewnie już siedzi!

— Gdzie siedzi, gdzie siedzi? — dziwi się Masztakowski, odzyskując wzrok.

— On za to siedzi! — Gero znów ze wstydem zasłania sobie usta kulą malowaną. I już go nie ma. Daje kule gdzie indziej...

Tymczasem koło kręgli znów rumor się podniósł, klask w różne ręce i krzyk wszystkich głosów, grubo, grubo, i cienko:

— Vivat Bałdykowski! Jedną kulą postrącał Bergera z Geyerem! Gracjan do góry! Pod sufit Gracjana Bałdykowskiego!

— Bergera z Geyerem? — ktoś dziwi się do kogoś.

— To jeszcze nie wiecie? Nie widzieliście, jak za dziesięć groszy Gero uczy grać w kręgle?

Ktoś z boku podchodzi do Pawęskiego i Masztakowskiego, młody czarny robotnik w chłopskim półkożuszku:

— Gero najlepiej pokazuje w niedzielę! Zwala kręgle po kręglach...

— Na bok! Odsuń się! Teraz Felek Mizgała strzela w pryncypała!.... Do tyłu, chłopy, na bok! Wszyscy mają na bok!

— Zwala kręgla po kręglu, a mówi o każdym, że jest zięć Zięciakiewicz! Faktycznie, ten Gero go nienawidzi, tego swego zięcia...

— Mówi o każdym kręglu, że jest jego zięć?

— Jak ma strzelić! I jest śmiesznie, bo Gero się wstydzi, i trzeba

blisko stanąć, żeby go posłyszeć, jak on mówi do kręgla: ty jesteś mój zięć!... A potem odskakuje aż pod tamtą ścianę, i lu go kulą!

— Lu go kulą, i co? I zawsze trafia?

— Gero zawsze trafia w Zięciakiewicza!

Śmieją się i aż tupią. Ten Felek Mizgała widać długo celował, bo dopiero teraz gwałt się podnosi, że Feluś Mizgała już strącił pryncypała, Filipa Loretza, ulica Leszno, dom dwadzieścia cztery, fabryka wszelkich pojazdów...

— Ja teraz, ja teraz! Albo lepiej ty pierwszy... — gorączkuje się Ireneusz Pawęski. Spod bundy, nad bundą, rękami i oczami niecierpliwie chwyta Masztakowskiego za rękaw, i w pół, i za jego sutą brodę, młodą ale pyszną:

— Idziemy, Ignac! Tokarz na Rybakach takie coś mi pokazał, żeby najpierw stuknąć, tą kulą, masz pojęcie? Dzisiaj na Rybakach...

— A ty do kogo strzelisz? — Ignac Masztakowski znów strasznie się wytrzeszcza.

— Ignac, co ci, Ignac? Ja do nikogo! Ja z tobą o zakład, tylko o pół złotego... — prosząco się czepia Ireneusz Pawęski.

Bo co miał powiedzieć? Cisnęły mu się w ustach żandarmskie nazwiska Arandarienki i Gołowińskiego, Gubaniewa i Tura. W oczach mu się mignął własny ojciec z siekierą broniący dostępu. W uszach huknął krzyk ojca.

— Zarąbię jak wejdą! Swego imienia nie dam...

Zmieszało się wszystko.

— Ja teraz!—walczy w tłoku Ireneusz Pawęski. Ale nikt go nie słucha.

*

Kiedyś tutaj był parkan malowanej poręczy, ale grający wywrócili go i podeptali. Zostały deski dla pędzących kul, więc malowana bieżnia, w jednym końcu wyższa i całkiem wąska, długo spadająca, i coraz szerzej, ku bractwu kręgli. żeby rzucić kulą, trzeba było pójść kiedyś po trzech stromych schodkach, których dziś nie ma. Więc teraz okrakiem człowiek musi się drapać, a potem, gdy stanie z kulą w gorącej dłoni, to łbem trafi w sufit. Są tacy, którzy guzy wciąż łapią w tym miejscu, i znów zapominają...

Potem jeszcze raz, ale już tylko na prawe kolano trzeba przyklęknąć. By wybrać ich sobie zmrużonym okiem i szeptem w gorączce:

— Tamten zielony z czarnym! Tamten malinowy! Tamten cały niebieski!

Takie są kręgle. Trzynaście ich stoi po drugiej stronie, nisko na podłodze. Każdy w dla siebie malowanym kółku, każdy wysoki najmniej na pół łokcia, każdy inny od wszystkich. Stoją tak i owak, a jakby w czterech rzędach...

Mają malowane surduty, płaszcze, mundury i fraczki. Mają czupryny w górę zaczesane albo wojskowe oficerskie kaski, albo cylinder, albo pałę łysą... Kołysze się nad nimi jedyna w kręgielni, wielka blaszana lampa. Więc śród cieni ścian i cieni ludzkich jeszcze mocniej w blasku, jeszcze cudowniej świecą się i żyją kolorami zabawek, nieruchomo głupich, śmiesznych w powadze. Na drewnianych twarzach ledwie zostały tu i tam kreskami lekkie i cienkie ślady oka w rzęsach, nosa nad wąsem ostrym po francusku, marsa na czole, baczka na policzku...

Wybrałeś sobie szeptem tego z kozią brodą, więc strasznie krzyczysz.

— Ty zielony z czarnym! — i lu go kulą z góry na dół po desce.

— Nie trafi? Trafi?

Ale Bałdykowski inaczej przedtem krzyknął: — Bergera z Geyerem! — a ludzie już czekali, że powinien trafić w kręgla fioletowego w szerokim cylindrze i w kręgla niebieskiego z zaczesaną łysiną.

A gdy krzyknął Mizgała: — Walę w pryncypała! — to ludzie już wiedzieli, że pan Filip Loretz jest tu kręglem bociankiem, wysokim i chudym, i biało-czarnym.

Zdawałoby się, nic łatwiejszego, jak puścić i trafić w którąś, wybraną z innych, malowaną lalę! Jednak w zakładach słusznie ktoś wygrywa i ktoś przegrywa. Jest w drewnianej kuli za każdym razem inny rozum w biegu, inna ochota, rozmaity ciąg!

Raz, żeby zboczyć, choć w ostatniej chwili, byle gdzie indziej! A raz śród podskoków, także w rozpędzie, także w tej ostatniej chwili mijania, kula sobie figluje z osłupiałym kręglem, biegnie gdzie indziej, i jakby się wraca, żeby puknąć i zwalić... Każdy raz jest inny, śmieszny inaczej!

Ireneusz Pawęski najpierw zagrał dwa razy, potem cztery razy, a z tego wygrał najpierw dwie kopiejki i przegrał dwie kopiejki do je-

dnego chłopa spod Mogielnicy. A potem znów wygrał osiem kopiejek, a nie przegrał nic do starego blacharza z ulicy Mariańskiej, który był już po wódce.

Grał po dwie kopiejki, bo ani grosza więcej nikt nie stawiał w zakład. Więc jeszcze odejmując trzy grosze za kule, po pół grosza za jedną, to zostało trzynaście groszy, czyli sześć kopiejek i jeden grosz, wygranej...

Tak i tak rachował, ale więcej nie wyszło! Ktoś mógłby się cieszyć, jednak Pawęski cały czas jest smutny. Tamten tokarz z Rybaków, owszem, słusznie mówił i pokazywał, że drewnianą kulą trzeba wpierw stuknąć, i jak trzeba stuknąć. Ale inni bez stukania, prosto z żaru dłoni, także trafiają w kręgiel...

Ale jeszcze coś! Ludzie dalej patrzyli, nawet dwóch krzyczało, gdy bił kręgla Pawęszczuk. A jednak inaczej, niż jak bił Bałdykowski a po nim Mizgała, a jeszcze potem sześciu od Miłodrowskiego i dwóch od Czarneckiego z fabryki na Orlej pod numerem dziesiątym. Dlaczego tak jest?

Trzynaście groszy w trzecim węzełku chusteczki chowa Pawęszczuk do kieszeni w spodniach, i rozgląda się wokół. Na Rybakach nad Wisłą dał dziś tokarzowi całe pół rubla za naukę sztuki, ale teraz odejmując te trzynaście groszy tak się zrobiło, jakby dał wszystkiego czterdzieści trzy kopiejki i grosz... I wszystko wszystkim, ale jeszcze za dużo!

Cierpi Ireneusz. Więc zajrzał do bufetu, zobaczył, że ksiądz dalej siedzi nad listem, zobaczył w zegarze pod piwnym Okiem Opatrzności godzinę dziesiątą... Więc jeszcze raz w trzech krokach wraca w mrok kręgielni.

Szuka oczami po oczach, po brodach, nie znajduje, znajduje...

Przy tamtym stoliku, gdzie przedtem stał kandydat, pan Kazimierz Hildt, teraz siedzi Masztakowski z trzema chłopakami. Gadają wszyscy naraz, nosami do siebie. Łatwo zgadnąć, że na pewno nie o innej rzeczy, tylko o tamtej kuźni na moskiewskim trakcie, która jakoby jest do wynajęcia.

Ledwie z więzienia wyszedł kowal Malinowski, już chciał ją brać w dzierżawę, na własne nazwisko, ale pan Hildt tymczasem tak go zakołował, tak go zakręcił, że teraz się godzi wziąć do spółki z chłopakami...

— Mądrujecie o tamtym? Spółki zjadły jaskółki, jak to powiadają! — Pawęski chce się przysiąść, ale nie ma stołka. — Ładnie was wykieruje

ten kandydat Hildt! Aby zawrócić głowę i wywrócić kieszeń na swoją stronę, jak to powiadają...

— A sam już chciałeś robić?

— Nie chciałem, nie chciałem! Jutro do Puław jadę, jeden strażak mnie prosił...

— Czym jedziesz?

— Właśnie nie wiem! Rano chybą pójdę na targ świński na Pradze, a stamtąd już pewnie tylko ze zgonnikami... Zawsze jest ich mnóstwo, z Garwolina najwięcej, także z Iwangrodu, to jakoś się przysiądę!

— Weź machory „z Kluczem", to będziesz miał zapłacić! Chłop więcej ją woli niż wszystko inne!

— Targowałeś machorę?

— Po co miałem targować?

— No to co tak się mądrzysz? Zgonnik świń nie każdy musi być zaraz chłopem! U nas na Podlasiu trudniło się dwóch szlachciców, właśnie żebyś wiedział, bracia Skarbek!

— Nie słyszałem o takich!

— A o czym słyszałeś? O tej machorze „z Kluczem"?

Pawęszczuk jest zły. Czepia się tych chłopaków, lecz tylko dlatego, że mu się podobają. Na pewno są mocni, a patrzą tak serdecznie! Ale na poważnie. Ani myślą się obrażać... Nie słyszał ich nazwisk, ale słyszał, że jednemu jest prosto Antoni, drugiemu Grzegorz, trzeciemu Joachim. Swoje własne chłopaki!

Zaraz stąd odejdą. Potem będą od pojutrza pracować i mieszkać za grochowską rogatką. Ireneusz Pawęski dobrze jak dopiero za tydzień wróci z Puław!

Wracając, po drodze, więc chyba wstąpi do nich? Oni będą razem, a on do nich tylko wstąpi, nie wiadomo po co!

Więc cierpi Ireneusz. Zły jest już dwa razy, czyli na księdza z listem, i o to, że zaraz ruszył grać w kręgle, zamiast tu warować na kandydata Hildta.

Niesłyszane rzeczy, żeby adwokat chciał sypnąć pieniędzmi i zapłacić dzierżawę kuźni za rogatką, żeby kilku chłopaków pracowało razem, dzieląc się razem z takiej jednej kasy, jednej dla wszystkich... Nawet Masztakowski ze swoją brodą chce rzucić robotę w fabryce gwoździ i chce się przyłączyć! Wiadoma rzecz, grochowska droga dzień i noc jest pełna koni i wozów!

Znowu na jedną chwilę zamyślił się Pawęski. Jakby samego siebie zobaczył na drodze, samotnie idącego, tak od wsi do wsi, wciąż bliżej Puław... A potem odwrotnie, wciąż bliżej tej Warszawy.

— Słuchaj, Masztakowski! Bo już jak nie machorę, to co by innego mieć ze sobą na drogę?

— Machora najlepsza!

— Lepsza od gry w karty?

— A masz takie karty?

— Kart to ja nie mam... Ale coś takiego, żeby zagrać i wygrać!

Przerwał i już nie skończył. Dopiero teraz, ale w jednej chwili poznał płacz w pisku Zięciakiewiczowej, już otoczonej ludźmi w pełnych drzwiach kręgielni. Waląc z łomotem, kulejąc fatalnie, już podlatuje Gero do płaczącej córki i daje nura w ciżbę.

Chłopcy jeden z drugim też się zerwali od tego stolika. I strasznym okiem wierzgnął Masztakowski do swojej brody.

Od razu jest popłoch. Ktoś już za stołek chwycił, bokiem już nad głową ustawia sobie w rękach stołek jak do bitwy, choć jeszcze nie rozumie:

— że co? Jakich siedmiu?

— Policyjskich? Żandarmskich?

— Stasiek, będzie draka!

— Przyjechali tu w sankach... Trzech rzuciło się, i wzięli się łaskotać na kanapie na prawo, w salce po schodkach....

— Dziewczyny łaskotać?

— Zięciakiewicza! Pokładli się na nim! A trzech drugich we frakach zapalają ognie, i zdejmują ze ściany...

— Stasiek, białe światło!

— Faktycznie, że się łyska!

— Zdejmują ze ściany? — Masztakowski sam chce widzieć. Więc pcha się z innymi do tamtych innych, którzy wszystko widzą, już przy bufecie.

Też nie wszystko widzą, bo ciągle pchani naprzód przez innych ciekawych, tracą okropny widok, na prawo po schodkach...

— Bo ja wiem, tamten obraz!

— A jest tam Gałęski?

— Chcą robić fotografie!

— Założyli się?

— Na imię miała Violetta...

Głosy plączą się w drzwiach. Pustoszeje kręgielnia. Tylko jeden Pawęszczuk ociąga się w bundzie, w samym blasku pod lampą.

Ale nie widzieli, jak on tymczasem chował za pazuchę takie dwa kręgle, różnie malowane, jeden był malinowy, drugi cały niebieski... Teraz jeszcze raz sięgnie. Po dwie kule z kosza.

Z dwoma kręglami i z dwiema kulami pójdzie pieszo po wsiach, aż do Puław.

Jerzy Kornacki

WOLNY PARYŻ

W środę, 1 marca był dzień zupełnie wiosenny. Dnia tego 30 tysięcy żołnierzy niemieckich od samego świtu szorowało kredą i cegłą swoje hełmy. Następnie odbyli oni paradę w Lasku Bulońskim, a potem wmaszerowali do Paryża z rozwiniętymi sztandarami, w galowych mundurach, z orkiestrami. Była to pierwsza obelga, której lud paryski nie mógł znieść.

Wkrótce okazało się, że w wojskowych magazynach paryskich znalazły się tak wielkie ilości pożywienia, że starczyłoby do Zielonych Świątek. Była to słonina, solone mięso, kasza, mąka i suchary. Prowiant ten Niemcy otrzymali jako zdobycz. Intendenci armii niemieckiej urzędowo sprzedali ów towar dostawcom paryskim. I jedni i drudzy porobili milionowe fortuny. Ludność Paryża wrzała oburzeniem i pogardą: przecież tylu mieszkańców umarło podczas oblężenia śmiercią głodową!

W kilka dni później „Zgromadzenie Narodowe", które wybrało Thiersa na negocjatora z Niemcami i kierownika państwa, uchwaliło, że nie będzie zasiadać w Paryżu. Lud paryski odczuł to jako obrazę i jako wyraz złej woli.

Tymczasem lud myślał o samoobronie. Dowódcy batalionów gwardii narodowej, posiadający całkowite uznanie w swoich dzielnicach, wyznaczyli komisję mającą opracować statut nowej organizacji stolicy. Przyszły Komitet Centralny „miał za swój obowiązek czuwać nad miastem, czuwać nad zapobieżeniem klęskom publicznym, do których w ukryciu przygotowują się poplecznicy książąt, generałowie-specjaliści od zamachów stanu, ambitni chciwcy, i wszelkiego rodzaju osobnicy bez czci i sumienia". Komitet Centralny organizował się w lokalu Międzynarodówki, ale członkowie jej nie chcieli oficjalnie wejść do Komitetu, jeden tylko Varlin przewidywał nadciągające wypadki i żądał, żeby Międzynarodówka wzięła w nich udział. Toteż na razie jeden tylko Varlin wszedł do Komitetu Centralnego. Międzynarodówka wybrała komisję z czterech osób, która miała być na razie ciałem doradczym.

Sfederowana gwardia, która wyłoniła Komitet Centralny, liczyła 215 batalionów, a bataliony te posiadały pełne zaufanie swoich dzielnic. W ten sposób Paryż zdobywał nową, własną organizację.

Dnia 18 marca Thiers uderzył na miasto. Wydał rozkaz wojskom regularnym, żeby okupowały Buttes-Chaumont, Belleville, Temple, Bastylię, Ratusz, Montmartre, Luksemburg, pałac Inwalidów — słowem wszystkie ważniejsze punkty strategiczne miasta w zapowiadającej się walce. Wojska otrzymały rozkaz odebrania gwardiom narodowym 227 dział, stanowiących własność Paryża. Członkowie Komitetu Centralne-

go byli w tym czasie rozproszeni, więc opór nie mógł być zorganizowany, mimo to wypadł jednomyślnie. Wojska musiały ustąpić. Lud Paryża powstał. Wojska cofały się pod obstrzałem szyderstw i gwizdów olbrzymich tłumów, które wyległy na ulicę. Na szczycie Panteonu w miejsce krzyża wywieszono olbrzymią czerwoną chorągiew. Thiers wydał rozkaz ewakuacji władz i oddziałów wojskowych z Paryża.

— Paryż dał nam prawo wyboru pomiędzy Francją a stolicą — powiedział.

Doprowadził do wybuchu, żeby tym łatwiej go zgnieść przy pomocy siły zbrojnej. W ostatniej chwili merowie przeszczególnych dzielnic Paryża proponowali mu, żeby zgodził się na kompromis, zarządził natychmiastowe wybory municypalne i przyrzekł zachowanie gwardii narodowej. Ale Thiers wolał z Paryżem walczyć.

Dnia następnego były już dwa rządy. Jeden uciekł z Thiersem do Wersalu, drugi zbiera się w Paryżu. Jest to Komitet Centralny, jedyny autorytet w mieście. Oto w olbrzymiej sali, w której jeszcze tak niedawno we wspaniałych złotych mundurach i wytwornych toaletach tańczyło Cesarstwo — zbierają się jeden po drugim starsi i młodsi delegaci batalionów. Są w grubych żołnierskich lub robotniczych butach. Mają wełniane czapki robione na drutach. Nie widać ani błyszczących naramienników, ani mundurów. Pod wspaniałymi ozdobnymi plafonami zasiadają jednak jako rząd. I oto pierwsza uchwała, tycząca się wyborów powszechnych do władz Komuny Paryskiej:

„Powierzyliście nam zorganizowanie obrony Paryża i obrony waszych praw... W chwili obecnej mandaty nasze wygasły, o czym zawiadamiamy, ponieważ nie zamierzamy naśladować tych, których dopiero co obalił swym tchnieniem lud.“ Obrady Komitetu Centralnego trwają niemal bez przerwy. Niektóre sprawy muszą być załatwione natychmiast. Wszelkie płatności zawieszono na miesiąc, wstrzymana została sprzedaż niewykupionych zastawów w lombardzie, zabroniono właścicielom domów wymawiać mieszkania lokatorom. Na dzień 26 marca wyznaczone zostały powszechne wybory do władz Komuny Paryskiej. Związki Zawodowe i Międzynarodówka rzucają teraz na szalę cały swój autorytet i wysuwają hasła, pod którymi lud paryski pójdzie do głosowania.

Zasadniczym hasłem jest wyzwolenie robotnika spod władzy kapitału. Robotnik musi otrzymać pełną kontrolę swoich narzędzi i pełne przedstawicielstwo w Komunie dla obrony swoich interesów i reform socjalnych. Każda komuna ma być autonomiczna, ponad wszystkim jest Republika. Oświata ma być bezpłatna i świecka. Obywatel musi mieć wolność zrzeszania się, wolność osobistą, wolność swej prasy... Obowiązkiem Komuny ma być zorganizowanie kredytu, wymiany towarowej, zaopatrzenie ludności...

Tak więc Międzynarodówka usiłowała nadać ruchowi ludowemu program i właściwy kierunek, ująć w jeden nurt socjalistyczny niespokojne i chaotyczne prądy, wybuchające spontanicznie wśród tych, którzy mimo różnic byli zgodni co do wypędzenia Thiersa. Podobnie w zakre-

sie obrony wojskowej Dąbrowski i Wróblewski wskazywali zaraz na początku, jakie zarządzenia są niezbędne, co należy zrobić, żeby Paryż mógł zorganizować i ugruntować rewolucję.

Głosowania i dekrety nie wystarczą, należy stworzyć siłę — pisał Wróblewski, Dąbrowski zaś przedstawiał Varlinowi i innym plan kampanii, która powinnaby zrewolucjonizować prowincję, połączyć z nią Paryż, przekreślić rządy Thiersa i burżuazji, wyrzucić Prusaków najpierw z okupowanych północnych i wschodnich dzielnic Paryża, a następnie w ogóle z Francji, wreszcie — podnieść sztandar wolności wszystkich uciemiężonych ludów i w całej Europie wprowadzić rządy proletariatu. Były to na pozór plany fantastyczne, ale tylko na pozór. Jarosław Dąbrowski miał szczegółowo przemyślane i opracowane wszystkie fragmenty tego planu, opierał swe zamiary i rachuby na przesłankach realnych, jego wiedza w zakresie wojskowym, gospodarczym i politycznym zdumiewała, jego szlachetny entuzjazm udzielał się wszystkim rzetelnym umysłom.

Kiedy słuchają mnie Varlin albo Delescluze, wtedy wiem, że wykładam moje myśli i moje serce jakby przed samą upostaciowaną rewolucją — mówił Dąbrowski. — Gorzej, jeśli wzywa mnie taki chaotyczny Feliks Pyat albo zagrzebany w papierach Cluseret. Wtedy mam wrażenie, że mój rozmówca, na przykład Pyat, tylko udaje, że mnie słucha, a w gruncie rzeczy rozmyśla nad tym, jaką szpilę wsadzi jutro któremuś ze swoich oponentów. Gadam, a po jego oczach widzę, że tymczasem zdążył pomyśleć o dziesięciu różnych rzeczach...

— A Cluseret? — interesował się Wróblewski przyszłym naczelnym wodzem Komuny Paryskiej.

— Ten znów nic nie myśli. Jestem zupełnie pewny, że tego rodzaju człowiek wszystko doskonale wie, ale później. A przecież, to zupełnie co innego: robienie wojny i rewolucji, a pisanie o niej.

W niedzielę dnia 26 marca, w radosnym i ciepłym dniu wiosennym, cały Paryż wyruszył do lokali wyborczych. Całe okręgi maszerowały do urn, głosowano przeważnie jawnie, mając przypięte kartki wyborcze do kapeluszy albo przy piersi. Olbrzymie, spokojne tłumy wypełniły ulice, niebieskie bluzy robotnicze i błękitne kurtki gwardii narodowej płynęły ulicami jak rzeka. Powiewały sztandary, błyszczała broń, jaśniały uśmiechy, rozchwytywano u sprzedawców kwiaty. Następnego dnia wyniki wyborów nie były jeszcze wiadome, ale Paryż nie miał co do nich najmniejszej wątpliwości. W nowej olbrzymiej manifestacji, na placu przed ratuszem uczestniczyło ponad 200 tysięcy osób. Na czele tłumów wkroczyły przy biciu bębnów bataliony gwardii narodowej, niosąc na drzewcach sztandarów rewolucyjne czapki frygijskie, a na bagnetach karabinów — czerwone proporczyki. Potężny śpiew Marsylianki uderzył pod niebo, wszystkie orkiestry razem zagrzmiały nieśmiertelną pieśnią wolności, tysiące karabinów i czerwonych chorągiewek wzniosło się nad tłumami.

W ogłoszonym po południu składzie Komuny Paryskiej Paryż wyraził swoją wolę. Wybrano 80-ciu członków Komuny Paryskiej, a wśród nich 25 robotników, stanowiących zwartą grupę organizatorów międzynarodowego ruchu robotniczego w latach ostatnich. Weszli więc do Komuny: tokarz Langevin, giser Duval, farbiarz Malon, stolarz Pindy, złotnicy Leo Frankel i J. Durand, szewc Dereure, brązownik Camelinat, a dalej inni — wszyscy ludzie pracy, warsztatu: Champy, Chalain, Amouroux, V. Clement, E. Gerardin, A. Arnaud, A. Clemence, Demay, Descamps, C. Dupont. Bliscy poglądami byli im Beslay, Jourde, Vaillant, J. Valles, Vermorel, Lefrançais, Charles Longuet, Courbet i Eugeniusz Pottier. Mieli oni stanowić w przyszłości grupkę „umiarkowanych" realistów nowego rządu, a znaleźli się wobec większości, nie mającej zdecydowanego charakteru. Wśród tej większości byli i skrajni utopiści, i zwolennicy kompromisu, i namiętni mówcy, i radykalni publicyści, i przedstawiciele różnych lewicowych klubów, a wreszcie indywidualiści i anarchiści o tendencjach nieraz zupełnie mglistych. Określoną doktrynę gospodarczą i polityczną reprezentowali zatem wyłącznie towarzysze Varlina, przyzwyczajeni do ponoszenia odpowiedzialności, do ścisłości w wypowiedziach, do dyscypliny partyjnej, do pracy spokojnej, dalekiej od demagogii i chęci popisu.

Ponieważ od zarządzenia Thiersa Paryż był pozbawiony wszystkich organów administracyjnych, przywódcy robotników od razu zabrali się do odtworzenia niezbędnych służb. Paryż musiał posiadać finanse, pocztę, pieniądz, podatki, organizację pracy, kierownictwo zaopatrzenia ludności i armii rewolucyjnej, uzbrojenie. Po oblężeniu było w Paryżu 300 tysięcy bezrobotnych, potrzebujących stałego zasiłku. Gwardie narodowe musiały również z czegoś żyć. Niezmęczony, skromny, małomówny, trafny w sądach i bystry w decyzjach Varlin wziął do pomocy Jourde'a i zajął się sprawami finansowymi. Już o godzinie dziesiątej wieczorem zasiłek i żołd był rozesłany do okręgów. Dużą pomoc okazał tu radykalny z przekonań dyrektor Banku Francji, Beslay. Po finansach Varlin uporządkował zaopatrzenie w żywność, a następnie intendenturę — wszędzie obecność jego zapewniała porządek i dyscyplinę pracy. Do ogromnego uznania, jakie zdobył w latach organizowania ruchu zawowodowego wśród brązowników, blacharzy, robotników budowlanych, tkaczy, drukarzy, górników — przybywa teraz wdzięczność setek tysięcy ludności paryskiej, podziwiającej jego zaradność, pracowitość, życzliwość i prostotę. Dzięki Varlinowi i Jourde'owi cała machina administracyjna Paryża funkcjonowała przy pomocy 10.000 pracowników, kiedy poprzednio zatrudniano ich 60.000.

Takiej pracy od podstaw poświęcili się prawie wszyscy członkowie Międzynarodówki, jeden tylko Leo Frankel mógł zająć się dziełem budowania socjalizmu, organizując pracę i po raz pierwszy wcielając idee socjalistyczne Międzynarodówki w życie. Szedł po linii robotniczej autonomii i syndykalizmu. Organizacje związkowe otrzymały rozkaz spisania wszystkich opuszczonych warsztatów pracy i porzuconych narzędzi. Na wniosek piekarza Tabouret zakazano pracy nocnej. Ceny miały

być na przyszłość ustalane w porozumieniu z przedstawicielem rządu, delegatem związkowym i delegatem zainteresowanych robotników. Olbrzymia praca organizacyjna musiała oczywiście dotknąć wielkiej ilości najróżniejszych drobnych i poważnych problemów.

Komuna Paryska miała charakter ciała ustawodawczego i wykonawczego. Każdy pracownik administracji, poczynając od członków Komuny, pełnił służbę publiczną za płacę roboczą. Armia stała uległa zniesieniu, zastąpiła ją złożona głównie z robotników gwardia narodowa. W miejscu stałego wojska — uzbrojony lud. Naukę w szkołach zadekretowano jako bezpłatną, wyjętą spod wpływu kościoła i państwa. Urzędnicy sądowi mieli być odtąd obieralni, odpowiedzialni i usuwalni. Komuna miała się stać formą polityczną powszechną, nawet w najmniejszej wiosce; armia w całym kraju — zastąpiona przez milicję ludową. Ustrój komunalny miał zorganizować jedność narodu, stawiając granice wszechwładzy państwa. W istocie swojej Komuna stawała się pierwszym na świecie rządem klasy robotniczej, wynikiem zwycięskiej walki robotników z przywłaszczycielami. Narzędzia produkcji miały przejść na własność ogółu, jedynym właścicielem ziemi i jej wnętrza stawał się lud. A wszystko miało być jawne, ogłaszane ludowi, poddawane pod ocenę krytyczną mas.

W tej gorączkowej pracy, organizującej życie na zupełnie nowych podstawach, całe miasto brało niezmiernie żywy udział. Dzienniki, sprawozdania, dekrety, afisze, ogłoszenia — odczytywano z najwyższym zainteresowaniem. Jakieś radosne upojenie opanowało Paryż, każdy dzień był jakby świętem — przynosił dobre nowiny, nowe myśli, ład, sprawiedliwość, radość.

Forty na południu, czyli na lewym brzegu Sekwany, oraz forty na zachodzie od strony Wersalu, podobnie jak wszystkie rogatki i wyloty miasta, zostały obsadzone przez gwardię narodową. Dochodziło już coraz częściej do starć z „wersalczykami", jednakże nie było jeszcze walk poważniejszych. Naczelni wodzowie Komuny, Cluseret a po nim Rossel, pierwsi delegaci Komisji Wojny Komuny Paryskiej, nie mieli planów działania, zwlekali z organizacją, nie troszczyli się należycie o uzbrojenie, nie wprowadzili dyscypliny. Tymczasem Thiers gromadził wojska, ściągał z portów wojennych działa morskie i przygotowywał jednocześnie wojskową i propagandową ofensywę na Komunę, obrzucając ją setkami potwornych oskarżeń i kalumnii.

W początkach kwietnia napięcie wzrosło. W Wersalu widziano wziętych do niewoli gwardzistów, bitych niemiłosiernie, z oberwanymi uszami, pokrwawionych, rzucanych do cuchnących ciemnic. Prusacy zwolnili liczącą kilkadziesiąt tysięcy żołnierzy armię francuską — miała ona poskromić zrewoltowane miasto. W całej Francji reakcyjne środowiska: klerykałowie, monarchiści, bogaci fabrykanci i mieszczanie, prowadziły nagonkę na Komunę. Chłopstwu, młodym rekrutom w szczególności, przedstawiano komunardów jako rabusiów, podpalaczy, przeciwników Boga i człowieka.

W tej sytuacji apelują do Thiersa najpierw merowie Paryża, następnie opowiadają się za kompromisem z Komuną prawie wszyscy kupcy i przemysłowcy Paryża, wreszcie wysyłają do Wersalu swoich delegatów członkowie lóż masońskich, a również w departamentach działają na rzecz pojednania organizacje republikańskie, ale wszystko na próżno. Thiers postanowił wytępić socjalistów i komunistów raz na zawsze. Komuna Paryska musi więc pomyśleć na serio o przygotowaniach do walki. Jest za późno, ale trzeba zrobić co można.

Z ust Varlina, Delescluze'a padają w tym czasie dwa polskie nazwiska. Najpierw mianowany jest generałem i dowódcą armii na prawym brzegu Sekwany Jarosław Dąbrowski, a w kilkanaście dni później na lewym brzegu zostaje dowódcą Walery Wróblewski. Na obu przyjaciół przyszedł wyczekiwany wielki egzamin bojowy.

Od tej chwili dwaj dowódcy widywali się stosunkowo rzadko. Każdy z nich znalazł się od razu w wirze spraw wojskowych, organizacyjnych, w środowisku nowym, które należało opanować, ogarnąć, wdrożyć do działania, posłuchu, zrozumienia. Różnice w temperamentach i postawie sprawiały, że Jarosław miał mniej trudności z gwardzistami, więcej zaś z Komisją Wojny i sztabem. Odwrotnie — spokojniejszy, ale mniej władczy Wróblewski, miał początkowo więcej trudności ze swoimi dzielnymi, ale niesfornymi wojakami, natomiast lepiej udawało mu się ze zdobywaniem broni, amunicji i zaopatrzenia.

Wychowanie w szkole kadeckiej, służba od wczesnej młodości w wojsku carskim na Kaukazie, pięć lat liniowej pracy w stopniu podporucznika w oczekiwaniu na awans, wreszcie ukończenie z wyróżnieniem Akademii Wojskowej w Petersburgu i stanowisko sztabowe w Warszawie — wszystko to sformowało typową sylwetkę dowódcy. Jarosław Dąbrowski i na polu bitwy i na przeglądzie od razu zdobywał żołnierza, miał po prostu we krwi dowodzenie, znał sposób traktowania i spraw wojskowych i samych żołnierzy. Gwardziści wiedzieli o nim ponadto, że napisał książkę o wojnie austriacko-pruskiej, że w Lyonie wyszła jego broszura, krytykująca generała Trochu i metodę prowadzonej przez niego obrony Paryża. Takie fakty jeszcze bardziej wzmacniały jego autorytet. Więc kiedy artylerzyści Komuny na avenue de la Grande Armée lub gdzie indziej dostrzegali kłusującego ku nim zgrabnego jeźdźca, to nikomu nawet do głowy nie przyszło podawać w wątpliwość jego autorytet. Był to wódz — i kwita! Kiedy pociski „wersalczyków" dziurawiły jezdnię i rujnowały fasady przyległych domów, koń Dąbrowskiego zachowywał się niespokojnie, ale sam młody generał był jak przyrośnięty do siodła, wprawnie posługiwał się lunetą, pocisków jakby nie zauważał, a do artylerzystów umiał przemówić krótko a trafnie. Wyższość Dąbrowskiego w rzemiośle wojennym i dowodzeniu była wyraźna, bezsporna, rzucająca się w oczy. Wiedziano, że drugiego takiego dowódcy Komuna nie posiada. Byli tam dowódcy nieustraszeni, byli i opanowani albo pełni temperamentu znawcy walk ulicznych oraz sztuki fortyfikacyjnej. Otóż wydało się, że Dąbrowski łączy wszystkie ich za-

lety i że nie ma żadnej z tych wad, o których zwykle najlepiej wiedzą prości żołnierze.

Więc odjeżdżającego od baterii i kłusującego wzdłuż całej linii generała żegnały pełne uznania spojrzenia gwardzistów. O jego odwadze chodziły już legendy.

Gorzej przedstawiała się sytuacja w Komisji Wojny, w Komisji Artylerii, w sztabie Rossela, w intendenturze. Uzbrojenie, działa, mundury, oddziały dla zluzowania przemęczonych batalionów — wszystko to zdobywać trzeba z trudem, niemal wyrywać z gardła. Dąbrowskiego nieraz ponosiło wzburzenie, opuszczał swoją pozycję i sam galopował do ratusza, gdzie skarżył się Delescluze'owi, miotał się na sprzeczne zarządzenia Komitetu Centralnego, na biurokratyzm, opieszałość i niezrozumienie potrzeb wojennych w Komisjach. Atakując innych, sam z kolei bywał atakowany. Posunięto się nawet do tego, że dwukrotnie zakwestionowano jego lojalność wobec Komuny: raz, kiedy opuścił pozycje i przybył do śródmieścia stosownie do otrzymanego rozkazu, drugi raz, kiedy Thiers wszczął machinacje zmierzające do tego, aby obu polskich generałów jakoś odciągnąć od Komuny, przekupić ich i skompromitować.

Generał Wróblewski stał daleko od przyjaciela na linii fortów południowych, stanowiącej jakby cięciwę łuku Sekwany. Były to forty Issy, Vanves, Montrouge, reduty Hautes-Bruyères i Villejuif, wreszcie fort Ivry na lewym skrzydle tego frontu. Forty posiadały załogi po kilkuset gwardzistów i po 20—50 dział. Razem siła ta wynosiła blisko 11.000 ludzi. Część sił rozlokowana była w okopach i rejonach pomiędzy fortami, lub w tyle za nimi, we wsiach Gentilly, Cachan i Arcueil. Początkowo Wróblewski objął odcinek tylko do Arcueil, później chwiejny Rossel rozciągnął zasięg jego władzy na całą cięciwę, lub też wyłączał mu jakieś ogniwo obrony. Wróblewski pogodnie przyjmował te zmiany i tylko pilnie czuwał nad całością, ażeby nie dać się zaskoczyć.

Skromny, bez jakiejś specjalnej oficerskiej zaprawy, której w Leśnym Instytucie w Petersburgu wiele nabyć nie mógł, z małą wojenną praktyką z partyzantki 1863 roku, z początku wydawał się gwardzistom dowódcą zbyt niepozornym. Gwardzistów miał i zuchwałych i niesfornych jednocześnie. Byli to synowie szczerego paryskiego proletariatu, wszystko u nich zależało od tego czy chcieli się bić czy nie, czy tak czy inaczej „uważali". Początek znajomości między polskim dowódcą a załogą jednego z fortów miał przebieg dość charakterystyczny.

Podczas przeglądu oddziału generał Wróblewski wytknął kilka niedokładności i już miał się pożegnać, kiedy nagle z szeregu wystąpił wysoki, chudogęby gwardzista.

— Macie coś do powiedzenia? — spytał Wróblewski.

— Ma-am! — odrzekł gwardzista, przybierając niedbałą postawę. Bo my tu przeczytaliśmy...

Tu powtórzył treść napaści, wydrukowanej przez pismaków Thiersa. Było tam powiedziane, że rzekomo znakomity dowódca polski, Wróble-

wski, włóczył się przed wojną po balach i zabawach, ucząc za pieniądze tańca i dobrych manier.

— Więc co? — zapytał Wróblewski, wbijając w żołnierza oczy nadspodziewanie twarde. Znaki po ospie zaznaczyły mu się na policzkach wyraźniej. — Więc co?

— Ja... nic! Ale... chcielibyśmy wiedzieć...

— Mówić tylko od siebie! — twardo rozkazał Wróblewski.

— No, to od siebie! — gwardzista opanował się i bezczelnie mrugnął okiem na kolegów. — Czy to wy, obywatelu, uczyliście panienki tańca i tych dobrych manier? Bo jeżeli tak...

— To co?

— No, nic! Tak, w ogóle! Śmieszne, nie?

Po szeregu przeszedł szmer. Wróblewski spojrzał po gwardzistach i mimo woli także się uśmiechnął. Istotnie, co maître tańca i dobrych manier miałby do roboty wśród tych dryblasów, z których są najlepsi na świecie żołnierze...

Uśmiech ten rozładował atmosferę.

— Jak się nazywacie? — zapytał Wróblewski interpelanta.

— Dupont.

— Dupont? A to doskonale! Jest członek Komuny — Dupont. Dzielny człowiek! Czy to wasz krewny?

— Nie, obywatelu.

— A właściciel hotelu na ulicy Boursoufle, też Dupont? Bo ten — to znów łajdak i lichwiarz! Znam go dobrze!

— Nie, obywatelu, Dupontów jest dużo.

— No, widzicie! Wróblewskich jest w Polsce tak samo dużo. Ja sam... cóż? Dobre maniery, to rzecz przyjemna, ale co do tańczenia... bardzo chciałbym! Moi drodzy, ja jeszcze wciąż utykam po ranach sprzed siedmiu lat. To o innym Wróblewskim. Nawet go znam. Na dowódcę nie nadaje się absolutnie. Takie jest moje zdanie. Macie co jeszcze?

— Nie, obywatelu generale!

— Ale ja mam — powiedział Wróblewski. — Na przyszłość — nie zawracać mi głowy głupstwami! Dupont, zrozumiano?

— Tak jest, obywatelu — odrzekł trochę zbity z tropu Dupont.

— Sprawdzę przy okazji, co jesteście warci nie podczas apelu, ale w boju! — zakończył rozmowę Wróblewski.

Z takich drobnych, a niekiedy znów doniosłych incydentów formowała się stopniowo zażyłość tych paryskich żołnierzy z polskim dowódcą.

W miarę przybywania „wersalczykom" posiłków i ciężkich dział front twardniał, a zaciętość rosła. Dąbrowski i Wróblewski w sam czas zjawili się na swoich posterunkach, wprowadzając od razu szwankujące poprzednio czujność, ład, dyscyplinę. Już po kilku dniach małego szemrania zrozumiano w batalionach, jak wielka zaszła poprawa. Zaskoczenia skutkiem braku placówek i wedet albo ich zaśnięcia zdarzały się co-

raz rzadziej. Walczące bez przerwy bataliony zaczęto luzować. Prawidłowe rozmieszczanie odwodów pozwalało w razie potrzeby na szybkie przywrócenie utraconych stanowisk. Wzmogła się troska o żołnierza, wzrosły w stosunku do niego również i wymagania.

„Wersalczycy" rozstrzeliwali teraz wziętych do niewoli sfederowanych gwardzistów. Wobec tego Komuna wzięła zakładników, proponując wymianę ich na rewolucjonistę Blanqui, trzymanego w areszcie przez Thiersa. Jednakże nowe próby pertraktacji i mediacji nie dały wyniku: rozprawa miała aż do końca przybierać na gwałtowności i okrucieństwie ze strony „wersalczyków".

W początku maja cała siła wielkiej armii napastniczej runęła na front południowy. Fort za fortem ulegał pod morderczym ogniem armatnim. Wróblewski odbił nad ranem 11-go maja utracony fort Vanves; szturmował go z bagnetem w ręku na czele dwu batalionów. Był to już drugi fort utracony i odebrany; poprzednio wydarzyło się to samo z fortem Issy, którego załoga odeszła, pozostawiając tam rannych i opiekującego się nimi doktora Borzobohatego. Dnia 14-go maja znów umilkły działa fortu Vanves, garnizon jego cofnął się przez kamieniołomy Montrouge, więc pozycjom lewego brzegu ponownie zagroziło oskrzydlenie. Wobec tego Wróblewski zaczął barykadować dzielnice południowe przedmieść. Zanosiło się na walki uliczne.

Wzmógł się również nacisk na front generała Dąbrowskiego. Od Lasku Bulońskiego leciała na Łuk Triumfalny i Pola Elizejskie istna ulewa pocisków. Bombardowanie trwało niemal bez przerwy. Tam też nastąpiło niespodziewane wtargnięcie nieprzyjaciela przez rogatkę Saint Cloud. Stało się to w nocy 21-go maja, kiedy z niewytłumaczonych powodów jeden z oddziałów nie zajął na czas wyznaczonego odcinka. Podejrzewano zdradę, ale nie było czasu na dochodzenia: wróg znalazł się na drodze do śródmieścia, był o parę kilometrów zaledwie od ratusza i pałacu Tuilleries, gdzie właśnie — pod arkadami — odbywał się olbrzymi koncert ludowy na rzecz wdów i sierot.

Była to noc ciepła i wygwieżdżona. Wyłom w pozycjach rósł, mimo oporu najlepszych batalionów. Generał Dąbrowski zebrał wszystkie odwody i uderzył, ale przeciwnika, który opanował ruiny domów i barykad nie wyparł z powrotem, zdołał go tylko zatrzymać. Obiecane posiłki nie nadchodzą. Nad ranem Dąbrowski ocenił, że niebezpieczeństwo jest chwilowo zażegnane i pogalopował sam do Komitetu Ocalenia Publicznego, powołanego skutkiem groźnej sytuacji na frontach. Ale obietnice nadesłania posiłków i dział nie były dotrzymane. Generał Dąbrowski, kontuzjowany, zbierał rozpraszających się nieustannie gwardzistów na linię walki. A jednocześnie na lewym brzegu generał Wróblewski stwierdził, że obrońcy fortu Petit Vanves poszli o 5-ej rano spać do swoich domów i dopuścili patrole nieprzyjacielskie aż na plac Trocadero.

Jakaś niemoc sparaliżowała bohaterskie miasto!

Pada hasło: na barykady! Paryżanin ma dość walki w polu, w fortach, na pozycjach; pragnie powrócić do swojej tradycyjnej obrony ulicznej na barykadach. Oficjalna odezwa „romantyków", jak zwano grupę utopistów-członków Komuny potępia sztaby, krytykuje dotychczasową organizację obrony — i wzywa do walki rewolucyjnej na barykadach ulicznych.

Paryż zrywa się do walki, przecina ulice barykadami, tłumnie wyrusza na wroga. Jest już jednak za późno. Nowe oddziały po dwustu ludzi w każdym powstają na poczekaniu i wsiąkają w nową obronę, która przebiega przez ulicę Myrrah i plac de la Concorde z jednej strony Sekwany, a przez Panteon i nową pozycję Wróblewskiego, Buttes-aux Cailles, z drugiej. Z Buttes-aux-Cailles szesnaście dział Wróblewskiego broni dostępu do nowej linii, przebiegającej już niedaleko Sekwany. Kwatera Wróblewskiego mieści się teraz w merostwie des Gobelins.

Nagle w całym mieście błyskawicznie rozeszła się wieść, że generał Dąbrowski zginął! Zaniesiono go na ratusz i złożono na katafalku w pokoju, w którym pracował sztab Delescluze'a, do końca spełniający swoje obowiązki. Ale oto przychodzi chwila, że trzeba ewakuować i ratusz... Obrona przenosi się stopniowo na wschód, ku dzielnicom robotniczym, ku Bastylii i cmentarzowi Père Lachaise. A jeszcze dalej — ale już blisko — stoją z bronią u nogi i zapalonymi przy działach lontami oddziały armii pruskiej, przyglądającej się bratobójczej walce Francuzów.

Nikt z przywódców i kierowników Komuny nie pełni swoich dawnych obowiązków: wszyscy pochwycili za broń, każdy dowodzi — walcząc jednocześnie jak prosty żołnierz. Varlin bije się na barykadach przy skrzyżowaniu ulic zwanym Croix-Rouge, jego towarzysz partyjny Malon — w Batignolles, La Cecilia — na Montmartrze. W kompletnym milczeniu tysiące ludzi wznosi wciąż nowe barykady. Czasami któryś ze sfederowanych zwróci się poważnym głosem do przechodnia: „Obywatelu, przyłóżcie ręki, przecież to właśnie za waszą wolność umieramy".

Nadszedł wieczór, przesycony dymami, spalenizną, zapachem prochu.

Tymczasem dnia poprzedniego wieczorem u stóp kolumny Lipcowej na placu Bastylii przedefilowały przed poległym generałem gwardie narodowe. Komuna spowiła swego bohatera w czerwony sztandar, zapaliła wokoło niego setki pochodni, wysłała w mroki nocne dojmujące łoskoty werbli... Vermorel odszedł na chwilę od swej baterii, stanął nad katafalkiem, imieniem armii ludowej pożegnał towarzysza, po czym powrócił na barykadę i wysyłał pocisk za pociskiem. Gwardziści, którzy służyli pod Dąbrowskim, biegli teraz, żeby go pożegnać ucałowaniem w chłodne czoło. Ostatni adiutant pełnił przy nim straż...

I mało kto zdaje sobie sprawę z tego, że poległy generał Komuny porwał się już dawniej na potężne imperium carów, że nosił w sobie plany wzniecenia rewolucji w całej Europie!

Wróblewski dowiedział się o śmierci przyjaciela na swej reducie Buttes-aux-Cailles. Sąsiednia pozycja na stokach wzgórza Panteonu padła. Cztery razy szli „wersalczycy" do szturmu, cztery razy odparło ich prze-

ciwnatarcie Wróblewskiego. Przez cały dzień 24-go maja i następny wszystkie opanowane przez Thiersa forty zieją ogniem na tę ostatnią redutę lewego brzegu, przeszkadzającą „wersalczykom" w podaniu sobie rąk przez Sekwanę i w ostatecznym wyparciu sfederowanych do ostatnich wschodnich punktów oporu. Raz po raz nadchodzą do Wróblewskiego rozkazy, żeby się wycofał, ale uparty generał trwa aż do chwili, kiedy „wersalczycy" zaczynają przenikać pomiędzy redutę a Sekwanę. Wtedy Wróblewski osłonił się małymi przejściowymi pozycjami, zabrał swoje i zdobyczne armaty i cofał się ku mostowi Austerlitz. Nie mógł uczynić inaczej, teraz, gdy już ostatni fort Ivry został opuszczony i wysadzony w powietrze. Po sławnej obronie Buttes-aux-Cailles — z kolei ten metodyczny, spokojny odwrót zaciekłych batalionów 175, 176 i 101 przechodzi do historii.

Dnia 25-go maja dokonano ostatniego wysiłku. Varlin, Leo Frankel, Brunel, Delescluze, Vermorel i Wróblewski z kilkoma przyjaciółmi-Polakami organizują jeszcze jeden system barykad na placu Bastylii, na bulwarze Voltaire'a, na przedmieściu Temple. Pierścień oblegających zacieśnia się. Zbliża się koniec, historia proletariatu zapisuje na swych kartach czołowych przywódców ruchu robotniczego oraz oddanych ich sprawie żołnierzy rewolucji. Niektórzy, jak stary Delescluze, nie chcą stać się igraszką w rękach zwycięzców: ci dobrowolnie szukają śmierci na barykadzie. Inni biją się i zamierzają walkę prowadzić dalej, kiedy barykad już nie stanie: ci spróbują zejść z ostatniej barykady — w podziemia.

Wróblewski i Varlin szukali śmierci, ale jej nie znaleźli. W zapamiętaniu walki, pośród setek umierających i poległych, spostrzegli — że są już prawie ostatni...

Stanisław Strumph Wojtkiewicz

Z powieści „Niech żyje Komuna!"

JERZY ANDRZEJEWSKI

Człowiek radziecki: „świadomość samego siebie"

„Po rewolucji lipcowej — pisał Marks w „Walkach klasowych we Francji od 1848 roku do 1850 roku" — liberalny bankier Laffitte, odprowadzając z tryumfem swego kompana, księcia Orleańskiego, do Hôtel de Ville, rzucił następujące słowa: „Odtąd będą panowali bankierzy". *)

Otóż w owych latach trzydziestych, w latach panowania we Francji bankierów i królów giełdy, gdy według określenia Balzaka każda sfera społeczna składała „swoją ikrę w sferze wyższej" i gdy wszystko pobudzało „prący ku górze ruch pieniądza" — autor „Komedii Ludzkiej" w jednym ze swoich utworów, a mianowicie w „Dziewczynie o złotych oczach", w taki sposób odmalował nędzę paryskiego proletariatu:

„Robotnik-proletariusz, człowiek, który porusza nogami, rękami, językiem, grzbietem, jednym ramieniem, pięcioma palcami, aby żyć; otóż ten, który przede wszystkim powinienby oszczędzać motor swego życia, nadużywa swych sił, zaprzęga żonę do jakiejś machiny, zatrudnia swoje dziecko i przygważdża je do jakiegoś trybu. Fabrykant, ten jakiś poboczny sznur wprawiający swoim drganiem w ruch owo plemię, które swymi brudnymi rękami lepi i złoci porcelanę, szyje ubrania i suknie, ciągnie żelazo, obrabia drzewo, poleruje stal; kręci konopie i nici, wygładza brąz, rżnie kryształ, wyrabia sztuczne kwiaty, przędzie wełnę, tresuje konie, plecie rzędy i galony, wycina miedź, maluje powozy, gnie młode wiązy, grępluje bawełnę, wydyma szkło, trawi diament, szlifuje metal, rżnie w płyty marmur, gładzi kamienie, ubiera myśl, barwi, bieli i czerni wszystko; otóż podmajstrzy ów przyrzekł temu światu potu i woli, wiedzy i cierpliwości, nadzwyczajny zarobek czy to w imię kaprysów miasta, czy to na głos potwora zwanego Spekulacją. Za czym te czwororęki jęły czuwać, cierpieć, pracować, kląć, głodzić się, dreptać; wypruli z siebie wszystkie siły, aby zdobyć złoto, które ich wabi. Następnie obojętni na przyszłość, łakomi użycia, licząc na swoje ramiona jak malarz na swą paletę, rzucają — jednodniowi magnaci — co poniedziałek swoje pieniądze w szynkownie, tworzące dokoła miasta istną obręcz z błota, przepaskę najbezwstydniejszej Wenery, wciąż wkładaną

*) Karol Marks i Fryderyk Engels. Dzieła wybrane. Książka i Wiedza, 1949. Tom I, str. 131.

i zdejmowaną, gdzie topi się niby w grze zarobek tego ludu, równie wściekłego w użyciu jak spokojnego w pracy. Przez pięć dni tedy nie ma spoczynku dla tej czynnej cząstki Paryża! Powtarza ruchy, od których krzywi się i grubieje, chudnie, blednie, tryska tysięcznym strumieniem twórczej woli. Potem przychodzi uciecha, odpoczynek: wyczerpująca rozpusta o spalonej cerze, czarna od sińców, blada od pijaństwa lub żółta z niestrawności. Trwa tylko dwa dni, ale kradnie przyszły chleb, całotygodniową zupę, suknie żony, podarte pieluszki dziecka".

Ten obraz rzeczywistości proletariackiej, wywołany wprawdzie przed stu piętnastoma laty, lecz aktualny w ciągu dziesiątków lat później, a i dzisiaj jeszcze znajdujący swe odbicie w wielu krajach kapitalistycznych, przypomniałem tutaj z powodu następującego wspomnienia: kiedy w ów wieczór spędzony w Domu Kultury wyborgskiej dzielnicy Leningradu zaszliśmy do biblioteki — właśnie jeden z czytelników, robotnik już starszy, dobrze po pięćdziesiątce, zwracał bibliotekarce wypożyczony tom Balzaka, w którym obok innych opowiadań mieści się również historia „Dziewczyny o złotych oczach". Wkrótce potem miałem okazję jeszcze raz ujrzeć tego samego robotnika.

Na bibliotece zakończyliśmy zwiedzanie Domu Kultury i przeszliśmy o piętro niżej, do sali teatralnej, gdzie zaczął się dopiero co wieczór poświęcony twórczości Czajkowskiego. Duża amfiteatralnie zbudowana sala, obliczona na dwa tysiące miejsc, pełna już była ludzi. Za chwilę orkiestra złożona z samych muzyków-amatorów miała odegrać Szóstą Symfonię. Nim jednak pokazał się dyrygent i zagrzmiały oklaski, na salę wsunął się jeszcze jeden słuchacz. Był nim właśnie spotkany przed kilku minutami czytelnik Balzaka, teraz również z książką pod pachą. Przez chwilę stał przy drzwiach, rozglądając się za wolnym miejscem, aż wreszcie dostrzegł, że ktoś z dalszych rzędów kiwa w jego stronę. Była to kobieta, również chyba lat pięćdziesięciu, krzepka, o dużej i szczerej twarzy rosyjskiej chłopki. Gdy zajął wolne obok niej miejsce, położył książkę na kolanach i głowy obojga pochyliły się nad nią. Zaraz je jednak podnieśli, ponieważ strojenia instrumentów ucichły i na estradę wszedł dyrygent, jedyny, jak mnie poinformowano, zawodowy muzyk w tym zespole symfonicznym.

Opowiadając to zdarzenie, nie chcę bynajmniej twierdzić, że w ustroju kapitalistycznym nie mogą istnieć i nie istnieją robotnicy o zainteresowaniach kulturalnych i naukowych, wykraczających poza ich pracę zawodową. Chcę natomiast powiedzieć, że we wszystkich ustrojach dotychczasowych, z kapitalistycznym włącznie, klasy rządzących posiadaczy zawsze były jak najbardziej zainteresowane w tym, aby klasy przez nich uciskane i na nich pracujące nie miały do nauki i kultury bądź żadnego dostępu, bądź aby dostęp ten podlegał ograniczeniom zarówno od strony ilości odbiorców jak i od strony odpowiednio regulowanego dozowania udostępnianej wiedzy i sztuki.

W jednej tylko dziedzinie, a mianowicie w dziedzinie religijnych wierzeń i obrządków, klasy uprzywilejowane nigdy się nie lękały dopuszczać do swych doświadczeń warstw uciskanych. Lecz ten wyjątek nie tylko się nie kłócił z ową ogólną zasadą, lecz przeciwnie, służył jej, ponieważ każdy system religijny popierany przez klasę posiadaczy zawsze w taki czy inny sposób, w zależności od sytuacji, tłumaczył, usprawiedliwiał i sankcjonował nierówności panującego systemu gospodarczo-społecznego. Niewolnik rzymski nie stawał się niebezpiecznym dla Imperium, jeśli składał swą skromną ofiarę pod wizerunkiem tego samego bożka, którego posągi zdobiły pałace senatorów, a chłopi w ciągu wielu wieków swojej niewoli mogli swobodnie i nie narażając równowagi ustroju wchodzić do tych samych katedr i kościołów, w których modlili się książęta i rycerze. Wprawdzie posiadacz mógł swego chłopa bezkarnie zabić, okaleczyć, wtrącić do więzienia, lecz chłop, pozbawiony wszelkich innych praw, mógł w kościele umocnić swoją wiarę, że jeśli zgodnie z nauką religii będzie posłusznie wypełniać swoje obowiązki niewolnika — bramy nieba otworzą się przed nim tak samo, jak przed księciem. Rzecz natomiast charakterystyczna, że gdziekolwiek i kiedykolkwiek powstawał ruch religijny biorący w obronę klasy uciskane, posiadacze natychmiast go niszczyli mieczem i ogniem. Rzym prześladował młode chrześcijaństwo, dopóki było religią plebsu. Lecz gdy to samo chrześcijaństwo poczęło przenikać do warstw wyższych stało się religią panującą i z kolei Kościół począł przez długie wieki prześladować ruchy wyzwoleńcze, solidaryzując się z polityką rządów reakcyjnych. Ileż mówią same daty! Zwycięstwo Konstantyna nad Maksencjuszem w roku 312 zadecydowało o uznaniu religii chrześcijańskiej za oficjalną religię Cesarstwa. Ale już jeden z kanonów soboru w Gangra (rok 358) postanawia, że:

„jeśli ktokolwiek pod pozorem pobożności naucza niewolnika, by zamiast być sługą pełnym dobrej woli, pogardzał swoim panem i odmawiał mu służby oraz szacunku, ten niech będzie wyklęty".

W kilkadziesiąt lat później św. Augustyn powie w swoim „Państwie Bożym" jeszcze dokładniej:

„Niewolnictwo zostało ustanowione przez Boga, jako kara za grzechy; jeśli więc kto chce je znieść, ten sprzeciwia się woli Bożej... Misja Kościoła polega nie na uwolnieniu niewolników, lecz na uczynieniu ich dobrymi... Jakże więc bogaci zobowiązani są wobec Chrystusa, który zaprowadza ład w ich domach."

Podobne sformułowanie nie jest bynajmniej odosobnionym poglądem Augustyna. Już w IV wieku św. Ambroży oświadczył, że „niewolnictwo jest dane od Boga". A św. Jan Chryzostom, komentując list św. Pawła do Koryntian stwierdził:

„Niewolnik powinien się poddać swemu losowi, ponieważ słuchając swego pana jest posłuszny Bogu". *)

Jeden z bohaterów Balzaka — kogóż z pisarzy cytować, jeśli nie Balzaka, gdy mowa o zwyrodnieniach kapitalizmu? — wykrzyknął do swojej siostrzenicy, kiedy ta zamierzała uczynić nierozważny krok życiowy:

„Wyrzeknij się w dwie minuty zbawienia, jeśli chcesz iść do piekła, zgoda! Ale zastanów się dobrze, kiedy chodzi o to, aby wyrzec się swojej renty".

Wkrótce potem jeden z najwybitniejszych przedstawicieli francuskiej reakcji katolickiej, Louis Veuillot, wypowie tę samą prawdę:

„Kto nie wierzy w Boga, musi być posiadaczem, żeby wierzyć we własność".

Burżuazja, która swoje pierwsze księgi handlowe, rewersy i weksle podpisywała w swoich kantorach z modlitwą na ustach i w imię Boga jako dobrego patrona interesów, już od dawna zamieniła dogmaty i przykazania na bankowe sejfy i pakiety akcji, a purytańską moralność swoich przodków na rozwiązłość cuchnącą jak ryba gnijąca od głowy. Sam jednak cyniczny i załgany, brutalny i tchórzliwy burżua nie zapomina, że w religii, którą osobiście pogardza, może znaleźć sojusznika w walce z postępem i z siłami podnoszącego się do walki proletariatu. Tak więc niezmiennie — od pierwszych Ojców Kościoła aż po ostatnie encykliki papieskie — Kościół wraz ze swoją nauką i moralnością był i pozostał jedyną dziedziną, do której dostępu warstwom uciskanym klasy posiadające nie tylko nie wzbraniały i nie ograniczały, lecz same, świadome, że obronę swoich interesów oddają w pewne ręce, skierowywały plebs, chłopów i robotników na drogę religii.

Inaczej się natomiast rzecz przedstawia z upowszechnieniem nauki i kultury. Kapitalizm nie może się obyć bez proletariatu, lecz jego ideałem jest taki proletariat, jakim dojrzał go w jego najdotkliwszym poniżeniu Balzac: proletariat silnych rąk i nieprzebudzonych umysłów.

Rzecz jasna, że w swej polityce wobec warstw pracujących klasa posiadaczy musi zawsze i przede wszystkim, nawet za cenę kręcenia sznura na własną szyję, kierować się swoją korzyścią materialną. Niewolnicze ustroje starożytności lub średniowieczny feudalizm, potrzebując dla swej gospodarki tylko tanich i licznych rąk roboczych, mogły sobie pozwolić na to, aby pozbawione wszelkich praw rzesze niewolników utrzymywać na poziomie egzystencji materialnej i duchowej niewiele

*) Roger Garaudy. L'Eglise, le communisme et les chrétiens. Paris, Editions sociales, 1949.

wyższej od istnienia zwierząt. Jednak z ogólnym postępem cywilizacji, a w szczególności w związku z postępem technicznym, stwarzającym coraz to nowe narzędzia pracy i nowe dziedziny produkcji, sytuacja poczęła się zmieniać. Gdyby współcześni właściciele hut i fabryk samochodowych, prezesi prasowych koncernów i akcjonariusze zakładów zbrojeniowych mogli mieć pewność, że ich zyski z tego powodu nie ucierpią — z pewnością wzorem swoich klasowych poprzedników usiłowaliby odgraniczyć warstwę robotniczą i chłopską od wszelkiej wiedzy. Ponieważ jednak takiej pewności nie mają, a wręcz przeciwnie: pojmują, że przemysł nowoczesny w większości swych gałęzi wymaga od robotników kwalifikacji zawodowych, którym z konieczności musi towarzyszyć pewna, bodaj minimalna, lecz ogólna wiedza — muszą rezygnować z przywilejów dawnych posiadaczy.

Klasa posiadaczy nigdy ani dobrowolnie, ani tym mniej z pobudek humanitarnych nie dzieli się swymi przywilejami z tymi, których uciska i wyzyskuje. Jeśli zaś decyduje się na jakiekolwiek ustępstwa, to jedynie pod naciskiem bezpośredniego przymusu narzuconego jej ze strony uciskanych, bądź ze względu na konieczność dostosowania swej polityki do nowych warunków produkcyjnych. Działając jednak w takich wypadkach wyłącznie pod presją okoliczności zewnętrznych i jedynie w celu zachowania swego stanu posiadania, klasa rządząca z reguły i natychmiast usiłuje swe ustępstwa zdyskontować, stwarzając taki obraz rzeczy, aby mogło się wydawać, że przywileje, które jej wydarto— sama ofiarowała zgodnie z duchem postępu. Tak więc na przykład ustrój kapitalistyczny chełpi się częstokroć swymi osiągnięciami w dziedzinie upowszechnienia kultury, przedstawiając niski procent analfabetyzmu w niektórych swych krajach, lub objęty prawodawstwem w bardziej uprzemysłowionych państwach obowiązek powszechnego nauczania jako osiągnięcia świadczące o kulturze ustroju. Ale Adolf Hitler uczynił w tej dziedzinie zwierzenia, które szczerzej i prawdziwiej od zakłamanych frazesów ujmują całe zagadnienie. W „Mein Kampf", w rozdziale zatytułowanym „Państwo", Hitler tak pisał:

„Państwo ludowe będzie musiało sprowadzić powszechne nauczanie do skróconej, podstawowe zagadnienia obejmującej formy. Niezależnie od tego powinno zapewnić możliwość najstaranniejszego wykształcenia fachowego. Wystarcza, jeśli jednostka uzyska jako podstawę szeroki schemat wiedzy ogólnej i jedynie w tej dziedzinie, która stanie się później dziedziną jej działania, otrzyma najsumienniejsze fachowe wykształcenie w danej specjalności. W ten sposób uzyskane skrócenie planu nauki i zmniejszenie ilości godzin nauczania należy wyzyskać w celu rozwijania sprawności fizycznej, kształcenia charakteru, woli i szybkości decyzji". *)

*) Adolf Hitler. Mein Kampf. Zentralverlag NSDAP. Monachium, 1941, str. 468.

Myśl, która przyświecała führerowi, gdy wypowiadał tę opinię, trafnie została odgadnięta przez obecnych władców Trizonii. Oto z dziennika „Die Welt“ *) — organu władz brytyjskich — możemy się dowiedzieć, że ponieważ ze 107 tysięcy studentów, uczących się w roku 1949/50 na wyższych uczelniach w Niemczech zachodnich (ludność Trizonii obliczana jest na 46 milionów), około stu tysięcy nie znajdzie dla siebie zatrudnienia — na rok 1950/51 przewidziana została redukcja słuchaczów wyższych uczelni do 40 tysięcy. W tym samym okresie w Niemieckiej Republice Demokratycznej (20 milionów ludności) uczęszcza na studia wyższe 44 tysiące młodzieży, a w roku 1950/51 liczba ta ma być podwojona. A czyż nie o tych samych elementach kapitalistycznej polityki kulturalnej w stosunku do mas pracujących świadczą cyfry podane przez „The Columbia Encyclopedie“ z r. 1945? Z wydawnictwa tego możemy się dowiedzieć, że w stanie Luizjana procent analfabetów wynosił w roku 1920 — 8,4%, natomiast w roku 1930 podniósł się do 13,5%. Również to samo wydawnictwo podaje, że w Brazylii ilość analfabetów dochodzi do 80%, a więc przewyższa o kilka procent stan analfabetyzmu w Rosji carskiej z końcem ubiegłego stulecia. O czym to świadczy? Luizjana — jeden z najsilniejszych ośrodków amerykańskiego rasizmu — jest, jak wiadomo, zamieszkała w przeważającej części przez robotniczą ludność murzyńską. Gospodarka produkcyjna Luizjany — to plantacje bawełny i kopalnie nafty. Znów gospodarczymi podstawami słabo uprzemysłowionej Brazylii są: kawa, bawełna, ryż, trzcina cukrowa, tytoń, kopalnie złota, miedzi i żelaza. Czyż nie jasne jest zatem, dlaczego właśnie w stanie Luizjana wzrasta analfabetyzm, a ponad trzy czwarte ludności Brazylii, co stanowi z górą 35 milionów ludzi, pogrążone jest w najsromotniejszej ciemnocie? Kulturalne apostolstwo kapitalistów nie musi ani w Brazylii, ani w innych krajach południowej i środkowej Ameryki zaznaczać swej działalności zakładaniem szkół podstawowych i zawodowych. Właściciele plantacji kawy, bawełny i trzciny cukrowej są w sytuacji o wiele wygodniejszej od tej, w której się znaleźli fabrykanci z Detroit, Sheffield i Zagłębia Ruhry. Ich robotnikom w ich pracy nie jest potrzebna znajomość alfabetu. A nie być zmuszonym do dawania, znaczy w języku kapitalistycznym — nie dawać. Znów ci, którzy ze względu na swoich robotników i rodzaj ich pracy muszą wpisywać w budżecie obok wielozerowych cyfr na zbrojenia skromne sumy na oświatę masową i szkolnictwo zawodowe — dążą zgodnie z formułą hitlerowską do tego, aby wiedza robotnika ograniczona do wiadomości fachowych, te bowiem zapewniają kapitaliście zysk, we wszystkich dziedzinach innych była masom pracującym podana w taki sposób, który zgodnie z interesami posiadaczy i w duchu ich reżimu fałszuje obiektywny obraz rzeczywistości.

Kłamiące radio i prasa krzykliwych nagłówków, music-halle i cyniczno-sentymentalne filmy z happy-endem zachwalającym istniejący

*) „Die Welt“ z dn. 12.IV.1950.

układ społeczny, idiotyczne romansidła, coca-cola i guma do żucia — te uliczne trybuny współczesnych królów konserw i armat, podkoszulków i motorów — oto duchowy pokarm, natrętnie i masowo narzucany masom pracującym przez garstkę posiadaczy w tym przeświadczeniu, że człowiek podobnie zatruty i ogłupiony, zaspokajany jedynie w swych najprymitywniejszych potrzebach i utwierdzany jednocześnie w przekonaniu, że to są szczyty kultury — nie zechce się wyrwać z tego grzęzawiska, ponieważ nie zdoła sobie uświadomić, że zamiast wartości prawdziwych, które potrafi w zakresie wiedzy i sztuki osiągnąć wolny ludzki umysł, otrzymuje nędzne namiastki.

W tych warunkach zrozumiałe jest, dlaczego mimo przeszkód stawianych przez kapitalizm wolnemu rozwojowi myśli ludzkiej, zarysowała się w wieku XIX, a pogłębieniu uległa w naszym stuleciu, katastrofalna przepaść pomiędzy intelektualnym ubóstwem klas pracujących i szczytowymi osiągnięciami postępowej myśli naukowej. Władcy kapitalizmu przy pomocy szpiegów i policji pilnie strzegą tej przepaści, a śmiałków, którzy zrozumieli, że poza tanią wyprzedażą mieszczańskiej rupieciarni istnieje prawdziwy i wspaniały świat twórczej myśli, osadzają pośpiesznie za kratami jako osobników zagrażających publicznemu bezpieczeństwu. Ale rodzaj ludzki, jak opowiada biblijna legenda, już w zaraniu swoich dziejów okazał chwalebną zuchwałość, zrywając rękoma Ewy owoc z drzewa zakazanego, i później mimo największych przeszkód i prześladowań nigdy w ciągu wieków nie rezygnował z tego, aby dłońmi swych najlepszych synów — Galileuszów i Tomaszów Munzerów, Kopernika i Marksów — nie powtarzać czynu pierwszych ludzi. W ciągu paruset ostatnich lat wyrosły w raju kapitalistycznym potężne drzewa z owocami zakazanymi. Wbrew jednak przestrogom religii i jakkolwiek owoce wiedzy tak groźne dla właścicieli kapitalistycznego sadu strzeżone są przez faszystowskich pałkarzy i kościoły nie gorzej, niż przez stugłową Hydrę strzeżone były złote jabłka w ogrodzie Hesperyd („Dzieckiem w kolebce, kto łeb urwał Hydrze — Ten młody zdusi Centaury — Piekłu ofiarę wydrze — Do nieba pójdzie po laury") — coraz więcej uciemiężonych proletariuszy, uświadamiając sobie materialną i duchową nędzę swej egzystencji, sięga śmiało po doświadczenia postępowej ludzkiej myśli. Również i w tej dziedzinie, jak w wielu innych, osiągnięcia ustroju radzieckiego i ludzi radzieckich, stają się pomocą i nauką dla ideowej awangardy mas pracujących jeszcze niewyzwolonych spod ucisku kapitalistycznego i kolonialnego.

W Związku Radzieckim po raz pierwszy w dziejach ludzkości, dzięki rewolucyjnemu obaleniu dotychczasowych, na wyzysku opartych, stosunków gospodarczych i zorganizowaniu nowych, socjalistycznych zasad produkcyjnych stworzone zostały warunki umożliwiające narodziny socjalistycznego humanizmu jako postawy wobec świata i ludzi najpełniej i najwszechstronniej wykorzystującej i rozwijającej twórcze elementy osobowości człowieka.

Przemawiając w październiku 1920 roku na III Ogólnorosyjskim Zjeździe Komunistycznego Związku Młodzieży Rosji, Lenin powiedział między innymi:

„Bez jasnego zrozumienia, że tylko przez ścisłą znajomość kultury, stworzonej przez cały rozwój ludzkości, jedynie przetwarzając tę kulturę można tworzyć kulturę proletariacką — bez zrozumienia tego nie zdołamy rozwiązać zadania.

Kultura proletariacka nie wyskoczyła nie wiadomo skąd, nie jest wymysłem ludzi nazywających siebie specjalistami w dziedzinie kultury proletariackiej. Wszystko to jest absolutną niedorzecznością. Kultura proletariacka powinna być konsekwentnym rozwinięciem zasobów wiedzy, które ludzkość tworzyła w warunkach ucisku kapitalistycznego, społeczeństwa obszarniczego, społeczeństwa biurokratycznego...

Nie trzeba nam wkuwania, ale trzeba nam rozwoju i udoskonalenia pamięci każdego uczącego się przez poznawanie podstawowych faktów, albowiem komunizm przekształci się w nic nie mówiący szyld, komunista będzie tylko zwykłym samochwalcą, jeśli wszystkie nabyte wiadomości nie zostaną przetworzone w jego świadomości. Musicie nie tylko je opanować, ale opanować je tak, aby ustosunkować się do nich krytycznie, nie obciążać umysłu niepotrzebnym śmieciem, ale wzbogacać go znajomością wszystkich faktów, bez których znajomości nie do pomyślenia jest współczesny wykształcony człowiek.

Gdyby komuniście wpadło do głowy popisywać się komunizmem na podstawie otrzymanych przezeń gotowych wniosków, bez przeprowadzenia bardzo poważnej, nader trudnej, wielkiej pracy, bez zorientowania się w faktach, do których powinien ustosunkować się krytycznie, to taki komunista byłby godny ubolewania. Taka powierzchowność poglądów byłaby stanowczo zgubna. Jeśli wiem, że wiem mało, to dopnę tego, aby wiedzieć więcej, ale jeśli człowiek będzie mówił, że jest komunistą i że może nie posiadać żadnych solidnych wiadomości, to nie stanie się komunistą pod żadnym względem...

Czeka was zadanie budownictwa i możecie je wykonać jedynie wówczas, kiedy opanujecie całą współczesną wiedzę". *)

Natomiast Maksym Gorki w artykule „O prawie do pogody" z roku 1932 w ten sposób pisał:

„Przed masami ludu pracującego w Związku Radzieckim otwarte są wszystkie drogi wiodące do samopoznania i rozwoju wszystkich jego sił i zdolności. W codziennej, bohaterskiej walce nad budową nowego życia lud zaczyna już odczuwać bezgraniczną potęgę swojej

*) W. I. Lenin. Zadania Związku Młodzieży (Dzieła Wybrane. Moskwa, 1948. Tom II, str. 784—787).

twórczości. Ale odczuwanie, to jeszcze mało — trzeba ponadto dobrze widzieć i rozumieć. Z wysokości widać lepiej i dlatego trzeba możliwie najczęściej i jak można najprościej mówić o tych wzniosłych zadaniach, jakie stoją przed nami i rozstrzygają się w naszych czasach. Trzeba uświadamiać dziesiątki milionów ludzi o przebiegu i sensie wszystkich gigantycznych prac w setkach punktów naszego kraju i w dziesiątkach naszych naukowych instytutów badawczych.

Masy powinny wiedzieć, że walka przeciwko posusze wymaga pilnego badania klimatu. Trzeba, żeby wszyscy wiedzieli wszystko. Trzeba, żeby ludzie opierając się o teraźniejszość, łatwo potrafili wyobrazić sobie przyszłość. Patrząc pod nogi, żeby nie potknąć się, należy również patrzeć w dal przed siebie, żeby jasno widzieć cel i żeby w miarę możliwości skracać sobie drogę". *)

Według danych statystycznych za rok 1920 na tysiąc mieszkańców Związku Radzieckiego przypadało 681 analfabetów, a międzynarodowy urząd statystyczny w Hadze jeszcze dziewięć lat później notuje dla Leningradu — 13.81 proc. analfabetów, dla Moskwy — 22.42 proc. i dla Kijowa aż 44,62 proc. Jeśli jednak w roku 1922, a więc w roku zakończenia wojny domowej uczyło się w Związku Radzieckim 469 tysięcy analfabetów, już w latach następnych akcja zwalczania analfabetyzmu, prowadzona w przeszło stu językach narodowych, poczęła ogarniać coraz liczniejsze rzesze uczących się, osiągając w roku 1932 największe swe natężenie w postaci 14 milionów i 426 tysięcy przeszkolonych. Przedwojenne pięciolatki ostatecznie zlikwidowały w Związku Radzieckim analfabetyzm jako jedną z najbardziej poniżających pozostałości ustroju kapitalistycznego. Dzięki tej podstawowej rewolucji kulturalnej narodom Związku udostępniona została wiedza z całym bogactwem postępowej myśli ludzkiej i szerokimi horyzontami otwierającymi się na przeszłość, dzień współczesny i przyszłość.

W chwili obecnej, po trzydziestu trzech latach, w ciągu których Związek Radziecki z kraju ucisku, ciemnoty i nędzy mas pracujących przekształcił się w pierwsze socjalistyczne państwo; po głębokim przełomie, jaki się dokonał i nadal dokonuje w krajach demokracji ludowej; po przemianach wreszcie, jakie stały się udziałem Chińskiej Republiki Ludowej, Północnej Korei i Niemieckiej Republiki Demokratycznej — nie podobna ani sfałszować, ani umniejszyć oczywistej prawdy, że gdziekolwiek zostaje usunięty ustrój wyzysku człowieka przez człowieka i ucisku jednej klasy społecznej przez drugą, tam natychmiast obok wzrostu wydajności pracy i — rzecz jasna — dzięki temu właśnie wzrostowi produkcji budzi się również w szerokich masach pracujących pęd do wiedzy, kiełkować w nich poczyna i rosnąć zaintereso-

*) Maksym Gorki. Wybór artykułów publicystycznych. Książka i Wiedza, 1950, str. 299.

wanie światem, wzrasta w niebywałym stopniu czytelnictwo, idą w górę nakłady książek i pism, rozbudowuje się sieć szkół i wyższych uczelni, powstają świetlice wiejskie, fabryczne i młodzieżowe, zakładane są biblioteki, poszerza się radiofonizacja kraju, zwiększa ilość teatrów i kin.

Z drugiej strony nauka, która w ustroju kapitalistycznym cieszy się poparciem tylko wówczas, gdy jej teorie i praktyka zaspokajają zachłanność klasy panującej, uzyskuje dla siebie pełnię praw i pełne warunki swobodnego rozwoju, ponieważ kryteria poznawcze każdej wolnej nauki, wyrażające się w pragnieniu zgłębienia istoty zjawisk i dotarcia do istoty prawdy, znajdują całkowite potwierdzenie w ideologii proletariatu, marksizmie, który jest również nauką i „jako nauka nie może trwać w miejscu, lecz rozwija się i doskonali", „nie może nie wzbogacać się o nowe doświadczenia i nowe umiejętności" oraz „nie uznaje niezmiennych wniosków i formuł" *). Również sztuka, którą w ustroju kapitalistycznym klasa panująca bądź wykorzystuje dla swych celów, jeśli artysta nie chce lub nie potrafi sięgnąć po wolność, bądź tępi ją i prześladuje, jeśli artysta ma odwagę być niezależnym — wraz z objęciem władzy przez proletariat znajduje dla swego rozwoju zupełnie nowe perspektywy, ponieważ po raz pierwszy w historii staje się twórczością klasy jednocześnie i rządzącej, i postępowej.

Rzecz jasna, że przełomu, który intelektualne życie mas pracujących w ustroju kapitalistycznym odgranicza od rewolucyjnego włączenia się tych mas w nurt oświaty i kultury nie należy ani upraszczać, pomniejszając jego trudności, ani nie należy również z niewłaściwie pojętym optymizmem oceniać go jako zjawisko mechaniczne i realizujące się w sposób samorzutny, żywiołowy. Zarówno doświadczenia Związku Radzieckiego jak doświadczenia ludowych demokracji, więc i Polski, dowodzą, że jeśli z jednej strony rewolucja socjalna rzeczywiście wdziera się świeżym i mocnym podmuchem w mroki zacofania, ciemnoty i analfabetyzmu, powodując na skalę masową budzenie się umysłów z przymusowego letargu, to z drugiej strony — oczywiście tylko w pierwszym, początkowym okresie rewolucyjnych przemian — solidarność z gospodarczymi i społecznymi elementami rewolucji szybciej wśród robotników i ludności wiejskiej krystalizuje się i dojrzewa niż zrozumienie intelektualnych zadań wyrastających przed klasami postępu z chwilą, gdy los tego postępu zostaje w ich ręce złożony.

Ten niedostatek ujawnia się bądź w niedocenianiu ważności zagadnień kulturalnych w całokształcie problematyki rewolucyjnej, bądź w odziedziczonej w spadku po czasach reżimu kapitalistycznego nieufności, a nawet pogardzie wobec spraw nauki i sztuki, bądź też w kulturalnym lewactwie, bezrozumnie i pyszałkowato dyskwalifikującym dorobek ludzkiej twórczości w ustrojach ucisku.

---

*) J. W. Stalin. Marksizm i zagadnienia językoznawstwa. Książka i Wiedza, 1950.

Gorki słusznie powiedział, że:

„...ludzie fizycznej pracy, uwięzieni w mrokach ciemnoty, interesują się życiem i pracą uczonych nie więcej niż chory zdrowiem lekarza. *)

Jeśli jednak podobny stosunek, zrozumiały w ustroju kapitalistycznym, zostaje automatycznie przeniesiony do ustroju nowego i wobec swojej własnej sztuki zaznacza się brakiem zaufania lub lekceważeniem; jeśli np. robotnik poprzestaje na swoich kwalifikacjach zawodowych, ponieważ zapewniają mu dobry zarobek, za rzecz zbędną uważa konieczność uzupełniania swych wiadomości w dziedzinie politycznej, społecznej i kulturalnej; jeśli działacz związkowy lub partyjny nie docenia wagi samokształcenia i dzięki posługiwaniu się w swej pracy nieprzemyślanymi samodzielnie formułkami wyradza się w typ ciasnego doktrynera i biurokraty; jeśli wreszcie na niższych szczeblach aparatu samorządowego a nawet partyjnego odcinek kultury jest traktowany po macoszemu, jedynie jako uciążliwa przyczepka do zagadnień politycznych, gospodarczych i organizacyjnych — to taki stan rzeczy jest głęboko niesłuszny i szkodliwy, ponieważ rozmija się z humanistyczną pełnią ideologii marksistowskiej i tym samym hamuje i opóźnia proces socjalistycznych przemian. Te niedostatki, oczywiście, wynikają zazwyczaj z tych samych elementów, które leżą u podstawy sprzecznych interesów klasowych, ścierających się jeszcze ze sobą w okresie budowania zrębów ustroju socjalistycznego. Lecz jawny wróg klasowy, pozbawiony swych dotychczasowych przywilejów materialnych, jest łatwy do zdemaskowania w swym wrogim stosunku do wszelkich przemian, a zatem i do zagadnień, które rewolucja socjalistyczna stawia w dziedzinie nauki i sztuki. Natomiast elementy wsteczne są już o wiele trudniejsze do wykrycia wówczas, gdy do końca nieprzezwyciężone lub w porę nieujawnione przedłużają pod powierzchnią ideologii postępowej wegetację różnego rodzaju obciążeń drobnomieszczańskich i niewolniczych. Jeśli jednak strzępy ideologii, wyhodowanej przez kapitalizm w warunkach ucisku i wyzysku, znajdują wskutek błędów, obciążeń lub nieświadomości jednostek pożywkę dla swojej wegetacji również i w nowym układzie stosunków produkcyjnych — tym usilniej trzeba te schorzenia demaskować i usuwać, ponieważ w walce klasowej nawet nieświadomie przez ludzi postępu zaniedbywane i niedostatecznie kontrolowane pozycje, natychmiast świadomie zostają przez wrogów wykorzystywane dla ich celów. Gdziekolwiek bowiem w obozie postępu zarysuje się skaza ideologiczna, a nawet cień błędu — wróg zawsze i zaraz się tam pojawi.

„W Związku Socjalistycznych Rad — pisał Gorki w cytowanym już artykule — szybko rozwija się proces przyswajania sobie przez robotników i chłopów nauki, techniki i sztuki. Opierająca się na nauce Marksa i Lenina partia komunistyczna robotników i chłopów — ener-

*) Gorki, j. w. str. 298.

giczny i na całym świecie jedyny bezinteresowny wódz ludu pracującego — rozumie głębokie znaczenie nauki, techniki i sztuki jako narzędzia budowy nowego świata. Ale tak jak na całym świecie, tak i w Związku Rad również jeszcze istnieje bezmyślność bytu — ten zastarzały, stworzony przez stulecia niewolniczego życia nawyk zamykania oczu na przeszłość, na to, jak żyli praojcowie, nieumiejętność patrzenia w przyszłość, na to, jak będą żyły dzieci i wnuki, przyzwyczajenie do myślenia, że wszystko na świecie „tak będzie, jak było", że „człowiek dla człowieka jest wilkiem" i że każdy powinien troszczyć się o swoją osobistą niezależność od innych jednostek. Ta wilcza i świńska filozofia to ponury rezultat wychowania ludzi w najpodlejszych warunkach państwa kapitalistycznego, a u podstaw jej leży chęć usprawiedliwienia konieczności wzajemnej grabieży i zwierzęcej nienawiści". *)

Te krytyczne uwagi zanotowane zostały przez wielkiego radzieckiego pisarza w piętnastym roku rewolucji. Dzisiaj problemy, o których tu mowa — u nas na naszym etapie rewolucyjnych przemian jak najbardziej aktualne — w Związku Radzieckim, gdzie zanikła już zasadnicza dysproporcja pomiędzy rozwojem produkcji socjalistycznej i natężeniem oraz zasięgiem socjalistycznych przemian kulturalnych, utraciły — rzecz prosta — swoją ostrość. Dzisiaj człowiek radziecki — bez względu na to, w jakim zawodzie pracuje: fizycznym czy umysłowym, i również bez względu na stopień odpowiedzialności, z jaką jego praca jest związana — posiada mocno ugruntowaną na teorii i doświadczeniu świadomość, że tym lepiej będzie się mógł ze swoich obowiązków wywiązać i w tym szerszym zakresie będzie mógł wziąć czynny udział w kierowaniu losami swojej ojczyzny, im wszechstronniej będzie poszerzać i pogłębiać swoją wiedzę i z im większym zrozumieniem i odczuciem zwiąże swoją egzystencję intelektualną z tymi wszystkimi wartościami nauki i sztuki, które wczoraj ludzkość stworzyła w uporczywej walce o postęp, a dzisiaj na ogromnych przestrzeniach ziemi socjalizmu tworzy już w pełnej wolności i z tym pokrzepiającym przeświadczeniem, że poznając świat i krok po kroku rozwiązując niedostępne dotąd dla umysłu tajemnice życia, służy opanowaniu przyrody i wzrostowi ludzkiego szczęścia.

Rzeczywistość radziecka, w której prawa wynikają z wartości już dojrzałych w procesie pracy, stała się dla ludzi radzieckich najlepszą wychowawczynią. Nawiązując do słów Marksa z listu do Arnolda Ruge („świat powinien nabrać świadomości samego siebie") można powiedzieć, że dzieje radzieckiej rewolucji od października i wojny domowej, poprzez żmudne usuwanie starych elementów i zastępowanie ich nowymi, poprzez pięciolatki stalinowskie i Wielką Wojnę Ojczyźnianą z faszyzmem, aż po dzień dzisiejszy, gdy dookoła kraju socjalizmu skupiają się w obronie zagrożonego pokoju wszystkie umysły postępowe

*) Gorki, j. w. str. 299.

zarówno krajów już wyzwolonych, jak i cierpiących jeszcze od przemocy, że te lata zanikających cieniów i rosnących blasków są dziejami świata, który wśród najtrudniejszych doświadczeń, ofiar, krótkich klęsk i wielkich zwycięstw nabierał „świadomości samego siebie."

Nawet krótki i tylko do wielkich miejskich ośrodków ograniczony pobyt w Związku Radzieckim dostarcza w tej dziedzinie niezwykle interesujących spostrzeżeń. Oto leży przede mną przywieziony z Leningradu kalendarz wyborgskiego Domu Kultury, zawierający dokładny program imprez naukowo-artystycznych na okres pierwszych dwóch tygodni maja. Wybieram pierwszy z brzegu powszedni dzień, czwartek 4-go maja: godz. 20 — spotkanie czytelników z pisarzem Kozakiewiczem i dyskusja na temat jego powieści „Wiosna nad Odrą"; godz. 19 — w ramach Uniwersytetu Literatury i Sztuki dwa wykłady: „Muzyka krajów ludowej demokracji" i „Życie i twórczość Verdiego"; godz. 19 — wykład „Nauka i religia o pochodzeniu ciał niebieskich"; godz. 20 — wykład „Dzień prasy bolszewickiej"; poza tym w kinie wyświetlany jest głośny, postępowy film włoskiego reżysera de Sicca „Złodzieje rowerów". Inny dzień, tym razem wolna od pracy niedziela 14 maja: godz. 11 — wycieczka kowali z fabryk wyborgskiej dzielnicy do kuźni przy Zakładach Im. Stalina celem zaznajomienia się z metodami pracy laureata Nagrody Stalinowskiej, A. Riabowa; godz. 13 — pogadanka na temat „Znakomity rosyjski biolog, Miecznikow"; godz. 12 — wycieczka młodzieżowa na grób Suworowa"; godz. 12 — koncert kolektywów dziecięcej samorodnej twórczości artystycznej w Pałacach Kultury, Domach Kultury i Klubach Leningradu; godz. 14 — wycieczka do Ermitażu z tematem „Francuskie malarstwo XVIII wieku"; godz. 16 — koncert telewizyjny; godz. 20 — gościnny występ Teatru Moskiewskiego.

A jakaż różnica pomiędzy salami muzeów radzieckich i podobnymi salami w krajach burżuazji! Doktór Judym z „Ludzi bezdomnych" Żeromskiego, gdy go interesuje „sprawa odpoczynku w doskonałym chłodzie i z dala od wrzawy ulicy paryskiej", szuka schronienia w pustych i cichych salach Luwru. Jest to charakterystyczne dla ustroju kapitalistycznego, że w mieszczańskiej literaturze wieku XIX-go i XX-go tak często występuje motyw ciszy muzealnej, zapewniającej samotność ludziom zmęczonym lub sprzyjającej spotkaniom kochanków z dala od ludzkich oczu i w otoczeniu arcydzieł sztuki. Radziecka dziewczyna i radziecki chłopiec, chcąc się sobą nacieszyć z dala od ludzi z pewnością na miejsce spotkania nie wybraliby Ermitażu, Muzeum Rosyjskiego lub Tretiakowskiej Galerii. Nie znaczy to, oczywiście, aby w muzeach radzieckich nie było ciszy. Przeciwnie, cisza jaka panuje w Ermitażu, czy na moskiewskiej wystawie podarków urodzinowych dla Józefa Stalina wydaje się idealna w stosunku do tłumów, które nieprzerwaną falą, lecz w porządku i skupieniu przepływają przez salę. Daremnie by jednak poszukiwał ktoś w muzeach radzieckich już nie tylko pustej sali, lecz bodaj jednego w niej kąta omijanego przez zwiedzających i nadającego się do samotnych rozmyślań.

Jeszcze na dobrych kilka lat przed wojną znalazłem się w krótkim przejeździe przez północne Włochy. W Wenecji, w pochmurny dzień listopadowy, dwie Angielki o długich, końskich twarzach karmiły na placu św. Marka gołębie. W Mediolanie kilku hałaśliwych, w pstrych szalikach Amerykanów oglądało z zainteresowaniem szpetny gmach La Scali, a inna grupa turystów zza oceanu, poinformowana przez przewodnika, że słynną katedrę ozdabia z zewnątrz 2.300 marmurowych posągów, a wysokość kościoła łącznie z figurą Madonny sięga 108 m, stała na środku ogromnego placu z zadartymi w górę głowami. Za to w refektarzu klasztoru Santa Maria della Grazia, gdzie znajduje się „Ostatnia wieczerza" Leonarda da Vinci, kroki zwiedzającego — dobrze to pamiętam — rozbrzmiewały w takiej samej pustce, jak w Wenecji w muzeum sztuki gotyckiej, czy przedtem w Paryżu w muzeum Cluny.

Natomiast ze zwiedzania radzieckich muzeów pozostały mi między innymi takie wspomnienia: w jednej z sal Ermitażu, gdzie znajduje się kolekcja dwudziestukilku obrazów Rembrandta, pochodzących przeważnie z jego późniejszego, najdojrzalszego okresu twórczości, przed „Powrotem syna marnotrawnego" młodziutki porucznik opowiada żołnierzom o malarstwie autora „Straży nocnej" i „Lekcji anatomii"; w innej sali młodzi komsomolcy obstąpili gromadnie „Madonnę karmiącą" Leonarda da Vinci, a przed oszałamiającymi bogactwem kolorów i realiów martwymi naturami Snydersa stoi w skupieniu grupa kołchoźnic w chustkach na głowach, kobiet przeważnie starszych o spracowanych dłoniach i twarzach, na których cały trud długich lat niełatwego życia wyciśnięty w zmarszczkach, rozjaśniony jest młodym blaskiem oczu. Znów przy innej okazji, w innych muzeach sceny podobne: żołnierze, kołchoźnicy i młodzież przesuwający się grupami przez salę muzeum leninowskiego w Moskwie; robotnicy na wystawie współczesnego malarstwa radzieckiego w Tretiakowskiej Galerii; tłum, który w niedzielne przedpołudnie tak szczelnie zapełniał małe salki muzeum puszkinowskiego w Puszkino, iż z trudem można się było wśród tego tłoku posuwać . I tak jest w Związku Radzieckim wszędzie, gdziekolwiek istnieje ośrodek wiedzy i kultury: w teatrach i w domach kultury, w bibliotekach i na odczytach, w kinach i w księgarniach.

Niewątpliwie wychowankowie ustroju kapitalistycznego: estetyzujący mizantropi lub intelektualiści teoretycznie sprzyjający postępowi, lecz w praktyce pogardzający tłumem nie czuliby się dobrze w radzieckich muzeach i księgarniach, równie zatłoczonych jak domy towarowe. Lecz człowiek radziecki jest człowiekiem głęboko uspołecznionym, nigdy nie traci silnego związku ze zbiorowością i dla swoich przeżyć artystycznych i intelektualnych nie potrzebuje specjalnie skomponowanej dekoracji, ani wyjątkowych warunków sztucznie go odgradzających od rytmu codziennego życia. Z pewnością w tej czy innej jednostce radzieckiej mogą jeszcze pokutować owe, jak mówił Gorki, szczątki „wilczej i świńskiej filozofii", przejawiającej się w egoizmie i w złym stosunku do ludzi. Lecz znalazłszy się w Związku Radzieckim nie trzeba

go zwiedzić wszerz i wzdłuż, aby zorientować się, że wrogość, zaczepność, opryskliwość i nieżyczliwość, tak charakterystyczne dla stosunków ludzkich wśród sprzeczności ustroju kapitalistycznego, w warunkach socjalistycznego rozdziału produkcji zanikły nieomal zupełnie i zastąpione zostały przez wartości pozytywne, które wspierając się przede wszystkim na wzajemnej solidarności i szacunku nie wykopują pomiędzy ludźmi przepaści, lecz zbliżają ich do siebie i jednoczą.

W czasie pobytu w Związku Radzieckim miałem kilkakrotnie okazję, między innymi na dorocznym meczu Dynamo—Torpedo, otwierającym 2 maja wiosenny sezon sportowy w Moskwie, zauważyć, w jaki sposób przy trudnej pracy regulowania ruchu (na mecz przybywa około stu tysięcy ludzi) zachowuje się radziecka milicja i jaki jest do niej stosunek przeciętnego obywatela. Otóż mimo kilkakrotnej w różnych wypadkach interwencji milicji nie słyszałem żadnych krzyków, nie widziałem ani jednej awantury, a w sporach przedstawicieli porządku z poszczególnymi obywatelami nie dostrzegłem nawet cienia rozdrażnienia. Prosty, życzliwy, ludzki stosunek człowieka do człowieka, pozbawiony złości i jadu, zarozumialstwa i egoizmu daje się zauważyć w Związku Radzieckim na każdym kroku.

Dlaczego jednak właśnie o tym piszę w zakończeniu rozdziału, który jest poświęcony zagadnieniom, dlaczego i w jakiej mierze wzrosła w człowieku radzieckim „świadomość samego siebie"? Wydaje mi się bowiem, że właśnie ten stosunek do ludzi, o którym wyżej była mowa, rozbudzony i umocniony w ludziach radzieckich dzięki usunięciu wyzysku i ucisku, jest jednym z najważniejszych elementów owej mocnej postawy ideowej, która jest wspólna ludziom radzieckim i z której wyrasta w człowieku radzieckim pęd do jak najpełniejszego i najwszechstronniejszego poznania realiów rzeczywistości. I jest to równocześnie element niezbędny dla kształtowania się humanizmu socjalistycznego, ponieważ w pełni humanistyczna postawa wobec życia i ludzi, a taka jest postawa socjalistyczna, nigdy nie wyrośnie na gruncie „wilczej filozofii", natomiast wesprzeć się może jedynie na przyjęciu życia, na wysiłku poznania go, ocenienia i dzięki temu na przeświadczeniu, że każdy człowiek, na jakimkolwiek posterunku pracuje, ponosi współodpowiedzialność za dzisiaj i jutro, że siłą ludzkiego rozumu można życie przekształcać zgodnie z twórczymi i postępowymi potrzebami ludzi, a samych ludzi można podnosić na coraz wyższy szczebel świadomości i moralności.

Jerzy Andrzejewski

Rozdział z większej pracy, która pt. „O człowieku radzieckim" ukaże się niebawem nakładem „Książki i Wiedzy".

BARBARA RAFAŁOWSKA

Klangor żurawi nad brzegiem Oceanu Spokojnego

W poniedziałek 12 marca 1906 r. Mark Twain pisał: „O tym wstrząsającym fakcie świat dowiedział się w ubiegły poniedziałek. Donosił o tym naszemu rządowi oficjalny komunikat głównodowodzącego amerykańskich sił zbrojnych na Filipinach. Rzecz przedstawia się jak następuje: Plemię ciemnoskórych dzikusów, „moro", ukryło się w kraterze wygasłego wulkanu niedaleko od wyspy Jolo. Ponieważ tubylcy byli wrogo nastrojeni w stosunku do nas za 8-letnie próby pozbawiania ich wolności—ich przebywanie w kraterze stanowiło dla nas groźbę. Nasz dowódca Leonard Wood posłał tam zwiadowców. Zwiad ustalił, że tubylców łącznie z kobietami i dziećmi było około 600 osób i że lej krateru znajduje się na wysokości 2200 stóp nad poziomem morza. Dostać się tam chrześcijańskiemu wojsku z artylerią nie było łatwo. Generał Wood wydał rozkaz zaatakowania tubylców i udał się tam osobiście ze swymi ludźmi, aby zapewnić powodzenie tej operacji. Nasze wojska wziąwszy ze sobą kilka armat wdrapywały się na górę okrężnymi trudnymi do przejścia dróżkami...

Zbliżyliśmy się do samego wylotu krateru i rozpoczęliśmy bój. Naszych żołnierzy było 540. Dodano im oddziały pomocnicze policji miejskiej oraz oddział morski. Można przypuszczać, że siły były równe: 600 mężczyzn u wylotu krateru i 600 mężczyzn, kobiet i dzieci na jego dnie. Głębokość krateru wynosiła 50 stóp. Rozkaz generała Wooda brzmiał: „Wyciąć w pień lub wziąć do niewoli 600 osób". Zaczęła się bitwa. Tak oficjalnie nazywa się to, co się potem dokonało. Nasi żołnierze ostrzeliwali z armat ludzi znajdujących się w głębi krateru. Jednocześnie strzelali do tubylców z pistoletów i karabinów. Dzicy stawiali zaciekły opór.

W komunikacie oficjalnym zapewnia się, że obie strony walczyły zaciekle w ciągu półtorej doby i że bitwa zakończyła się całkowitym zwycięstwem amerykańskiego oręża. Następujący fakt potwierdza, że zwycięstwo było rzeczywiście pełne: z 600 tubylców ani jeden nie pozostał przy życiu. Było to wspaniałe zwycięstwo, o czym świadczy jeszcze jeden fakt: z 600 naszych bohaterów zginęło 15...

W niedzielę tj. wczoraj telegraf przyniósł nam nowe wiadomości, wieści jeszcze piękniejsze od poprzednich, jeszcze wyżej wznoszące nasz sztandar. Wielkie nagłówki olśniewały czytelników pism wiadomością: „PLEMIĘ „MORO" WYCIĘTE W PIEŃ. WŚRÓD ZABITYCH ZNAJDUJĄ SIĘ KOBIETY". „Wycięte w pień", „rzeź" — tak to

określenie jest rzeczywiście nad wyraz odpowiednie. Lepszego nie uda się znaleźć w najpiękniejszym, najbogatszym słowniku.

Drugi tytuł: „RAZEM Z DZIEĆMI UKRYLI SIĘ W KRATERZE I WSZYSCY RAZEM ZGINĘLI".

I oto stają przed nami obrazy. Widzimy te dzieci. Widzimy twarze wykrzywione przerażeniem. Widzimy małe rączki wyciągające się błagalnie do matki."

Tyle Mark Twain w roku 1906 — a przecież wojna imperialistyczna przeciwko Hiszpanii o wyspy Filipińskie zaczęła się w Ameryce w r. 1898, i przeszła w wieloletnią wojnę z patriotami filipińskimi. Przecież amerykańskiemu podbojowi wysp filipińskich odpowiadała wojna Anglików na południu Afryki, a przełom XIX i XX wieku to właśnie napady piratów anglo-saskich na Kjao-Czou, Mandżurię, Południową Afrykę i Filipiny. Ameryka — Stany Zjednoczone wkroczyły na drogę imperializmu i naród amerykański, który, jak mówi Lenin w „Liście do robotników amerykańskich", „dał światu wzór wojny rewolucyjnej przeciwko feudalnemu niewolnictwu, znalazł się w najnowszym, kapitalistycznym, najemnym niewolnictwie grupki miliarderów, spełniając rolę najemnego kata, który dla dogodzenia bogatej hołocie zdusił Filipiny pod pozorem „obdarowania ich wolnością".

*
* *

Dwa lata korespondencji Sienkiewicza z Ameryki (1876-1878) poprzedzają te wypadki o jakieś lat dwadzieścia. „Listy z podróży" przynosiły czytelnikowi polskiemu obraz nowego świata. „Syn podbitego narodu", młody redaktor, który przeciął Niemcy, Francję, całą długość Anglii, który przepłynął burzliwy Atlantyk, przeleciał niezmierzone przestrzenie wielkiej kolei od New-Yorku do San Francisco, który dotarł do Oceanu Spokojnego — dzielił się swymi wrażeniami z czytelnikiem w kraju. Chciał objąć całokształt, pokazać ziemię i ludzi, uwypuklić całą odrębność i specyficzność zarówno terenu jak i stosunków społecznych. Tylko że uśmiech i humor, który towarzyszył przygotowaniom do wyjazdu, pewność siebie młodego redaktora i młodego autora — pozostały jedynie w postaci elementu egzotyki — polowań, pokonywania przestrzeni, stykania się z prawdziwym czy domniemanym niebezpieczeństwem. Z całokształtu obrazu, który miał być pozytywny, który miał feudalnemu zapóźnieniu wschodu Europy i Polski, zwłaszcza Polski przeciwstawić kraj o najszybszym rozwoju kapitalizmu przemysłowego, kraj szczyczący się nową demokracją, burzącą prawa i przywileje feudalne, „wyszły" elementy przerażające, wyłonił się obraz społeczeństwa burżuazyjnego, które już wtedy zaczyna swą drogę w dół, dla którego już wtedy najwyższym, najszczytniejszym ideałem życia staje się business, business przede wszystkim i business wyłącznie, społeczeństwa burżuazyjnego, które już wtedy uświęciło lynch, społeczeństwa, które już wtedy z pioniera uczyniło pirata z rewolwerem u pasa i skalpem czerwonoskórego na żerdzi. Te skalpy to

„dobre duchy" domowego ogniska nowych zdobywców i ognisko domowe pirata, jego spokój wewnętrzny, zadowolenie z siebie i dobrobyt wyrastały na kłamstwie, krzywoprzysięstwie, na złamanych umowach i niedotrzymywanych traktatach. Cywilizacja? Kultura?

Jakże maluje ją Sienkiewicz w tym okresie, on, młody pisarz, dla którego wszystko tu miało być nowe, olśniewające i imponujące? On, który zjawił się tutaj, by obraz „nowego wspaniałego świata" przekazać swym rodakom. Czy potrafi wysunąć choć jeden argument „za", wobec wszystkich „przeciw", które tam zaobserwował, zebrał i w formie listów - dokumentów przesyłał do kraju? Czy może obronić cywilizację, o której sam mówi, że jej bezpośrednim produktem, hojnie wszystkim dzikim udzielanym, jest wódka, ospa, syfilis? Czy może obronić cywilizację, której „apostołowie — jak sam mówi — to najprzód kupcy, którzy oszukują tubylców, dalej awanturnicy, którzy zdzierają mu skórę z głowy; dalej traper, który przed jego wigwamami poluje na bawoły dostarczające czerwonym pożywienia; wreszcie amerykański komisarz rządowy z papierem, na którym między liniami napisano: Mane, tekel, fares! dla całego plemienia".

Co miało stać się przykładem budującym? Oszust — kupiec? Bandyta-awanturnik? Traper — bezkarny kłusownik? Czy może ukoronowanie całego systemu — amerykański komisarz z wyrokiem zagłady nieodwołalnej dla całego plemienia?

Czy potrafi Sienkiewicz obronić cywilizację piratów ścierających z oblicza ziemi plemię za plemieniem, ludy „które, jak sam twierdzi, wytworzyły pewne pojęcia i wyobrażenia właściwe tylko ludom bardzo wysoko rozwiniętym umysłowo".

Jakże zarysowuje się tzw. ideał demokracji, którym w tym czasie Ameryka szachowała Europę i zdobywała Azję? Jakże rysuje się ten ideał „demokracji" wobec twierdzenia Sienkiewicza już wtedy, że „trudno jest zrozumieć, do jakich granic dochodzi nienawiść i pogarda Amerykanów wobec Indian". I cóż mogło stanowić dostateczną przeciwwagę tego przerażającego sensu ówczesnej „demokracji" amerykańskiej, której wyznacznikami stosunku do podbitego ludu była już wtedy nienawiść i pogarda? „Demokracja", która od czasu „Listów z podróży" Sienkiewicza już tylokrotnie zmieniała obiekt swych cywilizacyjnych zabiegów, począwszy od Indian, poprzez Meksykanów, Filipińczyków, Chińczyków, Murzynów, Koreańczyków... „Demokracja", o której przedstawicielach mówi Sienkiewicz, że ich wyznaniem wiary jest to, że „mają takie samo prawo tępić Indian, jak grzechotniki, szare niedźwiedzie i inne szkodliwe stworzenia", „demokracja", która postępuje „tak samo w Dakota, w Nebrasce, w Kansas, w Indian Teritory" — słowem wszędzie. Przerażający obraz niszczenia ludu, który do powiedzenia ma jeszcze wszystko, o którym Sienkiewicz „krótko mówiąc" — twierdzi — „że ta dzielna choć dzika rasa ginie nieubłaganie na całej przestrzeni Stanów". Przerażający obraz ścierania z oblicza ziemi ludu, który może być zawadą rosnącego i rozwijającego się businessu, jeśli nie chce stać się sam obiektem sprzedaży czy kupna. I wtedy cóż po nim zostaje?

„Otóż, spojrzawszy naprzód widzisz tylko szarą, nieskończoną równinę, a na równinie krzyże i krzyże, jak okiem dojrzysz całe szeregi smutne, cementowane i nic więcej prócz tych krzyżów, które zdają się być szlakiem, wiodącym w krainę śmierci lub mogilnikami na grobach wędrowców. Bo też i są nagrobkami, stoją one na mogiłkach pierwotnych dzieci tej ziemi. Gdzie tylko taki krzyż się pojawi, tam giną ludy, a wczorajsza wielka cisza zmienia się w gwar handlujących, kupujących, oszukujących i oszukiwanych". Aby handel szedł, aby rósł business, a kontrast „wielkiej ciszy" i „gwaru handlujących i kupujących" nabiera swoistej wymowy przez ostateczną negację zawartą w słowach „oszukujący" i „oszukiwany".

Oszukańczy handel, wystawianie na dudka, tępienie bezlitosne wszędzie i zawsze, nienawiść, pogarda i cynizm — „na grobach pierwotnych dzieci tej ziemi" — oto obraz „demokracji" amerykańskiej w ostatnim dwudziestoleciu ubiegłego stulecia, oto obraz „demokracji" którą pokazał Sienkiewicz.

Tak rozwiązała już wtedy „demokracja" amerykańska, burżuazja monopolistyczna zagadnienie stosunku do Indian w czasie, kiedy Sienkiewicz przysyłał do kraju swe „Listy z podróży", tak cynicznie już wtedy kłamała w oczy i śmiała się w kułak ze swych zobowiązań i traktatów. Nabierała rozpędu, wprawy i doświadczenia, ćwiczyła się na „materiale" dostępnym, łatwo uchwytnym, bliskim.

Sienkiewicz widział ten cynizm i dał temu pełny wyraz stwierdzając, że „na grobach Indian uczony profesor wykłada prawo narodów".

A pozostali przy życiu? Których nie udało się, jak to w roku 1906 opowiadał Mark Twain, wydusić, wyciąć w pień, zmiażdżyć artyleryjskimi pociskami w wygasłym kraterze wulkanu?

I ich ujrzał Sienkiewicz w swojej podróży po Ziemi Obiecanej, „niedobitki", nędzne resztki wdeptanego butami w ziemię ludu Czarnych Gór. Widział, spotykał tzw. cywilizowanych Indian „jeden obraz nędzy i rozpaczy: mężczyźni obdarci, brudni, upodleni, kobiety wyciągają wychudłe ręce do wagonów. Spytacie, dlaczego jedni i drugie nie pracują? Nie umieją: nikt się nie troszczy zresztą o to, żeby ich nauczyć. Wyrzekli się wojny z białymi, rozbojów, polowań, a dostali za to... derki... i pogardę". Gwałtowna śmierć wymaga ofiar, amerykańska burżuazja już wtedy uznawała również humanitaryzm, śmierć łagodną, powolną, o której nie zapomina Sienkiewicz w swych „Listach do kraju". „Żebranina i małe złodziejstwa i wegetowanie z dnia na dzień, wśród którego podleje do ostatka".

Żebranina, małe złodziejstwa, wegetowanie, kres upodlenia, czyż można w sposób bardziej dosadny scharakteryzować ostatnie karty życia ludu? Ludu, którego ostatni przedstawiciele na wzór rzymskiej togi zarzucają na siebie derki ze znakiem US, znakiem skrzętnej gospodyni stemplującej swoim emblematem to wszystko, co uważa za swą niezaprzeczoną własność. I tego akcentu nie pominął Sienkiewicz, uwypuklając go przez zestawienie kontrastu tego co najniklejsze, najmniej

ważne z tym co najdroższe, najcenniejsze. „Dają mu derkę, a zabierają wolność".

Tak wyglądała „misja cywilizacyjna" burżuazji amerykańskiej w ostatnich dziesiątkach lat ubiegłego stulecia, tak w obrazach Sienkiewicza wyglądała opieka i kultywowanie odrębności narodów i ludów przez rosnącego molocha monopolistycznego kapitału. Na ziemi przepojonej krwią walczących o swe istnienie ludów wyrastała giełda „handlarzy", a jedynym regulatorem stosunków między ludami, jedynym regulatorem stosunków między obywatelami, stał się wykrzykiwany po raz pierwszy, drugi, setny i tysiączny — kurs dolara.

Listy Sienkiewicza miały przekazać krajowi obraz nowej demokracji, obraz poszanowania pracy, emancypacji kobiet itp. Okazuje się jednak, że akcenty pozytywne znikają, gubią się, pokazują nikłość tych osiągnięć w zestawieniu ze sprawą zasadniczą i najistotniejszą, którą jest stosunek narodu do narodu. Jako syn narodu ujarzmionego ujrzał ją Sienkiewicz wtedy w jej właściwych wymiarach i przy całej chęci wybielenia „demokracji" amerykańskiej stwierdzić musiał, że „gdyby go kto zapytał po czyjej stronie leży słuszność, to sądząc wobec zasad prostej, opartej nie na sofistyce, ale na sercu i sumieniu sprawiedliwości, odpowiedziałbym, że słuszność leży po stronie Indian". Dlatego obrazy i fakty dotyczące wszystkich przejawów życia amerykańskiego często wbrew jego komentarzowi sugerują czytelnikowi obraz prawdziwy i niezakłamany ówczesnej rzeczywistości amerykańskiej.

Sugerują przeświadczenie, że nie ma demokracji tam, gdzie o wartości człowieka decyduje pieniądz, że nie ma demokracji tam, gdzie ręka pirata niszczy ludy, by na ich ziemi budować „miasta żółtego diabła" z ich gorączką złota, że nie ma demokracji tam, gdzie regulatorem stosunków między ludźmi staje się cynizm. Że nie było demokracji w Ameryce już w ostatnich dziesiątkach lat ubiegłego stulecia — taki obraz sugerują „Listy" Sienkiewicza, dotyczące sprawy Indian, ich walki narodowo-wyzwoleńczej. Nie rozszyfrował jednak Sienkiewicz do końca już wtedy całokształtu zagadnienia .Nie rozszyfrował do końca tzw. „tolerancyjnego" stosunku do poszczególnych grup narodowych, do emigrantów, którzy nie tylko nie byli groźni, lecz stanowili najlepszą, najtrwalszą, najemną, wyzyskiwaną siłę roboczą. Charakteryzuje ją zresztą sam Sienkiewicz mówiąc, że „chłopa polskiego słońce nie spali, deszcz mu nie zaszkodzi, śniegi i wiatry go nie zmrożą... pracuje na spiekocie, jak Murzyn."

Mimo to czytelnik poprzez właśnie Listy Sienkiewicza ujrzy Amerykę w jej właściwym świetle, Amerykę, która jeszcze lat dwadzieścia i kilka przed wystąpieniem Twaina wkroczyła na drogę imperializmu. Rekin kapitału rozdziawił swą paszczę na wszystkie lądy i wszystkie morza.

*

* *

Klangor żurawi nad brzegiem Oceanu Spokojnego uświadomił Sienkiewiczowi, że „ten ocean i niebo, i step, i wydmy brzegowe, i skały, na których prażą się w słońcu foki — to są rzeczy dla mnie bezwzględnie

obce, które tak nie mają nic wspólnego ze mną, jak ja z nimi. Wczoraj jeszcze włączałem się w to otoczenie i sądziłem, że tętna moje biją zgodnie z tętnami tej olbrzymiej przyrody; dziś zadawałem sobie pytania, co ja mam tu do roboty i dlaczego nie wracam? Czas, który dawniej tak cicho i kojąco odmierzały mi przypływy i odpływy morskie, wydał mi się nieznośnie długi. Zacząłem myśleć o kraju, o tym, co w nim zostało i co zmieniło się z biegiem czasu. Ameryka i podróż przestały mnie całkowicie zajmować, a natomiast w głowie roił mi się coraz gęstszy tłum widzeń, złożonych wyłącznie ze wspomnień. Nie mogłem się od nich oderwać, chociaż nie sprawiały mi one radości. Przeciwnie! Było w nich dużo smutku, a nawet i gorycz wynikająca z porównania ospałego i bezradnego życia naszej wsi z bujnym życiem amerykańskim. Ale im bardziej wydawało mi się nasze bezradnym i ospałym, tym więcej opanowywało mi duszę, tym było mi droższe i tym więcej za nim tęskniłem. Przez następne dni widzenia stawały mi w oczach coraz jaśniej, a wreszcie wyobraźnia poczęła je rozwijać, porządkować, oświecać i układać w jeden artystyczny pomysł... W tydzień zaś później wyszły mi spod pióra następne słowa: „We wsi Barania Głowa, w kancelarii wójta gminy, cicho było jak makiem siał...“

I w taki to sposób, za przyczyną żurawi nad brzegiem Oceanu Spokojnego, powstały „Szkice węglem“.

Owocem pobytu Sienkiewicza w Ameryce są nie tylko „Listy z podróży“ i nie tylko „Szkice węglem“. „Z życia natury“, „Hania“, „Selim“ — te nowele nadchodziły wraz z „Listami“, ale i poza nimi te wszystkie, które tematycznie wiązały się bezpośrednio z życiem amerykańskim i wyszły już w wydaniu powojennym, objęte tytułem „Nowele amerykańskie“, jak i szereg pozycji w tomie pt. „Nowele ludowe“ opierają się albo bezpośrednio na tematyce amerykańskiej, albo pośrednio do niej nawiązują. Charakterystyczne, że już w „Listach“ wspomina o pobycie swym w Maripozie, że w „Listach“ przytacza dzieje latarnika Polaka, który całkowicie przeniesiony został na karty „Latarnika“, zmienił się jedynie tytuł książki, która kazała mu zapomnieć o zapaleniu latarni. Fragment przytoczony wyżej daje obraz podłoża, na którym wyrosła i wyrastała twórczość Sienkiewicza owych lat. „Latarnik“ i „Sachem“ to jej wytyczne. Miłość ojczyzny, tęsknota za nią potęgująca się z latami, niemożność przystosowania się do całkowicie odrębnych warunków i całkowicie obcych ludzi — to jedna strona. Druga — to właśnie obraz z życia Ameryki, obraz, którego istoty nie mogła zmienić ani egzotyka krajobrazu i przygód, ani tak brakująca — jak twierdził Sienkiewicz — ludowi polskiemu energia i zapobiegliwość amerykańska. Rzecz charakterystyczna. Nie stworzył Sienkiewicz ani jednego bohatera pozytywnego — Amerykanina. I kiedy mówi o krainie złota, „Kalifornii, w której gromadziły się szumowiny i męty Europy i Ameryki“, w której „jedynym regulatorem stosunków ludzkich był rewolwer i nóż“, kiedy daje obraz kraju, „w którym księżyc dawniej podnosząc się znad łąki oświecał cichą, uśpioną krainę, a teraz — praw-

dziwą gehennę ludzkiej chciwości i rozpasania" — to ten właśnie *kontrast* staje się osią kompozycyjną, kiedy Sienkiewicz przechodzi od zebranego materiału do nadania mu kształtu artystycznego.

„Sachem" — majstersztyk techniki nowelistycznej — jest zarazem najplastyczniejszym zobrazowaniem tego zasadniczego problemu ówczesnego życia amerykańskiego, stosunku do narodu podbitego, do Indian. To, co znalazło wyraz w „Listach", w postaci prawie beznamiętnego opisu autora gromadzącego fakty — to w noweli pt. „Sachem" przekształciło się w całokształt obrazu, obejmującego w skrócie dzieje ujarzmionego i startego z oblicza ziemi plemienia. Nic tu nie zmieni fakt, że zgodnie już z osobistymi koncepcjami historiozoficznymi Sienkiewicza ludność miasta stanowią Niemcy. Z noweli wyrasta obraz Ameryki, obraz emocjonalnie nasycony, w każdym szczególe negatywny, mobilizujący czytelnika, obraz, który jest nie tylko potwierdzeniem obiektywnych faktów, lecz wymaga od czytelnika sprawiedliwego sądu.

A więc cała nowela ideologicznie zbudowana jest na kontraście: walki tak zwanego prawa z bezprawiem, słabości z siłą, narodu broniącego się przed zagładą z narodem — piratem. Lud Czarnych Wężów „broni tylko swego terytorium", które „rząd stanowy Texasu przyznał im na wieczne czasy najrozmaitszymi traktatami".

Ludowi Czarnych Wężów „zabiera się ziemię, wodę i powietrze".

Na Lud Czarnych Wężów „napada się pewnej nocy księżycowej w liczbie czterechset".

Stolica ludu Czarnych Wężów „zostaje spalona, a mieszkańcy bez różnicy płci i wieku w pień wycięci".

Obrazy Marka Twaina z wysp Filipińskich uderzająco podobne, nie wyłączając nawet ich sformułowania słownego „*bez różnicy płci i wieku w pień wycięci*".

Ta krótka introdukcja noweli, dzieje stolicy Chiawatty, położonej w stanie Texas — to jeszcze nie właściwa akcja, którą chronologicznie poprzedza, znowu retrospektywnie przedstawiony ostatni akt „prawny"; „W siódmym roku, z mocy prawa Lynch powieszono na placu miejskim dziewiętnastu ostatnich wojowników z pokolenia Czarnych Wężów schwytanych w pobliskim Lesie Umarłych".

Dalsze dzieje? To już właściwa akcja noweli, z całym mistrzostwem wprowadzona pointa, uwypuklająca tragizm i los ginącego plemienia.

„Sachem" — wódz, cudem ocalały syn wodza, linoskok wędrujący w cyrku amerykańskim, produkujący się, jak to akcentuje Sienkiewicz, na „grobach ojców", ku pociesze jeszcze żyjących ujarzmicieli swego ludu — czyż można było w sposób bardziej dosadny przedstawić metody „zdobywania" ludów przez „demokratyczną" Amerykę?

I program tego linoskoka, obejmujący: 1) spacer, 2) skoki antylopy, 3) taniec i pieśń śmierci — program, w którym tak lapidarnie powiązane zostały momenty nastawione na zaakcentowanie atrakcyjności, sensacyjności widowiska cyrkowego z tragedią ginącego ludu.

Taniec i pieśń śmierci — pieśń o wolnej Chiawacie, o jej wojownikach, których „topory nie broczyły nigdy w krwi niewiast i dzieci, bo wojownicy Chiawatty byli szlachetnymi mężami", pieśń o bladych wojownikach, którzy „nie pokonali Czarnych Wężów w boju, ale zakradli się nocą jak szakale i noże ich zbroczyły się w piersiach uśpionych mężów, niewiast i dzieci".

Pieśń — punkt kulminacyjny noweli jest zarazem skrótem tego, co się już dawno dokonało i tego, co jest akcją właściwą, a operując obrazami pełnymi szlachetnego patosu, swoistą rytmiką pieśni pierwotnych ludów, najprostszym pięknym językiem — uczynił z niej Sienkiewicz punkt kulminacyjny również tego napięcia emocjonalnego, które cechuje całą nowelę.

Punkt kulminacyjny — szczytowy punkt walki dwóch przeciwnych sił daje obraz „Sachema", wodza wybitego w pień plemienia, Sachema linoskoka i obraz widzów cyrkowych, publiczności zgromadzonej w cyrku, dla której popisy akrobatyczne są popisem zręczności, ale dla których pieśń staje się groźnym memento. I to właśnie memento wyrasta z charakterystyki zebranych, którzy zaczęli od krzywoprzysięstwa, łamania traktatów, mordowania bezbronnych — którzy przekształcili się w „bogatych kupców miejscowych", filistrów, businessmanów, którzy „nawet o ojczyźnie nie myślą więcej, niż na to business pozwala", którzy zapomnieli już zupełnie o zgliszczach Chiawatty, którym na widok linoskoka pierś rozpiera duma, że „oto takich wycięli w pień przed laty piętnastu".

I na nic nie przyda się maskarada niemiecka, przedsiębiorcą, właścicielem wędrującego cyrku jest mister Dean obwożący Sachema jako największą atrakcję swego programu, a wiadomość „że słynny linochod będzie popisywał się na grobach ojców" wprawia go w doskonały humor, mógł bowiem teraz liczyć na pewno na „great attraction", a więc business niewątpliwy.

Kontrast małości zwycięzców i wielkości startego z oblicza ziemi plemienia rośnie w miarę rozwoju akcji, wyrasta ze szczególnej, stosowanej przez Sienkiewicza metody charakterystyki, zarówno wynikającej z działania jak i postawy narratora, a opierającej się na *wyliczaniu, stopniowaniu cech pozornie dodatnich* i całkowitym *niwelowaniu* ich przez podanie *jednej cechy wydawałoby się najmniej ważnej:* „Byli uczciwi, rządni, pracowici, systematyczni, *otyli*". Charakterystyczne, że cechą niwelującą wartości wewnętrzne jest właśnie cecha fizyczna, w której w sposób najbardziej lapidarny zawarty jest cały sens życia opisywanych postaci, tak jak charakterystyczne jest to, że przy opisie postaci Sachema metoda ta odwraca się: „płaszcz z białych gronostajów — oznaka wodza pokrywa jego wyniosłą postać". oczy Sachema „świecące zimnym blaskiem, oczy prawdziwie indyjskie,

spokojne, niby obojętne a złowrogie", przeciwstawione „rybim oczom" publiczności, „wyciągnięte jego ręce pokryte płaszczem wyglądają jak olbrzymie skrzydła", „kołysząc się na drucie wydawał się jak jakiś czerwony archanioł zemsty — *cechy zewnętrzne*, poszczególne fragmenty stroju — *stają się wyrazem treści czy postawy duchowej*, raz jeszcze rzucając przed oczy czytelnika tragizm pokolenia, raz jeszcze akcentują jego wyższość moralną.

Kontrast jako oś kompozycji noweli dotyczy więc zarówno treści ideowej jak i budowy artystycznej. Sienkiewicz dał w emocjonalnie nasyconych obrazach skrót charakterystyki narodu pirata i plemienia podbitego. Na metodzie kontrastowania zbudował zarówno ich przeszłość jak i teraźniejszość, na metodzie kontrastowania rozstawił swych bohaterów i pokierował ich losami, rzucając przed oczy czytelnika otyłych tchórzów, filistrów i głodnego, upodlonego, cyrkowego klowna.

Rozładowanie konfliktu — groźba zalania cyrku potokami płonącej nafty i — zamiast niej — ukazanie się zziajanego, zmęczonego, strasznego wodza z blaszaną jałmużniczą miską w ręku, do której sypią się dolary wyzwolonej z poczucia niebezpieczeństwa przerażonej publiczności, szczęśliwej, że tylko o pieniądze chodzi, nie o zemstę — sprowadza akcję do jej punktu wyjścia.

Ironia zakończenia „ludzie mają serce", „po przedstawieniu Sachem pił piwo i jadł knedle pod „Złotym Słońcem", *ironia*, w której ludzkość serca sprowadzona jest do dźwięczącego dolara a kres upodlenia ludu do pobytu Sachema pod „Złotym Słońcem" — zgodna jest z podstawową i zachowaną w każdym szczególe zasadą kompozycyjną. Ironia jest jednocześnie wyrazem postawy autora, metody nie tylko obrazującej, ale ostro oceniającej. Sienkiewicz, który w tym okresie twórczości, wychodząc z uciemiężenia własnego narodu, a nie ulegając jeszcze burżuazyjnemu nacjonalizmowi zajął postawę ideologicznie słuszną, stworzył arcydzieło również pod względem artystycznym. Nie musiał szukać dla swej noweli klasycznego „zestrzelenia sokoła" Boccaccia, owego „niezwykłego zdarzenia", które w poetyce burżuazyjnej uważało się za warunek nieodłączony i konieczny tego gatunku literackiego. Znalazł je w otaczającej go rzeczywistości. „Na placu, na którym powieszono ostatnich Czarnych Wężów zbudowano zakład filantropijny; pastorowie w kościołach uczyli co niedziela miłości bliźniego, poszanowania cudzej własności i innych cnót, potrzebnych ucywilizowanemu społeczeństwu; pewien przejezdny prelegent miał nawet raz na Kapitolu odczyt „o prawach narodów".

W pirackiej ręce mordercy ludów, w jego cynizmie i zakłamaniu, w ścieraniu tych wolnych ludów z oblicza ziemi, w czynieniu z ich ostatnich przedstawicieli — zdeprawowanych clownów cyrkowych, znalazł materiał dla tworzywa artystycznego, i zajęcia właściwej postawy ideowej.

W wyobraźni czytelnika pozostaje cyrk — z bijącą łuną świateł i gwiaździsty amerykański sztandar na jego spiczastym dachu.

Gwiaździsty sztandar amerykański, który już Sienkiewicz pokazał w jego właściwym świetle, a który dla Marka Twaina przestał być przedmiotem dumy, a stał się widomym znakiem hańby — sztandar, o którym mówił: „niechaj zostanie nasz stary sztandar, tylko białe pasy zamalujmy czarną farbą, a na miejscu gwiazd wyrysujmy trupią czaszkę i piszczele."

W roku 1906 mówi Twain o tym nowym sztandarze „ludziom błąkającym się i zabłąkanym w ciemnościach".

W roku 1951 w ogniu amerykańskich pocisków płonie Korea.

Barbara Rafałowska

JAN KOTT

O nową syntezę polskiego Oświecenia

Przyjęcie roku 1764 jako wielkiej cezury historycznej, dzielącej literaturę staropolską od nowoczesnej, było niewątpliwie poważnym osiągnięciem zeszłorocznego zjazdu polonistów w Warszawie. Uzasadnienie nowej periodyzacji i wyboru daty 1764 przeprowadził wyczerpująco i definitywnie Tadeusz Mikulski w swoim referacie zjazdowym.

Obecnie stoimy przed zagadnieniem następnym, przed koniecznością wydobycia wszystkich poznawczych konsekwencji nowej periodyzacji tak, aby nie była ona jedynie zabiegiem formalno-literackim, dzielącym dwa tomy przyszłego podręcznika historii literatury, ale zapoczątkowaniem prac nad marksistowską syntezą polskiego Oświecenia. Nowa periodyzacja każe widzieć w czasach stanisławowskich nie koniec pewnego okresu historycznego, ale jego początek, pozwala z całą ostrością dostrzec w nich narastanie sił społecznych i konfliktów, które decydować będą o dalszym rozwoju historycznym. Musimy spojrzeć na polskie Oświecenie i ocenić je z naszych pozycji, z perspektywy zwycięstwa mas ludowych i budowania socjalistycznej kultury.

I tutaj trzeba powiedzieć od razu i bardzo wyraźnie, że czekają nas dwa zadania. Pierwsze z nich to dokonanie nowej syntezy, drugie zadanie, które spada przede wszystkim na historyków kultury i pisarzy, to przeprowadzenie nowej selekcji, nowego wyboru dziedzictwa artystycznego i umysłowego, jakie zostawiło polskie Oświecenie. Dwa są bowiem rodzaje wiedzy i znajomości epoki. Pierwszy z nich to dzieła i opracowania naukowe, to synteza i interpretacja, to materiały i dokumenty ogłaszane w czasopismach specjalnych, to — mówiąc krótko — naukowy warsztat historyka. Ale poza nim jest jeszcze żywa obecność i oddziaływanie przeszłości na kulturę współczesną: książki, które są czytane, myśli i idee, które dalej wychowują, wiersze, które wchodzą do trwałego artystycznego dziedzictwa, ludzie, którzy pozostają wzorem postępowania.

Musimy nie tylko ocenić krytycznie dorobek i stan naszej wiedzy o Oświeceniu, musimy również zbadać, jacy ludzie i jakie zjawiska historyczne, jakie pomniki kultury Oświecenia przeszły do narodowego dziedzictwa. Musimy oczyścić nie tylko naszą wiedzę o czasach stanisławowskich, ale i samo dziedzictwo polskiego Oświecenia ze wszystkich skażeń i zafałszowań burżuazyjnej nauki i burżuazyjnej recepcji.

Jaką syntezę polskiego Oświecenia przyniosła pozytywistyczna historia literatury, która ugruntowała przecież naszą wiedzę o tej epoce? Jaką koncepcję czasów stanisławowskich i jaką ich ocenę znajdujemy

w dziełach Chmielowskiego, Chrzanowskiego, Tarnowskiego i Pilata, a przede wszystkim w kapitalnych pracach i badaniach Smoleńskiego, będących niewątpliwie najwyższym osiągnięciem nauki burżuazyjnej w zakresie wiedzy o polskim Oświeceniu?

Pozywistyczna historia literatury oceniała polskie Oświecenie z pozycji sojuszu burżuazyjno-obszarniczego, jaki ostatecznie dojrzał w latach osiemdziesiątych XIX wieku. I dlatego w czasach stanisławowskich wydobywano przede wszystkim te tendencje polityczne i umysłowe, które sojusz ten potwierdzały, a przynajmniej nie były dla niego groźne. Historycy literatury szli tutaj zresztą za koncepcjami historyków. Istotną treścią polskiego Oświecenia była dla nich walka o unowocześnienie i zmodernizowanie starej, szlacheckiej rzeczpospolitej, wydobycie Polski z zacofania politycznego, gospodarczego i kulturalnego, w jakie pogrążył ją okres anarchii magnackiej czasów saskich. Stąd kompromis między mieszczaństwem a feudałami, którego wynikiem była Konstytucja 3 maja, uznany był za szczytowy moment polskiego Oświecenia. Pozytywistyczna historiografia dostrzegała tylko, i to w ograniczonej mierze, jedną stronę polskiego Oświecenia: konflikty wynikające z dążeń do zreformowania stanowego państwa o zacofanym ustroju. Była to historia politycznych walk magnaterii, szlachty i tylko w pewnej mierze — mieszczaństwa. Pozytywistyczna historiografia pomijała konflikt o wiele bardziej historycznie doniosły: walkę chłopstwa z pańszczyźnianą niewolą. Milczała zarówno o doli jak i o roli, i o znaczeniu mas uciemiężonych i wyzyskiwanych, których kosztem odbywały się wszystkie reformy i przeciwko którym zwrócony był sojusz feudalno-mieszczański.

Stąd pominięcie podstawowej wewnętrznej sprzeczności polskiego Oświecenia, wynikającej z próby szczepienia kapitalizmu na gruncie niezmienionej feudalnej niewoli. Stąd zacieranie różnic między lewicą a prawicą obozu reformy i przedstawianie go, poza jednym Smoleńskim, jako niezróżnicowanej wewnętrznie, jednolitej całości. Stąd wreszcie niedocenianie krytycznej pasji polskiego Oświecenia, jego zuchwałej i nowatorskiej myśli, odwagi i śmiałości w projektach lepszego urządzenia świata, a przecenianie znaczenia tchórzliwych i połowicznych reform.

Sprawy te wystąpiły najjaskrawiej w historii kultury i historii literatury. Wielkich reformatorów i pisarzy polskiego Oświecenia pozytywistyczni badacze próbowali przyciąć do poziomu warszawskich sklepikarzy lub galicyjskich hrabiów z dziewięćdziesiątych lat zeszłego wieku. W dziejach literatury stanisławowskiej nie zajęła należnego miejsca ani namiętna poezja polityczna Zabłockiego, ani radykalizm i libertynizm Węgierskiego, ani ateizm i materializm Trembeckiego. Pomijano konsekwentnie ogromny wpływ Rewolucji Francuskiej na poezję i publicystykę 1791-95.

Nieznana nawet od strony materiałowej, nie wydobyta z rękopisów pozostała antytargowicka liryka rewolucyjna, przepojona duchem jako-

bińskim. Pominięto i zlekceważono patriotyczną, internacjonalną i republikańską poezję Jasińskiego.

Nie wydobyto naczelnych wartości literatury stanisławowskiej, jej żarliwości politycznej i społecznej, bogactwa treści poznawczych, jej szlachetnej tendencyjności, nowatorstwa ideowego i artystycznego, jej racjonalizmu i żywiołowego realizmu. Żywą część dziedzictwa Oświecenia reprezentował kanon szkolnej lektury. Należały do niej „Satyry" Naruszewicza i Krasickiego, „Bajki", „Monachomachia" i „Doświadczyński", Trembeckiego „Bajki" i „Sofiówka", parę sentymentalnych wierszy Karpińskiego i wreszcie „Sybilla" Woronicza i „Bard" Czartoryskiego o wyraźnie wstecznych preromantycznych tendencjach. W repertuarze teatralnym pozostał co prawda „Powrót posła" i „Fircyk w zalotach", ale obie te sztuki nabierają w tym czasie charakteru widowisk dla młodzieży. To niemal wszystko.

Dynamikę rozwoju literatury w czasach stanisławowskich ujmowali badacze pozywistyczni jako wielki proces przejmowania i naśladowania zachodniej kultury, i to przede wszystkim francuskiego klasycyzmu, a nie francuskiego i angielskiego Oświecenia. Zachodnia kultura stanowi dla historyków literatury jakąś dziwną i harmonijną całość, obejmującą i godzącą ze sobą zarówno twórczość Racine'a i Boileau jak Locke'a, Woltera i Monteskiusza, aż po Pieśni Ossjana, po dzieła Younga i Sterne'a.

Nie dostrzegano w kulturze Oświecenia podstawowego antagonizmu między burżuazyjnym realizmem i feudalnym klasycyzmem, rozpadu poetyki klasycystycznej i narodzin nowych rodzajów literackich: burżuazyjnej powieści i dramatu. Pomijano narastanie rewolucyjnego programu burżuazji i drobnomieszczańską krytykę kapitalistycznego postępu. Od Boileau i Racine'a po Diderota i Russa to był tylko i zawsze francuski klasycyzm.

Może najjaśniej pozytywistyczną syntezę literatury stanisławowskiej sformułował P i l a t. Warto ją tutaj przytoczyć:

„Że cała poezja stanisławowska ujęta w karby zapożyczonej teorii klasyczno-francuskiej, a osadzona na gruncie jednostronnych dążności racjonalistycznych wieku Oświecenia, nie była i nie mogła być prawdziwą rzeczywistą poezją, poezją w głębszym słowa znaczeniu, która tryska z naturalnych źródeł twórczości ludzkiej, zasila się i uczuciem, i wyobraźnią i wnosi ducha ludzkiego w sfery wyższe, ponad sprawy i cele praktyczne stosunków rzeczywistych, o tym nie potrzeba mówić, bo to czujemy dobrze wszyscy...

...Pod wpływem ścisłych przepisów klasyczno-francuskich poezja nasza nie tylko otrząsła się z fałszywych i śmiesznych cech dawniejszych, ale wyrobiła stopniowo i uszlachetniała styl i wiersz i doprowadziła formę literacką i artystyczną do wysokiego stopnia doskonałości."

Jest rzeczą uderzającą, jak dalece poglądy Pilata, które stanowią zamknięcie pozytywistycznego okresu badań nad Oświeceniem, bliskie są już koncepcjom B o r o w e g o. W okresie imperializmu następuje gwałtowne uwstecznienie zarówno interpretacji nurtów literatury stanisławowskiej jak i wyboru żywej części osiemnastowiecznego dziedzictwa. Krasicki pozostaje nadal czołowym poetą epoki, ale już nie jako reprezentant ograniczonych choćby dążeń reformatorskich stronnictwa królewskiego, lecz jako mistrz stylu. Jednocześnie „Monachomachia" usunięta zostaje z kanonu szkolnego i przechodzi na półkę dzieł, do których zaglądają jedynie historycy literatury. Poezję barską natomiast spotyka nagły renesans, jest omawiana, wydawana i popularyzowana. „Uczucie i wyobraźnia" jako miary prawdziwej poezji oznaczają w praktyce badawczej nie tylko przykładanie do literatury stanisławowskiej wzorca liryki młodopolskiej, a więc jaskrawy metodologiczny ahistoryzm, ale również są maską dla określonych tendencji ideologicznych. Ze świeczką w ręku szuka się w poezji Oświecenia objawów fideizmu, irracjonalizmu i pesymizmu. Stąd nagła kariera Kniaźnina, u którego Borowy ceni nade wszystko wewnętrzne rozdarcie, skomplikowanie osobowości, tragiczne pojmowanie życia i miłości.

Historia literatury Oświecenia przestaje być obrazem epoki, choćby nawet jak w czasach pozytywizmu ograniczonym jedynie do walki stronnictwa reformy z sarmatyzmem i zdradą magnacką; historia literatury staje się galerią portretów. Zmienia się konsekwentnie system ocen; nie ceni się już pisarza walczącego, społecznika, reformatora, działacza politycznego i krytyka, szuka się poetów serca, poetów zmysłów albo cyzelatorów formy.

Rozwijają się natomiast prace przyczynkarskie, rezygnujące z wszelkiej interpretacji, ale pracowicie gromadzące materiał. B e r n a c k i zupełnie mechanicznie, ale wzorowo, jeśli chodzi o dokładność filologiczną, skatalogował teatralia stanisławowskie. N o w a k - D ł u ż e w s k i dokonał odkrywczej pracy z zakresu satyry i poezji politycznej. Panujące tendencje kosmopolityczne rozmnożyły wreszcie liczbę prac wskazujących, często bezmyślnie, źródła obce wielu utworów stanisławowskich.

Nie przyniósł natomiast okres imperializmu krytycznych, czy choćby tylko pełnych wydań klasyków Oświecenia. Wydania klasyczne policzyć można na palcach jednej ręki. Teatr Bohomolca, Zabłockiego i Bogusławskiego jest praktycznie niedostępny, nawet w największych bibliotekach. Nie mamy pełnego wydania pism Kołłątaja, Jezierskiego, Staszica, wierszy Jasińskiego, Niemcewicza, Dmochowskiego. Ostatnie wydanie zbiorowe dzieł Krasickiego dokonane zostało przed przeszło siedemdziesięciu laty, pism Węgierskiego i Trembeckiego blisko siedemdziesiąt lat temu, poezji Zabłockiego przed pół wiekiem.

Wydania te są nie tylko bezkrytyczne, pełne rażących błędów i skażeń tekstu, ale jeszcze w dodatku niepełne, lekkomyślnie szafujące autorstwem i ocenzurowane. Zajmując się Trembeckim mogłem stwier-

dzić, jak teksty tego wielkiego poety uległy potrójnemu skażeniu: przez niechlujstwo edytorów, przez tendencje purystyczne warszawskich i wileńskich pseudoklasyków, usuwających skrzętnie dialektyzmy, archaizmy i neologizmy Trembeckiego i wreszcie przez świadome kastrowanie wierszy, z których usuwano z żelazną konsekwencją nie tylko libertyńską swawolę języka, ale całe ustępy antypapieskie, antyklerykalne. Ograniczę się do dwóch przykładów: Z pięknego obyczajowego wiersza „Do Jasia o fryzowaniu" wypadł, jakżeż niewinny w istocie, dystych:

Dwa razy trzeba ubrać młodego prałata,
W dzień ubrany wyjeżdża, w noc w negliżu lata.

„Z Ody do zniesionego zakonu Jezuitów" pozostało oczywiście wszystko, co było zamówioną przez króla pochwałą zniesionego zakonu, usunięty natomiast został gwałtowny atak na zakony żebrzące, będące ostoją ciemnoty i fanatyzmu szlacheckiego. Oto strofa, którą skreślono:

Niech jędze chwalą Franciszka z braty,
Mnich ten nie wiele spokojny
Rozdymał ognie do krucyjaty,
Stoletniej a próżnej wojny;
I Dominika z błyszczącym okiem,
Kto jego słowom nie wierzy,
Niechaj omija świętego bokiem,
Bo z tyłu nożem uderzy.
Ach! niejeden nieufny w różańcowy wieniec
Z rąk tego patryjarchy poległ odszczepieniec.

To są tylko przykłady. Ale podobnej kastracji uległ nie jeden Trembecki. W podobny sposób skażone zostały i ocenzurowane teksty Zabłockiego, Węgierskiego i Jasińskiego. I dlatego pracy nad nową syntezą polskiego Oświecenia towarzyszyć musi wielki wysiłek edytorski nad przywrócenem poprawnych tekstów, nad wydobyciem z rękopisów i pierwodruków wszystkiego, co pozostało żywe, cenne i twórcze w literaturze stanisławowskiej.

Nauka burżuazyjna zbudowała nie tylko fałszywą syntezę polskiego Oświecenia i nie umiała ukazać jego społecznej dynamiki. Nacisk wstecznictwa był o wiele silniejszy i właśnie w stosunku do tej epoki sięgnął aż do zniekształcania tekstów i prewencyjnej cenzury. Jakobińska liryka rewolucyjna z lat 1793—4, antymagnacki i antykrólewski pamflet polityczny, poezja antyklerykalna i antypapieska, realistyczne wiersze obyczajowe, które w okresie stanisławowskim częściowo spełniają funkcję powieści i są „zwierciadłem, które przechadza się po gościńcu", nie przeszły nigdy przez druk i nadal spoczywają w rękopisach. Ogromna i może najwartościowsza część poezji, publicystyki, literatury dramatycznej i czasopiśmiennictwa Oświecenia pozostała nadal nie zbadana.

Przypomnijmy jeszcze, że w ciągu ostatnich pięćdziesięciu lat nie mieliśmy ani jednej pełnej monografii napisanej przez polskiego badacza o którymkolwiek z klasyków literatury stanisławowskiej.

Rozpoczęcie planowych i szerokich badań nad kulturą polskiego Oświecenia wymaga zarysowania wstępnej, choćby prowizorycznej syntezy, wydobycia naczelnych konfliktów, postawienia problematyki, określenia centralnych zagadnień. Musimy sobie jasno zdawać sprawę zarówno z ograniczenia, jak i z wielkości epoki. Nie wolno nam za wzorem nauki burżuazyjnej, nawet w jej najlepszym okresie, zapominać, że w swojej całości literatura polskiego Oświecenia jest wyrazem walki o szczepienie kapitalizmu na gruncie nie zmienionego wyzysku feudalnego, że — mówiąc krótko — nie mieliśmy w Polsce Radiszczewa, tak jak nie mieliśmy wojny chłopskiej i buntu Pugaczowa. Żaden z polskich ideologów ani Kołłątaj, ani Jezierski, ani Staszic nie żądał jak Radiszczew rozdania między chłopów ziemi folwarcznej, nie stawiał na antyfeudalną rewolucję ludową. Polskie Oświecenie szło drogą feudalnych reform, kompromisu mieszczańsko-szlacheckiego i budowy państwa stanowego z pewnymi elementami burżuazyjnymi.

Ale podkreślając klasowe ograniczenie polskiego Oświecenia, którego wynikiem był kompromis, jaki zrodził Konstytucję 3 maja, nie wolno nam przekreślać i lekceważyć trwałych i postępowych wartości, jakie czasy stanisławowskie wniosły do kultury narodowej. Walka o nową nadbudowę, która jest treścią polskiego Oświecenia, była historycznym wyrazem pierwszej fazy formowania się burżuazyjnego narodu, politycznej racji stanu i państwowej myśli. Polskie Oświecenie, tchórzliwe i kompromisowe w reformach, było wielkie w krytyce niesprawiedliwości feudalnych, w żywiołowym materializmie swoich najlepszych przedstawicieli, w nieubłaganej i bezwzględnej walce z ciemnotą, zacofaniem i fanatyzmem religijnym, w wierze w postęp i w zaufaniu do rozumnej działalności człowieka. Literatura stanisławowska jest szkołą realizmu, społecznej odpowiedzialności, dyscypliny intelektualnej i nowatorstwa ideowego. W ostatnich wreszcie latach Oświecenia po raz pierwszy w naszej historii pieśń i poezja przemówiły rewolucyjnym językiem warszawskiego plebsu.

Aby wydobyć główne konflikty polskiego Oświecenia, ukazać jego wewnętrzne sprzeczności i dynamikę rozwoju literatury, trzeba postawić wewnętrzne cezury. Polskie Oświecenie dzieli się bowiem wyraźnie na trzy podokresy: od r. 1764 po ostateczne odrzucenie kodeksu Zamoyskiego, od r. 1780 po Konstytucję 3 maja i wreszcie od uformowania się Targowicy po upadek państwa polskiego. Każdy z tych trzech okresów ma swoją odrębną problematykę kulturalną i ideologiczną. Inni ludzie, inne środowiska literackie i polityczne odgrywają rolę czołową, gwałtownie zmieniają się uprawiane rodzaje literackie. W każdym z tych trzech okresów mamy inny typ realizmu osiemnastowiecznego, inaczej przebiega granica dzieląca siły postępu i wstecznictwa.

Oczywiście daty wewnętrznych cezur mają charakter przybliżony, stanowią punkty graniczne narodzin i wygasania konfliktów. Wewnętrzną periodyzację polskiego Oświecenia wesprzeć musi swymi argumentami historyk ustroju i historyk gospodarczy. Badacz kultury odpowiedzieć musi natomiast na pytanie, jaką rolę w walce ideologicznej spełniała literatura?

W okresie pierwszym, który obejmuje działalność Bohomolca, Naruszewicza i Krasickiego aż do jego rozejścia się z obozem królewskim, zagadnieniem, które dominuje w literaturze i publicystyce jest wychowanie klas rządzących dla zreformowanego państwa feudalnego na wzór angielski, wychowanie magnatów i szlachcica do nowych warunków gospodarczych, w których decydującą rolę odgrywa pieniądz, w którym współistnieją ze sobą elementy kapitalistyczne i feudalne, w którym państwo, a nie każdy z feudałów prowadzi własną politykę zagraniczną i gospodarczą.

Okres ten nazwać możemy okresem „M o n i t o r a“ i „Z a b a w P r z y j e m n y c h i P o ż y t e c z n y c h“. Zwłaszcza „Monitor“ odgrywa rolę decydującą w kształtowaniu się nowej ideologii. Niestety, nie mamy naukowej monografii „Monitora“, która by w pełni określiła zarówno jego odrębność jak i zależność od angielskiego „S p e c t a t o r a“ i licznych jego kopii w całej Europie. „Monitor“ spełniał jednak niewątpliwie dwojaką rolę. Był wielką szkołą realizmu obyczajowego i dydaktyzmu, z której wyrosły satyry Naruszewicza i Krasickiego, obyczajowa komedia współczesna, a której wpływy dostrzegamy również na próbach powieści. Był wreszcie „Monitor“ wielkim rozsadnikiem idei zachodniego Oświecenia, a przede wszystkim angielskiego kompromisu między wielkimi obszarnikami, monarchią i burżuazją, kompromisu, który był wzorem reform, do jakich zmierzała Familia i Stanisław August.

Historyk scharakteryzować musi swoistą recepcję merkantylizmu, jaki niewątpliwie daje się odczytać z kart „Monitora“ i z wystąpień Mitzlera de Kolof. „Monitor“ nie ma co prawda odwagi zaatakować wolności handlu, ale wzywa do opieki nad cudzoziemcami i do sprowadzania majstrów i rzemieślników, ukazuje znaczenie przemysłu, broni manufaktur, zachęca do zamiany renty odróbkowej na pieniężną. Czyż Colbert nie jest wzorem dla Stanisława Augusta w jego całym stosunku do Tyzenhauza? Czyż cała działalność Tyzenhauza nie jest jednocześnie przykładem zwyrodniałej magnacko-feudalnej formy merkantylizmu?

Podkreślmy jeszcze od razu jedność ośrodka dyspozycyjnego, jakim przez te lata był dwór królewski i skupiona wokół Familii grupa wielkich feudałów. Możemy tutaj mówić o jedności obozu postępu i reformy. Warunkiem zwycięstwa grupy królewskiej jest wychowanie klasy rządzącej do nowego ustroju. Stąd zagadnienia szkoły, pedagogiki, walki o nowy typ nauczania, o nowe przyrodoznawstwo i nową filozofię odgrywają tak przemożną rolę. Wprowadzenie do szkół systemu kopernikańskiego, newtonowskiej fizyki, pedagogiki Locke'a — oto etapy walki o nową nadbudowę.

Wychować trzeba magnatów i szlachtę. Stąd dwojaki adres czytelniczy publicystyki i poezji tych lat. Widać go z całą jasnością na satyrach Naruszewicza i Krasickiego. Już Chrzanowski zauważył, że uderzają one zarówno w sarmatyzm, ciemnotę, zacofanie i relikty epoki saskiej w masie szlacheckiej jak i w kosmopolityczną kulturę magnacką i jaśniepańskie warcholstwo. Ale Chrzanowski nie rozszyfrował ideologii satyr do końca. Są one szkołą nowych cnót gospodarczych i państwowych dla ustroju, w którym samowładnego feudała, marnotrawnego fircyka i ciemnego szlachcica zastąpić musi mądry obszarnik, właściciel manufaktury i statysta. „Przypadki Doświadczyńskiego" i pierwszy tom „Pana Podstolego" są wypełnieniem tego samego zamówienia społecznego.

Wzorem dla Niemcewicza i Krasickiego jest Boileau, ale Boileau nie jako twórca poetyki klasycyzmu, ale jako autor listów i satyr, które przynoszą obraz i krytykę społeczeństwa feudalnego. Już przykład ten wystarczająco chyba dowodzi, że nie wolno nam pojęć klasycyzmu i Oświecenia używać wymiennie. Klasycyzm francuski przychodzi do Polski jednocześnie z daleko posuniętą krytyką feudalizmu w utworach Oświecenia. Stąd nie Malherbe i Racine, ale Boileau, Wolter i Monteskiusz stają się wzorami literackimi pierwszego okresu polskiego Oświecenia. Mamy już w tym okresie daleko posunięty rozkład poetyki klasycznej przez elementy realistyczne. W poezji następuje konkretyzacja portretu, uściślenie sytuacji społecznej, bogactwo rysów obyczajowych, pojawia się obrazek rodzajowy, dialog charakteryzujący postacie. Poezja ukazuje nam nie charaktery, nie postawy moralne, ale uogólnione realistyczne wzory obyczajów. Satyra ma w tym okresie charakter moralno-obyczajowy, ale jeszcze nie dojrzała do politycznego pamfletu.

Dodajmy teraz, że na te lata przypada właśnie przemiana Warszawy z zaniedbanego i brudnego miasteczka o 20 tysiącach mieszkańców, bez gmachów, bez wybrukowanych ulic, bez teatrów, w wielkie, bogate i ruchliwe, nowoczesne miasto. Powiększenie się cztero albo nawet pięciokrotne ludności Warszawy i całkowita zmiana życia w stolicy świadczy o niezmiernie szybkim tempie przemian gospodarczych i poważnym wzroście elementów kapitalistycznych w gospodarce feudalnej. Warszawa za czasów stanisławowskich rośnie szybciej od Łodzi w okresie pozytywizmu. Taki wzrost dowodzi zawsze gwałtowności przemian społecznych.

Mnożą się w tych latach rozliczne manufaktury, które działają rozkładająco na system feudalny. Jednocześnie mamy największe nasilenie buntów i wrzenia wśród chłopstwa. Magnackie czynszowanie z r. 1777, któremu towarzyszyła szeroka kampania publicystyczna, a nawet i poetycka, było przede wszystkim objawem lęku i próbą zabezpieczenia się przed powstaniem chłopskim, a dopiero potem drogą do podniesienia dochodów przez przerzucenie ryzyka gospodarki na oczynszowanego chłopa i pozbycie się całej armii dzierżawców.

Dlatego też należy bardzo ostrożnie i subtelnie interpretować częste bardzo w publicystyce i w poezji tego okresu obrazy dobrego i złego

pana, przyodziane w humanitarny kostium i broniące pracowitego kmiotka. Jest to znowu wychowanie szlachcica do nowego typu gospodarki, gdzie ekonoma z kańczugiem zastąpić musi pisarz prowentowy, obliczający dokładnie i sumiennie czynsze i dniówki. Literatura i publicystyka tych lat uczy szlachcica rachować, obliczać i kalkulować, chce, aby zamiast z szablą szedł w pole z ołówkiem w ręku.

Jakie były naczelne wartości obozu postępu i reformy w pierwszym okresie Oświecenia? Co pozostało trwałym dorobkiem polskiej kultury? Myślę, że zagadnieniem najistotniejszym, które dotychczas było albo pomijane, albo przynajmniej nie ukazane z dostateczną wyrazistością, jest walka obozu postępu o język narodowy. Zaświadczona jest ona w literaturze i publicystyce wielokrotnie. Wystarczy tutaj przypomnieć wystąpienia Konarskiego, a potem Bohomolca „De lingua polonica colloquium" z r. 1752 i przekład tego dzieła na język polski w r. 1756.

Oto Kochanowski, Twardowski i Makaroński dysputują o języku. Na propozycję Makarońskiego, aby starzy zachowali czystą polszczyznę, a młodzieży dozwolić na mieszanie łaciny, tak replikuje Kochanowski:

„Jako widzę chcesz, żeby dwa języki polskie były, jeden dla młodych, dla starych drugi. Pytam się, chwalisz czyli ganisz polszczyznę czystą, nie mieszaną; jeśli chwalisz, na cóż jej młodzi zabraniasz. Jeśli zaś ganisz, na cóż zostawujesz młodym coś lepszego, a starym to, co jest mniej chwalebnego. Czemuż Francuzi jeden język i dla młodych i dla starych mają. Czemu u nich nawet młodym mieszać słów obcych nie wolno?"

Mamy w tym wystąpieniu Bohomolca jasną zupełnie świadomość znaczenia języka narodowego. Walka o polski język narodowy w pierwszym okresie polskiego Oświecenia ma niezmiernie szeroki zasięg. Obejmuje walkę z żargonem szlacheckim czasów saskich, z francuszczyzną, która wchodzi w użycie na dworach jaśniepańskich, z łaciną wreszcie, która powoli zostaje wyparta z naukowego piśmiennictwa. Cała twórczość Naruszewicza, powoli oczyszczającego swój język z barbaryzmów i baroku saskiego, pokazuje nam kierunek przemian. Język Krasickiego jest już językiem, którym dzisiaj mówimy.

Pisarze stanisławowscy w walce z żargonem szlacheckim sięgają do języka mówionego. Z niego rodzi się literacki język epoki. Świadczy o tym ogromna ilość słów technicznych, nazw ubiorów, sprzętów i wyrobów, terminów określających różnorakie zajęcia, terminów naukowych, słownictwa politycznego, przysłów, powiedzeń. Język literacki rodzi się z mowy, którą posługują się ludzie różnych stanów i zawodów. Jest to mowa nie tylko szlachty, ale kupców warszawskich i rzemieślników, mowa coraz liczniejszej rzeszy urzędników w różnych komisjach państwowych, mowa świeckich nauczycieli, uczonych i polityków.

Walce z żargonem szlacheckim czasów saskich i wzbogaceniem słownictwa o żywy język, jakim mówi się w miastach, towarzyszy u wielu pisarzy stanisławowskich wzorowanie się na języku literackim czasów zygmuntowskich. Jest to tylko jeden, ale bardzo ważny przykład wpły-

wu kultury polskiego Renesansu na polskie Oświecenie. Oto temat ważny i nie opracowany dotąd gruntownie przez historyków literatury.

U wielu pisarzy stanisłowowskich, a przede wszystkim u Trembeckiego, Kniaźnina i Karpińskiego spotykamy wreszcie pierwsze, i bardzo charakterystyczne, próby naśladowania i obróbki słownictwa ludowego. Wzbogacają one i unarodowiają literacki język epoki.

Dla historii polskiego języka ogólnonarodowego okres Oświecenia ma znaczenie ogromne. Polski język ogólnonarodowy rodzi się w wielkim procesie formowania się burżuazyjnego narodu. Okres Oświecenia jest jeszcze jednym przykładem, że języka literackiego nie można przeciwstawiać językowi narodowemu, że rodzi się on z języka mówionego, jest jego naprzód uogólnieniem, a potem kodeksem.

Następnym kluczowym zagadnieniem dla specyfiki polskiego Oświecenia jest sprawa powieści. Pozwala nam ona jeszcze głębiej wydobyć zasadnicze przeciwieństwa między kulturą klasycyzmu a Oświecenia. Jeśli mówimy o recepcji w Polsce osiemnastowiecznej literatury Zachodu, musimy sobie jasno zdać sprawę, jaka była zasada wyboru, jakich wzorów przede wszystkim szukano.

Zwróćmy uwagę na przekłady. W r. 1768 ukazuje się tłumaczenie bajek „Tysiąc nocy i jedna", jednej z książek, która najsilniej zaważyła na kulturze Oświecenia przez ukazanie wzoru odmiennej cywilizacji i wzbogacenie techniki opowiadania. Mądry Chińczyk, przebiegły Arab, nawet okrutny Pers i namiętny Turek, podobnie jak przedtem dobry dzikus — tworzą galerię racjonalistycznych bohaterów walczących ironią, żartem i pozornie naiwnym rozumowaniem z wszystkimi przesądami feudalizmu. Rok 1769 przynosi przykłady: „Przypadków Robinsona Kruzoe", wielkiej powieści, której bohaterem jest kupiec zakładający kapitalizm na bezludnej wyspie, „Idziego Blasa" Lesage'a i „Manon Lescaut" Prévosta. W r. 1777 ukazuje się „Diabeł kulawy" Lesage'a i Molierowski „Świętoszek", przystosowany do narodowych obyczajów. Żywym wzorem tego polskiego Tartufa, jak podaje przedmowa i motto, był głośny ksiądz Marek, karmelita. Ten szarlatan, cudotwórca i „prorok", który był małym Towiańskim Konfederacji Barskiej, zrobił potem wielką karierę literacką w mistycznym okresie polskiego romantyzmu. Polskie Oświecenie widziało w nim i słusznie tylko świętoszka i obłudnika. W r. 1778 wychodzi tłumaczenie „Listów Perskich". Od 1784 pojawiają się coraz liczniej przekłady powieści angielskiej. Ukazują się kolejno „Podróże Guliwera" Swifta, „Random" Smolleta, powieści Fieldinga: „Amalia", „Joseph Andrews", „Tom Jones".

Przekłady te są niejednokrotnie wznawiane, wychodzą w paru wydaniach. Znajdowały widocznie czytelnika. Nikt z historyków literatury nie postawił dotąd pytania, dlaczego polskie Oświecenie nie stworzyło powieści? Dlaczego nie powstała u nas realistyczna nowoczesna powieść, która jest najbardziej charakterystycznym zjawiskiem burżuazyjnej kultury Oświecenia i jedną z największych rewolucji literackich?

Wzory istniały. Czytelnik na powieść tę czekał. Grunt był przygotowany. „Monitor", który wychowywał naszych pisarzy, mógł stać się dla nich taką samą szkołą powieści jak angielski „Spectator". Nowoczesna powieść realistyczna rodziła się z publicystyki i pamfletów, z pamiętników, życiorysów i dzienników, z satyry obyczajowej i dydaktycznego traktatu. Wszystkie te rodzaje istniały i u nas. Powieść realistyczna powstawała w drodze skoku od autentycznej biografii do zmyślonego bohatera, od zbioru dokumentów do literackiej fikcji i świadomej konstrukcji losu. Tego ostatniego skoku od piśmiennictwa do powieści nie było w polskim Oświeceniu.

Musiało czegoś brakować. I rzeczywiście zabrakło bohatera polskiej powieści burżuazyjnej. Pierwsza część „Przypadków Doświadczyńskiego" opowiada nam o szlacheckiej edukacji, potem bohater wyjeżdża za granicę i tak zaczyna się realistyczna powieść. Co z tego? Kiedy Doświadczyński wraca do kraju, zostaje tylko Panem Podstolim. Z Pana Podstolego nie można skroić bohatera powieści burżuazyjnej.

Aby powieść taka powstała, musiałby Doświadczyński dostać się do miasta, obojętne jako lokaj czy jako urzędnik Rady Nieustającej, mógłby również terminować u któregoś z facjendarzy warszawskich, odwiedzać ustronne dworki na Grzybowie i na Nalewkach, bywać na redutach u księcia Michała Lubomirskiego i poprowadzić miłosną intrygę z którąś z aktorek trupy włoskiej albo pierwszego polskiego teatru. Pan Podstoli niestety nie bywał w Warszawie, a przynajmniej nie w takiej roli.

Kilkanaście pierwszych stron życiorysu Jarosza Kutasińskiego mogłoby być wspaniałym początkiem realistycznej powieści. Ale Kutasiński musiałby tak jak Franciszek Salezy Jezierski pójść do konwentu Pijarów, potem jako namiestnik złotej chorągwi husarskiej tłumić bunty chłopskie na Ukrainie, zostać kanonikiem, wizytatorem Szkoły Głównej i wreszcie jako pomocnik Kołłątaja stać się radykalnym publicystą, którego słusznie nazywano „wulkanem gromów Kuźnicy". To znowu nie była kariera poczciwego Pana Podstolego.

Wielkie powieści polskiego Oświecenia, w których indywidualny los bohatera ukazuje wszystkie sprzeczności wieku i jest pisany historią, to biografie Jezierskiego, Węgierskiego, Jasińskiego i Dmochowskiego. Ale biografie te nie zostały napisane. Nie powstała burżuazyjna powieść. Jej bohaterami byli tylko Doświadczyński i potomstwo Pana Podstolego.

Brak w kulturze polskiego Oświecenia burżuazyjnej powieści wytłumaczyć można jedynie słabością mieszczaństwa. Potwierdza to raz jeszcze klasowy rodowód nowoczesnej powieści realistycznej.

Wspomnieć jeszcze należy o tzw. powieści historycznej, która rozwinęła się w drugim okresie Oświecenia. Są to w istocie broszury polityczne, utrzymujące pozór historyzmu dla celów czysto publicystycznych. Realizm dydaktyczny zanika w tym okresie. Zanim zdążył wyrosnąć, ulega już rozpadowi. Wiąże się to z wpływami Sterne'a na twór-

czość Karpińskiego i Jezierskiego, z pierwszym atakiem na realizm Krasickiego.

Wielką i niedocenioną ciągle rolę odegrał w polskim Oświeceniu teatr. Otwarcie pierwszej polskiej sceny publicznej nastąpiło w roku 1765. Teatr stanisławowski nie został dotąd naukowo opracowany. Nikt ze współczesnych badaczy nie przeczytał na nowo świeżym okiem ogromnego dorobku stanisławowskich komediopisarzy. Nie mamy dotąd książki, która by potrafiła odpowiedzieć na najprostsze pytania: czym był teatr stanisławowski, jaką rolę odegrał, jaką publiczność gromadził, jaka była linia rozwojowa repertuaru i zasada jego wyboru.

Jest przecież rzeczą zastanawiającą, że Bohomolec już w swoich komediach aktorskich sięga przede wszystkim do Moliera i Goldoniego, a więc do dwóch wielkich wychowawców mieszczaństwa. Jakie wartości ideologiczne reprezentował Molier w polskim Oświeceniu? Był przecież wielokrotnie tłumaczony, przerabiany, grany i wydawany. Nie potrafimy dzisiaj na to pytanie odpowiedzieć. Na jeden tylko fragment tego zagadnienia pragnę tutaj zwrócić uwagę. Bohomolec przerabia „*Les Précieuses ridicules*" Moliera na „Modnych Kawalerów". Walka, jaką toczył Molier z *préciosité*, z wynaturzonym barokowym stylem arystokratycznych salonów, pod piórem polskiego pisarza staje się uderzeniem w szlachecki żargon i magnackie małpowanie francuszczyzny. W tym samym duchu przerabia Bohomolec „Uczone białogłowy" Moliera.

Musimy opierając się na materiałach, jakie zgromadził Bernacki, zanalizować krytycznie bogaty repertuar stanisławowskiego teatru. Do jakich pisarzy sięgali po „plantę i intrygę", jakich autorów tłumaczyli i naśladowali Bohomolec, Zabłocki i tylu innych komediopisarzy i amplifikatorów stanisławowskich. Uderza przecież, że klasyczna komedia francuska, że Corneille i Racine w teatrze polskiego Oświecenia zajmuje tak niewielkie miejsce. Góruje natomiast Molier i oświeceniowa racjonalistyczna tragedia Woltera. Ale przecież sięgano nie tylko do Moliera i Woltera. Teatr stanisławowski ogarnął i przyswoił polszczyźnie najbardziej postępową i nowatorską twórczość dramatyczną XVIII wieku.

Mamy wiele rozprawek ukazujących drobiazgowo i mechanicznie obce źródła komedii stanisławowskich. Ale nie znamy żadnej pracy, która by postawiła problematykę, która by pokazała całą oryginalność i samodzielność polskiego teatru, charakter amplifikacji, przeróbek i dostosowań do narodowych obyczajów, która by powiedziała, czym różni się teatr stanisławowski od obcych wzorów i jaką rolę ideologiczną odegrał w polskim Oświeceniu?

Był to przecież teatr tak mało klasyczny, tak mocno przepojony elementami dojrzałej ideologii Oświecenia. Na tle całości kultury czasów stanisławowskich teatr reprezentuje formację najbardziej zaawansowaną, najsilniej mieszczańską, najostrzej walczącą z ciemnotą, przesądem i wstecznictwem. Teatr stanisławowski rodzi się z burżuazyjnego przełomu w teatrze europejskim i staje się prawdziwą narodową sceną. Dzie-

je polskiego teatru potwierdzają wewnętrzną periodyzację polskiego Oświecenia. W okresie pierwszym dominuje Bohomolec, w okresie drugim — Zabłocki, w okresie trzecim i szczytowym — Bogusławski, który w r. 1790 wraca do Warszawy i prowadzi teatr aż do r. 1794.

O Bogusławskim ciągle jeszcze wiemy bardzo mało. A przecież warszawski teatr w okresie jego dyrekcji możemy z całą odpowiedzialnością nazwać jedną z najbardziej postępowych artystycznie i ideowo ówczesnych scen europejskich. Teatr Bogusławskiego przodował przez swoje upolitycznienie, przez połączenie nurtu rewolucyjnego i narodowego, przez swoją aktualność i głębokie pojmowanie społecznych zadań narodowej sceny, przez swoją ludowość i przez realizm gry i inscenizacji.

Jest wielkim grzechem, że nie potrafiliśmy pokazać wielkości Bogusławskiego ani Europie, ani nam samym. Reprezentuje on w XVIII wieku najdojrzalszą, najwszechstronniejszą i najbardziej nowatorską myśl i praktykę teatralną.

Jaki jest kierunek przemian literatury, myśli społecznej i publicystyki w drugim okresie polskiego Oświecenia, od ostatecznego odrzucenia reform Zamoyskiego do uchwalenia Konstytucji 3 maja. Już około roku 1777, w latach masowego czynszowania chłopów przez wielkich feudałów. zwłaszcza na ziemiach wschodnich, pierwszych wstrząsów gospodarczych wywołanych przez manufaktury i walki o kodeks Zamoyskiego, występuje gwałtowne upolitycznienie wszystkich rodzajów literackich. Jeżeli w pierwszym okresie polskiego Oświecenia zagadnieniem naczelnym było wychowanie klas rządzących dla reformy feudalizmu i walka ze starą nadbudową, która opóźniała i hamowała rozwój naszych stosunków wytwórczych, w okresie drugim dominuje walka polityczna o władzę, która osiąga największe nasilenie w okresie Sejmu Czteroletniego. Literatura staje się orężem politycznym w walce klasowej. I to charakteryzuje przede wszystkim drugi etap polskiego Oświecenia.

Walka toczy się o to, kto będzie hegemonem feudalnej reformy w Polsce, podparcia starego gmachu, który się wali i otwarcia drogi nowym kapitalistycznym stosunkom. Czy hegemonem tym będzie grupa oświeconych feudałów, którym uda się zgnieść opór reszty magnaterii, podporządkować sobie stronnictwo królewskie i zaprowadzić jakąś zwyrodniałą formę zatomizowanego merkantylizmu, czy też hegemonem będzie średnia szlachta w oparciu o górę mieszczańską. Walka toczy się przede wszystkim o wzmocnienie państwa. Tylko bowiem silne państwo uchronić może średnią szlachtę i mieszczaństwo od przemocy i samowoli wielkich feudałów, z których każdy próbuje stać się absolutnym władcą na swoich ziemiach. Silne państwo poskramiać ma oligarchię magnacką, ale ono też broni szlachtę przed możliwością wojny chłopskiej. Wobec słabości mieszczaństwa średnia szlachta jest inicjatorem sojuszu. Ona dostarczać będzie początkowo przywódców. W tym okresie pojawia się coraz częściej w publicystyce pojęcie narodowej

racji stanu. Sojusz między średnią szlachtą i mieszczaństwem jest początkiem formowania się burżuazyjnego narodu.

Szkoła „Monitora", szkoła myślenia politycznego i gospodarczego, jaką był pierwszy okres polskiego Oświecenia, wydała swoje owoce. Średnia szlachta zaczyna obracać kapitałami, gospodarczo uniezależnia się od magnaterii. Nowy typ polskiego szlachcica, zresztą w reakcyjnym wydaniu, reprezentuje taki Jacek Jezierski, który skupuje majątki i wypuszcza je w korzystne dzierżawy, zakłada manufaktury, szuka nowych kopalin, obraca pieniądzem i trudni się nawet lichwą. W Warszawie powstają wielkie kantory bankierskie, pieniądz jest ciągle drogi, średnia szlachta lokuje kapitały u warszawskich facjendarzy.

Ale szkoła „Monitora", szkoła pierwszego okresu polskiego Oświecenia, wydała jeszcze inne owoce. W literaturze, publicystyce, w życiu umysłowym kraju widzimy nowych ludzi. Są to nauczyciele w szkołach Komisji Edukacji Narodowej, dziennikarze i publicyści, urzędnicy w różnych komisjach wojskowych i cywilnych, ekonomiści i profesorowie. Wielu wśród nich jest jeszcze księży i zakonników, ale włożenie duchownej sukienki było dla nich wszystkich jedyną drogą społecznego awansu, dostępu do szkół wyższych i wyjazdu zagranicę. Większość z nich pochodzi z zubożałej szlachty. Ale o ich stanowisku społecznym nie decyduje już pochodzenie ani nawet łaska czy opieka magnata. Sprzedają swoją pracę, talent lub umiejętność. Jest to pierwsza formacja polskiej inteligencji. Z tej właśnie grupy ludzkiej wyrosną ideologowie K u ź n i c y . Oni stanowią drugie pokolenie pisarzy stanisławowskich. Są to wszystko ludzie o nowym doświadczeniu społecznym. Reprezentują najlepiej typ człowieka Oświecenia. Są to działacze, reformatorzy i publicyści, o wszechstronnych zainteresowaniach i politycznej pasji, organizatorowie i przywódcy. To ludzie typu Kołłątaja, Jezierskiego, Dmochowskiego.

Jednolity obóz reformy przestaje w tym czasie istnieć. Już nie mamy jednego ośrodka dyspozycyjnego, jakim był dotąd mecenat Stanisława Augusta. Powstają trzy odrębne ośrodki kulturalne i literackie.

Pierwszym z nich jest nadal dwór królewski. Dalej trwają obiady czwartkowe, choć nie uczestniczy już w nich ksiądz Biskup Warmiński, który wyraźnie nie wierzy ani w możliwość reformy, ani w jakiekolwiek sukcesy polityki królewskiej. Bohomolec umiera w r. 1784. Przy Stanisławie Auguście zostają Naruszewicz i Trembecki.

Drugi ośrodek to Warszawa. Miasto, ale nie dwór królewski. Środowisko intelektualne i polityczne, z którego wyrośnie K u ź n i c a K o ł ł ą t a j o w s k a, aktyw naukowy Komisji Edukacji Narodowej i aktyw polityczny Sejmu Czteroletniego. To nieco wcześniej Węgierski, a potem Zabłocki, Kołłątaj, Jezierski, Dmochowski i Niemcewicz. To wreszcie Piotr Świtkowski, redaktor i wydawca kolejno „P a m i ę t n i k a h i s t o r y c z n o - l i t e r a c k i e g o", „M a g a z y n u W a r s z a w s k i e g o", i „Z a b a w O b y w a t e l s k i c h". Przypomnijmy, że w r. 1789 magistrat miasta Warszawy ma już swój wydział

propagandy, że zamawia ulotne wiersze u poetów i broszury u publicystów, że artykuły Świtkowskiego drukowane kosztem warszawskiego magistratu rozsyłane były do wszystkich miast w Polsce.

Trzecie wreszcie odrębne zupełnie środowisko literackie i polityczne — to Puławy, dokąd przenosi się dwór Czartoryskiego latem 1783 r. Puławy są właściwie dziełem Izabelli Czartoryskiej. Tam skupia ona wokół siebie ludzi piszących i działaczy kulturalnych. W Puławach tworzy Kniaźnin, „poeta puławski", tu zagląda Karpiński, gość literacki.

Mamy trzy środowiska, trzy ośrodki dyspozycyjne, trzy różne nurty literackie. Cechą wspólną całego okresu i wszystkich trzech nurtów jest coraz dalej posuwający się rozkład klasycyzmu. Wyraża się on zarówno w sentymentalizmie, jaki płynie z Puław, jak i we wzroście elementów realistycznych w warszawskim środowisku miejskim i dworskim.

Świadczy o tym przemiana literackich gatunków, ewolucja ody i sielanki. Oda staje się tylko umowną nazwą dla wierszy o najróżniejszej treści. Stopniowo publicystyka polityczna wypiera z niej nawet motywy obyczajowe. Wiersze Trembeckiego są jak gdyby wielkimi artykułami wstępnymi we wspaniałym stylu rzymskim. Głoszą program królewskiej polityki, mówią jasno i wyraźnie o najważniejszych wydarzeniach politycznych, ukazują wzór absolutyzmu oświeconego w rządach Katarzyny II. W wierszach obyczajowych przez panegiryk coraz częściej przebija surowy racjonalistyczny dydaktyzm, wspaniała ścisłość i wierność opisów. Nawet konwencjonalny kostium pasterski staje się już tylko sztafarzem i poetyckim pretekstem dla traktatu politycznego lub ekonomicznego wywodu o zaletach czynszowania chłopów. Najpiękniejszym wierszem Trembeckiego jest jego pochwała balonu, z której bije entuzjazm dla rozumu ludzkiego. Obrazy technicznego i społecznego postępu coraz częściej odnajdujemy w poezji. Nieznany racjonalizator i wynalazca, niejaki Lewandowski, radny miasta Gniezna przesyła Stanisławowi Augustowi wiersz na pochwałę maszyny hydraulicznej. Nawet Kniaźnin pisze racjonalistyczną balladę „Do Pawła Czempińskiego", w której uczony przyrodnik zwycięża przy pomocy maszyny elektrycznej „wilkołków" i czarownice zamieszkujące Babią Górę. Ten sam motyw odnajdujemy potem w „Krakowiakach i Góralach" Wojciecha Bogusławskiego.

Nawet u Krasickiego, który odchodząc od obozu postępu i rezygnując z czynnego udziału w walce politycznej, przegrywa swoją wielką szansę zostania największym pisarzem polskiego Oświecenia, obserwujemy wzrost elementów realistycznych. W „Wierszach X.B.W." z roku 1784, a zwłaszcza w jego listach, gdzie wiersz przeplata się z prozą znajdujemy ścisłe i malownicze opisy pejzażów i miejscowości, konkretne obrazy ludzi i zdarzeń. Niektóre z tych utworów są niemal krajoznawczym realistycznym reportażem. „Podróż pańska" należy niewątpliwie do najświetniejszych wierszy Krasickiego. I jak bardzo nowoczesnych!

Ogromną poetycką indywidualnością jest Węgierski, ciągle dotąd niedoceniony ani przez poetów, ani przez historyków literatury. Jego młodzieńcza i tragicznie przerwana twórczość, choć przypada na koniec pierwszego okresu, zawiera w sobie już wszystkie cechy dojrzałej fazy Oświecenia. Jaka była pozycja Węgierskiego? Był kancelistą Rady Nieustającej, zapraszano go na reduty i wielkie przyjęcia, ale nie dopuszczano na obiady czwartkowe. Kiedy wielcy panowie w towarzystwie uznanych poetów i największych warszawskich aktorek szli na kolację, Węgierski nie dostawał zaproszenia. Kiedy zaprotestował w memoriale przeciw zagrabieniu mu rodzinnej wsi przez Wilczewskich i upomniał się o sprawiedliwość, osadzono go w wieży na rok i 6 tygodni.

Libertynizm Węgierskiego nabrzmiewa już radykalną krytyką polityczną. Drwi z obiadów czwartkowych i z Czartoryskiego, z uczonego Albertrandiego i z Łuskiny, z biskupów i z bankierów. A Węgierski drwić umiał:

Nie wiem, prawdziwie, mospanie hetmanie,
Co się na tamtym świecie ze mną stanie.
Ksiądz Łuskina powiada i wierzyć mu trzeba,
Że ja pójdę do piekła, on prosto do nieba.

W satyrycznych wierszach Węgierskiego mamy już pełną indywidualizację postaci, nie są to już ogólne charakterystyki fircyka, modnej żony czy marnotrawcy, ale rysowane z natury portrety warszawskich dygnitarzy i modniś. Aluzje są zawsze przejrzyste, nieraz zresztą nazwie poeta swoich bohaterów z imienia i nazwiska. Satyra stała się już osobistym pamfletem. W okresie Sejmu Czteroletniego stanie się pamfletem politycznym. Węgierski, jeśli przypisać mu autorstwo wierszy dotąd spornych, a wszystko za tym przemawia, jest największym malarzem stanisławowskiej Warszawy.

Poezja romantyczna przekazała nam obraz Warszawy — żałobnej wdowy, Warszawy bolesnej i cierpiącej, Warszawy męczeńskiej i mistycznej. Poezja stanisławowska, a przede wszystkim wiersze Węgierskiego i Zabłockiego ukazują nam tętniące życiem i gwarem nowoczesne, bogate miasto. Nie jest to już Warszawa szlachecka, ani nawet Warszawa magnacka, to miasto, w którym wszechwładnie rządzi pieniądz, miasto o jaskrawo zarysowanych kontrastach społecznych, gdzie obok bogaczów i bankierów, lalusiów i fircyków widzimy dziewki uliczne i nędzarza pod murem szpitalnym. W pięknym wierszu Węgierskiego „Bielany", który jest jednym z arcydzieł stanisławowskiego realizmu, mamy po raz pierwszy obraz zabawy wszystkich stanów. To już nie są „Powązki" Trembeckiego czy Naruszewicza, wielbiące dwuznaczny urok letniej rezydencji Izabelli Czartoryskiej pod Warszawą, gdzie chaty kryte słomą zdumiewały niesłychanym bogactwem i zbytkiem wnętrz, gdzie wszystko było kunsztem i sztuką, chociaż wydawało się najpraw-

dziwszą Naturą, naturą oczywiście angielską. „Bielany" Węgierskiego — to ludowa zabawa mieszczaństwa i plebsu warszawskiego.

Co za tłok nieprzeliczony
Z każdej widzę leci strony!
Lichwiarze z dużymi nosy
Z dziewczęty gołe młokosy,
Wojciechowa z swą drużyną,
Z mostu panny z Podczaszyną
I ta w poszóstnej karecie,
Co mieszka na Nowym Świecie,
Co zdarł innych, sam wyzuty
Z wszystkiego, jedzie w bankruty.

Ten sam przełom od klasycyzmu do realizmu występuje również w malarstwie. Świadczy o nim przejście od dworskich i klasycznych portretów Bacciarellego, do realistycznych i podkreślających cechy typowe i kondycję społeczną modelu, portretów Smuglewicza, twórcy m.in. portretu gen. Jasińskiego. Świadczą o nim sztychy i wielkie płótna Canaletta, gdzie na tle architektury Warszawy, jej pałaców, kościołów i ulic mamy przedstawione sylwetki ludzi wszystkich stanów, w ruchu, w akcji, w działaniu, z uwypukleniem charakterystycznych cech gestu i stroju. O tym przełomie świadczą dalej świetne sztychy i rysunki Chodowieckiego, dokładne w szczegółach, ostre w charakterystyce, nasycone treściami obyczajowymi, ścisłe jak dokument i żywe jak kronika.

Linia rozpadu klasycyzmu i rozrostu elementów realistycznych, główna linia rozwoju poezji stanisławowskiej, prowadzi od Naruszewicza i Krasickiego, przez Trembeckiego i Węgierskiego do poezji politycznej Zabłockiego.

Poezja Zabłockiego wyrasta z walki politycznej. Wiersze jego uderzają w stronnictwo hetmańskie na Sejmie Czteroletnim, w magnacki obóz zdrady narodowej, w chwiejność i kunktatorstwo króla. Są pisane z dnia na dzień, na zamówienie społeczne, rozrzucane po fiakrach, w dyliżansach i na sali sejmowej. Są namiętne i zuchwałe, konkretne i aktualne, uderzają wprost, na odlew, bez dania pardonu. Po raz pierwszy w tym stopniu wdziera się w poezję współczesne słownictwo polityczne i gwałtowna retoryka agitacyjnego przemówienia.

Zabłocki jest mistrzem inwektywy i szlachetnego patosu; argumentuje, grozi, namawia, potem bezlitośnie drwi i szydzi. Jest w tych wierszach wściekła nienawiść do zdrajców, pogarda dla głupców, entuzjazm dla reformatorów i patriotów. Wiersze Zabłockiego wyrażają rosnącą świadomość godności obywatelskiej i narodowej. Pisze je już syn burżuazyjnego narodu. Ma poczucie swojej siły, odwołuje się do opinii publicznej, zna i ceni swojego czytelnika. Polityczna poezja Zabłockiego obok publicystyki lewego skrzydła K u ź n i c y należy do najtrwalszych i najcenniejszych ideowo i artystycznie osiągnięć polskiego Oświecenia.

Upolitycznienie rodzajów literackich objęło nie tylko poezję, powieść i publicystykę. Objęło również teatr. Nie potrafiliśmy dotąd w Zabłockim, Bogusławskim i Niemcewiczu dostrzec klasyków polskiej sztuki politycznej. „Fircyk w zalotach" i „Powrót posła" wystawiane były dotąd jako sztuki obyczajowe. Były przedstawieniem dla młodzieży, dodatkiem do obowiązkowej lektury. Musimy docenić artystyczne nowatorstwo „Powrotu posła" Niemcewicza. To typowa sztuka agitacyjna, w której dominuje polityczny konflikt. I jak odważnie jest pokazany! Niemcewicz nie cofa się przed wprowadzeniem na scenę dysputy politycznej i poselskiego przemówienia do elektorów. „Powrót posła", tak pasjonujący w lekturze, był dotąd zawsze martwy i płaski na scenie. Ale nie umiał go wystawić i odegrać, ani reżyser, ani aktor wychowany na naturalistycznym teatrze mieszczańskim i formalistycznych eksperymentach. Współczesne sztuki radzieckie dowiodły nam, jak żywe i namiętne mogą być dyskusje polityczne na scenie, jakie bogactwo nowych środków wyrazu daje przedstawienie narady wytwórczej czy partyjnego zebrania. Musimy z tym nowym doświadczeniem artystycznym podejść do sztuki Niemcewicza. Zagrać ją jako sztukę polityczną, przywrócić jej całą namiętność walki, wydobyć jej bojowe akcenty. A wtedy „Powrót posła" przestanie być nudny i przemówi do nowego widza.

Charakteryzowaliśmy dotąd główny nurt literatury stanisławowskiej. Ale obok Warszawy i zamku królewskiego są jeszcze Puławy. Rozszyfrowanie artystycznego i ideowego oblicza Puław jest szczególnie trudne. Sentymetalizm polski jest zjawiskiem złożonym i wymaga bardzo subtelnej interpretacji. W Puławach splatają się ze sobą tendencje względnie postępowe i jawnie wsteczne. Kniaźnin pisze swoją patriotyczną operę „Matka Spartanka" na zjazd feudałów, gdzie główną rolę ma odegrać Szczęsny Potocki. Pełno jest tych sprzeczności w Puławach. Rozwija się tutaj podwójny nurt krytyki. Jeden związany przede wszystkim z osobą i planami politycznymi księcia generała ziem podolskich; drugi, który znajduje swój wyraz w twórczości poetyckiej Kniaźnina i stojącego poza Puławami Karpińskiego.

Historiografia burżuazyjna miała wyraźną tendencję, aby zacierać przełomowy moment wieku Oświecenia i epoki romantycznej. Badania szczegółowe dążyły do uzasadnienia tej tezy przez selekcję materiałów. Historiografia, która nie uznawała przełomów, ukazywała w XVIII wieku nurt antyracjonalistyczny, który miał bezpośrednio doprowadzić do romantyzmu.

Prowadziło to do zamazania różnic i odrębności trzech zjawisk literackich: dworskiej poezji pseudo-sentymentalnej, która występuje u Kniaźnina i Karpińskiego, ale od której również zaczynali Zabłocki, Węgierski i Jasiński; właściwego sentymentalizmu, który biegnie równolegle do nurtu realistycznego i jest produktem rozkładu klasycyzmu i wreszcie pierwszych elementów preromantycznych, które dość wcześnie występują w kręgu Puław.

Dworska sielanka miłosna, pasterski kostium erotycznych wyznań,

rozwiązła i swawolna poezja salonowa, wszystkie owe Laury, Nice i Filony, nie mają nic wspólnego z sentymentalizmem i są typowym produktem francuskiego rokoko. Od Woltera po Jasińskiego i od Diderota po Kołłątaja wszyscy pisarze tej epoki uprawiali ten salonowy rodzaj, podobnie jak w aksamitnym fraku i koronkowym żabocie występowali na assemblach. Umiejętność utoczenia zgrabnego madrygału, dowcipnego epigramatu i przedstawienia pięknych Podczaszyn i strojnych Podstarościn w niedbałym stroju pasterki — należała po prostu do dobrego tonu i salonowych obowiązków.

Sentymentalizm jest natomiast często zamaskowaną, pełną wewnętrznych sprzeczności, ale wyraźną krytyką kultury Oświecenia, wyraźnym objawem niezadowolenia z czasów, obyczajów i nowych stosunków społecznych. W Anglii i we Francji wyraża opozycję krytyczną drobnej burżuazji, w Polsce jest raczej wyrazem protestu dołów szlacheckich. Ale i w Polsce i na Zachodzie sentymentalizm jest krytyką, która nie narusza podstaw nowego układu społecznego, która mieści się w całości Oświecenia, liczy tylko na jego naprawę, na tryumf owej zakłamanej mieszczańskiej cnoty w powieściach Richardsona lub równie zakłamanej szlacheckiej cnoty i poczciwości w utworach Karpińskiego. Sentymentalizm jest łagodną krytyką nadużyć ustroju, nasycony jest zresztą bardzo silnie elementami realizmu. Odwołuje się do ludzkiej natury i naturalnego porządku, broni prawa do uczuć, do osobistego szczęścia, bo właśnie z uczuć i z godności drobnego szlachcica najokrutniej szydził zarówno wielki pan jak i kasjer w kantorze bankierskim.

Stąd niechęć do miasta i elementy ludowości w sentymentalizmie. Chłop dla reprezentanta dołów szlacheckich przedstawia jakby jego naturalne zaplecze, kulturalne i społeczne. Ale chłop dla Karpińskiego nie jest nigdy klasowym sojusznikiem. Idylliczny obraz wsi służy jedynie do pogłębienia krytyki moralności i obyczajów panujących zarówno w mieście jak i na pańskim dworze. Chłopi polskiego sentymentalizmu to zresztą albo górale, albo cyganie. A więc dzieci natury, a nie chłopi pańszczyźniani.

Jest rzeczą znamienną dla sentymentalizmu, że nie prowadzi on na pozycje rewolucyjne. Sentymentalny protest jest zawsze moralny lub obyczajowy, nigdy polityczny. Nurt, który reprezentuje Zabłocki i Niemcewicz, prowadzi do poezji jakobińskiej i rewolucyjnej liryki Jasińskiego. Kniaźnin i Karpiński zdobędą się jedynie na wyrazy bezsilnej rozpaczy i żalu.

Ale w Puławach obok nurtu demokratycznej krytyki, jaką wyraża sentymentalizm, mamy już pierwsze elementy preromantyzmu, troskliwie przeszczepiane z Anglii. Są one już zdecydowaną reakcją przeciw mieszczańskiemu porządkowi, tak jak on się narodził i rozwijał w XVIII wieku. Są krytyką kultury Oświecenia z pozycji feudalnych. Świat staje się bezsensowny, straszny i niezrozumiały, jak w romansie grozy, gdzie w zrujnowanym zamczysku feudalnym straszą upiory, popełniane są najokrutniejsze zbrodnie, arystokratyczna dziewica pada ofiarą

starczych namiętności, a młody oblubieniec jęczy w lochach. W Polsce tendencje preromantyczne przybierają szybko charakter mistyczny i odwołują się do szlacheckiego nacjonalizmu. Powieści Mostowskiej — to typowa „czarna literatura" epoki, mistycyzm i początki mesjanizmu wystąpią w twórczości Woronicza.

Okres końcowy polskiego Oświecenia zaczyna się od powstania obozu Targowicy, a kończy ze zwycięstwem kontrrewolucji i upadkiem państwa. Kompromis, którego owocem była Konstytucja 3 maja, nie mógł zadowolić ani wielkich feudałów, których nowy ustrój pozbawia decydującego wpływu na politykę państwową ani też mieszczaństwa, dla którego okres Sejmu Czteroletniego był wielką lekcją świadomosci klasowej.

Po raz pierwszy możemy mówić o pewnym zaczynie rewolucyjnym. Wyrastają organizatorzy i przywódcy, którzy stawiają na plebs miejski, ludzi typu Konopki czy księdza Mayera. Coraz silniej zaczyna oddziaływać na umysły wzór rewolucji francuskiej. Stosunek do niej jest miarą postępowości pisarzy i działaczy w tym okresie. Zwłaszcza od chwili ścięcia Ludwika XVI i uchwycenia władzy przez jakobinów. Możemy mówić o wrzeniu wśród plebsu, o sytuacji rewolucyjnej w Warszawie, o nacisku mas ludowych na rząd i na Kołłątaja, o powszechnym żądaniu rozprawy z Targowiczanami.

Piękne czerwcowe noce 1794 roku, warszawskie i wileńskie, kiedy lud wieszał biskupów i zdrajców, są początkiem polskiej tradycji rewolucyjnej, początkiem owej czerwonej nici, która biegnie przez cały wiek XIX aż do naszych dni.

Na fali rewolucyjnego wrzenia rodzi się pieśń i poezja jakobińska. Mnożą się przekłady i adaptacje Marsylianki, Ça ira, Carmagnoli. W wierszu i pieśni król po raz pierwszy nazwany zostaje tyranem, magnat i biskup — zdrajcą, lud — sędzią i prawym władcą. Polska poezja jakobińska nie została dotąd w całości wydobyta z rękopisów i odczytana, nie stała się dotąd żywą częścią naszego rewolucyjnego dziedzictwa i narodowej tradycji. Znamy przywódców ludowej Warszawy, znamy tych, którzy w noc czerwcową dokonali sprawiedliwego wyroku. Mówią o nich wiersze. Polska poezja jakobińska roku 1794 jest patriotyczna i internacjonalna, umie znaleźć słowa entuzjazmu dla Konwencji Narodowej, która przyznała prawo obywatelstwa Murzynom w koloniach francuskich, umie nienawidzieć zdrajców i cenić walkę o wolność społeczną i narodową.

Z anonimowej plebejskiej poezji rewolucyjnej wyrastają antytargowickie paszkwile polityczne Dmochowskiego i Niemcewicza, wyrasta szlachetna liryka Jasińskiego. Nie jest ona, jak to przedstawiała historiografia burżuazyjna, jakimś izolowanym i wyjątkowym zjawiskiem w polskim Oświeceniu. Góruje swoim patosem i nowym w poezji polskiej tonem rewolucyjnego klasycyzmu nad masą anonimowych wierszy. Ale wyrasta z tego samego pnia, tylko sięga wyżej. Jest to chwila największej ideowej dojrzałości poezji polskiego Oświecenia.

Jan Kott

Komu na Rusi dobrze się żyje?

Prolog

Zmiarkujcie — w którym roku
Zgadujcie — w jakim kraju,
Na trakcie, na pocztowym
Zeszło się chłopa siedem:
Siedmiu oczynszowanych
Z guberni Zabiedzonej
Powiatu Cierpigorze,
Gminy Opustoszonej,
Z przyległych sobie wiosek —
Łatanic i Dziurowa,
Bosonóg i Ziębicy,
Pogorzel, Niedojedli,
Z Jałowopola także,
Zeszli się i zawiedli
Spór — komu się na Rusi
Wesoło, wolnie żyje?

Rzekł Roman: dziedzicowi,
Demian: urzędnikowi,
A Łukasz rzekł: popowi.
Kupcowi-brzuchaczowi
Odpowiedzieli zgodnie
Dwaj bracia Gubinowie
Waniucha i Mitrodor.
A stary Pachom w ziemię
Wpatrzył się uporczywie
I rzekł: wielmożnym panom,
Ministrom i bojarom.
A na to Prow: carowi...

Chłop — niczym byk: zawróci
Bredniami sobie we łbie,
Że drągiem mu ich stamtąd
Nie zdołasz wybić! Każdy
Przy swoim się upiera!
Więc taki wrzask podnieśli,
Że ten i ów przechodzień
Pomyślał, że chłopkowie
Skarb znaleziony dzielą...

Każdy za swoją sprawą
Raniutko wyszedł z domu:
Ten prosto szedł do kuźni,
Ów do wsi Iwankowo
Ojca Prokofia prosić,
By ochrzcił mu dzieciaka,
A Pachom plastry miodu
Na targ niósł do Wielgowa,
Zaś bracia Gubinowie
Waniucha i Mitrodor
Po prostu z uździenicą
Do swego szli tabunu
Po niesfornego konia.
Dawno by czas każdemu
Nawrócić już do domu,
A oni rzędem idą!
Idą — jak gdyby szare
Wilczyska ich ścigały,
Im dalej — coraz żwawiej,
Idą — przekomarzają się,
Zapamiętale krzyczą,
A czas nie czeka, leci.

W tym sporze przeoczyli,
Że krasne słonko zaszło
I ciemność już nastała.
Z pewnością nockę całą
Szliby tak — gdzie, nie wiedząc,
Gdyby spotkana baba,
Dziobata Tumanicha
Nie zawołała: „Ludzie!
Gdzieżeście to po nocy
Iść sobie umyślili?"

Ze śmiechem zapytała
I — batem po wałachu,
I poszła, wiedźma, w cwał...
— Dokąd-że?... Tutaj chłopi
Wlepili oczy w ziemię,
Stanęli i zamilkli.

Już dawno noc zapadła
I na wysokim niebie
Gęsto zabłysły gwiazdy.
Wszedł miesiąc, cienie czarne
Poprzecinały drogę
Wędrowcom zapalczywym.
Oj, cienie! Cienie czarne!
Kogóż nie dogonicie?
Kogóż nie wyprzedzicie?
Was tylko cienie czarne
Nie chwycisz, nie zagarniesz!

Na las, na szlak podróżny
Milczkiem pozierał Pachom,
Patrzył i medytował
I wreszcie rzecze tak:
„Patrzajcie! Leśne licho
Niezgorzej z nas zakpiło,
Przecież to już bez mała
Trzydzieści wiorst idziemy!
Do domu — szkoda gadać,
Zmęczeni, nie dojdziemy,
Przysiądźmy — trudna rada,
Do świtu wypoczniemy!..."

Na złe zwaliwszy winę
Przy drodze, tuż pod lasem
Rozsiedli się włościanie.
Ognisko rozniecili,
Złożyli się i zaraz,
Po wódkę dwu skoczyło,
A inni w owym czasie
Kubeczek zmajstrowali
Nadarłszy z brzozy łyka.
Przyśpiała wnet wódeczka,
Przyśpiała i zagrycha,
Ucztują sobie chłopi!
Łyknęli po pół kwarty,
Podjedli — i zawiedli
Spór — komu się na Rusi
Wesoło, wolnie żyje?
W krzyk Roman: dziedzicowi,
Demian: urzędnikowi,
A Łukasz w krzyk: popowi.
Kupcowi-brzuchaczowi
Wołają razem zgodnie
Dwaj bracia Gubinowie
Waniucha i Mitrodor.
A Pachom wrzeszczy: właśnie
Jaśniewielmożnym panom
Ministrom i bojarom.
A na to Prow: carowi!

Wezbrało jeszcze bardziej
Zacietrzewienie chłopów,
Klną się i przeklinają,
Do oczu sobie skaczą,
Nie dziw, że tylko patrzeć,
Kiedy za łby się wezmą!
I patrzcie — już się piorą!
Pachomka grzmoci Roman,
Łukasza tłucze Demian,
Zaś bracia Gubinowie
Tęgiego walą Prowa —
A każdy wrzeszczy swoje!

Zbudziło się od zgiełku
Rozgłośne echo lasu,
Zaczęło hulać — hulać,
Hukać i pohukiwać,
Jak gdyby podżegając
Upartych zabijaków.
„Carowi!" — słychać z prawej,
A z lewej się odzywa:
„Popowi!" „Dziedzicowi!"
W popłochu las się zrywa —
I ptactwo latające,
I rącze czworonogi,
I gady pełzające,
I jęk, i ryk, i huk!
Najpierw szaraczek zając
Spod sąsiedniego krzaczka
Jak oparzony skoczył
I zaraz dał drapaka!
A za nim małe kawki
Na czubku brzozy wszczęły
Wrzaskliwy, ostry pisk.
I na dobitkę — pliszce
Z przestrachu drobne pisklę
Z gniazdeczka wyleciało;
Szczebioce pliszka, płacze —
Gdzie pisklę się podziało?
Potem kukułka stara,

Zbudzona, umyśliła
Wykukać komuś losy;
Zaczęła z dziesięć razy
I ciągle się myliła,
Więc znowu zaczynała.
Kukaj-że kukułeczko,
Jak żyto się wykłosi,
Kłoseczkiem się udławisz,
Nie będziesz już kukała! *)
Puhacze się zleciały
Podziwiać bojowisko
Z siedmiu wysokich drzew,
Chichocą, czarowniki,
Wybałuszyły gały,
Jarzące się jak z wosku
Czternaście żółtych świec!
I kruk, ptaszysko mądre,
Nadleciał, siadł na drzewie
Tuż blisko nad ogniskiem,
Siedzi i modły wnosi
Do czarta, żeby na śmierć
Ktoś kogoś zakatrupił!
A krowa, co z wieczora
Odbiła się od stada,
Z dzwonkiem u szyi kroczy
Prosto na ludzkie głosy,
Przyszła do ognia, ślepia
W szalonych chłopów wlepia,
Postała tak, biedula,
I przerażeniem zdjęta
Zaczęła ryczeć, ryczeć!

Ryczy krowina głupia,
I piszczą małe kawki,
I wściekle drą się chłopi,
A echo im wtóruje,
Bo takie już jest echo —
Postraszyć baby, dzieci,
Nadrażnić się z człowieka!
Nikt echa nie oglądał,
Lecz każdy mógł je słyszeć:
Jak żyje, choć bez ciała,
I bez języka — krzyczy!

I sowa, ta księżniczka
Na bagnach i zapłotkach,
Plącze się między nimi,
To lata nad chłopami,
To skrzydłem trzepnie w ziemię,
To znów zaczepi krzak...

I nawet chytra liszka
Z niewieściej ciekawości
Podkradła się do chłopów,
Postała, posłuchała
I poszła rozmyślając:
„Sam czart ich nie zrozumie!"
I prawda: nawet sami
Kłótnicy nie wiedzieli,
Po co ten cały wrzask...

Gdy sobie już porządnie
Wzajemnie dali łupnia,
Wtedy oprzytomnieli,
Z kałuży się napili,
Umyli, odświeżyli,
Każdego kłoni do snu.

Tymczasem małe pisklę
Po mału, po dwa łokcie
Podlatujące nisko,
Znalazło się przy ogniu.
Pochwycił je Pachomek,
Przybliżył do ogniska
I oglądając mówi:
„Ptaszek to niby mały,
A jednak pazurzasty!
Tchnę — z dłoni mojej spadniesz,
Kichnę — do ognia wpadniesz,
A prztyknę — to przepadniesz!
A jednak, ptaszku mały,
Masz większą moc od chłopa!
Skrzydełka ci okrzepną,
Tiu-tiu! Gdzie tylko zechcesz,
Polecisz sobie w świat!
Oj ty, malutki ptaszku,
Oddałbyś nam skrzydełka,
Żebyśmy oblecieli
Całe jak jest cesarstwo,
Ujrzeli, wypytali,
Prawdy się wywiedzieli —

*) kukułka przestaje kukać, kiedy kłosi się zboże („udławiwszy się kłosem" — mówi lud). (Uwaga Niekrasowa).

Kto wolnie i szczęśliwie
Może na Rusi żyć?"

— „Niechby i bez skrzydełek,
Byle nam tylko chlebka
Codziennie po pół puda,
To można i na piechtę
Matuchnę-Ruś przemierzyć!"
Odrzekł ponury Prow.

— „I po wiaderku wódki",
Dodali Gubinowie
Waniucha i Mitrodor,
Do wódki zawsze skorzy.

„A rano po dziesiątku
Solonych ogóreczków",
Stroili żarty chłopi.

„W południe — na każdego
Dzbanek zimnego kwasu."

„W odwieczerz sobie popić
Herbatki na gorąco..."

Póki tak bajdurzyli,
Nad nimi pliszka mała
Polatywała nisko,
Wszystkiego wysłuchała
I siadła przy ognisku.
Ćwierknęła, podskoczyła
I nagle ludzkim głosem
Tak mówi do Pachoma:

— „Puść na swobodę pisklę!
Za pisklę, za to małe,
Ogromny dam ci wykup."
— „A co mi dasz?"
— „Dam chlebka
Codziennie po pół puda,
Dam po wiaderku wódki,
Co rano — ogóreczków,
W południe — dzbanek kwasu,
Herbatki zaś — wieczorem."

— „A gdzież to, mała pliszko,
— Pytają Gubinowie —
Znajdziesz na siedmiu chłopa
I chleba i wódeczki?"

„Znajdziecie sobie sami,
A ja, malutka pliszka,
Powiem, co zrobić trzeba!"

— „Więc mów!"
— „Pójdziecie lasem
Od trzydziestego słupa
Prościutko jedną wiorstę
Na małą polaneczkę.
Na tej polance stoją
Dwie sosny już wiekowe,
A pod sosnami leży
Do ziemi zakopana
Zaczarowana skrzynka.
Skrzyneczkę wykopiecie,
A w skrzynce tej znajdziecie
Zaczarowany obrus:
Na każde zażądanie
Nakarmi was, napoi!
Powiedzieć trzeba tylko:
— Obrusie czarodziejski
Ugościć chłopów masz!
Na wasze zawołanie,
Na moje rozkazanie,
W mig wszystko się pojawi,
Więc zwolnij teraz pisklę!"

— „Czekaj, my ludzie biedni,
W dalekie idziem światy,
— Pachom jej odpowiada. —
Ptak z ciebie jest wiedzący,
Racz zaczarować nasze
Zniszczone już odzienie."

— „I niech się nie zdzierają
Kapoty nasze chłopskie!"
Zażądał jeszcze Roman.

— „Żeby lipowe łapcie
Nigdy się nie zdeptały!"
Zażądał jeszcze Demian.

— „I wesz i pchła paskudna
Nie lęgły się w koszulach!"
Zażądał jeszcze Łukasz.

— „I żeby nam onuce
Nie przały od chodzenia...“
Żądali Gubinowie.

A pliszka im odpowie:
„Ten obrus czarodziejski
Będzie wam, co potrzeba,
Łatać i prać, i suszyć,
No, wypuść teraz pisklę!“

Szeroką dłoń otworzył,
Wypuścił pisklę Pachom,
Puścił, a drobne pisklę,
Podlatujące nisko,
Pomału, po dwa łokcie
Ku dziupli podążało.
Wzniosła się za nim pliszka
I w locie już dodała:
„A strzeżcie się jednego:
Jedzenia bierzcie tyle,
Ile wątroba zniesie,
Lecz wódki żądać wolno
Tylko po wiadrze na dzień.
Jak zażądacie więcej,
To raz i dwa się spełni
Stosownie do życzenia,
Lecz trzecim razem — biada!“

I pliszka odleciała
Z rodzonym swym pisklęciem,
A chłopi pociągnęli
Gęsiego do gościńca,
Do trzydziestego słupa.
Znaleźli. Idą milczkiem
Prościutko a równiutko
Przez knieję, przez dąbrowę,
Sumiennie licząc kroki.
Wiorstę już odmierzyli,
Polankę zobaczyli,
A na polance stoją
Dwie sosny już wiekowe...

Grzebią się w ziemi chłopi,
Skrzyneczkę wyciągnęli,
Roztwarli — i znaleźli
Ów obrus czarodziejski!
I w jeden głos krzyknęli:
„Obrusie czarodzieiski
Ugościć chłopów masz!“

A obrus się rozwija
I skądś się nagle wzięły
Rączyska dwa wielgachne,
Stawiają wiadro wódki,
Nakładły górę chleba
I znowu gdzieś zginęły.

— A gdzież są ogóreczki?

— Co będzie z tą herbatką?

— I gdzie jest zimny kwas?

I wszystko się zjawiło...

Porozpinawszy pasy,
Zasiedli przy obrusie
Do uczty nad ucztami!
Z radości się ściskają
I obiecują sobie
Na próżno się nie wadzić,
Lecz sporną rzecz rozumnie,
Solennie, po bożemu,
Honornie poprowadzić —
Do domu nie powracać,
Nie widzieć się z żonami,
Ani ze staruszkami,
Ani też z dzieciskami,
Dopóki w spornej sprawie
Nie znajdą rozwiązania,
Póki się nie wywiedzą
I nie upewnią całkiem,
Kto wolnie i szczęśliwie
Może na Rusi żyć?

Postanowienia takie
Powziąwszy, już o świcie
Zasnęli jak zabici...

Przełożył **St. Strumph Wojtkiewicz**

Komu się na Rusi dobrze dzieje?

Prolog

Którego roku — wylicz,
W jakiej krainie — zmiarkuj,
Spotkało się na drodze,
Na trakcie, na szerokim,
Dosłużnych *) siedmiu chłopów,
Co w jedną stronę szli,
Gubernii Głodomorskiej,
Powiatu Biedackiego,
Okręgu Ledwozipy,
Z sąsiadujących wsi:
Łaciawej, Dziurawińca,
Bosowa, Dygotliwej,
Zgorzeli, Niedojadłej,
Nieurodzajka toż.
Spotkali się — i w spory:
Komu na ruskiej ziemi
Swoboda a wygoda?
Kto żyje wesół, rad?

Stiepàn powiedział: dziedzic,
Diemiàn powiedział: władza.
Łukà powiedział: pop.
Brzuchaty liczykrupa!
Krzyknęli bracia Gubin,
Iwàn i Mitrodor.
Pachom, staruszek, zważył
I odrzekł, w ziemię patrząc:
Bojarzyn wielkorządny,
Minister petersburski,
A Prow powiedział: car.
Chłop, jak ten byk uparty:
Coś sobie ubrda — amen!
Kłonicą z mózgownicy
Nie wybić bzika już.
Na swoje każdy ciągnie
I tak się pokłócili,
Że kto posłucha — myśli:
Znaleźli skarb ludziska
I kłócą się o dział.

Za swoją sprawą każdy
Wczas wyszedł dzisiaj z domu:
Ten musiał do kowala,
Ów do wsi Iwańkowa
Ojca Prokopa prosić,
By przyszedł dziecko chrzcić;
Pachom niósł plastry miodu
Na targ do Wielikiego,
A bracia Gubiniaki
Tak sobie, z uździenicą,
Znarowionego konia
Do stada złapać szli.

Już dawno by się wszystkim
Godziło rozstać, rozejść,
A oni razem wciąż.
I jakby wilki szare
Goniły ich, tak idą:
Im dalej, tym pospieszniej,
I swarzą się, i krzyczą,
Wstyd! Bez opamiętania!
A czas ucieka wciąż.

Gardłując, nie dostrzegli,
Jak zaszło jasne słonko,
Jak wokół zapadł mrok.
Na pewno całą noc by
Tak szli, nie wiedząc dokąd,
Lecz babę napotkali,
Dziurdzichę ospowatą,
A ona w krzyk: „Łaskawcy!
A wy po kiego licha
I dokąd w ciemną noc?"

*) W oryginale „wremienno-obiazannych" tj. dworskich, pańszczyźnianych chłopów, którzy po reformie r. 1861 obowiązani byli *dosłużyć* jeszcze parę lat *(przyp. tłum.)*.

Zaśmiała się, jak wiedźma,
Zacięła wałaszysko
I jak nie wyrwie — wio!

— Dokąd?... Spojrzeli chłopi
Po sobie; stoją, milczą,
Nieraźno im, markotno
Śród głuchej nocy stać.
Na niebie, na wysokim
Już gęste gwiazdy świecą;
Wypłynął miesiąc jasny
I oto czarne cienie
Drogę im zagrodziły.
Niesposób dalej iść.
Oj, cienie! cienie czarne!
Kogóż wam nie dogonić?
Kogóż wam nie przegonić?
Was tylko, cienie czarne,
Nie chwyci, nie obejmie
I nie zatrzyma nikt!

Na las, na szlak wędrowny
Pachom poglądał, milcząc,
I tak, i siak przebierał
W rozumie — wreszcie rzekł:

— „Czort, bracia, leśne Licho,
Nawarzył nam tej kaszy,
Toć my bez mała uszli
Trzydzieści chyba wiorst!
Do domu teraz wracać
Sił braknie — nie dojdziemy,
Siadajmy — bo co robić?
A jutro znów dzień."
Ulżyło im, zwaliwszy
Na czorta winę. Siedli
Pod lasem, tuż przy drodze;
Skoczyło dwóch po sztof *),
A inni, czekający,
Z brzozowej kory świeżej
Kubeczki pozwijali;
Ani się obejrzeli —
Już tamci wódkę nieśli
I przegryźć czym znaleźli,
Ucztuje nasza brać!
Wypili po trzy miarki,

*) Miara wódki (Przyp. tłumacza).

Podjedli sobie, legli
I znów zaczęli spór:
Komu na ruskiej ziemi
Swoboda i wygoda?
Kto żyje wesół, rad?
Znów każdy swoje krzyczy:
Stiepàn powtarza: dziedzic,
Diemiàn powtarza: władza,
Łukà powtarza: pop.
Brzuchaty liczykrupa!
Wołają bracia Gubin,
Iwan i Mitrodor.
Pachom-dziadyga woła:
Jaśniewielmożny bojar,
Minister petersburski!
A Prow powiada: car!

Okrutnie się zawzięli
Kłótnicy zapalczywi,
Pyskują, wymyślają
Wciąż gorzej! Tylko patrzeć
A wezmą się za łby.
Masz! Już się okładają,
Stiepan Pachomkę wali,
Diemian Łukana tłucze,
A bracia Gubiniaki
Drągala Prowa młócą.
— „Car! Kupiec! Dziedzic! Pop!"

Hop! hop! huknęło echo,
Rozlega się, rozbiega,
Donośne, głośne, rośnie,
Jak gdyby podjudzało
Zajadły chłopów spór.
Car! car! na prawo słychać,
Pop! pop! na lewo huczy —
I poszedł borem tumult,
Ze spłoszonymi ptaki,
Ze zwierzem bystronogim,
Z gadziną pełzającą,
I jęk, i zgiełk, i szum!

Pierwszy — szaraczek z krzaczka
Wyskoczył nastroszony
I umknął w ciemny bór...
Potem kaweczki z brzozy
W pisk ostry, przejmujący...

A jeszcze pliszce z gniazda,
Popłochem przerażone
Wypadło maluniecczkie
Jej pisklę — pliszka w płacz,
Szczebioce, lamentuje:
Bez wieści przepadł, znikł!
A tu kukułka-wróżka,
Zbudzona, medytuje,
Komu wykukać los?
Co zacznie, to się zmyli,
Pomilczy — i po chwili
Zaczyna kukać znów.
Ej, kukaj, kukaweczko!
Gdy kłosem stanie zboże,
Zakrztusisz się, nieboże,
Nie będziesz kukać już*)
Ze siedmiu drzew wysokich
Zleciało się siedmioro
Puhaczy — i z lubością
Na pole bitwy patrzą.
Chichocą cmentarniki,
A żółte ślepia ich
Goreją, jak czternaście
Jarzących świec woskowych.
I kruk, przemądry ptak,
Przyfrunął, siadł na drzewie
Tuż nad ogniskiem; siedzi
I modli się do biesa,
By rychło zakatrupił
Którego chłopa chłop.
Z dzwonkiem na szyi, krowa,
Co wczoraj się od stada
Odbiła — jak usłyszy
Ludzkiego głosu dźwięk,
Podeszła do ogniska,
Wlepiła w chłopów oczy
I wrzaskiem ogłuszona
Nuż sama w ryk, serdeczna:
Mu-u! mu-u! mu-u!

Czupurne chłopy krzyczą,
Kaweczki jęczą, piszczą
I krowa porykuje,

*) Kukułka przestaje kukać, gdy zboże dojrzewa. Lud mówi: „Udławisz się kłosem" *(Przypis autora).*

A echo wszystkim wtórzy,
Bo jedno tylko wie:
Przedrzeźniać ród człowieczy,
Baby i dzieci straszyć!
Kto echo widział? Nikt.
A słyszeć, każdy słyszał,
Bo ono, choć bez ciała,
Bez gęby — a krzykała.
Taki to, widzisz, dziw!

Zjawiła się i sowa —
— Hrabina pałacowa —
Szybuje nad chłopami,
To skrzydłem trąci ziemię,
To szurnie się o krzak...

Lisica nawet sama,
Że baba, więc ciekawa,
Podkradła się do chłopów,
Postała, posłuchała
I poszła, myśląc: „Wrzeszczą,
A o co? Licho wie."
I sprawiedliwie: sami,
Jakby ich kto zapytał,
Już nie wiedzieli, z czego
Ten wielki krzyk i gniew.
Potłukłszy się nawzajem
I żebra policzywszy
Chłopkowie nasi wreszcie
Opamiętali się.
Napili się z kałuży,
Umyli jako tako,
I jął ich morzyć sen...

Wtem — pisklę maciupeńkie
Powoli, po pół sążnia
Niziutko polatując,
Do stosu dofrunęło...
Pachom ptaczynę — cap!
Obejrzał ją przy ogniu
I mówi: „Mała ptaszka,
A szponik ostry już.
Jak dychnę — z dłoni zwalisz się,
Jak kichnę — nie ocalisz się,
Jak przytknę — w ogniu spalisz się,
A przecież, ptaszko mała,
Silniejszaś ty, niż chłop.

Już rychło, a okrzepną
Skrzydełka — i fiut-fiut!
Gdzie zechcesz, tam pofruniesz.
Oj, ty ptaszynko mała,
Daj nam skrzydełka swoje,
A my cesarstwo całe
Oblecim na nich w krąg,
Popatrzym a zobaczym,
Dowiemy, dopytamy się,
Komu na ruskiej ziemi
Swoboda a wygoda?
Kto żyje wesół, rad?

— „I bez skrzydełek można!
Niech by nam tylko chlebka
Pół puda dziennie mieć —
Na nogach by się własnych
Obeszło Ruś rodzoną,"
Powiedział chmurny Prow.

— „I wódki by wiaderko,"
Dodali, łasi na nią,
Dwaj bracia Gubiniaki,
Iwan i Mitrodor.

— „A do śniadanka — z dziesięć
Solonych ogóreczków,"
Z uśmiechem wtrącił ktoś.

— „W południe by się przydał
Zimnego kwasu dzban."

— „Wieczorem by czajniczek
Herbatki na rozgrzewkę"...

Gawędzą, pogadują,
A pliszka, ptasia mama,
Kołuje, krąży, słucha,
Aż siadła obok nich.
Ćwierknęła, podskoczyła
I nagle do Pachoma
Powiada ludzkim głosem:
„Puść pisklę moje, puść!
Za ptaszkę maluniecką
Dam tobie wykup duży"...

— „A co ty dasz, pliszeczko?"
— „Pół puda chleba dziennie
I po wiaderku wódki,
I rano ogóreczków,
W południe kwasu dzbanek,
A wieczór — po czajniku
Herbatki wrzącej dam."

— „A gdzie ty, ptaszko mała,
Dla siedmiu chłopów znajdziesz
I chlebka i wódeczki?"
Spytali Gubiniaki,
Iwan i Mitrodor.
— „Wy sami je znajdziecie,
A ja was, ptaszka mała,
Nauczę, gdzie ich szukać.
Od trzydziestego słupa
Prościutko wiorstę w las,
Przyjdziecie na polankę,
A tam, na tej polance
Dwie stare sosny stoją,
Pod tymi zaś sosnami
Skrzyneczka zakopana,
W skrzyneczce wielki dziw:
Stoliczek czarodziejski!
Wystarczy tylko szepnąć:
„Daj chłopom jeść, stoliczku,
Stoliczku, nakryj się!" —
Na wasze zawołanie,
Na moje przykazanie
Nakarmi was, napoi,
Wszystko się zjawi na nim!
A teraz — pisklę puść!"

Pachom jej na to: „Czekaj!
My ludzieśmy ubodzy,
Daleka nasza droga...
Mędrczynia z ciebie, zważ:
Zaczaruj te łachmany,
Ten przyodziewek nasz."

— „Kapoty żeby chłopskie
Nie pełzły, nie parciały,"
Upomniał się Stiepan.

— „Lipowe łapcie żeby
Służyły, nie rozlazły się"
Upomniał się Diemian.
— „Pchła, wesz-paskuda żeby

W koszulach się nie lęgła",
Upomniał się Łukan.

— „Onuce żeby chłopom
Od potu nie butwiały,"
Dwaj bracia przymówili się,
Iwan i Mitrodor.

A ptaszek odpowiada:
— „Stoliczek czarodziejski
Naprawi, oporządzi,
Upierze i wysuszy
Wszyściutko wam... No, puść!"

Szeroką dłoń rozwarłszy,
Pachom wypuścił pisklę,
Wypuścił — i ptaszynka
Powoli, po pół sążnia
Niziutko polatując,
Do dziupli swojej hyc!
Frunęła za nią pliszka
I lecąc powiedziała:
— „Ostrzegam! Pamiętajcie:
Możecie żądać jadła
Ile wytrzyma brzuch,
A wódki — wiadro dziennie;
Nie więcej, tylko wiadro!
Gdy zażądacie więcej —
Raz, drugi dostaniecie,
Lecz biada wam za trzecim!"
I odleciała pliszka
Za swym pisklęciem w ślad.

A chłopi ku drożynie
Gęsiego podreptali,
Szukają, popatrują,
Gdzie ten trzydziesty słup.
Znaleźli. Idą milcząc
Prościutko, na pewnego,
Po lesie nieprzejrzanym,
Za krokiem liczą krok.
Jak wiorstę odmierzyli
Polankę zobaczyli
I stare sosny dwie...

Kopali — wykopali
Skrzyneczkę utajoną.
Otwarli ją — znaleźli
Stoliczek czarodziejski
I wszyscy naraz w krzyk:
„Daj chłopom jeść, stoliczku,
Stoliczku nakryj się."

Aż tu, ni stąd ni zowąd,
Dwie ręce ogromniaste
Podały wiadro wódki,
Nakładły górę chlebka
I nagle znikły znów.

— A ogóreczki gdzie?
— A gdzie herbatka wrząca?
— A gdzież ten zimny kwas?

Wnet wszystko się zjawiło.
Popuszcza bractwo pasa,
Zasiada przy stoliku
I na ścigane! Krop!
Całują się, ściskają,
Na wszystko przysięgają
Już dalej się nie swarzyć,
Nie bijać po próżnicy,
A rzecz na rozum wziąć,
Sumiennie, po bożemu,
Cześciwie poprowadzić:
Do domu nie nawracać,
Nie widzieć żony miłej,
Ni dziatwy małoletniej,
Ni rodzicieli swych,
Dopokąd sporu-zwady
Rzetelnie nie rozsądzą,
Do gruntu nie przenikną
Prawdziwej prawdy, istej:
Komu na ruskiej ziemi
Swoboda i wygoda?
Kto żyje wesół, rad?

Przysiągłszy uroczyście,
O brzasku, zmordowani,
Zapadli chłopi w sen.

Jarmark wiejski

Z rozdziału II, części I

. . . . . .

Kuźmińskie, wieś bogata,
Z jarmarków swych słynąca,
Rozciąga się na zboczu
Pagórka, potem w jar,
W niewielki parów spływa,
A potem znów pod górę,
Więc błocko, prosta rzecz.
Dwie cerkwie — prawosławna
I starowiercza *) druga,
Są we wsi. Jest budynek
Z napisem „szkoła" — pusty,
Zamknięty na trzy spusty;
Jest chata z jednym oknem,
A w oknie malowidło:
Felczer, co puszcza krew.
Jest jeszcze brudny zajazd,
Przyozdobiony szyldem:
Na tacy kelner niesie
Nosaty wielki czajnik,
Kubkami otoczony,
Niczym gąskami gęś.

Są tam i stałe sklepy
Na modłę powiatowych
„Gościnnych Dworów" — kramnic...
Oto i cała wieś.

Przybyli wędrownicy
Na plac: towaru mnóstwo,
Narodu — zatrzęsienie,
Cudaczny jakiś lud:
Nie żadna procesyja,
A jak przed ikonami
Bez czapek stoi tłum.
Już taki kraj-obyczaj!
Chcesz wiedzieć, gdzie się chłopskie
Kaszkiety podziewają?
Posłuchaj: w tej to wsi
Jest dziesięć sklepów z wódką,
Traktiernia, jadłodajnia,
Z wyszynkiem trzy gospody,
Dwa składy „mocnych trunków",
I karczmy są, i nawet
Piwnica „reńskich win",
— Starczyłoby. A przecież
Z okoliczności święta
Szynkarze postawili
Z gorzałką dziesięć bud.
I w każdej się uwija
Po pięciu zuchowatych
Podawczych, posługaczy —
Bywałych, otrzaskanych,
A trudno im nadążyć
Bo taki wszędzie ścisk!
Patrz, wyciągają ręce,
A w rękach czapki, chustki,
Sukmany, rękawice...
Oj, gardło prawosławne,
Nienasycony ciąg!
Byleby duszę spłókać,
A czapkę się wytrzaśnie
Jak już przeszumi targ.

Po pijanych łepetynach
Wiosenne igra słonko...
Barwiście, bujnie, hucznie,
Gwar w koło, szumi chmiel,
Parobki w portkach z plisu,
W pasiastych kamizelach,
W koszulach kolorowych,
Że aż ci w oczach pstro.
Mężatki w czerwień strojne,
Dziewczyny ze wstęgami
W warkocze wplecionymi,
Jak te łabędzie płyną...
A są i wyfioczone
Na wielkomiejski ton:
Podołki na obręczach,
Koliście i szeroko

*) Starego obrzędu. „Staroobriadczestwo" — kierunek religijny; zespół sekt, które powstały w Rosji w w. XVII po tzw. „raskole", rozłamie, ruchu odszczepieńczym. (Przyp. tłumacza).

Rozdęte — ani przystąp!
Ochotaż wam, strojnisie,
Dla mody, pod kieckami
Rybacki nosić sprzęt!

Na strojne baby patrząc
Staroobrzędna jędza
Do kumy mówi tak:
— „Głód będzie, głód, mileńka!
I dziw się tu, że latoś
Wymokło jare w polu,
A woda, jak wyleje,
To aż po święty Piotr.
Od pory, jak się baby
W czerwony perkal zdobią,
Leszczyna nie podrasta,
A zboża szkoda siać."

— „A w czymże jego wina,
Perkalu czerwonego?
Nie pojmę, kumo. W czym?"

— „Francuski perkal, uważ,
Sobaczą krwią barwiony.
No co? Rozumiesz już?"

Przez tłok na końskim targu
Przepchali się na wzgórek,
Gdzie nawalono stosy
Żelastwa przeróżnego:
Obręczy, grabi, rozwór,
Bosaków, siekier, soch...
Tam handel szedł, że ino!
Z przygaduszkami, klęciem,
Z wesołym, hucznym śmiechem,
Bo jakże nie śmiać się?
Tu — chłopek, kucyk tyci,
Obręcze giął na próbę
Zgiął jedną — nie, niezdatna,
Zgiął drugą z całej siły,
A ona — jak odskoczy
I bęc go prosto w łeb!
Chłop ruga samobija,
Wymyśla: „Drewno, kłoda,
A nie żelazo-stal!"
Tam — inny: rozmaitych
Drobiazgów z drzewa przywiózł
I buch! wywrócił wóz.

Pijaniutki! Oś złamana.
A zaczął ją sporządzać —
Siekierę złamał też!
Pomedytował chłopek
I nuże, jak do żywej,
Wymawiać jej, urągać:
„Szelma-ś ty, nie siekiera,
Tak służysz? Cały trud
I funta kłaków nie wart,
A nie chce ci się robić!
Kłaniałaś ty się, bestio,
Kłaniałaś całe życie,
A posłuszeństwa — nic."

Po kramach powłóczyli się...
Przypadły im do gustu
Perkale iwanowskie,
Popręgi i obuwie,
Nowiutkie — pierwszy sort!
W sklepiku szewskim znowu
Uśmieli się wędrowcy:
Trzewiczki z koźlej skóry
Kupował dziad dla wnuczki,
Targował się, o cenę
Pięć razy pytał się.
I tak, i tak je w rękach
Obraca i ogląda.
— „No, stary! dwie dwudziestki.
A nie chcesz — fora, bracie!"
Do dziada kupiec rzekł.
— „A ty się nie spiesz!" Patrzy
Z lubością na trzewiczek,
Trzewiczek maciupeńki,
I tak do kupca mówi:
— „Niech psioczy zięć, a stara klnie—
Ja córce figę, starej dwie!
Mnie co? Mnie nic! A wnuczki żal!
Na szyję mi rzuciła się
Zbytnica i terkoce:
Kup, dziadziu, upominek!
I łasi się, przymila,
I główką jedwabistą
Łaskoce mnie, całuje —
Kup, dziadziu! — Ach ty, frygo,
Ty bosy fąflu! Puść!
Już dobrze, kupię, kupię
Trzewiczki z koźlej skóry...

Rozpędził się Wawiłko:
Na prawo i na lewo
Naobiecywał darów,
A wszystko przepił, zbój!
I jakże ja, bezwstydnik,
Na oczy im pokażę się?
Niech psioczy zięć, a stara klnie —
Ja córce figę, żonie dwie,
Mnie co? Mnie nic! A wnuczki żal!"
I zaczął znów o wnuczce,
Labiedzi, lamentuje...
Już ludzie się zebrali
Nie śmieją się, żałują.
Robotę, chlebka — daliby,
Pomogliby staremu,
A dwie dwudziestki wyjąć — żal,
Bo sami z czym zostaliby?
A był tam jeden taki
Pawłusza Wieretiennikow
(Jakiego rodu, stanu,
Nie wiedział żaden chłop.
Mówili mu „panoczku",
Gaduła, bałaguła,
Sukienny kaftan nosił,
Koszulę czerwoniastą,
A buty z cholewami
Smarował czarną maścią.
Lubownik ruskich pieśni,
Rad śpiewał je i słuchał.
Spotkać go było w karczmach,
Gospodach i traktierniach.)
I właśnie on Wawiłę
Z kłopotu wyratował:
Zapłacił za trzewiczki!
Wawiła złapał je
I tyle go widziano...
Ze szczęścia, starowina
Zapomniał podziękować
Za upragniony dar!
A chłopom aż się oczy
Uradowane śmiały,
Cieszyli się, jak gdyby
Każdemu z nich „panoczek"
Srebrnego rubla dał!

Był tutaj także stragan
Z książkami, obrazkami,
Skąd hurtem brali towar
Wędrowni ochweśnicy.*)
— „A generałów trzeba?"
Obrotny kupiec spytał.
— „I generałów daj!
Ale sumiennie żeby!
Prawdziwi żeby byli!
Z groźniejszych dawaj, z grubszych,
Nie żeby byle co."

— „Cudaki! Na co patrzą!"
Z uśmiechem mówi kupiec,
„Nie w komplekcyji grunt."

— „A niby w czym? Ty nie chytrz!
Lichoty nam nie wkręcisz,
Nam z niej nijaki profit,
Mądryś ty — i my tyż.
Dla chłopa, bracie, wszyscy
Generałowie równi,
Jak te na sośnie szyszki:
Chudziaka żeby wziął,
Musi być chłop znający,
A groźnych, a grubasów
Każdemu wtrynię w mig.
Okaźnych dawaj, ważnych,
Odętych, wyłupiastych
I żeby dużo gwiazd!"

— „A *sztatskich* **) nie potrzeba?"
— „I gadaj z takim! *Sztatskich!*"
(A przecież wzięli — tanio —
Jakiegoś dygnitarza:
Za brzuch, jak antał piwa,
I za szesnaście gwiazd!)
Sprzedawca, — pierwszy złodziej
Z Łubianki, — według życzeń

---

*) Kramarze sprzedający popularną „literaturę dla ludu". (Przyp. tłumacza)

**) Przymiotnik ten, pochodzący z niemieckiego (Staat), pozostawiam w brzmieniu oryginalnym. Wydaje mi się, że nasze „cywilny" lub „cywil" byłyby tu nie na miejscu. (Przyp. tłumacza).

Obsłużył ich z szacunkiem
I spuścił (po sto sztuk):
Blüchera, Zbója Sipko,
Archimandrytę Fotja
I książki: „Milion żartów"
Oraz „Angielski lord".
W pudełku ułożone
Książeczki i obrazki
Ruszyły het, na wander
Po carstwie wszechrosyjskim,
Aż spoczną w chacie gdzieś,
W świetlicy na policy,
Na ściance niewysokiej,
A po co — czort to wie!

Ech! ech! nadejdzież pora,
Gdy (nadejdź, upragniona!)
Pouczą włościanina,
Że portret portretowi,
Książeczka zaś książeczce
Nie równe... Różne są.
Gdy wieśniak nie Blüchera,
Nie lorda głupca — ale
Gogola, Bielińskiego
Z jarmarku będzie niósł!
Oj, ludzie, ludzie ruscy,
Włościanie prawosławni,
Słyszeliście wy kiedy
O tych imionach dwóch?
Ogromne to imiona,
Nosili je, wsławili
Orędownicy ludu!
Tych wielkich portreciki
Na ścianach by zawieszać!
Tych wielkich książki czytać
Godziłoby się wam!

I wtem do księgarenki
Wtargnęły takie słowa:
— „Oj, radby człek do raju,
A gdzie do niego drzwi?"
— „Gdzie niby? W jakie drzwi?"
— „Na hecę, komedyjkę!
— O słyszysz? Gra muzyka!"
— „Chodźcie, pokażę wam."

Za nimi do wertepu
I nasi wędrownicy
Pogapić się, posłuchać...

Komedię grano tam
Z Piotruńciem-prześmiewaczem,
Z kozą i bębennicą,
Z grajkami prawdziwymi,
Nie z prostą katarynką...
Uciecha w budzie, śmiech!
Komedia nie za mądra,
Lecz i nie głupia wcale:
Łapaczom, sprawnikowi
Przygada — i zajedzie
Pod siódme żebro im.
Pełno jak śledzi w beczce,
Orzeszki naród chrupie,
A czasem ten owemu
Słóweczko rzuci, mrugnie —
I już wódeczka jest,
Popatrzą i pociągną,
I takie celne słówko
Podrzucą Piotruńciowi,
Że choćbyś połknął pióro,
To nie wymyślisz sam.

Są tacy amatorzy,
Co lubią po komedii
Za parawanik pójść.
Bratają się z grajkami,
Całują się, gawędzą:
— „A wy, chłopaki, skąd?"
— „My ludzie byli pańscy,
Grywali dziedzicowi,
A teraz my wolniaki —
Kto do nas z traktamentem,
Z poczęsnem — ten nam pan."

— „I sprawiedliwie, drużba!
Dość mieli jaśniepaństwo
Uciechy! Teraz chłopów
Zabawcie! Mały! Słysz!
Nalewki! Słodkiej wódki!
Herbaty! Cymlańskiego!
Półpiwka pienistego!
Na jednej nodze! No!"

I takie się rozbełta
Lej-rozlej na całego,
Że szczodrzej ich ugoszczą,

Niż jaki jaśniepan!

*

Nie wiatry bujne wieją,
Nie matka ziemia dudni —
Zatacza się, wałęda,
Wymyśla, wrzeszczy, tarza się,
Całuje i pomstuje
Odświętny ludzi tłum!
Wędrowcom naszym zdało się,
Gdy wyszli na pagórek,
Że cała wieś się chwieje,
Że nawet starą cerkwią
Z dzwonnicą jej wysoką
Rzuciło w tę i w tę.

Trzeźwemu, jak nagiemu
Nie swojo tu... Chłopkowie
Po placu jeszcze przeszli się
I zmierzchem opuścili
Rozchybotaną wieś...

Przełożył **Julian Tuwim**

GRZEGORZ LASOTA

O wierszach Wiktora Woroszylskiego

I

Pociąg wlókł się powoli. Stara lokomotywa z trudem ciągnęła wagony pod górę. Byłem zmęczony całonocną jazdą, a czekał mnie w terenie jeszcze cały tydzień pracy. W okresie akcji wyborczej brakło czasu na sen. Była to zima 1946 roku... Chcąc jakoś skrócić czas, wyjąłem z kieszeni ostatni numer „Walki Młodych". Przejrzałem jakiś artykuł, notatki, przebiegłem wzrokiem po tradycyjnym już niemal nekrologu poległych w walce z bandami zetwuemowcach i wzrok mój zatrzymał się na wierszu młodego nieznanego poety, Wiktora Woroszylskiego, zadedykowanym trzem kolegom zamordowanym w Zakopanem:

Krew
i śnieg
i morderczy metal,
znowu
trzej
wypadli z szeregu.
Może czekać
daleka meta
ci
nie dobiegną.

Cóż, nie pierwszych naszych
zagarnia śmierć —
tracić głowy nie warto.
Mocniej
wpiąć do serc
legitymacji karton.

Nasza walka trwa
nie od dziś,
nie od wczoraj —
który tej walki się zaprze?
W jednym kierunku
toczy się historia —
naprzód!

Potem, kiedy w przemówieniach na wiecach wyborczych i na zebraniach zetempowskich chciałem dobitnie i przekonywająco sformułować piękne prawo marksistowskiej dialektyki o nieustannym rozwoju społeczeństw, o nieubłaganej logice historii, która kroczy do komunizmu, cytowałem słowa wiersza: „W jednym kierunku toczy się historia — naprzód!"

Wiersz ten, razem z nami, tysiącami aktywistów-agitatorów brał udział w toczącej się walce. Nieznany, daleki poeta przekonywał, że najważniejsza jest sprawa, o którą się bijemy, że dopiero na drugim planie znajduje się nasze życie. Że warto i trzeba na przekór salwom band iść do nieśmiertelnej, najpiękniejszej mety — do komunizmu.

II

Wiktor Woroszylski należy do poetów pokolenia, które swoją świadomość rzeźbiło w latach walki z faszyzmem, w latach bojów o socjalistyczną Polskę. Wraz z innymi młodymi pisarzami jest poetą nowej epoki historycznej, która otwarta została datą powstania PKWN, epoki, w której nasz naród wszedł na wspaniałą drogę rozwoju, epoki, w której „wszystkie drogi na świecie prowadzą do komunizmu".

Wraz z rewolucyjnym przekształca-

niem się ekonomicznych podstaw naszego społeczeństwa, obejmowaniem wielkiego przemysłu przez klasę robotniczą, karczowaniem feudalnych pozostałości, parcelacją obszarniczej ziemi, budowaniem fundamentów socjalistycznej przyszłości, a więc wraz ze zmianami w dziedzinie bazy — zachodziły i zachodzą zmiany w nadbudowie tj. „w politycznych, prawnych, religijnych, artystycznych, filozoficznych poglądach społeczeństwa". Jak wiadomo zmiany w nadbudowie zachodzą na ogół wolniej i nie nadążają za przemianami w bazie. Jak wiadomo nasza literatura, a w szczególności poezja przez wiele lat nie potrafiły nadążyć za szalonym tempem przemian, które wyraziły się w zbudowaniu nowego ustroju. Poezja polska po wojnie przechodziła długi okres choroby. Była to ciężka choroba formalizmu w różnych jego objawach: nadrealizmu, naturalizmu, estetyzmu i dekadentyzmu. Wszystkie te objawy formalizmu charakteryzowała antyrealistyczna postawa, odwrócenie uwagi od nurtu życia, które tak szybko w naszych latach mknie naprzód.

Choroba była nie tylko ciężka, lecz i zaraźliwa. Młodzi poeci wchodzący w życie literackie, szybko zapadli na nią również. Generalne odejście od realizmu, rezygnacja z ideowych zadań poezji, odejście od prostoty środków wyrazu, od zrozumiałości, odwrócenie się od nowego, masowego odbiorcy kultury — oto co cechowało utwory wielu młodych poetów drukujących swoje wiersze po wojnie. Szereg przedstawicieli starszego pokolenia grzęznąc w estetyzmie nie potrafiło również sprostać wielkim społecznym zadaniom, jakie wyłaniały się przed poezją. Większość tomików wierszy wydanych w latach 1945 — 1948 w swej tematyce była zupełnie obca wielkim historycznym wydarzeniom rewolucji w Polsce.

Droga tworzenia nowej poezji, nowych stosunków społecznych nie była łatwa. Przeważająca większość starszych pisarzy zmuszona była przestawiać całkowicie swój warsztat poetycki stworzony w dwudziestoleciu. Młodzi musieli ugruntować swoją postawę ideową, opanować poetyckie rzemiosło, znaleźć właściwy wyraz i formę dla swych wypowiedzi ucząc się ideowej postawy.

W takiej sytuacji wraz z garstką innych młodych poetów zadebiutował Woroszylski, w takiej sytuacji rozwijał się jego talent. Już w swoim pierwszym wierszu opublikowanym w 1945 r. pt. „Przed Berlinem" wykazał, że trafnie zrozumiał, jaka powinna być poezja nowego okresu historycznego. Że ma to być poezja przesycona partyjną ideowością, że ma służyć sprawie budowy socjalistycznej Polski, że jej forma musi być prosta, bezpośrednio oddziaływająca nie tylko intelektualnie, ale i uczuciową wartością głoszonych idei. Wychodząc z tych założeń Woroszylski starał się oprzeć o doświadczenia Władysława Broniewskiego (widoczne jest to bardzo wyraźnie w takich utworach jak „Ballada o czterech krosnach", „Poemat o generale Świerczewskim"), o rewolucyjną poetykę Włodzimierza Majakowskiego.

Rzecz jasna, że twórczość Woroszylskiego nie była i nie jest jednolita i pozbawiona błędów. W rozwoju tego poety możemy wyśledzić trzy okresy. Pierwszy, początkowy, charakteryzuje się prymitywem artystycznym, lecz słusznym sięgnięciem do wzorów poezji realistycznej. Woroszylski ogłasza w prasie szereg utworów lirycznych i satyrycznych, słusznych ideologicznie, formalnie nie „udziwnionych". Drugi okres charakteryzuje uleganie nacisko-

wi burżuazyjnej ideologii, zamaskowanej pod postacią antyestetyzmu i anarchizmu formalnego. Woroszylski w imię nowatorstwa rezygnuje z logicznego toku skojarzeń, „pakuje" do wiersza lumpenproletariacką gwarę, próbuje sięgać do wzorów poezji francuskiej („Dziwak", „Dnieprostroj"), ulega ekspresjonistycznym wpływom (szereg wierszy w tomie „Śmierci nie ma", oraz ogłoszonych w tym czasie w czasopismach).

Trzeci okres rozwoju Woroszylskiego związany z wykrystalizowaniem się sytuacji politycznej w kraju (rozgromienie gomółkowszczyzny i socjaldemokratyzmu) charakteryzuje powrót do realizmu, wybór właściwych środków wyrazu, rozszerzenie zainteresowań twórczych (liryka osobista) wyższa świadomość polityczna twórcy.

*

Sięgając do ważnych aktualnych tematów politycznych Woroszylski wniósł do poezji namiętny ton przedstawiciela ideologii klasy budującej nowe i s w o j e państwo. Ta pasja, żarliwość i optymizm łączyła się z pełną afirmacją życia, w bojową agitację do dalszego wysiłku w budowie nowego życia. Dawniej poezja rewolucyjna wyrażała protest klasy robotniczej i jej partii. W nowej sytuacji, kiedy klasa robotnicza ujęła władzę w ręce, trzeba było walczyć o umocnienie tej władzy, o przekonanie, że jest to władza ze swej istoty ludowa. Poeta postawił przed sobą to zadanie. Zadanie to polegało na tym, aby włączyć się w nurt toczącej się walki klasowej — własną twórczością, służącą kształtowaniu socjalistycznej świadomości mas. W wierszu „Poezja" Woroszylski mówi:

Odważnie, droga, kartę przewróć,
I pomyśl: dziwna rzecz — poezja,
Która zaczyna się w tym miejscu,
Gdzie los człowieka, czyn żołnierza.

Rzeczywiście: poezja Woroszylskiego zaczynała się tam, gdzie los człowieka i czyn żołnierza. Sześć lat twórczości młodego poety, to sześć lat poetyckiego odzwierciedlania, mimo potknięć i błędów, najistotniejszych zjawisk w życiu naszego kraju i świata. Poeta mówi w swoich utworach *) o klęsce faszyzmu (wiersze satyryczne), o walce wyborczej (wiersz o nadętej żabie), o walce z bandami (wiersz „Pamięci kolegów"), o współzawodnictwie pracy, o walce o państwowy handel i przemysł, o odbudowie kraju, o żołnierzach służby bezpieczeństwa, o nowym życiu obywateli ludowej ojczyzny (ciepłe wiersze liryczne o synu).

Poeta szereg wierszy poświęca krajowi Rad, gniewnie potępia imperialistycznych podżegaczy do wojny, przesyła gorące słowa przyjaźni Niemcom walczącym o wolność (wiersz „Do Maksa Raimana"), pisze o jugosłowiańskich komunistach walczących z reżimem Tito.

Przez to, że Woroszylski czujnie śledził życie naszego społeczeństwa, przez to, że umiał wydobywać i włączać do tematyki swych utworów te zjawiska, które były nowe i młode, mające wszelkie zadatki rozkwitu i rozwoju, przez to, że wiedział, czym żyje budowniczy no-

*) „Śmierci nie ma", wiersze, Książka i Wiedza, Warszawa, 1949.

„Weekend mr. Smitha", satyry, Książka i Wiedza, Warszawa, 1949.

„Noc Komunarda", poemat, Prasa Wojskowa, Warszawa, 1949.

„Poemat o generale Świerczewskim", wyd. zbior., Prasa Wojskowa.

„Świt nad Nową Hutą", poemat (Tom zbiorowy pt. „Budujemy"), Czytelnik, Bibl. Sztandaru Młodych, Warszawa, 1951, oraz wiersze publikowane w „Nowej Kulturze", „Wsi" i innych pismach.

wego ustroju, wniósł szereg nowatorskich elementów do poezji Polski Ludowej. Nowatorstwo Woroszylskiego wyraża się w tym właśnie, że sięgnął po raz pierwszy do szeregu istotnych, typowych tematów, że od razu adresował swoje utwory do klasy robotniczej, pracującej inteligencji i chłopstwa, a nie nastawiał się na „wątpiącego inteligenta". Nie znaczy to, że wszystkie te listy adresowane przez poetę były dość czytelne dla nowego odbiorcy. Wiele z nich jednak do adresata trafiało.

Pisząc w 1947 r. wiersz pt. „Ballada o czterech krosnach" Woroszylski myślał o tych młodych zetwuemowcach, którzy wbrew oporom zrutynizowanych robotników, wbrew agitacji wroga zrywali z dawnymi metodami pracy i nie odrzucali ciężkiego wysiłku. Słusznie pisał poeta:

Ojcze garbaty od trosk
pozwól sobie wytłumaczyć, że przecie
to dla ciebie na czterech krosnach
wytyka Grzesiek niedaleki kwiecień.

Poeta sięgnął do typowego i trudnego tematu kształtowania się socjalistycznego stosunku do pracy. Nawoływał innych młodych robotników, by śladem Grześka stawali do pracy na czterech krosnach. Kiedy w kraju rozgorzała pamiętna bitwa o handel, kiedy Partia rzuciła hasło przyśpieszania upaństwowienia handlu, hasło budowania państwowych domów towarowych — poeta pisał „Balladę o PDT", która kończyła się dowcipną i ciekawą metaforą:

Jaki chowacie w magazynie towar?
Kronikarz rzeczy nie tylko drobnych
zrozumiał i chętnie to wyzna:
w przyszłym sezonie nasz dom —
Polska Ludowa
zacznie klientom wydawać kupony
socjalizmu.

W parę lat potem pewien krytyk oburzony był porównaniem Polski do „pstrego kramu". Krytyk ten niestety nie zrozumiał, że czymś innym był sklepikarski kram, a czymś innym handel państwowy. Że inny jest stosunek człowieka nowej epoki do sklepiku, a inny do Domu Towarowego. Krytyk nie zauważył, że wiersz PDT mimo zalet miał inną wadę: Zagadnienie kuponów socjalizmu nie było takie proste, jak to zdawało się poecie w nazbyt powierzchownej, naiwno-optymistycznej i formalizującej balladzie. Nazbyt optymistycznej dlatego, że parę miesięcy potem przed Partią, masami ludowymi, przed całym narodem stanęło pytanie: którędy droga do socjalizmu?

Odpowiedź na to pytanie dała klasa robotnicza, dało życie. Do socjalizmu była jedna droga. Inna droga prowadziła do kapitalizmu. Rozgramiając prawicowych oportunistów partia wysunęła ważkie hasło „Wzmóc czujność". I oto w wierszu pt. „Czuwającym w noc noworoczną" napisanym w miesiąc po III Plenum KC PZPR Woroszylski wprowadza po raz pierwszy do poezji postacie oddanych żołnierzy naszej władzy, pracowników UBP:

Młodym —
aby rośli, dojrzewali,
Ojczyźnie —
— socjalistycznego szczęścia.
No, a czego
mam dziś życzyć
wam
towarzysze
ze Służby Bezpieczeństwa?
Noc noworoczna,
jak to noc,
cicha.
Księżyc, obłoczki — czyż im nie
ufać?
A wróg w tę noc,
jak i w inne, czyha.

I wam w tę noc,
jak we wszystkie —
czuwać.

Wiersz kończy poeta taką strofą:

...Szczęście?
Często o szczęściu piszą!
Szczęście — na posterunku trwać,
walczyć, zwyciężać w walce.
Takiego szczęścia i wam,
towarzysze,
którzy tej nocy,
jak każdej
czuwacie.

Woroszylski jest również czujny. Jego czujność to specyficzne poetyckie wyczucie, chwytanie nowych, najbardziej istotnych dla społeczeństwa tematów. Poemat „Świt nad Nową Hutą" stanowi dowód artystycznej i politycznej czujności poety. Poemat ten napisany został w 1950 roku. W pierwszym roku Planu 6-letniego, którego sztandarowym obiektem jest właśnie Nowa Huta. Założenie poematu o Nowej Hucie, którego bohaterem jest Zdzich. „marzeń ambitnych mechanik" — było proste: pokazać jak powstaje potężny obiekt przemysłowy, jak kształtuje się świadomość zwykłego chłopca ze wsi wraz z procesem powstawania nowego miasta, jak przełamuje on swoje obawy i wątpliwości dzięki „serdecznemu kolektywowi" organizacji. Problem walki o zawód, to fakt — stanowiący źródło wielu konfliktów wśród budowniczych Nowej Huty, został przez Woroszylskiego pokazany z wielką prawdą artystyczną. Tak więc nowatorstwo i czujność poetycka Woroszylskiego w tym wypadku polega na trafnym wyborze tematu na udanej na ogół próbie fabularyzacji utworu oraz na wprowadzeniu fikcyjnej a zarazem typowej postaci bohatera poematu.

III

Każdy poeta ma pewną sferę zagadnień, które go szczególnie interesują. Każdy poeta ma pewną sferę zagadnień, którą obejmuje szereg utworów poetyckich. Woroszylski wyraził swoje zainteresowania tytułem swojego pierwszego zbioru: „Śmierci nie ma".

Problem życia i śmierci, problem idei, która trwa nie w idealistycznych wymiarach, ale w czynach rewolucjonistów, problem losów rewolucjonistów, których życie ustokratnia się i wciela we wspaniałe budowle komunizmu, przewija się w wielu (moim zdaniem najlepszych) utworach Woroszylskiego. Tematyka rewolucyjnego romantyzmu, wspaniałość walki o szczęście obejmuje takie wiersze jak „Poemat o generale Świerczewskim", jak poemat „Noc Komunarda" (o Jarosławie Dąbrowskim), jak „List Polaka uczestnika wojny domowej w Hiszpanii do towarzysza w Paryżu", jak „Ballada hiszpańska", jak wiersz „Ci co zginęli" poświęcony Rutkowskiemu, Kniewskiemu, Hibnerowi, jak „Ballada o Bronisławie Wesołowskim".

„Nieśmiertelność — znaczy proletariacki upór, nieśmiertelność znaczy walka tych towarzyszy, którzy zostali" — pisze poeta w wierszu pt. „Jeszcze o nieśmiertelności". W poemacie o Jarosławie Dąbrowskim Woroszylski z konsekwencją wskazuje organiczną łączność i ścisłą dialektyczną zależność życia i czynów Generała Komuny z wyzwoleniem Polski w 1944 roku przez Armię Czerwoną i Ludowe Wojsko:

Patrz generale: znowu łuną
zawisły fronty nad Warszawą.
O krok przez Wisłę — wolny szaniec,
Sztandar i walka, pieśń i prawo!
Harmonia tocząc się wesoło
Dźwiękiem wydłuża ramię chłopca...
Nie, ta melodia nie jest obca

Tobie, paryski komendancie.
Pamiętasz — dawne sny powstańcze...
Czy lata płyną? Chmury płyną...
Patrz generale: znowu łuną
Zawisły fronty nad Warszawą.
Chłopiec ma mundur spod Lenino...

Szczytowym osiągnięciem w dotychczasowej twórczości Woroszylskiego wydaje się „Poemat o generale Świerczewskim". W tym poemacie skoncentrowały się wszystkie najlepsze cechy jego twórczości: jego ideowość, bezpośredniość, siła wyrazu, prostota i duża dramatyczność w rysowaniu sytuacji. Szczególnie udatne są fragmenty rozdziału pt. „Śmierć":

— Generale Świerczewski,
co z Wami?
Tylu mieliście przyjaciół —
czy na to,
Byście biedni i sami,
Wyruszali w ostatni patrol?
Generale, koniec walki nie bliski,
A Wy —
Macie odejść od nas?!

— Śmierć żołnierza,
Śmierć komunisty
nigdy nie bywa samotna.
Kochałem sprawy i ludzi,
zostają sprawy i ludzie,
są ze mną aż do końca,
dlatego nie trudno umrzeć.

— — — — — — — — — — — — —

Nic, że to nasze spotkanie
wieńczy koniec niedobry —
jeszcze nas dość zostanie,
by ciebie, faszysto, dobić.
Bo choć różny twych oczu blask
i różną przemawiasz mową,
przecież widziałem: masz
w każdym kraju twarz jednakową!

— — — — — — — — — — — — —

— Cóż nam piekła i nieba,
nas nie uśpi litości brom!
Wiemy: litości nie ma
dla tych, co mordowali,
dla tych, co im sprzyjali,
dla tych, co dali broń.

IV

Woroszylski osiągnął już pewien (niepełny zresztą) indywidualny wyraz artystyczny. Wyraźnie daje się on zaobserwować na przykładzie cytowanego uprzednio fragmentu „Poematu o generale Świerczewskim". Należy zwrócić uwagę na typową u Woroszylskiego dążność do wydobywania dynamiki artystycznej drogą śmiałej retoryki, drogą dramatyzowania strofy poetyckiej. We wspomnianym wierszu spotykamy się jakby z dialogiem między autorem a bohaterem poematu. Tę samą cechę dramatyzacji dialogu znajdziemy i w innych utworach, jak na przykład w „Nocy Komunarda", gdzie w pewnych partiach utworu Woroszylski posługując się mową pozornie zależną, oddaje głos Dąbrowskiemu, w innych zaś miejscach zwraca się do niego rysując obraz czasów, które nadejdą.

W wierszu „Jugosłowiańska partyzantka" znowu występuje dwugłos:

— Ach gdzie, gdzie, gdzie
Partyzancka sława,
Ach gdzie, gdzie, gdzie
Partyzanckie pieśni?
Sława w błoto wdeptana,
Na cztery wiatry rozwiana,
Noc nad Belgradem cicha,
Grzmot nią nie zakołysał,
Lata chwały były i przeszły.

I znów poeta zwraca się do swego wyimaginowanego rozmówcy: „Wuko, Wuko, gdzie są dowódcy twoi?" i w następnej strofie otrzymuje odpowiedź: „—Była, była partyzancka sława, ale Tito ją zabrał".

W ten sposób Woroszylski nawiązując do ludowej formy zastosował udatnie i w tym wypadku ulubiony przez siebie dialog poetycki. W innych utworach, w których poeta nie stosuje się swoistej metody dramatyzacji utworu spotykamy się z celowym formułowaniem zdań retorycznych, mających na celu przybliżenie frazy i toku wiersza bądź do przemówienia, bądź do mowy potocznej. Zastosowanie tych efektów wzmaga bardzo często bezpośredniość utworów Woroszylskiego; sprawiają one wrażenie intymnej rozmowy poety z odbiorcą jego twórczości. W wierszu „Przyjacielowi z Korei" autor pisze:

Jak ci pomóc
czym cię obdarzyć
na drogę dni co cię przed wrogiem
nie ugną,
obraz tej, którą ja kocham,
niech będzie z tobą
jak wierny towarzysz,
jak w polowej manierce
niewysychające źródła.

W utworze pt. „List Polaka byłego uczestnika wojny domowej w Hiszpanii do towarzysza w Paryżu" Woroszylski w formie listu zwraca się do swego kolegi. Narrator wiersza jest dąbrowszczakiem i mówi:

Co, stary — wykończyli cię? — basta?
było
było słońce hiszpańskich miast...
a pamiętasz tego jak go tam, Diasa?
Wesoły był człowiek szewc Sancho
Dias.

Takich samych przykładów dostarcza nam również wiersz „Moskiewska noc", „Do przyjaciela list intymny" i inne. Szczerość i bezpośredniość środków wyrazu w najlepszych wierszach Woroszylskiego związane są właśnie z ową potocznością frazy języka, z ową mocną agitatorską intonacją, którą wprowadził do poezji Włodzimierz Majakowski. Przemawiać do odbiorcy tak, jak by on sam formułował te zadania — oto zasada poetycka Woroszylskiego. Ta zasada doprowadziła zresztą poetę do szeregu potknięć naturalistycznych, wyrażających się w zaśmiecaniu języka poetyckiego nadmiernym stosowaniem takich słówek jak: „no i", „co tam" itp.

Poeta zmierza również do takiej organizacji metaforyki, by była ona jak najbliższa proletariackiemu odbiorcy. Poeta odwołuje się do porównań związanych z produkcją i tak mówiąc o nowym roku pisze:

Rok — robociarz, znów po zmianie
odchodzi

a w wierszu „List intymny" czytamy:

Żaden z nas jeszcze życia nie uszył,
Obu nam czeladnictwo ogromne.

Oprócz tych zalet poetyki Woroszylskiego odnotujmy często trafną i dobitną pointę utworów. W wierszu „Moskiewska noc" poeta mówi o wielkiej, pierwszomajowej radości na ulicach Moskwy: „Tancerko, dziewczyno... widać życie łagodnie obeszło się z tobą". Po chwili zaś konstatuje, że „Dziewczynie w tańcu odwinął się rękaw i widzę — w białą skórę nad przegubem kruchym wpiły się zębem czarne chrabąszcze cyferki.... Tańczy wiotka, rosyjska dziewczyna — O jak dziwnie, jak dziwnie poznać w niej rodaczkę z Oświęcimia".

W innym utworze pt. „Ci zo zginęli", mówiącym o rozstrzelaniu komunistów poeta pisze:

Pluton
Dwukrotnie nie chciał strzelać,
dygotało,
milcząc więzienie,
ale,
trzecia salwa dosięgła serc

i krew
wsiąkła
w ziemię.

Wiersz kończy się następująco:

Dziś rewolucji pęd
wyrósł drzewem.
Towarzyszu,
w umysł i w serce wryj:
oni — zginęli,
krew
wsiąkła w ziemię,
myśmy z tej krwi.

Sumując zalety utworów poetyckich Woroszylskiego zwróćmy jeszcze uwagę na dobitność sformułowań poetyckich w jego utworach, jak to jest widoczne w wierszu pt. „Rosja", o której poeta pisze, że „gdyby kraju imię tego zgubił", to „od nowa by nazwał twórczością", lub w poemacie o Świerczewskim, w którym stwierdza, że Świerczewski jest „pierwszy raz urodzony w Warszawie, drugi raz w Moskwie".

Wszystkie te cechy charakterystyczne dla poezji Woroszylskiego sprawiają, że trafna organizacja materiału poetyckiego przy użyciu prostych środków wyrazu (Poemat o Generale Świerczewskim, „Świt nad Nową Hutą" „Do Maksa Raimana", „Czuwającym w noc noworoczną". Wiersze z cyklu „Pierwsza linia pokoju") daje w całości zjawisko poetyckie nowe i wartościowe.

V

Dotychczas mówiliśmy o politycznych i poetyckich ociągnięciach Woroszylskiego. Nie powinny jednak one w żadnym wypadku odwracać naszej uwagi od poważnych błędów, których się poeta nie ustrzegł. Większość ideowo-artystycznych braków poezji Woroszylskiego można sprowadzić do wspólnego pnia. Tym wspólnym pniem będą pewne formalistyczne obciążenia o anarchistycznym zabarwieniu. W ogóle wydaje się słuszne stwierdzenie, że w wielu utworach Woroszylskiego zarówno w ich stronie formalnej jak i ideowej mamy do czynienia z anarchistycznymi naleciałościami, które się wyrażają bądź to jakimś zbyt ascetycznym podejściem do spraw ruchu robotniczego, zawężeniem tematyki, bądź też cwaniacką morowością.

W pierwszych swoich utworach Woroszylski ulega tym niedobrym wpływom. Nie widać w wierszach logicznego toku kojarzeń. Strofkę przecinają jakieś dziwaczne, nie wiadomo skąd biorące się wtręty. Jak np. wiersz pt. „Na odwrocie nekrologu Wincentego Pstrowskiego":

Pielęgniarka ocknie się później:
Krzyk słoneczny runie od okien,
ale Pstrowskiego — nie obudzi —
czy można dobudzić zwłoki?
Można.
Przepraszam, niech się pani odsunie,
to nie pani specjalność,
pani czyta tylko „Głos Anglii"
i nie wie, że...
Ale proszę posłuchać:
Były święta.
Orkiestra rżnęła cały wieczór.
Chichotały rozbawione dziewczęta.
A za progiem czatowała
blada, spaśna i niema
śmierć — paskarka, utytłana w błocie.
Ale wszyscy wiedzieli,
ŻE ŚMIERCI NIE MA,
więc, gdy wyszli, śmierć uciekła
na Dakocie.

W tym samym wierszu spotykamy się z takim oto niedorzecznym obrazem: Pstrowski toczy się czarny, chropawy, ciężki, na wózkach, na wagonach, okrętach.

Nie trzeba chyba udowadniać, że obraz ten jest makabryczny i ahumanistyczny.

Nihilistyczny stosunek do logiki doprowadził młodego poetę do takich arcyniedorzecznych sformułowań:

Zawsze nosił ze sobą kieszonkowy
Dnieprostroj.
Kiedy spajał turbiny acetylenem
zdań,
obecni zamiast zdziwionych
bombelków powietrza,
gładko łykali tomiska ekonomii
politycznej.

W cytowanej już „Balladzie o PDT" Woroszylski wprowadza za ladę deus ex machina ministra przemysłu:

„Lecz że w balladzie cudów nie da się ominąć, ekspedientka, którą proszę o kreton, nagle znika. Zamiast niej — grubas wąsaty. Cześć towarzyszu Minc".

W tym wypadku dążność do bezpośredniości nabierała cech cwaniactwa, cech lumpenproletariackich, a nie robotniczych i niezamierzenie humorystycznych.

Niedialektyczny, przypadkowy tok skojarzeń widoczny jest w nieudanym wierszu pt. „Rosa Lee". Poeta po opisie procesu nad trzema Murzynami przechodzi do własnych refleksji związanych z nazwiskiem oskarżonej Lee, kojarzącym mu się z wierszem amerykańskiego poety, Edgara Allana Poe. Woroszylski cytuje w obszernych wyjątkach wiersz Poe'go o jego ukochanej Annabel Lee. Cała pointa wiersza oparta jest na tym skojarzeniu. Całość wiersza mimo bardzo ciekawych i dobrych fragmentów — rozwichrzona i chaotyczna.

To samo zjawisko anarchistycznych naleciałości zauważyć możemy w słownictwie Woroszylskiego. W jednym tylko wierszu „Sprawozdanie lipcowe" spotykamy się z takimi oto powiedzonkami: „pan kontrol? — nie, ja robię w poetyckim fachu", lub „przyjdzie gość niezaangażowany, a my go za połę" lub „no dobra, cześć, macham dalej", lub „ja tu zbytnio nie zabałaganię", lub „cóż przeszkody, gwizdać". Wydaje się, że nie ma to nic wspólnego ze słusznym przybliżaniem poezji do mowy ludowej i jej ogólnych właściwości stylistycznych, ale jest naturalistycznym, zbytecznym zachwaszczeniem języka.

Należy tu naszym zdaniem zwrócić uwagę na zagadnienie rymu i rytmu. Woroszylski bardzo często i celnie posługuje się wolnym wierszem, stosując frazę Majakowskiego. Nie powinno to jednak oznaczać dowolnej i niewytłumaczalnej niedbałości wobec rytmu i rymu. W szeregu wierszy np. „Z listów", „Znowu wieczór", Woroszylski w pewnym momencie rezygnuje nie wiadomo dlaczego (zaznaczam, że to treściowo niczym się nie tłumaczy) z rymu i rytmu. Na dowód przytoczmy ostatnią zwrotkę wiersza z „Z listu":

— Adamie.
(Myślę odpowiedź na list).
W walce z wrogiem znienawidzonym
uczyliśmy się przyjacielskiej
serdeczności.
Synowie
najpierw poznają serdeczność,
ale i ich, gdy dojrzeją,
nauczymy bezwzględności i siły
w walce z ostatnimi wrogami
naszego społeczeństwa,
chorobotwórcze zarazki.
To przecież zwykła proza.

W udanym wierszu „Piosenka muranowska" Woroszylski również stosuje z niewiadomych powodów różną rytmikę. Oto w jednej ze zwrotek czytamy:

Dobry murarz murował.
Dobry cieśla wyciosał.
Dobry oszklił je szklarz.
Dom jak panna. Uroda.
Posag? Gwizdać na posag.
Chciałeś panny, to masz.

Wróćmy do wiersza. Następna strofka wpada w znany rytm:

Rżnie weselna poleczka,
wiatr — morowy koleżka
chwycił wpół murarzową, okręcił.
Murarz macha jej kielnią:
— Murarzowo, bądź dzielna,
ja
odjeżdżam
na rusztowaniu — okręcie.

Znów wyraźnie widać, że rytm w drugiej połowie strofy pęka, że ostra zmiana rytmik jest tu tak samo nieuzasadniona, jak obraz „rusztowanie—okręt".

Często Woroszylski stosuje asonanse odległe, rymy, które wydają się dobre tylko poecie, w rzeczywistości zaś powodują rozładowanie dynamicznej treści strofy.

Woroszylski ma awersję do rymu pełnego — to jego sprawa, lecz niech nie wmawia czytelnikom rymów — tam, gdzie ich nie ma!

Na wstępie powiedzieliśmy, że również w treści wierszy widzimy pewien anarchizm. Wydaje nam się, że dowodem tego jest właśnie zbyt wielka przewaga materiału o zagadnieniach śmierci, walki, rozstrzeliwań, wyrzeczeń — że poeta w pierwszym okresie traktował zbyt ascetycznie ruch robotniczy, że brak było w jego twórczości radości życia. Częściowo te błędy zniwelowane zostały cyklem wierszy lirycznych.

*

Na zakończenie zajmijmy się tymi niebezpieczeństwami, które w obecnej chwili jeżą się przed poetą.

Poeta musi nadal pracować nad własnym stylem poetyckim, dopracowywać się swojego indywidualnego wyrazu. Musi walczyć z takimi metaforami jak: „Bo życie, panie sędzio, życie jest brzuchem ciężarnym, w którym już dziś rosną pięści tej, co jutro się urodzi, rewolucji".

Poeta musi unikać eklektyzmu i nie wtłaczać do swoich wierszy o wyraźnej poetyce zapożyczań z Nerudy, jak np. ma to miejsce w zdaniu „Wieczory oczekiwania, wieczory niepokoju, wieczory dobrej nadziei, spełniającej się dobrej nadziei" itp.

Po drugie poeta musi wzmóc pracę nad obrazowaniem. To stanowi najsłabszy punkt twórczości Woroszylskiego. Najczęściej Woroszylski nie potrafi sformułować cennych i trafnych obrazów poetyckich. Większość wierszy pozbawiona ich — sprawia wrażenie, że twórczość Woroszylskiego cechuje niedowład wyobraźni poetyckiej. Jest rzeczą charakterystyczną, że szereg wierszy w całości przemawia swoim silnym wyrazem poetyckim, zaś bardzo często trudno jest wydobyć z nich jedno oddzielne trafne porównanie.

Również zagadnienie konstrukcji utworu nie zostało jeszcze rozwiązane przez poetę. W poemacie „Świt nad Nową Hutą" braki konstrukcyjne poważnie obniżają wartość utworu. Poemat nie ma żadnej ścisłej więzi konstrukcyjnej, a stanowi raczej zbiór wierszy połączonych fabularnym ciągiem. Poeta operując w poemacie na przemian wierszem regularnym i wolnym, logicznie nie połączył poszczególnych całości ze sobą. Należy żałować, że w opublikowanej drugiej wersji poematu tych braków nie usunął.

Wydaje się, że trzecie niebezpieczeństwo, przed którym znajduje się Woroszylski, polega na pewnym lekceważeniu rygorów.

Sumując te braki twórczości Woroszylskiego, w dużym zresztą stopniu dotyczące ubiegłego okresu — odznaczające się anarchistycznymi naleciałościami, zważmy, iż wypływają one również z niewłaściwego stosunku do narodowej tradycji kulturalnej. Rozwichrzenie formy, dążność do rezygnowania z rygorów, mechaniczne przenoszenie poetyki innych ludów — oznaczały oderwanie się źródeł polskiej poezji od nurtu tradycji. W ostatnim okresie poeta wyraźnie zdał sobie z tego sprawę — lecz panująca u nas na ogół atmosfera niezrozumienia narodowego charakteru formy poetyckiej, widoczna w mechanicznym przenoszeniu — z papuzim uporem — poetyki Nerudy czy Eluarda, utrudniała poecie zrozumienie tego zagadnienia.

VI

Dotychczasowa droga poetycka Woroszylskiego była w swoich podstawowych założeniach słuszna i prawidłowa. Na nowym etapie walki o poezję realizmu socjalistycznego przed poetą z całą ostrością staje zagadnienie walki o podniesienie jakości jego wierszy, o wzmocnienie odpowiedzialności za słowo, o dawanie pełniejszego wyrazu przemianom, jakie zachodzą w naszym kraju. Braki twórczości Woroszylskiego od strony ich jakości artystycznej są dosyć poważne. Jeżeli poeta wyda nieubłaganą walkę tym brakom, jeżeli będzie się strzegł „sztampiarstwa" i stylizatorstwa, jeżeli będzie czerpał ze skarbnicy narodowych tradycji poezji polskiej, to nadal będzie mógł spełniać swoje zadanie poety Polski Ludowej.

Jeżeli nie podniesie poziomu artystycznego swych wierszy, jeżeli nie wzmoże swej czujności wobec własnych braków, to tego zadania wykonać nie będzie mógł.

Myślę, że tak jak dotychczas, jak wspomniałem na samym początku, włączał swój głos poety-agitatora do nurtu walki, tak nadal włączać będzie coraz donośniej swój głos poety-agitatora do nurtu socjalistycznej budowy.

Grzegorz Lasota

WŚRÓD KSIĄŻEK

SZTAFETA POKOJU: Antologia poezji walczącej o pokój. Opracował *Jerzy Grygolunas*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1950; str. 385.

Poeci 37 narodów. 139 utworów z ostatnich lat. Takie są dane liczbowe o antologii „Sztafeta Pokoju" wydanej w przeddzień II Światowego Kongresu Obrońców Pokoju w Warszawie.

„Sztafeta Pokoju" nie daje co prawda pełnego obrazu współczesnej twórczości poetyckiej, która we wszystkich krajach świata towarzyszy walczącym o pokój ludom. Ale dokumentarny charakter tego obszernego wyboru wierszy i poematów narzuca się wyraźnie.

Antologia jest nie tylko świadectwem postawy poetów. „Za zebranymi na tych kartach wierszami — pisze w przedmowie Leon Kruczkowski — czujemy bowiem ich potężne zaplecze: pragnienie i wolę setek milionów ludzi — spod wszystkich długości geograficznych".

Zasadniczą treścią utworów „Sztafety Pokoju" jest braterstwo narodów w najszlachetniejszej walce, jaką ludzkość cała stacza z mrocznymi siłami faszyzmu i wojny.

W walce tej jednoczą się poeci radzieccy, polscy i francuscy, czescy, bułgarscy i włoscy. Poeci wszystkich kontynentów, biali, czarni i żółci.

Od New Yorku do Tokio, od cedrów po palmy
Przez ludzkie serca wiedzie ten trakt niewidzialny

pisze poeta radzieckiego Tadżykistanu Mirza Tursun Zade.

Opracowana przez Jerzego Grygolunasa antologia trakt ten przybliża do polskiego czytelnika. Słyszymy bicie ludzkich serc wznoszących budowle komunizmu w Związku Radzieckim. Słyszymy dumną pieśń budowniczych Dymitrowgradu i Pektusanu. Wraz z Ai Czingiem witamy „koniec nocy" nad ziemią Chin. Poeci zachodniej Europy, obydwu Ameryk, Afryki i zależnych krajów Azji ślubują nie ustawać w boju o pokój i wolność. Zagrzewają swe ludy do walki, spoglądają z ufnością na wielki kraj Stalina, na „pokoje starego Kremla", o których pisze w „Pieśni Powszechnej" Pablo Neruda.

We wszystkich poematach rozlega się głos miłującej pokój ludzkości.

Myślimy o świecie, wobec którego mamy obowiązki.
Walczmy bez wytchnienia, bracie,
Życie nie jest snem, ani romansem

— pisze Maru Ben Dauda — poeta murzyński — z Afryki jęczącej pod jarzmem zamorskich kolonizatorów.

Odpowiedzialność za losy człowieka, za jego życie i godność nakazuje poetom wszystkich krajów walkę.

Poeci swoim wzruszeniem ukazują drogę do zwycięstwa w tej ogromnej bitwie ludzkości.

Szkoda oczywiście, że — podkreśla to zresztą w słowie wstępnym J. G. — warunki techniczne uniemożliwiły włączenie do antologii utworów pisarzy z wielu krajów (wydanie „Sztafety" przy-

śpieszono w związku z Kongresem Pokoju w Warszawie).

Szkoda również, że dla nieprzygotowanego czytelnika zorientowanie się w szerokiej treści antologii nastręczać może trudności. Tematyczny układ wyboru jest co prawda usprawiedliwiony i dość przejrzysty. Na początku — jak wyjaśnia przedmowa — umieszczono utwory, które dają „niejako klucz poetycki do odczytania sensu naszych czasów". Później — „utwory powstałe pod bezpośrednim wrażeniem drugiej wojny światowej — źródła jej i popełnione podczas jej trwania zbrodnie faszyzmu". Dalej — „szeroki obraz toczonej obecnie walki wyzwoleńczej narodów kolonialnych i półkolonialnych oraz walki ludów Europy zachodniej i Ameryki w obronie ich postępowych tradycji narodowych..." Wreszcie — „w końcowej swej części zawiera antologia wiersze i poematy wyrażające głęboką ufność w twórcze siły obozu pokoju na całym świecie oraz opiewające wielkość budownictwa pokojowego w ZSRR, który jest gwarantem pokoju, i w krajach demokracji ludowej."

Wydaje się jednak, że dobrze byłoby — kierując się tym samym układem tematycznym — podzielić antologię na rozdziały. Zyskałaby na pewno na przejrzystości.

Mimo tych usterek „Sztafeta Pokoju" jest cenną i celową pozycją wydawniczą.

Poezję polską reprezentują w niej, w kolejności alfabetycznej: Roman Bratny, Andrzej Braun, Władysław Broniewski, Mieczysława Buczkówna, Stanisław Ryszard Dobrowolski, Ewa Fiszer, Konstanty Ildefons Gałczyński, Krzysztof Gruszczyński, Jerzy Grygolunas, Jarosław Iwaszkiewicz, Mieczysław Jastrun, Anna Kamieńska, Tadeusz Kubiak, Leopold Lewin, Jerzy Miller, Leon Pasternak, Stanisław Piętak, Seweryn Pollak, Julian Przyboś, Jerzy Putrament, Tadeusz Różewicz, Włodzimierz Słobodnik, Arnold Słucki, Leopold Staff, Jan Śpiewak, Tadeusz Urgacz, Adam Ważyk, Witold Wirpsza, Adam Włodek, Wiktor Woroszylski, Stanisław Wygodzki i Jerzy Zagórski.

(arm.)

STANISŁAW RYSZARD DOBROWOLSKI: *Notatnik warszawski.* Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1950; str. 155.

Od wczesnych lat miał Dobrowolski wyostrzone spojrzenie na walkę z kapitalizmem. Równocześnie jego wspowspomnienia młodości (jak u każdego człowieka) obfitują w całą masę szczegółów życia osobistego, które nie zawsze muszą wiązać się z konfliktami środowiska, spraw, którym subiektywnie przypisujemy czasem wielką wagę, a które na tle wydarzeń historycznych tracą swoje znaczenie i bledną. I tu tkwi moim zdaniem istotny błąd znacznej części „Notatnika warszawskiego".

W pierwszym fragmencie prozy pt.: „Co mnie z nią łączy" — więcej dowiadujemy się szczegółów o topografii ulicy Przemysłowej i okolic niż o życiu robotniczego dziecka. Sprawy te porusza autor w niewłaściwych proporcjach. Króciutki fragment o wyprawie na zarobek jest ważniejszy od tego, jak nazywały się poszczególne części ulicy, na której autor mieszkał, i tę hierarchię ważności należało uwidocznić.

„Co do mnie — rozumiem doskonale, że Warszawę należy odbudować, nie na miarę moich małych tęsknot, wywołanych sentymentalnymi wspomnieniami dawnego Powiśla i dawnej Woli, ale na miarę tęsknot tych, których słyszałem kiedyś idących naprzeciw bagnetom policji z pieśnią: Śmiało podnieśmy sztandar nasz w górę!..."

A więc autor sam zdaje sobie sprawę, że w tekście narzucił czytelnikowi niesłuszne przekonanie o jakiejś wyjątkowej ważności „jego" dzielnicy i tworzy fikcyjny konflikt pomiędzy przywiązaniem jednostki a interesem społeczeństwa.

Fragment ten uzupełniony jest wierszem pt. „Warszawskie", który bardzo niejasno określa temat. Poeta wyraża swój podziw i przywiązanie do wszystkiego co „warszawskie".

Warszawskie — to nie tylko szyk
i polor, to o wiele więcej,
warszawskie — to jest także krzyk,
to hardo i to najgoręcej.

Natomiast cenne i więcej mówiące o życiu robotnika i robotniczego poety są dalsze fragmenty prozy: „Moja pierwsza czytelnia", „Dzień pierwszy majowy" i „Poranek literacki".

Problematyka ważna i pełna znaczenia: emancypacja robotnika w warunkach kapitalistycznych, manifestacja 1-majowa i walka o kulturę robotniczą w Polsce przedwrześniowej — to sprawy, które wspomnieniom życia Dobrowolskiego nadają charakter typowy, godny artystycznej realizacji. Wspomnienia indywidualnych szczegółów są wprowadzone w słusznej proporcji do spraw istotnych i pełnią wskutek tego funkcję ukonkretniania wydarzenia w myśl postulatów realizmu socjalistycznego.

Cykl opowiadań z Warszawy w latach okupacji wywołuje jednak nowe zastrzeżenia. Opowiadanie „Mewa" — to historia chłopca, sprzedawcy papierosów, zmaltretowanego przez faszystowskiego żołdaka, „Pani Górowa" — to mieszczka warszawska, która z narażeniem życia ratuje rodzinę żydowską, i „Wieczór pod Drewnicą" — opowiadanie o przypadkowej śmierci jadącego na akcję bojową zetwuemowca. Pani Górowa — bohaterka o najwyraźniejszej sylwetce psychicznej—to drobnomieszczanka, która skutecznie działa przeciw okupantowi, tymczasem akcja organizacji ZWM nie zostaje pokazana. Pokazano tylko przypadkową śmierć dowódcy i wskutek tego czytelnik nabiera sceptycznego wyobrażenia o jej dalszych wynikach.

W ogóle w całej książce brak jakiegoś bardziej precyzyjnego obrazu mieszczaństwa warszawskiego, ukazanego wprawdzie ostro, ale tylko raz i krótko w scenie 1-majowej manifestacji. I to jest może najważniejszy błąd książki. W solidarystycznym obrazie nawet spekulant i dorobkiewicz, Pawlik, z opowiadania „Trasa radości i życia" staje się współzawodnikiem pracy przy budowie mostu Śląsko-Dąbrowskiego. Wyolbrzymione przywiązanie do wszystkiego co warszawskie przybrało tu znów formy zniekształcające realizm obrazu.

Na zniekształcenie wpływa również nadużywanie słowa, skłonność, która ciąży na stylu Dobrowolskiego:

„... spojrzenie pani Górowej... skupiło się przez dłuższą chwilę na wyblakłej, wychudłej twarzyczce dziecka, niemal że wstydliwie prześliznęło się po ubogim, ludzkim łachmanie rzuconym brutalną, bezlitosną ręką w nieprzyjazny kąt życia..."

Dzieje Warszawy powojennej obejmują drugą część książki Dobrowolskiego. W części tej przeważa poezja. Dawne i nowe dzieje Warszawy łączy autor cyklem liryków pt. „Generał Walter". Poeci podsuwali generałowi Świerczewskiemu różne słowa, które miał wyrzec w chwili tragicznego zgonu. Dobrowolski każe Generałowi powiedzieć: „... Byle tylko się dowlec... do Woli..."

Końcowy cykl wierszy oparty jest te-

matycznie o sprawy budownictwa nowej Warszawy. Odruchy wzruszenia lirycznego są tu już uzasadnione — odbudowa Warszawy, to przecież troska całego narodu. Nie zawsze jednak poeta potrafi czytelnikowi to wzruszenie przekazać. Nie dla każdego przecież wiatr od Bielan będzie się wiązał z poczuciem szczęścia. Dla Dobrowolskiego każdy zaułek i dzielnica, same przez się, bez jakiejkolwiek funkcji ideologicznej stanowią treść liryczną.

Wiersze te mają także inną charakterystyczną cechę. Radość poety z odbudowującej się stolicy jest tak wielka, że przesłania mu walkę, ściśle przecież z odbudową związaną. Odbudowa Warszawy i kraju staje się (specjalnie w wierszach „Dymią kominy" i „Budujemy wspólny dom") manifestacją radości, optymizmu, szczęścia, lecz brak jej charakteru walki, trudu przełamywania i zwyciężania oporów.

Na wyróżnienie zasługuje natomiast wiersz „Nie ma dzwonka na przerwę", jedyny utwór w całym zbiorze, w którym wróg ideologiczny — międzynarodowy imperializm jest wyraźnie ukazany. Jego haniebny sens społeczny jest przeciwstawiony twórczej działalności państw budujących socjalizm. Wiersz ten wyraża słuszne przeświadczenie, że nowa rzeczywistość, mimo że zwycięska, dalej zachowuje charakter nieustającej walki, wymagającej od poety nowego typu twórczości.

Prawdziwym obrazem socjalistycznego współzawodnictwa pracy jest opowiadanie „Fandla", opowiadanie o murarzu z prowincji bijącym rekordy warszawiaków. Tu już autor wyzbywa się lokalnego patriotyzmu i daje obraz wspólnej pracy, w której Warszawa spełnia inną rolę — zdobywa ludzi z prowincji rozmachem swych przemian. Tak pojętą rolę Stolicy możemy w pełni aprobować. Warszawa staje się dla Lesiaka środowiskiem umożliwiającym mu awans społeczny i dostęp do kultury. I to jest w opowiadaniu cenne.

„Notatnik warszawski" nie może być w całości sądzony jednakowo. Są w nim opowiadania i wiersze o bezkrytycznym przywiązaniu do wszystkiego co warszawskie. Są jednak także obrazy prawdziwego życia i prawdziwego ukochania stolicy.

Włodzimierz Maciąg

NINA RYDZEWSKA: *Ludzie z węgla*. Książka i Wiedza, Warszawa, 1950; str. 224.

Książka, o której mowa, stanowi poważny krok naprzód w rozwoju twórczości Niny Rydzewskiej. Autorka zdołała w dużej mierze wyzwolić się z naturalistycznego spojrzenia na rzeczywistość tak wyraźnego jeszcze w „Godzinie W". Czy można jednak na podstawie nowo wydanej powieści mówić o całkowitym przejęciu się przez Rydzewską zasadami współczesnego realizmu?

Autorka sięgnęła do życia polskiej emigracji górniczej w okresie rzeczypospolitej burżuazyjnej. Zamierzenie autorskie polegało prawdopodobnie na wydobyciu kontrastu między na pół zwierzęcym bytowaniem robotników krajów kapitalistycznych a warunkami życia robotników w państwie ludowym. Zestawienie to odbywa się drogą pośrednią; akcja powieści nie sięga nawet czasów drugiej wojny imperialistycznej. Możliwości porównania dostarcza więc otaczająca nas współczesność. Drugą funkcją „Ludzi z węgla" jest literacka dokumentacja dziejów górników polskich we Francji, którzy zmuszeni byli do wyjazdu z kraju w poszukiwaniu pracy i chleba. Temat ten nie po raz pierwszy staje się przedmiotem zainteresowania naszych pisarzy, nie skonstruowano jednak dotychczas realistycz-

nego obrazu tej pasjonującej i obowiązującej problematyki. Z tym większym zaciekawieniem bierze się do ręki nową powieść Rydzewskiej.

Węzłowym ośrodkiem akcji „Ludzi z węgla" uczyniła autorka rodzinę Bonczarów. Losy jej mają stanowić syntetyczny skrót położenia Polaków pracujących we francuskich kopalniach węgla. Ojciec jest górnikiem, podobnie jak najstarszy syn Leon. Jego młodszy brat, Edmund, potraktowany jest jako centralna postać powieści. Odznaczając się wybitnymi uzdolnieniami muzycznymi, nie ma możliwości rozwoju swojego talentu i zostaje górnikiem, jak prawie wszyscy z jego otoczenia. W inteligentnym chłopcu rodzi się bunt przeciw mrocznej rzeczywistości, przybierający postać buntu religijnego i społecznego. Edmund opowiada się po stronie komunizmu, swym hardym zachowaniem zwracając uwagę aparatu administracyjnego kopalni. Najbardziej sugestywny wyraz znajduje ten protest w postanowieniu przedostania się wraz z dwoma towarzyszami, Franciszkiem i młodym Hiszpanem Moreirą, do Hiszpanii, gdzie trwa wojna domowa z faszyzmem. Schwytany na granicy przez policję Edmund zostaje odstawiony do domu. Odtąd życie jego potoczy się codziennym, monotonnym trybem. Córka Bonczara, Anna, pracuje jako służąca w mieszczańskim domu Madame de Clochet. Fakt ten autorka wykorzystuje dla przedstawienia poniżającego godność ludzką zajęcia, na jakie skazane są córki proletariatu i dla odmalowania atmosfery (póprzez relację Anny) gnijącego mieszczańskiego środowiska.

Wachlarz zagadnień książki jest więc szeroki. Autorka bardzo umiejętnie sięga do drobnych realiów górniczego życia, i pojedynczych sugestywnych obrazów, umieszczając akcję w domu górniczym, na ulicy, w kopalni, wreszcie w „plenerze" górniczej osady. Znać dbałość o precyzyjne wykończenie przedmiotów opisu. Opisy są trafnie wplecione w akcję.

Żeby zacząć analizę krytyczną od rzeczy najbardziej rzucającej się w oczy, Rydzewska przybiera wyraźnie postawę rejestratorki faktów. Tym, co po przeczytaniu książki najsilniej pozostaje w pamięci, jest skrajna nędza opisanego środowiska górniczego. Na tym niejako pierwszym etapie autorka poprzestaje. Z konstrukcją fabuły nie potrafi dać sobie rady. Obraz z pierwszych stron powieści niewiele odbiega od obrazu z ostatnich kart.

Jest to poważny zarzut, warto więc umotywować go szerzej. Otóż nie ulega wątpliwości, że najistotniejszą, najbardziej typową cechą polskiej emigracji górniczej w środowisku francuskim było umacnianie się zdecydowanej świadomości klasowej emigranta. Polacy, traktowani gorzej od robotników francuskich, stanowili podatny grunt rewolucyjny. Nawiązując łączność z KPF wchodzili w wir zorganizowanej walki politycznej. Powszechny udział Polaków we francuskim Ruchu Oporu kierowanym przez komunistów mówi sam za siebie. Masowe wysiedlanie Polaków z faszystowskiej Francji w ostatnim okresie również nie wynika z kaprysu burżuazyjnego rządu.

W powieści nie dojrzewa bunt. Wprawnym piórem zarysowany jest wyzysk robotników, ich krzywda i cyniczny stosunek kierownictwa kopalni i dozorców do górników, trafnie ukazane jest podłoże międzynarodowej solidarności klasy robotniczej. Brak wyciągnięcia wniosków i podsumowania.

Są w powieści Rydzewskiej jakieś pogłosy mieszczańskiego humanitaryzmu, jakiegoś naturalistycznego odtwarzania ponurej rzeczywistości. Autorka unika jaskrawej politycznej proble-

matyki (brak np. rzutowania akcji na sytuację międzynarodową, z wyjątkiem wydarzeń w Hiszpanii, dość płytko zresztą potraktowanych). Zupełnie niewyraźnie przedstawiony jest polityczny układ sił we Francji. Rzecz prosta, że bez tej całej podbudowy autorka nie może wyznaczyć linii dojrzewania ideologicznego swoich bohaterów.

Przyjrzyjmy się przejawom protestu. Dość jałowe wyklinanie kapitalistów, strajk, solidarność z Czerwoną Hiszpanią, wzmianki o KPF i CGT. Do rzędu czynów zaliczyć więc można tylko ucieczkę Edmunda, Franciszka i Moreiry za Pireneje, i strajk, chaotyczny i słabo zorganizowany, sprawiający nawet z wyżej wymienionych przyczyn sugestię, jakoby górnicy pragnęli ograniczyć się do poprawy warunków swego bytu w ramach ustroju. Autorka zamieszcza wprawdzie bardzo sugestywną i mocną scenę starcia kobiet z policją, jest to jednak tylko epizod. Strajk upada nie osiągnąwszy celu; jest on fragmentem a nie ogniwem akcji. Nie przyczynia się do wzmocnienia hartu ideowego górników, nie wytycza też żadnych perspektyw. Ot, po prostu rodzaj „szczegółu obyczajowego", bez którego nie może się obejść powieść o górnikach w ustroju kapitalistycznym. Dlatego jedyny wniosek, jaki autorka wyciąga z obrazu strajku, zamyka się w takim komentarzu: „Milcząc wloką się ku żelaznym schodom, oddając strzelcom do sprawdzenia swe lampy, zatrzymują się przy górnej szachcie na recytunku, i wchodzą nie spiesząc się do klatki. W chodnikach i na tajlach z westchnieniem biorą w ręce swoje narzędzia. Pola, przodki, tajle — jak przed trzema dniami, jak rok temu, jak lat dwadzieścia. Szczurze dziury, mokry od wody podskórnej spąg, uginające się pod ciężarem cisnącego kamienia stropy, trzeszczące stemple — wszystko na swoim miejscu. Jakby nie było buntu, jakby nie było głodu, jakby nie było strajku. Przegrali." (Str. 124 i 125).

Na osobną uwagę zasługuje postać Edmunda Bonczara. Zbieżność imienia i podobieństwo nazwiska z Edmundem Bączykiem, pracownikiem kopalni im. Thoreza w Wałbrzychu, który — jak wynika z notatki umieszczonej na wstępie książki — dostarczył Rydzewskiej materiału faktograficznego do powieści, nasuwa przypuszczenie, że bohater ten ma wiele rysów autentycznych. Koncepcja autorska Edmunda jest słuszna; wspomnieliśmy już, że na jego przykładzie Rydzewska pragnie unaocznić problem dławienia rozwoju intelektualnego klas pracujących w społeczeństwie kapitalistycznym i proces narastania świadomości rewolucyjnej. Ale literackie opracowanie zarówno pierwszego jak i drugiego zagadnienia wypadło nie dość przekonywająco. Edmund obarczony jest zbyt wieloma symptomami nowego wydania Janka Muzykanta; stosunek do niego autorki jest zbyt przesyntementalizowany, szczególnie w tych partiach, gdzie mówi się o jego muzykalności. Sentymentalizm ten, zdradzający wiele cech pozytywistycznego ludomaństwa, zdecydowanie szkodzi powieści. Decyzja Edmunda wyjazdu do Hiszpanii ma bardzo trafną motywację. Niestety i tu autorka nie potrafi przedłużyć wniosków. Wyjazd nad granicę hiszpańską nie oznacza etapu w rozwoju Edmunda; po przymusowym powrocie wtapia on się w powszednią pracę, staje się dojrzałym mężczyzną... Dalsze konsekwencje ideologiczne zarysowane są już mgliście. Wszystko to sprawia trochę wrażenie młodzieńczego romantyzmu.

Znamienne będzie również zakończenie powieści. Celowe wydaje się tu zestawienie z konstrukcją fabuły wielkiego „Germinal" Zoli. Zola nie opowiadał się czynnie po stronie swoich robotniczych bohaterów, sygnalizo-

wał tylko uczciwie groźbę buntu i błąkał się w poszukiwaniu rozwiązania. Mimo to nie przypadkiem wyciągnął z realistycznego obrazu wniosek odczuwany dziś przez nas jako głęboko optymistyczny: „Tam, w czeluściach ziemi męczennicy pozbawieni słońca wykuwali jej losy, z męki ciał rodziły się duchy mścicieli, tam rosła armia zrozpaczonych, tam kiełkował posiew, który o wiośnie, porwany nieprzepartą siłą bujania, wynurzy się na słońce poprzez szczeliny spękanej w kawałki ziemi". Rydzewska kończy swoją książkę radością Bonczarowej po uratowaniu syna z zawalonego chodnika. Zakończenie równie przypadkowe jak rejestracja faktów. Wnioski Rydzewskiej są często deklaratywne, fabuła chaotyczna, opisy i styl miejscami naiwne.

„Ludzie z węgla" są przykładem rozsadzania mieszczańskiej konwencji literackiej przez rewolucyjną tematykę. Autorka dostrzega sens procesu historycznego, ale naturalistyczne obciążenia przeszkadzają jej jeszcze przekazać go czytelnikowi w sposób w pełni realistyczny. Wskutek tego powieść mogłaby w warunkach przedrewolucyjnych pełnić nie bardziej mobilizacyjną rolę niż — toutes proportions gardées — np. powieści Morcinka. Powieść Rydzewskiej znacznie zyskuje dzięki pozaliterackiej wiedzy czytelników książki, wiedzy umożliwiającej głębsze zrozumienie perspektywy historycznej i uświadomienie kontrastu między wczorajszym i dzisiejszym dniem górników, którzy wrócili do ludowej ojczyzny.

Andrzej Lam

ANATOL RYBAKOW: *Kierowcy*. Przekład Adama Ostoji, Czytelnik, Warszawa, 1950; str. 322.

Książka Rybakowa oparta jest ściśle na tematyce produkcyjnej. Nie zwęża to bynajmniej pola widzenia pisarza, przeciwnie — pozwala mu dać żywą i pełną charakterystykę społeczeństwa radzieckiego. Ukazanie tego społeczeństwa przy pracy jest prostą konsekwencją zmienionej funkcji społecznej pracy w ustroju socjalistycznym. Praca, dokoła której ogniskuje się życie narodu, i która wywiera decydujący wpływ na życie osobiste i psychikę jednostek, musi stać się podstawowym tematem literatury, jeśli chce ona odzwierciedlać rzeczywistość. Dlatego utwór literacki, przedstawiający sprawy produkcji i pracy w Związku Radzieckim czy w krajach demokracji ludowej, nie ma nic wspólnego z jednostronnością i upraszczaniem obrazu życia. Świadczy o tym między innymi i książka Rybakowa, w której typowe i szeroko uwzględniane w literaturze radzieckiej problemy budownictwa socjalistycznego znalazły oryginalne i nowe odbicie, określone i charakterem epoki i osobowością pisarza.

Akcja „Kierowców" jest wielotorowa. Główny jej tok koncentruje się wokół konfliktu między dyrektorem samochodowego przedsiębiorstwa transportowego, Autobazy Nr 3 — Polakowem, a jego przełożonym, kierownikiem Autotrestu, Kanunnikowem. Polakow i Kanunnikow wyrażają w tym konflikcie przeciwieństwo o ogólnym charakterze społecznym, przeciwieństwo pomiędzy twórczymi, śmiałymi metodami pracy a biurokratycznym, bezmyślnym urzędowaniem. Pozycja Kanunnikowa jest, oczywiście, słabsza i nie ma trwałych podstaw, gdyż dynamika gospodarki socjalistycznej musi wcześniej czy później rozbić wszelki biurokratyzm. Klęska Kanunnikowa jest nieuchronna. Dlatego Polakow nie prowadzi z nim bezpośredniej walki, lecz wkłada całą energię w rozwój Autobazy, która pod jego kierownictwem pracuje sprężyście i z dużym rozmachem. Polakow nieomylnie

wyczuwa najsłabsze punkty w pracy przedsiębiorstwa, zwraca na nie uwagę zespołowi pracowników, umie stworzyć warunki dla pełnego i twórczego wykorzystania sił. Styl pracy Polakowa, często charakteryzowany w toku powieści, dobrze określa zdanie wypowiedziane przez Polakowa w dyskusji nad sprawozdaniem z działalności Autobazy: „Chcę, aby każdemu naszemu pracownikowi sprawozdanie wykazywało przede wszystkim wysokość jego strat. Sprawozdanie — to nie cukierek, ale pigułka: im bardziej gorzka, tym lepiej skutkuje."

„Kanunnikow stanowił typ dyrektora-zawodowca, dla którego zarządzanie czymkolwiek stało się specjalnością — pisze Rybakow. — ...Tych dziwnych kierowników można było nazwać kierownikami-koczownikami. Zapomnieli o swoim pierwszym zawodzie i nie zdobyli następnego. Przyzwyczajeni do papierków oderwali się od żywej pracy, a dobre stosunki z wyżej postawionymi władzami stały się ich jedynym celem.

Kierują się nieskomplikowaną zasadą: „Władze muszą być zadowolone!" i na tym polega cała filozofia ich działalności. W razie jakiego poślizniecia władze powinny być przekonane, że winowajców należy poszukiwać nie wśród nich, ale gdzie indziej."

Metody pracy Polakowa budzą w Kanunnikowie lęk. Kanunnikow nie chce ponosić za nie odpowiedzialności, boi się wszystkiego, co nie zostało zaakceptowane przez „górę". Jednocześnie widzi jednak szybki rozwój Autobazy Nr 3 i czuje, że dystans między nim a Autobazą stale się zwiększa. Oto drugie źródło lęku biurokraty: czy władze nie zwrócą na to uwagi i czy nie poprą Polakowa. Jeśli Kanunnikow nie zmieni systemu swojej pracy, ma tylko jedno wyjście — przeszkodzić w rozwoju Autobazy, przedstawić w fałszywym świetle Polakowa i doprowadzić do usunięcia go ze stanowiska. Tak następuje zwichnięcie moralne Kanunnikowa: biurokrata zmienia się w intryganta, a jego działalność jest już jawnie szkodliwa.

W miarę rozwoju akcji „Kierowców" konflikt Kanunnikow — Polakow traci swoją pierwszoplanową pozycję w powieści. Autor rozszerza fabułę nowymi wątkami, które dają coraz pełniejszy i bardziej plastyczny obraz życia Autobazy. Tempo akcji przy tym nie słabnie, a nawet wzmaga się dzięki dramatyczności sprawy Maksymowa.

Maksymow — to jeden z kierowców Autobazy. Pracuje tu od dawna. Łatwo opanował swój zawód, łatwo i zręcznie wywiązuje się ze swoich obowiązków, cieszy się powszechną sympatią. Sytuacja ta nie zmienia się przez wiele lat, nie zmienia się także i Maksymow, rośnie tylko jego bezkrytyczne zadowolenie z siebie. Społecznych konsekwencji sprawy Maksymowa nikt początkowo nie dostrzega, dopóki drobny wypadek nie wykazuje, że człowiek ten jest bliski załamania się, a nawet demoralizacji.

Historia upadku Maksymowa jest zarysowana bardzo sugestywnie, narasta w toku powieści i w końcu, gdy Maksywom opuszcza Autobazę, przekształca się w głęboką tragedię człowieka oderwanego od społeczeństwa. Ten stary na pozór motyw, zbanalizowany przez literaturę dekadentyzmu, nabiera u Rybakowa nowej treści i jest tragiczny przez swoją prostotę, naturalność, prawdę. Sprawa Maksymowa nie polega jednak na wielkości tragedii, ale na wielkości społeczeństwa, w którym Maksymow pragnie i może odnaleźć swoje miejsce. Powrót Maksymowa do Autobazy zostaje przyjęty ze szczerą i ufną życzliwością. Czytelnik jest przekonany, że Maksymow już nie zawiedzie — pomogą mu towarzysze pracy. Optymistycz-

ne zakończenie sprawy Maksymowa jest w pełni uzasadnione.

Problem bezkrytycznego zadowolenia z siebie przedstawia Rybakow także w drugoplanowej postaci Siergiejewa, przyjaciela Polakowa i kierownika sąsiedniej Autobazy. Dewiza Siergiejewa mieści się w słowach: „Żyjemy po staremu — ani zimno, ani gorąco; wykonujemy plan i chwała Bogu." W to spokojne życie Siergiejewa i jego Autobazy wdziera się jednak nowy i silny prąd: to wpływ Autobazy Nr 3.

Na przykładzie tego małego przedsiębiorstwa Rybakow wykazuje, jak ogromną rolę odegrać może zespół ludzi, nawet szczupły, lecz pełen twórczego rozmachu. Autobaza Nr 3 oddziałuje na wiele innych przedsiębiorstw, które muszą przystosować się do jej tempa, aby nie pozostać daleko w tyle; w zetknięciu z pracą Autobazy jaskrawo występują ich braki, dotychczas często niedostrzegane. Autobaza jest jak filtr wyławiający wszystkie plewy dookoła siebie, w coraz szerszym zasięgu. Musi o nią potknąć się i oszust Wertilin, którego malwersacje, przypadkowo tylkc związane z Autobazą, rozbijają się o jej prawidłowo działający mechanizm.

Anatol Rybakow, odzwierciedlając w swojej powieści wiele istotnych, często trudnych, problemów produkcji, nie zdołał jednak uniknąć tego nadmiaru szczegółów technologicznych, który obserwujemy w twórczości pisarzy płytko czy prymitywnie pojmujących zasady realizmu socjalistycznego. Nie jest to tylko sprawa o charakterze formalnym, gdyż powieść przeładowana tą swoistą literacką „technologią", wyraża spaczone pojęcia o warunkach i sposobie produkcji usuwając na dalszy plan człowieka. W ustroju socjalistycznym człowiekowi przypada najbardziej rewolucyjna rola w dalszym rozwoju sił wytwórczych i niepełne odbicie tej roli prowadzi do zubożenia utworu literackiego, do fałszywych uproszczeń rzeczywistości.

W „Kierowcach" znajdziemy słuszne i wszechstronne ujęcie tego zagadnienia. Gdyby różnorodność cech utworu literackiego można było sprowadzić do jakiegoś wspólnego mianownika, to w powieści Rybakowa byłaby nim wiara w człowieka. W tekście „Kierowców" cytowane jest piękne zdanie Gorkiego: „Człowiek — to brzmi dumnie". Książka Rybakowa ilustruje w całej pełni, jak głębokie uzasadnienie ma to zdanie w Związku Radzieckim, gdzie każdy człowiek może brać udział w świadomym i twórczym kształtowaniu życia.

Powieść „Kierowcy" zyska sobie w Polsce z pewnością dużą popularność. Opowiada ona o sprawach tak samo bliskich polskiemu czytelnikowi jak i radzieckiemu, ma ciekawą i bogatą fabułę, swobodny ton narracji. Przekład Adama Ostoji — poprawny.

Jan Mietkowski

MARCEL CACHIN: *Balzac.* Przełożył i wstępem opatrzył Stefan Flukowski; Warszawa, Książka i Wiedza. 1950; str. 47.

„Kto podziwia pana de Balzac? — pytał Sainte-Beuve w swej pierwszej recenzji o Balzaku. I odpowiadał złośliwie. — Mieszczki z zapadłej prowincji, żony notariuszy i aptekarzy, stare panny cierpiące na wapory, kobiety trzydziestoletnie. Piękne zaiste wielbicielki! Po „Kobiecie trzydziestoletniej" nastąpią nowe romanse o kobiecie czterdziestoletniej, pięćdziesięcioletniej i nowy orszak kobiet. Dodajcie jeszcze chore na blednicę i ułomne..." Kiedy indziej szydził: „Byłem świadkiem rodzinnego dramatu, jaki zdarzył się w jednej z najlepszych rodzin. Opowiadał mi pewien sędzia, że kiedy zaaresztował mę-

żatkę, która uciekła razem ze swoim amantem, nie potrafił z niej podczas przesłuchania nic wydobyć poza Balzakiem, którego recytowała całymi stronicami".

Tak, Balzak dla większości współczesnych był tylko „najpłodniejszym z romansopisarzy", stojącym na jednym szczeblu z Aleksandrem Dumasem, Pawłem de Coq, Eugeniuszem Sue, Sandeau czy Janinem. Jego samego wściekały podobne sądy — wiedział, że dzięki swej „Komedii ludzkiej" ma prawo stanąć na czele literatury europejskiej. I miał rację. Zwolna rosło znaczenie jego książek, formowała się „legenda balzakowska". W opasłych książkach pani de Surville, Brunetiere'a, Bellesorta, Fagueta, Legera i tylu tylu innych, gromadziła się — pieczołowicie zbierana i kolekcjonowana— wiedza o życiu twórcy „Ludwika Lamberta".

Ale burżuazja z racji swej klasowej ograniczoności nie chciała i nie mogła odczytać całego Balzaka; twórczość jego będąca szczytowym punktem rozwoju realizmu krytycznego stawała się z biegiem czasu czymś bardziej obcym— ba, wrogim nawet—burżuazji i jej ideologom. W roku 1949 — w 150 rocznicę urodzin Balzaka — Jules Romains tak określa jego twórczość: „Realizm kontaktu. Halucynująca czytelnika obecność przedmiotu. I to jakikolwiek byłby przedmiot: człowiek, dusza, ulica, wnętrze". Francois Mauriac wypowiada opinię nieco odmienną: „W dziele jego zamknięta jest cała współczesna epoka z jej brutalnością, okrucieństwem, żądzą uciech. Pod tym względem przeraża mnie on... Wydaje mi się, że mamy dzisiaj zbyt wrażliwe sumienia, by znieść tę ohydę". Również belgijski pisarz, Franz Hellens, uważa, że większość powieści Balzaka jest nieczytelna i przebrzmiała, „dzieje się to zaś dlatego, ponieważ Balzak ukazuje nam ludzi, a nie wiecznego człowieka; ludzi, którzy przemijają, a nie człowieka, który pozostaje."

Francuski krytyk marksistowski, Pierre Daix, uogólniając te opinie pisał: „Wszyscy ci panowie mają jedną wspólną cechę: nie są już w stanie znieść Balzaka". A jednak muszą się liczyć z tym, że Balzak istnieje. Wobec oczywistej wielkości Balzaka, często obserwujemy próby nie tyle przekreślenia jego dorobku, ile chęć zafałszowania jego oblicza. Najbardziej charakterystyczne jest tutaj wystąpienie katolickiego krytyka Menczera w „The Dublin Review" z 1950 r. Wskazując na dzieła Bonalda, jednego z największych wsteczników, żyjących na przełomie XVIII i XIX wieku, Bela Menczer sugeruje, że „bez Bonalda trudno by nam było zrozumieć Balzaka, ponieważ wszystkie dzieła Balzaka są niekończącym się komentarzem przewodniej idei Bonalda, że nauka społeczna dowodzi istnienia Boga w trójcy świętej jedynego. Bez tych zasadniczych, stałych i nigdy nie kwestionowanych przekonań katolickich, jak najbardziej zgodnych z dogmatami Kościoła — nie można zrozumieć Balzaka." Są to halucynacje tak oczywiste, że nie trzeba chyba z nimi polemizować: jak „wiernym uczniem" Bonalda był Balzak chyba najlepiej ocenił Watykan, wciągając w roku 1864 wszystkie bez wyjątku jego powieści na indeks ksiąg zabronionych...

Postawmy sprawę jasno: prawdziwe oblicze Balzaka można dostrzec jedynie patrząc ze stanowiska marksistowskiego. „Tylko teoria zrodzona z rewolucyjnych doświadczeń proletariatu — stwierdza, cytowany już, Pierre Daix —pozwala nam przywrócić postaci Balzaka jej prawdziwy charakter, uwolnić Balzaka od wykrzywionych masek, które nałożyła mu burżuazja, aby tym

skuteczniej go pogrzebać." Nie jest przypadkiem bowiem zainteresowanie i szacunek, z jakim odnosili się do Balzaka klasycy marksizmu. Engels pisał: „Balzak nauczył mnie, nawet co się tyczy szczegółów ekonomicznych, więcej niż książki wszystkich zawodowych historyków, ekonomistów i statystyków owej epoki". Marks w „18 Brumaire'a" piętnując dr Verona, właściciela gazety „Constitutionnel" powoływał się na typ Crevela z balzakowskiej „Kuzynki Bietki". Nie jest wreszcie przypadkiem, iż w Związku Radzieckim należy Balzak do najbardziej lubianych i czytywanych pisarzy. Balzak bowiem jako pierwszy z powieściopisarzy dostrzegł związki spraw gospodarczych ze światem myśli i uczuć, ogarnął całość współczesnego życia, wniknął w splot nienawiści klasowych. Dlatego też, mimo iż sympatie jego były po stronie klasy skazanej na zagładę, mimo iż sam chełpił się: „piszę w blasku dwóch wieczystych prawd: Religii i Monarchii" — dzieło jego stanowiło nieubłagane i bezlitosne oskarżenie zarówno upadającej arystokracji jak i triumfującej burżuazji, a jedyni ludzie, o których mówił z podziwem, to jego najbardziej zaciekli przeciwnicy polityczni, bohaterowie republikańscy z klasztoru St. Merri, jedyni w owej epoce przedstawiciele mas ludowych. „Ten fakt — pisał w związku z tym Engels — że Balzak był zmuszony występować przeciwko własnym sympatiom klasowym i przesądom politycznym, ten fakt, że dostrzegał on nieuchronność upadku swych ulubionych arystokratów i opisywał ich jako ludzi, którzy nie zasługują na lepszy los i że dostrzegł ludzi przyszłości tam, gdzie można było ich znaleźć w danej epoce — to właśnie uważam za jedno z największych zwycięstw realizmu, jedną z najcenniejszych właściwości starego Balzaka."

Ogłoszone niedawno studium Marcela Cachina, redaktora „Humanité", członka Biura Politycznego Francuskiej Partii Komunistycznej, ukazuje nam twórczość Balzaka w świetle materializmu historyczne i dialektycznego. Sprawa oceny Balzaka nabiera na naszym gruncie szczególnej wagi dzięki temu, iż Tadeusz Boy Żeleński, mimo swych olbrzymich i przez nikogo nie kwestionowanych zasług, nie mógł zdobyć się na konsekwentne spojrzenie na Balzaka. Widząc mnogość sądów, różnorodność opinii oraz sprzeczności w dziełach samego twórcy „Komedii Ludzkiej", nie posiadając na dodatek busoli pozwalającej znaleźć prostą drogę wśród owego gąszczu — Boy godził się na eklektyzm. „Każda epoka znajduje w Balzaku co innego — stwierdził w swej książce o nim — każda coś dla siebie". A w przedmowie do „Ferragusa" dodawał: „... ten, kto jest pełnym człowiekiem, nosi w swoim łonie tyle sprzeczności, tyle możliwości, iż każdy niemal wyczyta w nim (w Balzaku), co zechce."

Stąd wielkie znaczenie stadium Cachina dla rozwoju i pogłębienia naszej wiedzy o Balzaku. Pisane na stupięćdziesięciolecie urodzin tego wielkiego pisarza, przeznaczone dla najszerszych rzesz czytelniczych, dając prawdziwy rzut oka na dorobek twórcy „Straconych złudzeń" — studium to jest jednocześnie stanowczą odprawą udzieloną przez jednego z przywódców francuskiej klasy robotniczej burżuazyjnym krytykom. „Komuniści — stwierdza Cachin — powinni znać dzieła najwybitniejszego pisarza francuskiego XIX wieku, Honoriusza de Balzac. Wzbogacą swoje doświadczenie i zyskają wiedzę obcując z literaturą i filozofią przeszłości." Cachin wskazuje przede wszystkim na dwie cechy charakterystyczne Balza-

ka tj. „historyka obyczajów burżuazji swej epoki" i „twórcę nieśmiertelnych typów ludzkich". Analizuje kolejno poszczególne powieści, jak „Eugenia Grandet", „Bank Nucingena", „Stracone złudzenia", „Lekarza wiejskiego", „Proboszcza wiejskiego" i „Chłopów" — wykazując, że „dzieło Balzaka to wspaniała historia społeczeństwa francuskiego, w Paryżu i na prowincji, tej epoki, w której żył." Taine powiedział o jego dziele, że jest ono kopalnią dokumentów. Słusznie! Historycy nie będą mogli zrozumieć początków XIX wieku, jeśli nie poradzą się Balzaka. Cachin w mistrzowski sposób wiąże analizę utworów Balzaka. Balzak nie jest tutaj, jak chciała krytyka burżuazyjna, „poetą pieniądza", pisarzem ukazującym jedynie potężne namiętności, jakie wyzwala walka o pieniądz, o ubicie interesu, o kalkulacje takiego to a takiego procentu. Cachin wydobywa na powierzchnię społeczne korzenie tych namiętności, pokazuje, jak Balzak umiał dostrzec, że w moralności społeczeństwa burżuazyjnego „panuje święta, szanowna, solidna, łaskawa, piękna, pełna wdzięku, szlachetna, wszechpotężna moneta stu sous." Balzak śledzący powstawanie fortun burżuazji dzięki konfiskacie dóbr kościelnych i szlacheckich, dzięki bezwstydnemu wyzyskowi robotników w rodzącym się przemyśle, dzięki aferom i spekulacjom finansowym — oto co podkreśla Cachin. „Stracone złudzenia" to nie tylko dzieje Lucjana de Rubempré, ale powieść piętnująca szkodliwość prasy kapitalistycznej: „Dziennik to „lupanar myśli." Dziennikarstwo jest rynsztokiem, gdzie poniewiera się sumienie łajdaków i niegodziwców żyjących jak ludzie dotknięci sekretnymi chorobami. Działalność właściciela dziennika sprowadza się do zarabiania pieniędzy. Na jego piersi lśni złoty łańcuch." Cachin dodaje: „Jednak chociaż prasa za Ludwika Filipa była tak zdeprawowana i tak serwilistyczna, to przecież współczesna prasa francuska i międzynarodowa, będąca na usługach wielkich trustów, prześcignęła ją znacznie w dzisiejszym społeczeństwie."

Szczególnie nowatorskie jest cachinowskie ujęcie tych dzieł Balzaka, gdzie ten wprowadza na scenę chłopów francuskich. („Lekarz wiejski", „Proboszcz wiejski", i przede wszystkim „Chłopi"). W tej ostatniej powieści opisuje Balzak bezrolnego chłopa pozbawionego przez feudalizm ziemi od 1200 lat, a pożeranego przez cały ten czas namiętnością jej posiadania. Konfiskata ziemi szlacheckiej i kościelnej w okresie Wielkiej Rewolucji Francuskiej nie oddała jej w ręce bezrolnych i małorolnych chłopów. Wywłaszczone dobra, które stanowiły piątą część ziemi francuskiej, podzielili między siebie przede wszystkim spekulanci i mieszczanie już zamożni lub wręcz bogaci. Nieszczęsny chłop staje się buntownikiem, powstaję przeciwko burżuazyjnym wyzyskiwaczom. Balzak dostrzegał to rodzenie się walki klasowej wewnątrz „stanu trzeciego" i w „Chłopach" przepowiadał mieszczaństwu, że skończy ono podobnie jak szlachta. A balzakowski Paryż, Paryż, który nie jest przecież, jak chce Romains, „halucynującym przedmiotem", ale realnym miastem z pierwszej połowy XIX wieku, Paryżem finansistów i kurtyzan, Paryżem nędzy i zbrodni, mrocznych pasaży i zaułków i stolicą świata jednocześnie — czyż ten balzakowski Paryż nie jest najlepszym przykładem jak wnikliwym obserwatorem i ścisłym historykiem swojej epoki był jego twórca. Równocześnie jednak Cachin podkreśla z naciskiem: „Ale tkwi w Balzaku i genialny psycholog, twórca pełnych życia typów ludzkich. Miał dość

możliwości, by wznieść się do rzędu wielkich pisarzy wszystkich czasów, do rangi Moliera i Szekspira.“ Grandet, Hulot, ojciec Goriot, Filip Brideau, Lucjan de Rubempré, Eugeniusz de Rastignac, Baltazar Claës — to chyba dostateczne potwierdzenie słuszności tych słów.

Studium Marcela Cachina, krótkie ale nadzwyczaj treściwe, daje nam prawdziwy wizerunek Balzaka, stanowiąc tym samym przeciwwagę do wydanej ostatnio monografii Stefana Zweiga, opartej na olbrzymim materiale faktycznym, ale z gruntu fałszywej w założeniach.

Ludwik B. Grzeniewski

T E A T R

KRAKOWSKI PRZEGLĄD TEATRALNY

Przyczynek do charakterystyki sytuacji repertuarowej Państwowych Teatrów Dramatycznych może dać choćby obserwacja afiszów teatralnych przynoszących cotygodniowy przegląd widowisk. Wypełniały je dość szczelnie, do ostatnich niemal dni — względnie wypełniają nadal — pozycje, z których kilka rozpoczęło swój żywot jeszcze bez mała rok temu. „Moralność pani Dulskiej“ (ok. 200 przedstawień), „Złote niedole“ (ok. 120 przedstawień), „Balladyna“ (ok. 110 przedstawień), „Faryzeusze i grzesznik“ (ok. 90 przedstawień) — dowodzą nie tylko i nie tyle atrakcyjności tych widowisk, których zalety i wady podkreślane były już niejednokrotnie — ile niewielkiej ruchliwości i pomysłowości kierownictwa teatrów, nie usiłującego — jak dotąd — ryzykować bardziej odważnego, odkrywczego i nowego planu repertuarowego, lecz idącego utartą ścieżką wypróbowanych już wielokrotnie — i nie zawsze szczęśliwie — pomysłów.

Wśród niewielu pozycji nowego sezonu teatralnego dodatnio należy wyróżnić zrealizowaną na scenie teatru im. Słowackiego sztukę Konstantego Simonowa „Obcy cień“. Sztuka ta, świetnie na ogół wypunktowana ideologicznie, pokazuje wzór ujmowania aktualnych zagadnień politycznych w sposób przekonywający teatralnie, nie zatracający na rzecz wysokowartościowej dydaktyki — walorów żywego i efektownego scenicznie widowiska. Jej wymowa, akcentująca silnie zagadnienia czujności, zagadnienia roli nauki i ludzi nauki w walce o nowy sprawiedliwy świat socjalistyczny trafia celnie w samą istotę współczesnych konfliktów ideowych. Wybitny dramaturg radziecki pokazuje przy tym, że realizm socjalistyczny pogłębia sens analizy psychologicznej. Czołowa postać „Obcego cienia“, prof. Trubnikow, jest nie tylko t y p e m, jest też dobrze scharakteryzowaną i n d y w i d u a l n o ś c i ą, o bogatym życiu psychicznym. Całą rozległą problematykę ideową i artystyczną tej sztuki w sposób właściwy wyinterpretowała inscenizacja krakowska (dzieło reżyserskie Lidii Zamkow i scenograficzne Jerzego Szymańskiego), która, mimo pewnych — drobnych zresztą — niedociągnięć

formalnych, dała w sumie czyste i przejrzyste w ostatecznym wygłosie widowisko.

„Obcy cień" pokazany został w Krakowie w ramach Miesiąca Pogłębiania Przyjaźni Polsko-Radzieckiej. Drugim widowiskiem była komedia Leonida Leonowa „Zwykły człowiek", wystawiona na dużej scenie Starego Teatru. „Zwykły człowiek" stanowił ciekawe uzupełnienie „Obcego cienia" jako próba pokazania całej rozległej skali tematycznej i rozpiętości środków pisarskich, jakimi rozporządza współczesna literatura radziecka. Komedia ta jednak — pisana jeszcze w 1941 r., przed wybuchem wojny niemiecko-radzieckiej — jest zbyt odległa od aktualnej, politycznej i społecznej problematyki. Daje ona jedynie interesujący rysunek mało znanego dotąd widzowi polskiemu środowiska artystów i naukowców radzieckich, ich życia prywatnego. Pokazuje pewne ujemne cechy niektórych przedstawicieli tego środowiska i przeciwstawia im czystą moralnie postawę „zwykłego człowieka". Inscenizacja i reżyseria Władysława Krzemińskiego szła wiernie za tokiem inspiracji autorskiej, wydobywając jej zarówno nastrojowe jak i melodramatyczne akcenty, do czego przyczyniła się również pełna mocnych efektów kolorystycznych i perspektywicznych oprawa plastyczna Andrzeja Stopki.

Współczesną polską twórczość dramatyczną zareprezentowały w dotychczasowym repertuarze PTD dwie sztuki wyłonione z konkursu Ministerstwa Kultury i Sztuki na współczesną sztukę polską i zrealizowane w Krakowie w ramach festiwalu sztuk współczesnych. Mowa tu o „Wczoraj i przedwczoraj" Aleksandra Maliszewskiego (jedna z najwcześniejszych pozycji bieżącego sezonu) i o „Tysiącu walecznych" Jana Rojewskiego (których premiera odbyła się niedawno). Wśród sztuk konkursowych i festiwalowych „Wczoraj i przedwczoraj" posiada swoją dość odrębną pozycję dzięki specyfice tematu nie związanego ściśle z problematyką naszego powojennego budownictwa, lecz dającego przekrój życia Warszawy lat 1943 — 1949, z całą zmienną — na przestrzeni tego czasu — historią męczeńskiej i nieugiętej stolicy. Bohaterem sztuki jest więc Warszawa i jej klasa robotnicza, zobrazowana na przykładzie jednej rodziny, za pośrednictwem której autor ukazuje (nie całkowicie zresztą zgodnie z zasadami realistycznej typowości) społeczne i ideologiczne rozwarstwienie tych przełomowych czasów. Zaletą sztuki jest jej na wpół poetycka atmosfera, serdeczny i humanistyczny klimat utworu, zręcznie oscylującego między tragizmem, sentymentem i humorem. Błąd jej leży w braku silniejszych napięć dramatycznych. Krakowska inscenizacja zdołała na ogół wyretuszować pęknięcia, stwarzając jednolitą całość artystyczną. Zasługa to w pierwszym rzędzie reżysera, Jerzego Kaliszewskiego, który — przy pomocy pewnych skrótów i korekt tekstowych — potrafił wyprostować gmatwające się gdzieniegdzie linie ideologiczne sztuki, a nawet oczyścić psychologiczne kontury niektórych postaci i uprawdopodobnić realistyczne koleje ich uczuć i losów (Jan, Wanda). Do walorów przedstawienia należały również dekoracje Tadeusza Kantora, który zdołał szczupłą przestrzeń sceniczną w małej sali Starego Teatru zabudować w sposób celowy i ekonomiczny, rozwiązując przejrzyście skomplikowane zagadnienia scenograficznego odzwierciedlenia historycznych przemian czasowych, przy zachowaniu ścisłej jed-

ności miejsca: mieszkania robotniczego.

Wystawiona w teatrze im. Słowackiego sztuka Rojewskiego jest sztuką w pewnym sensie nader typową dla przeciętnego poziomu naszej współczesnej dramaturgii. Jej zalety i wady są zaletami i wadami tej dramaturgii, wchodzącej trochę jeszcze niemowlęcym krokiem na drogę realizmu socjalistycznego. Zalety — to śmiałe podejmowanie pionierskiego tematu: tematu przemysłowego budownictwa socjalistycznego, nowej klasy robotniczej pokazanej na terenie pracy, nowych konfliktów wynikających z całokształtu przemian społecznych i ideologicznych. Wady płyną głównie z niedomagań warsztatu i techniki pisarskiej względnie z braku twórczego ich przystosowania do nowych treści. Sztuki takie operują na ogół schematycznymi i stereotypowymi motywami (nieodzowna narada produkcyjna, sabotaż, końcowe aresztowanie wroga itp.), powierzchownym rysunkiem psychologicznym postaci, brak im głębokiego, wewnętrznego ładunku prawdziwej namiętności dramatycznej. Także i w „Tysiącu walecznych" odnajdujemy te lub tym podobne wady, choć Rojewski umie już zręcznie budować intrygę, stopniować efekty sceniczne, wykazuje rzetelną znajomość realiów. Realizacja krakowska (reżyser dyr. Henryk Szletyński, oprawa sceniczna Bolesław Kamykowski) podkreśliła wszystkie walory sztuki i otaczając ją staranną opieką inscenizacyjną wydobyła należycie — mimo pewnych niedociągnięć — całą wagę tego typu wydarzenia teatralnego w Krakowie.

Ostatnie wreszcie dwie premiery: „Ciotunia" Aleksandra Fredry na małej sali Starego Teatru (skąd wkrótce przeszła na scenę teatru im. Słowackiego) oraz na dużej sali „Sprawa Pawła Eszteraga" Aleksandra Gergely'ego — bynajmniej nie wzbogacają ogólnego bilansu artystycznego Państwowych Teatrów Dramatycznych. „Ciotunia" żadną miarą nie może — mimo znakomitej osoby autora — reprezentować polskiego klasycznego repertuaru narodowego. Do arcydzieł komediowych Fredry nie należy ona na pewno, a wąskość jej perspektyw społecznych i błahość bardzo prywatnego i bardzo niedbale zasupłanego wątku fabularnego wystarczyć mogłaby dziś co najwyżej na zaspokojenie potrzeb repertuaru kanikularno-rozrywkowego. Tym bardziej jeżeli realizacja nie ma ambicji odkrywczych i ogranicza się do szablonowego na ogół punktowania bardziej lub mniej zabawnych scenek i sytuacji, jak to czyniła reżyseria Romana Niewiarowicza (przy współpracy dramaturgicznej Zygmunta Leśnodorskiego). Nawet oprawa sceniczna Karola Frycza — przy całej jej plastycznej piękności i realistycznej (poza drobnymi „nieczystościami") stylowości — była jeszcze jedną z licznych odbitek „wnętrza staroszlacheckiego dworku", rozpowszechnianego w naszych teatrach niemal jak fasada tegoż dworku na malowankach Rychter-Janowskiej.

Inscenizacja i reżyseria nie dopisały również przy wystawieniu „Sprawy Pawła Eszteraga". Ta sztuka współczesnego antyfaszystowskiego pisarza węgierskiego mimo swych silnie melodramatycznych akcentów — jasno i wyraziście zarysowuje przedział pomiędzy dwoma światami: światem szlachetnej i bohaterskiej ideologii komunizmu, a światem barbarzyńskiej i zarazem tchórzliwej „moralności" faszyzmu. Z tych choćby względów zasługuje w pełni na miejsce w planie repertuarowym współczesnego teatru, choć ambicja artystyczna kierowni-

ctwa scen pretendujących do miana czołowych w Polsce — winna być bardziej odkrywcza, jeżeli chodzi o literaturę dramatyczną krajów demokracji ludowych. Niestety, reżyseria Ireny Babel (współpraca dramaturgiczna Zbigniewa Krawczykowskiego, scenograf Andrzeja Pronaszki) zamiast pogłębić realistyczne kontury sztuki, wydobywając bardziej typowy obraz społeczny i obyczajowy Węgier faszystowskich z 1938 r. — akcentowała na ogół to, co w materiale literackim utworu jest najsłabsze: jego melodramatyczne, psychologicznie nie dość rozbudowane partie.

* * *

Działalność krakowskiego Państwowego Teatru Młodego Widza w omawianym okresie również winna ulec krytycznej rewizji i ocenie. Wspominano już niejednokrotnie (podkreślałem to również na tym samym miejscu w nr. 9 „Twórczości" z 1950 r.) o trudnościach repertuarowych teatrów Młodego Widza, trudnościach związanych z brakiem dostatecznej ilości tekstów młodzieżowych, oryginalnych i tłumaczonych, jak również z konieczności dostosowywania repertuaru do najrozmaitszych — w zależności od wieku odbiorców — potrzeb młodej widowni. Trudności tego rodzaju pozwalają zrozumieć wiele niedociągnięć w pracy teatru krakowskiego, nie mogą go jednak rozgrzeszyć ze wszystkich. Krakowski Teatr Młodego Widza jak dotychczas nie wypracował własnego stylu artystycznego, jak dotychczas nie zdołał scementować jednolitego, na jednolitym i dostatecznym poziomie stojącego zespołu aktorskiego i—dość przypadkowo, od wypadku do wypadku dobieranego — reżyserskiego, jak dotychczas stosuje dość daleko idący eklektyzm w doborze pozycji repertuarowych. Zwłaszcza w tym ostatnim kierunku trudno dostrzec jakąś wyraźniejszą linię planowania. Obok „Szwejka", trochę dla zbyt już dorosłych widzów — widowisko „O krasnoludkach i o sierotce Marysi" Konopnickiej, przeznaczone raczej dla dziecięcej widowni. Obok „Okna w lesie" — „normalnej pozycji repertuarowej „dorosłych" teatrów — „Nasze dziewczęta" tematycznie dobrze przystosowane do zadań teatru młodzieżowego miasta mającego tuż obok siebie rosnącą Nową Hutę.

Niezrozumiałe było wystawienie „Nowych przygód dzielnego wojaka Szwejka", sztuki opracowanej według powieści J. Haska przez M. Słobodskaja, a zaadaptowanej przez Anatola Sterna — w reżyserii Kazimierza Szuberta z dekoracjami i kostiumami Janiny Ipohorskiej i Mariana Eilego. Wprawdzie tekst wersji krakowskiej — w porównaniu z warszawską — został oczyszczony i skorygowany, jego ideologiczna wymowa końcowa jest obecnie poprawna — ale sam pomysł „uwspółcześnienia" Szwejka, przeniesienia jego dobrodusznej nieco kpiny z leniwej i zardzewiałej maszynerii c.k. Austrii w straszliwą i zbrodniczą, ale precyzyjnie funkcjonującą machinę hitleryzmu, sam pomysł uczynienia nieomal pozytywnym bohaterem ludowym naszych czasów wspaniałej zresztą literacko postaci trochę lumpenproletariackiego, trochę drobnomieszczańskiego filozofa-obwiesia — należy uznać za chybiony. A już zupełnym nieporozumieniem była realizacja tego widowiska — obfitującego w sporo momentów niewybrednych i dwuznacznych — w ramach teatru młodzieżowego. Sytuacje, w których wyłącznie dla jednego — choćby najwyższej klasy — aktora wystawia się sztuki, powinny w teatrach Polski Ludowej należeć już do przeszłości.

Żadnych większych zastrzeżeń natomiast nie może budzić wystawienie „Krasnoludków i sierotki Marysi" według Marii Konopnickiej, w przeróbce, inscenizacji i reżyserii Marii Billiżanki z dekoracjami Andrzeja Stopki. Nie zajmując się bliżej tym widowiskiem, stanowiącym wznowienie (w związku z 40-leciem zgonu Konopnickiej), trzeba jednak stwierdzić, że — mimo dużych błędów w realizacji — jest ono wartościową pozycją repertuaru dla młodszych dzieci, która to kategoria widzów od bardzo dawna była pozbawiona przeznaczonego dla niej w jej teatrze — programu.

„Okno w lesie" Rachmanowa i Ryssa znalazło się na scenie w Krakowie nie tyle w ramach zwyczajnej działalności teatru — ile jako uboczny rezultat „drugiego toru" jego pracy. Sztuka bowiem przeznaczona zasadniczo na objazdy, wystawiona została w Krakowie po sukcesach jej w terenie, gdzie była żywo przez robotniczo-chłopską widownię przyjmowana. W tym miejscu trzeba od razu podkreślić tę doniosłą stronę działalności Teatru Młodego Widza, polegającą na stałym obsługiwaniu przez część zespołu — w trudnych warunkach personalnych, organizacyjnych i terenowych — obszaru województwa krakowskiego. Mieszkańcom jego — jakże często jeszcze pozbawionym żywszych kontaktów kulturalnych — stara się Teatr Młodego Widza przynosić pożyteczną i kształcącą sztukę. Do tego typu należy właśnie „Okno w lesie", gdzie przy pomocy zgrabnie zbudowanej, nieomal sensacyjnej intrygi — ukazują autorzy radzieccy epizod z dziejów ostatniej wojny, dający im sposobność do ujawnienia wspaniałej postawy patriotów radzieckich w ich walce z zewnętrznym i wewnętrznym wrogiem. Sztuka została nienajszczęśliwiej wyreżyserowana przez Tadeusza Wesołowskiego, który całości akcji — dziejącej się w najcięższych warunkach wojennych, w lepiance ukrytej głęboko w głuchym lesie na tyłach wroga — nadał (łącznie z aktorskim ustawieniem niektórych postaci) wygodne, mieszczańskie wymiary. Przyczyniła się do tego zresztą również dekoracja Antoniego Żabskiego, ukazująca jakieś nieomal salonowe wnętrze.

Prapremiera współczesnej sztuki polskiej Macieja Słomczyńskiego trafiała tematycznie do robotniczego widza i to do widza młodzieżowego. Ale jednocześnie „Nasze dziewczęta" — to utwór formalnie słaby, obarczony na ogół wszystkimi obciążeniami, o których była wyżej mowa przy okazji „Tysiąca walecznych", przerostami „technologizmu", o powierzchownej charakterystyce działających postaci i niepełnym obrysowaniu tła społeczno-klasowego. Posiada jednak zalążek ciekawego i nie notowanego jeszcze w polskiej dramaturgii wewnątrzklasowego — nie antagonistycznego, rzecz prosta — konfliktu między „starą" klasą robotniczą a nowym, świeżo przybyłym ze wsi elementem pracowniczym. Ponadto — co najważniejsza — porusza nie opracowywany dotąd problem udziału kobiet w budownictwie socjalistycznym, przedstawiony na przykładzie kobiecej brygady ZMP. Jest to jedyna, jak dotąd, współczesna sztuka polska uwzględniająca zagadnienie udziału kobiety w wielkim dziele realizowania Planu 6-letniego i dlatego — mimo wszystkich jej braków — dziwi trochę nieuwzględnienie jej w odbywającym się obecnie festiwalu. Tym bardziej że przy reżyserskim i dramaturgicznym opracowaniu tekstu w toku realizacji scenicznej sztuka mogłaby zyskać, jak tego dowodziła choćby inscenizacja krakowska, która pod kierownictwem Lidii Zam-

kow — mimo nienajlepszego na ogół poziomu technicznego wykonawców — spełniała swoje wychowawcze zadania. Scenograf Teatru Młodego Widza, Eugeniusz Waniek, lepiej czuł się wśród bardzo autentycznych urządzeń fabrycznych niż w — jedynej zresztą — scenie plenerowej.

* * *

Przy kolejnej ocenie działalności pozostałych dwóch teatrów krakowskich: Państwowego Teatru Lalki i Aktora „Groteska" oraz Państwowego Teatru Rapsodycznego — piszący te słowa zmuszony jest znowu powołać się na uwagi wypowiedziane w ostatnim przeglądzie teatralnym za poprzedzający okres sprawozdawczy („Twórczość" nr 9 rok 1950). Oba te teatry, które — ze względu na wyjątkowość swych form artystycznych zasługują na odrębne i szczegółowe omówienie — posiadają już swój zdecydowany i dobrze przemyślany styl teatralny, znać u nich pewną linię rozwojową i robotę artystyczną wysokiej jakości. Niestety, działalność ta ilościowo jest bardzo nikła, tak że próba jakiegoś ogólniejszego bilansu ich obecnej twórczości jest wciąż jeszcze nader utrudniona. Wystarczy powiedzieć, że za oba ostatnie okresy sprawozdawcze — objęte niniejszym i poprzednim zestawieniem (a więc w sumie za rok z górą) — każdy z tych teatrów może się pochlubić tylko jedną nową inscenizacją: „Groteska" — „Nowymi szatami króla", Teatr Rapsodyczny — „Rozkazem 269". Trochę to mało, jak na teatry o najwyższych ambicjach, nawet zważywszy trudności, o których była mowa w poprzednim przeglądzie, nawet zważywszy, że poza tym teatry owe — zwłaszcza „Groteska" — rozwijają żywą działalność objazdową w terenie.

Rezygnując więc na razie z bardziej ogólnej charakterystyki oblicza ideowego i artystycznego wspomnianych teatrów — ograniczymy się na tym miejscu tylko do omówienia obu poszczególnych widowisk. „Nowe szaty króla" napisane — według opowieści Andersena — przez Aleksandra Maliszewskiego, a zaadaptowane specjalnie dla „Groteski" przez Władysława Jaremę (który był, poza tym wraz z Mikulskim inscenizatorem i reżyserem przedstawienia) — dają świadectwo rzetelnego wysiłku twórczego realizatorów. Literacka treść znanej bajki Andersena jest wprawdzie nieco anegdotyczna, zbyt szczupła — nawet przy najszerszym jej opracowaniu — jak na ramy „pełnometrażowego" spektaklu. Toteż miał on pod względem dramatycznym sporo pustych miejsc, nie brak mu było dłużyzn. Natomiast od strony widowiskowej stało się przedstawienie wielkim triumfem inwencji, dowcipu, twórczej wyobraźni artystycznej, w szczególności plastyków teatru (K. Mikulski i J. Skarżyński). Sam — nowy i w dziejach „Groteski" przełomowy — pomysł rozegrania bajkowej sprawy przez prawdziwych aktorów w znakomitych w wyrazie psychologicznym maskach zamykających całość postaci, dając niejako przecięcie dwóch rzeczywistości: ludzkiej i lalkowej — pozwolił na wydobycie głębokich artystycznie efektów. Niebezpieczeństwo formalistycznego przerostu — gry dla gry — zostało zażegnane przy pomocy wyraźnego przeciwstawienia maskaradowemu światu realistycznych postaci dwóch chłopców z ludu, dostatecznie akcentujących ideową treść opowieści. Zapewne, były i niedociągnięcia w interpretacji jak np. zbyt słabe wypointowanie końcowego okrzyku dziecięcego „król jest nagi", który ginął i rozpływał się bez wyrazistszego scenicznego rozbudowywania jego sensu — ale w sumie widowisko dało wysokowartościową całość.

„Rozkaz 269" — wystawiony przez Teatr Rapsodyczny w związku z Rocznicą Rewolucji Październikowej w jesieni ub. roku — winien stać się krokiem naprzód w krystalizowaniu się, dotychczas jeszcze niedostatecznie wyjaśnionego, a nawet niekiedy wręcz wstecznego oblicza ideowego tego teatru. Po raz pierwszy oddali rapsodycy swoje nienagannie czyste dykcyjnie słowo i zwięzłą prostotę gestu na usługi wielkim rewolucyjnym treściom poetyckim. Po raz pierwszy usiłowali odejść od romantycznej przeszłości w kierunku realistycznej teraźniejszości. „Rozkaz 269" — to montaż z poezji Siemiona Kirsanowa i Włodzimierza Majakowskiego w adaptacji, inscenizacji i reżyserii Mieczysława Kotlarczyka. Kompozycja literacka przedstawienia polega na połączeniu fragmentów poematów Kirsanowa o bohaterskim żołnierzu radzieckim Aleksandrze Matrosowie z fragmentami niektórych utworów Majakowskiego, w szczególności jego poematu „Dobrze". Można by dyskutować na temat, czy słuszna jest koncepcja połączenia dzieł tych dwóch poetów (zwłaszcza, że przekłady z Majakowskiego wypadły lepiej niż z Kirsanowa) — ale trzeba przyznać, że zrealizowana ona została przekonywająco. Okazało się, że forma rapsodyczna może wyrazić rewolucyjne treści poetyckie, które — w tej formie — mogą zyskiwać blask, nową świetność, nową wymowę. Okazało się, jak istotne znaczenie ma wybór odpowiedniego tekstu i jego właściwe opracowanie. Okazało się, że słowo rapsodyczne może stworzyć realistyczną rzeczywistość dramatyczną, jeżeli służy określonym realistycznym znaczeniom. Niepokój budziły jedynie elementy dekoracyjne, których oszczędna i skrótowa architektonika nie tłumaczyła się dostatecznie jasno. „Rozkaz 269" cieszy się powodzeniem do dzisiaj, zaś zwolennicy pięknej sztuki rapsodycznej czekają z wielkim zainteresowaniem na następną premierę, która powinnaby ostatecznie ugruntować ewolucję teatru.

Henryk Vogler

NA WIDNOKRĘGU

Z DYSKUSJI JĘZYKOZNAWCZEJ

Życie literackie w ZSRR stoi ostatnio pod znakiem dyskusji językoznawczej, która — podobnie jak w wielu innych dziedzinach nauki i sztuki — również w dziedzinie teorii i krytyki literackiej wywołała prawdziwy przełom. W N-rze 12 „Twórczości" z r. ub.*) pisaliśmy o wielu zagadnieniach literackich, które po ogłoszeniu najnowszej pracy Józefa Stalina „W sprawie marksizmu w językoznawstwie" stanęły przed radziecką literaturą i krytyką literacką w zupełnie nowym świetle.

Dyskusja zapoczątkowana w sierpniu 1950 r. toczy się nadal — ilość wypowiedzi wzrasta, a zakres zagadnień stale się rozszerza.

Na V Plenum Zarządu Związku Pisarzy Radzieckich Ukrainy, które odbyło się w dniach 22 — 25 grudnia r.ub. w mieście Stalino — referat pt. „Pra-

*) Na widnokręgu: „Pierwsze echa dyskusji językoznawczej w radzieckiej teorii i krytyce literackiej."

ca J. W. Stalina: „Marksizm a zagadnienia językoznawstwa" i jej znaczenie dla rozwoju literatury radzieckiej" wygłosił znany poeta ukraiński Maksym Rylski. Po omówieniu znaczenia tej pracy Rylski zajął się szczegółowo zagadnieniem współczesnego ukraińskiego języka literackiego, języka przejętego w spadku po klasykach ukraińskich: Szewczence, Łesi Ukrainee, Iwanie Franko, Kociubińskim i innych. Wielu współczesnych poetów i prozaików wzbogaca ten język (Korniejczuk, Bażan, Małyszko, Tyczyna, Gonczar i inni), lecz są jeszcze pisarze, którzy bądź to „folkloryzowaniem", bądź to archaizowaniem lub formalistyczną wykwintnością języka bynajmniej nie przyczyniają się do jego rozwoju. W konkluzji swoich wywodów Rylski zaapelował do krytyków, by głębiej zainteresowali się zagadnieniami stylu, formy i języka jako istotnymi elementami analizy literackiej. Po referacie Rylskiego wywiązała się ożywiona dyskusja, w której wzięli udział pisarze, krytycy literaccy i uczeni. Na V plenum Zarządu Związku Pisarzy Radzieckich Ukrainy wygłoszono poza tym następujące referaty: „O stanie i zadaniach krytyki literackiej" mówił Nowiczenko, referat sprawozdawczy o II Światowym Kongresie Pokoju i walce pisarzy radzieckich w obronie pokoju wygłosił Korniejczuk, referat sprawozdawczy z działalności Donieckiego Oddziału Związku Pisarzy Radzieckich wygłosił Bajdebura.

Dyskusji na temat „Prace Towarzysza Stalina o językoznawstwie a język radzieckiej literatury pięknej" poświęcone zostało otwarte zebranie partyjne pisarzy moskiewskich w dniach 17 i 18 stycznia b. r.. Oprócz literatów na zebranie to przybyli uczeni z Instytutu Językoznawstwa Akademii Nauk ZSRR oraz profesorowie wyższych uczelni i szkół średnich. Zebranie zagaił krytyk Tarasienkow, który w przemówieniu swoim nakreślił ramy i zakres dyskusji:

W świetle doniosłych prac naukowych Stalina, stanowiących nowy etap rozwojowy w nauce marksizmu-leninizmu, pisarze i krytycy radzieccy powinni pogłębić i zająć się opracowaniem takich zagadnień, jak: rola i znaczenie spuścizny literackiej, literatura jako nadbudowa, która zostaje wytworzona przez bazę i sama z kolei na nią wpływa, kunszt pisarski a język literatury pięknej. Wytyczne Stalina stanowią podstawę do walki krytyki literackiej o bogactwo, barwność i piękno języka utworów literatury pięknej, która przemawia do wielomilionowej masy czytelników, która nie tylko stawia i rozwiązuje najważniejsze problemy życia, lecz także uczy poprawnego języka. Jakkolwiek język literacki tworzy się na gruncie języka narodowego — wywodzi Tarasienkow — jednak nie należy całkowicie tych pojęć utożsamiać. Język literacki powstaje w wyniku doboru określonych elementów języka narodowego, kierunek i ramy tego doboru wyznaczają trzy czynniki: światopogląd, metoda twórcza i indywidualność twórcza pisarza. Dlatego też pracą literacka ma wielkie znaczenie językoznawcze. Kunszt pisarski wielkich prozaików i poetów radzieckich takich jak: Gorki, Majakowski, A. Tołstoj, Fadiejew, Fiedin, Isakowski, Twardowski i inni wzbogacił także pod względem językowym spuściznę klasyków literatury rosyjskiej. Natomiast naśladowanie futurystycznego pseudoznawstwa słowotwórczego zaciążyło fatalnie na twórczości niektórych poetów i prozaików. Po wyliczeniu szeregu przykładów psucia języka literackiego sztucznym archaizowaniem, nadużywaniem wyrażeń gwarowych, prowincjonalizmów, przesadnych profesjonalizmów, a także for-

malistycznego, ekscentrycznego tworzenia neologizmów — Tarasienkow wezwał literatów i krytyków do wszechstronnego studiowania oraz teoretycznego opracowania zagadnień językowych.

Dwudniowa dyskusja wniosła wiele nowych momentów, wysunęła wiele nowych zagadnień. Przeciwko sztucznemu archaizowaniu języka wystąpił krytyk Szklonowski, wywodząc, że język narodowy wieków minionych bynajmniej nie różnił się od języka współczesnego tak bardzo, jak to sobie wyobrażają niektórzy gorliwi archaizatorzy. Dyskutant ostrzega przed zbytnim tępieniem inwencji słowotwórczej autorów, przed przesadnym wygładzaniem języka, przed tłumieniem indywidualności twórczej pisarzy. W obronie archaizmów uzasadnionych z punktu widzenia gramatyki historycznej wystąpił Jugow.

Grupa językoznawców (Lewin, Iljińska, Sierebrennikow, Gałkina-Feodoruk i inni) omówiła proces powstawania nowych słów i wyrażeń, podkreślając konieczność śmiałego przyswajania językowi literackiemu żywego słownictwa i form mowy ludowej. Językoznawcy podkreślili wagę problemów stylistyki, ostrzegali przed używaniem dialektyzmów.

„Język — powiedziała Iljińska — nie jest klasowy, lecz w doborze środków stylistycznych przez pisarza — może przejawić się i przejawia jego światopogląd, jego przynależność klasowa"*)

Krytyk Derman wyraża pogląd, że za niedociągnięcia stylistyczno-językowe również odpowiedzialni są redaktorzy i adiustatorzy skłonni do „niwelowania języka, sprowadzania go do poziomu poprawności".

*) Cyt. ze sprawozdania w Nr 8 „Litieraturnoj Gaziety" z dn. 20. 1. 1951. Stamtąd również pochodzą następujące cytaty przemówień na zebraniu.

Poeta Kirsanow wywodził, że potwierdzeniem głębokiej słuszności i prawdy nauki Stalina o trwałości i długowieczności języka jako wytworu wielu następujących po sobie epok — jest fakt wielkiego podobieństwa języka współczesnego zwłaszcza w poezji (Majakowski) — do języka poezji ludowej w XVII-XVIII w. Poza tym istnieje duża zbieżność w strukturze obrazów poetyckich i rytmiki wiersza. Dlatego głębokie zrozumienie zasad rozwoju języka przeszłości oraz jego perspektyw rozwojowych jest dla pisarzy sprawą konieczną. Równie konieczna jest jednak umiejętność wyczuwania nowości, przeczuwania powstających i rosnących potrzeb języka, który wymaga ciągłych zmian i wzbogacania podstawowego zasobu słów. Poetka Wiera Inber wystąpiła przeciw zbytniemu gadulstwu, rozrzutności językowej — i wysunęła postulat większej wyrazistości, zwięzłości i cyzelowania języka literackiego.

Z ogólnych sformułowań, które wypowiedziano w omawianej dyskusji literackiej pragnę przytoczyć wypowiedź prof. Gałkinej-Feodoruk:

„Literatura — należy do nadbudowy. Lecz język literatury nie jest nadbudową. Pisarz, który nie oderwał się od swojego narodu, posługuje się językiem ogólnonarodowym i jego środkami stylistycznymi jako własnością ogólnonarodową. Talent artysty tworzy z tych pierwiastków ogólnonarodowych nowe wartości językowe, które wlewają się do ogólnego skarbca języka narodowego."

Dyskusję podsumował Fadiejew. Mówiąc o przyczynach braków i niedociągnięć językowych w radzieckiej literaturze pięknej, Fadiejew twierdził, że główną przyczyną tego zjawiska są błędne metody nauczania języka ojczystego stosowane dawniej w szkołach. Następną przyczyną braków i niedo-

ciągnięć językowych jest nadużywanie przez pisarzy, którzy przeważnie pochodzą z obwodów kresowych, wyrażeń regionalnych, dialektycznych i gwarowych. Zdaniem Fadiejewa nawet piękny język Szołochowa w pierwszych wydaniach „Cichego Donu" grzeszył nadmierną ilością wyrażeń gwarowych.

Fakt, że wielu pisarzy radzieckich przyszło do literatury wprost z rozmaitych zawodów, że wielu z nich rekrutuje się z szeregów dziennikarzy, którzy wnieśli ze sobą do literatury publicystycznej „język gazetowy" — ma również duże znaczenie. Cechą języka publicystycznego — wywodzi Fadiejew — jest przeciążenie terminami, wyrażeniami pojęciowymi, wyrazami obcymi, w ogóle wyrażeniami pozbawionymi wyrazistości, plastyczności i obrazowości.

„Wreszcie — powiedział Fadiejew — należy także po prostu zaznaczyć, że wielu pisarzy nie posiada nawyków pracy literackiej, nawyków pracy nad słowem. A przecież literatura — to praca, i to praca skomplikowana."

Praca nad językiem — wywodził w dalszym ciągu Fadiejew — rozpoczyna się na długo przed przystąpieniem do twórczości literackiej: od słuchania baśni i podań ludowych, zbierania przysłów, wsłuchiwania się w mowę ludową, czytania klasyków i pisarzy znanych ze swego bogactwa językowego. Fadiejew wskazuje na przykładach pracy Lwa Tołstoja nad językiem, jak właściwie powinien pracować literat, by opanować język ojczysty. Wielki pisarz rosyjski przez 21 lat prowadził notatnik swoich spostrzeżeń, próbek językowych i stylistyczno-gramatycznych.

W sprawie współpracy autorów z redaktorami i adiustatorami— Fadiejew sądzi, że o ile nie daje ona w poszczególnych wypadkach pożądanych rezultatów, dowodzi to, że autor jak również redaktor za mało pracowali. Wniosek? „I pisarze i redaktorzy powinni się uczyć..." *)

Tołstoj brał np. ze starych słowników jakieś wyrażenia i badał możliwości użycia tych słów w nowym znaczeniu. Inne ćwiczenia polegały na tym, że zapisywał wszystkie możliwe przedrostki i dobierał do nich czasowniki. Jeszcze żmudniejsze ćwiczenia przerabiał Tołstoj w dziedzinie imiesłowów i wyrażeń imiesłowych, przymiotników, epitetów i określeń. Przy innej sposobności (w art. „Praca pisarza" — Lit. Gaz. Nr. 22 z 22. II. br.) Fadiejew przytoczył wiele przykładów żmudnej, wprost tytanicznej pracy klasyków rosyjskich, Lwa Tołstoja i Maksyma Gorkiego, którzy wielokrotnie przepisywali i przerabiali bruliony, tworzyli wiele wariantów, zanim wreszcie znajdowali najlepsze rozwiązanie stylistyczne. Tołstoj przerabiał „Zmartwychwstanie" czterokrotnie, niektóre jego utwory znaleziono w kilkunastu wariantach. Badacze odszukali aż... 90 wariantów jednego z artykułów pisarza.

Prócz publicznych dyskusji na temat wpływu prac Stalina na zagadnienia literackie ogłoszono kilkanaście artykułów w czasopismach literackich.

Co nowego, jakie nowe zagadnienia,

*) Fadiejew mówi o sobie, że z wdzięcznością wspomina współpracę z redaktorami. „Kiedy napisałem „Rozgrom" („Klęska") i przyniosłem go do redakcji, było w tej książce dużo wulgarnego naturalizmu. Redaktor usunął ten naturalizm i miał rację. W pracy nad „Młodą Gwardią" zaakceptowałem około 300 poprawek stylistycznych, które zaproponowali mi redaktorzy... i nie żałuję tego."

jakie nowe argumenty i motywy wniosły wyżej wymienione artykuły? Z gąszczu problemów wysuwa się na pierwszy plan zagadnienie trwałości i długowieczności języka oraz ciągłości tradycji rosyjskiej literatury klasycznej. W tej sprawie pisarze i krytycy radzieccy opierają się na klasycznym sformułowaniu Stalina:

„Od czasu śmierci Puszkina minęło przeszło 100 lat. W ciągu tego czasu w Rosji uległ likwidacji ustrój feudalny i kapitalistyczny i powstał trzeci ustrój, socjalistyczny. A zatem zlikwidowane zostały dwie bazy z ich nadbudowami i powstała nowa baza, socjalistyczna, ze swą nową nadbudową. Jeśli jednak weźmiemy na przykład język rosyjski, to w ciągu tego długiego okresu nie uległ on żadnej radykalnej zmianie i współczesny język rosyjski niewiele różni się w swej strukturze od języka Puszkina.

Co w ciągu tego czasu zmieniło się w języku rosyjskim? Wzbogaciło się poważnie przez ten czas słownictwo języka rosyjskiego; odpadła z tego słownictwa duża ilość wyrazów przestarzałych; zmieniło się znaczenie pojęciowe znacznej ilości wyrazów; poprawiła się gramatyczna budowa języka. — Co się tyczy struktury języka puszkinowskiego z jego budową gramatyczną i podstawowym zasobem słów, to zachowała się ona w całej swej istotnej treści jako podstawa współczesnego języka rosyjskiego" (J. Stalin „W sprawie marksizmu w językoznawstwie" Zeszyty filozoficzne „Nowych Dróg" Nr 3 1950 r. str. 4).

Tarasienkow w artykule „O bogactwo i czystość rosyjskiego języka literackiego" pisze, że to wskazanie Stalina na ciągłość literatury i trwałość języka od Puszkina do chwili obecnej nakłada na pisarzy radzieckich obowiązek uczenia się od Puszkina i innych klasyków. — Tarasienkow pisze dalej:

„Puszkin i Lermontow, Gogol i Tołstoj, Niekrasow i Sałtykow-Szczedrin, Turgieniew i Czechow — stworzyli bogaty język literacki — mocny, giętki, niezmiernie treściwy, zdolny do przekazywania najbardziej subtelnych odcieni myśli i uczucia, który na długi czas złożył podwaliny pod rozwój twórczości artystycznej w naszym kraju.

Wspaniałe wzory władania językiem znajdujemy w pracach Bielińskiego, Czernyszewskiego i Dobrolubowa, wielkich publicystów i krytyków, płomiennych rewolucjonistów — demokratów" („Nowyj Mir" Nr 2/1951 str. 204).

Ten piękny i różnorodny język, wzbogacony dzięki pracom Lenina i Stalina, rozwijał się w twórczości Gorkiego i Majakowskiego oraz w twórczości literatury radzieckiej epoki stalinowskiej.

Drugim nowym i ważnym motywem wniesionym do dyskusji jest przeprowadzenie paraleli między działalnością niemarksistowskich teoretyków językoznawstwa ze szkoły Marra a teorią i twórczością kierunków formalistycznych w literaturze (futuryzmu, konstruktywizmu itp.).

Próbę rozwinięcia paraleli między szkołą Marra a formalistycznymi ugrupowaniami literackimi podjął Surkow w artykule „Zagadnienia językoznawcze a literatura radziecka". Autor artykułu przeprowadził analogię między głoszoną przez szkołę Marra teorią „rewolucji językowej" a teoriami literackimi szkół i szkółek formalistycznych — od futurystów do konstruktywistów — głoszącymi „że istniejący rosyjski język literacki nie nadaje się do obsługiwania współczesności". Z takich za-

łożeń wyszedł teoretyk rosyjskich futurystów lat dwudziestu, Winokur, w artykule pt. „Futuryści - budowniczowie języka". Artykuł ten zawierał program „Budownictwa językowego" czyli „Inżynierii językowej" — według wyrażenia Winokura. Zadaniem futurystów — „inżynierów językowych" jest niszczenie, „pokonanie" języka przeszłości i stworzenie zupełnie „nowego języka", „języka ulicy".

Surkow pisze o tych bredniach:

„Pomimo całej pozornej sprzeczności istniejącej rzekomo między wulgarnymi socjologami typu Marra a znawcami literatury — formalistami... w rzeczywistości w kilku n a j w a ż n i e j s z y c h zagadnieniach oni wzajemnie się wspierali"... (Cyt. „Nowyj Mir" nr 1 1951 str. 210 i nast.).

Tak więc nowa praca J. Stalina daje literaturze socjalistycznej ostrą i skuteczną broń w walce z formalizmem, który prowadzi do takich szkodliwych absurdów, sprzecznych z marksizmem-leninizmem. W przytoczonym artykule Surkow podaje wiele przykładów takiego futurystycznego „tworzenia" języka.

Trzecim istotnym momentem obecnego etapu dyskusji językoznawczej na odcinku literatury jest: wyjaśnienie i zrozumienie sprawy czystości języka — w świetle prac Józefa Stalina. W omówionej wyżej dyskusji na zebraniu partyjnym literatów moskiewskich problem ten wysunął się na czoło zagadnień. Poruszona wówczas przez Jugowa i mocno skrytykowana w przebiegu dyskusji — sprawa wprowadzania do utworu literackiego archaizmów, słowianizmów itp., o ile te wyrażenia zgodne są z gramatyką historyczną, — jest obecnie przedmiotem dyskusji na łamach „Litieraturnoj Gaziety."

W artykule zagajającym dyskusję („Uwagi o języku") Jugow wywodzi, że:

„im więcej rdzennych, odwiecznych właściwości i form pochodnych języka ogólnonarodowego wprowadził artysta do swego języka poetyckiego, tym trwalsze i korzystniejsze dla dalszego rozwoju samego języka narodowego będzie wszystko to, co dany artysta osiągnął w dziedzinie języka poetyckiego, literackiego (Lit. Gaz. Nr 15/1951)."

W imię tego, co uświęcone jest gramatyką historyczną, Jugow występuje przeciw „pseudogramatyzmowi", przeciw unifikacji prawideł gramatycznych — i domaga się, by język literacki mógł bez żadnych ograniczeń czerpać z „oceanu" języka ludowego.

To stanowisko otwierające szeroko wrota języka literackiego dla archaizmów, słowianizmów, dialektyzmów itp. wywołało liczne sprzeciwy. Swoim obawom o czystość języka dali również wyraz na łamach „Litieraturnej Gaziety" Tarasienkow i Czukowski. W artykule „Żywy język i martwa archaika" Tarasienkow twierdzi, że taka nieograniczona swoboda czerpania z „oceanu" języka ludowego, języka przeszłości może uczynić takie utwory literackie niezrozumiałymi dla milionowych mas czytelniczych. Piękny język przeszłości zawarty w p o m n i k a c h języka narodowego — nie zawsze jest przystępny współczesnemu czytelnikowi. Ten warunek c z y t e l n o ś c i utworu literackiego musi decydować przy doborze wyrażeń czerpanych ze źródeł przeszłości.

Poeta leningradzki, Czukowski, w artykule „O poczuciu współmierności i zgodności" („Lit. Gaz." Nr 26/1951) udowadnia na szeregu przykładów z poezji klasycznej (głównie Niekrasowa), że poszczególne archaizmy czy dialektyzmy mogą być potrzebne, lecz ich współmierność i zgodność z treścią, z kontekstem musi stanowić „regula-

tor" takiego stosowania. Czukowski występuje przeciwko głoszonej przez Jugowa walce z unifikacją, twierdząc, że język w swym rozwoju wyraźnie zmierza do unifikacji.

Józef Spinc

„NACJA EUROPY"

Otrzymałem comiesięczną pakę czasopism zza amerykańskiego kordonu. Nowy transport „dokumentów myśli zachodniego świata" nastroił mnie melancholijnie. Pomyślałem o mej pięcioletniej córce, która za ileś tam lat zainteresuje się biblioteką ojca, natrafi na roczniki „Universitas", „Monat", „Frankfurter Hefte", „Deutsche Rundschau", „Amerikanische Rundschau", „Nation-Europa", czy „American Public Opinion", pokręci głową i zapyta, po co właściwie ojciec to panopticum ludzkiej myśli zbierał? Dociekliwy umysł młodej dziewczyny będzie starał się wyświetlić jeszcze jedną zagadkę: — jak to było możliwe, aby w roku 1950 czy 1951 byli ludzie dorośli, wykształceni, uczeni, którzy upierali się przy jakimś świecie nie z tego świata...

Ostrość sądu mej córki, tłumaczyć się będzie jej młodością, mocno osadzoną w czasie przyszłym. Ale cóż mam robić ja, dla którego czas przeszły wciąż jest częścią czasu teraźniejszego, i czy chcę czy nie chcę, muszę rozprawiać się co dzień z tym pomieszaniem trzech czasów w podzielonym epokami świecie?

*

Z panopticum, tworzonego dla mej córki, wybieram idejkę, mało zabawną, bo z śladami zakrzepłej krwi.

Jest to — niegdyś hitlerowska, obecnie amerykańska idejka na temat Europy. Stosuje się ją w rozmaitych językach europejskich, ale mocodawca siedzi za oceanem.

We Włoszech i Francji, w Belgii i Holandii, w Niemczech zachodnich i w Anglii, w Portugalii i Hiszpanii, w Austrii i Szwajcarii powstały organizacje, złożone w części z zawodowych intelektualistów, w części z zawodowych polityków, mające stworzyć „ruch europejski". Wkrótce potem powołano „Międzynarodową Radę Ruchu Europejskiego", której honorowymi prezydentami wybrano pięciu „polityków": Winstona Churchilla, Leona Bluma, Alcide de Gasperi i Paul Henri Spaaka. „Apolityczni" intelektualiści przystąpili z kolei do wgniatania „idei europejskiej" we wszystkie formy imperialistycznego myślenia.

Od kilku lat, z obowiązku publicysty, zadaję sobie trud czytania co najmniej głównych wypowiedzi „europejskiego ruchu". Na pozór jałowe to zajęcie. „Szkoda czasu na szukanie sensu w czyimś bzdurzeniu" — powie kiedyś moja córka, przeglądając roczniki „europejskich" pism. I doda: — Musiałeś przecież wiedzieć, że „ruch europejski" był jeszcze jedną formą jednoczenia kapitalistycznego świata do nowej wojny przeciwko socjalistycznemu światu. Więc, wiedząc to, po cóż się babrałeś w wypowiedziach wstecznikow, nie wartych nawet chwili uwagi?

Oczywiście wiem o tym, a nawet wiem o wiele więcej, na przykład o tym, że ruch europejski, kierowany przez zawodowych burżuazyjnych polityków powstał z zaopotrzebowania na... intelektualistów, którzy by giętkością języka i myśli potrafili udowodnić światu, że chcąc zjednoczyć Europę, nie wolno dopuścić do zjednoczenia Niemiec, nie wolno dopuścić do zjednoczenia Korei, nie wolno dopuścić do jedności w Organizacji Narodów Zjednoczonych, nie wolno dopuścić do trwałego pokoju; że „zimna wojna" jest najwłaściwszą formą jednoczenia Europy

w okresie między wojnami... To, że każdą z tych politycznych tez każdy z pisarzy, filozofów, poetów, czy wręcz zręcznych skrybów, maskuje „własną ideologią" ma być dowodem wolności słowa w „wolnym świecie" (nomenklatura obowiązująca wszystkich skrybów za amerykańskim kordonem na określenie wyzysku mas pracujących przez ustrój kapitalistyczny).

Istotnie. W „ruchu europejskim" bez przeszkód głoszą wszyscy naraz swoje bardzo różnorodne poglądy. Ich wielość i ich abstrakcyjność stwarza wspaniały szum myśli, który zdumiewająco konkretyzuje się w każdej wypowiedzi tylko jedną myślą: — „jak zniszczyć Związek Radziecki i kraje demokracji ludowych?"

Ot, biorę pierwsze zeszyty nowego czasopisma „Nation Europa". Towarzystwo dobrze dobrane. Jest filozof generała Franco, Jose Ortega y Gasset, koncepcjonalista kosmopolitycznej, faszystowskiej „nacji Europy", której misję dziejową wyznaczają przez „nację Europy" zrodzeni Amerykanie Trumana. Jest piewca Pangermańskiej Rzeszy, Hans Grimm, który po klęsce Hitlera zaklina z kolei Trumana, by stworzył „Das Europäische Reich". Jest Denis de Rougemont, który głosi, że „Europa uratować się może, jeśli przegrupuje swe siły i na nowo stanie na pewnym fundamencie swej historii — fundamencie kultury". I Denis de Rougemont nawołuje intelektualistów do wielkiej krucjaty kulturalnej, która by z „europejską kulturą" zapoznała masy ludowe Europy, bowiem absurdem jest dawać ludziom karabin do ręki, jeśli nie zdają sobie oni sprawy z wartości tego, czego mają bronić". A właśnie grozi nam to — mówi Denis de Rougemont — że ludzie „powołani pewnego dnia do obrony Europy, nie zechcą brać karabinu w dłoń. Voilà! „Europejski" sens kultury głoszony w genewskiej „Centre Européen de la Culture", którego dyrektorem jest autor cytowanych zdań.

*

Mógłbym wiele podobnych wypowiedzi cytować. Ale od wypowiedzi ludzi takich jak Denis de Rougemont, Jose Ortega y Gasset, Hans Grimm, Eugen Kogon, Sven Hedin, Karl Heinz Priester, Arthur Kostler, Paul Reynaud, Paul Sartre, B. H. Liddell Hart, Claude Rigaud, Guido Erwin Kolbenheyer, Rudolf Pechel, Heinrich Ziller (nazwiska wybrałem pierwsze z brzegu jako przykład grochu z kapustą „europejskiego ruchu") ważniejsze są strokroć wypowiedzi ludzi, którzy „nie chcą brać karabinu w dłoń".

Oto na przykład dwa głosy o „europejskich" nadziejach bardzo ruchliwego za amerykańskim kordonem publicysty Eugena Kogona, który w Nr 12/50 „Frankfurter Hefte" ogłosił artykuł „O obronie Europy" i jednocześnie zabrał głos w tej samej sprawie w Kronice Filmowej, jako przewodniczący „Deutsche Europa Union".

Głos pierwszy (cytuję za tygodnikiem „Hier und Heute", w którym Kogon przeciwstawia poniższym głosom bardzo mętne i bardzo wykrętne argumenty):

„... Niedawno, z okazji obrad Unii Europejskiej w Strassburgu, mogliśmy w kronice filmowej widzieć i słyszeć dr. Kogona. Powiedział, że jest przekonany, iż młodzież niemiecka już nigdy nie będzie się biła o cele nacjonalistyczne, a jedynie o zjednoczenie Europy.

Byłoby rzeczą interesującą dowiedzieć się, skąd dr Kogon zaczerpnął przekonanie, że młodzież niemiecka w ogóle chce się „bić". Czy może pytał młodzież niemiecką o to? Czy pytał o to miliony swych byłych rodaków,

którzy już przez sześć lat bili się o inną „ideę Europy"? Czy zapytywał setki tysięcy jeńców wojennych o to, czy dla jakiejś idei chcą poświęcić jeszcze kilka swych najlepszych lat życia? Czy pytał pięć milionów matek i wdów po poległych, czy sobie życzą, aby „uratowani" zostali na nowo rzuceni w wojenną przygodę o nieprzewidzianych rozmiarach? Czy pytał szesnasto, siedemnasto i osiemnastoletnich chłopców o to, czy chcą pogrzebać swą młodość i swe życie w wyrwach i lejach po pociskach artyleryjskich, tak jak musieli to zrobić ich starsi bracia i ojcowie? Czy pytał dziewczęta w tym samym wieku o to, czy chcą, jak ich starsze siostry, przez całe lata być „zaciągnięte" do służby przy wojsku?

Śmiech, gwizdy i oburzenie, z którymi młodzież w wielu kinach wyświetlających kronikę filmową z dr. Kogonem przyjęła jego słowa, dowodzą, że nie zadawał pytań tej młodzieży, zanim zabrał głos.

Pan dr Kogon jako przewodniczący niemieckiej Unii Europejskiej stwierdził dalej: „Bez federacji, bez parlamentu, bez rządu europejskiego nie damy ani jednego niemieckiego żołnierza!" Schylam głowę przed tym żądaniem, ale czy pan dr Kogon mógłby nas poinformować, kto go upoważnił do handlowania niemieckimi żołnierzami?

Czy mógłby ponadto podać, gdzie w tej chwili znajdują się niemieccy żołnierze, których mu wolno rozdawać? Czy może, mówiąc o żołnierzach, pan dr Kogon ma na myśli tę znikomą garstkę młodzieży niemieckiej, która lata powojenne traktuje jako nieco przeciągający się okres przejściowy przed najbliższym awansem? Albo też ma na myśli tę część młodzieży niemieckiej, która ze swej beznadziejnej sytuacji ekonomicznej chętnie uciekłaby znów na pewien czas do koszar?

Przekonaniu pana dr. Kogona, że młodzież niemiecka będzie się biła o zjednoczenie Europy, nie mogę przeciwstawić mojego przekonania, że tak nie będzie. Nie pytałem o to młodzieży. Mogę go jednak zapewnić, że żaden spośród tych młodych mężczyzn, z którymi rozmawiałem, nie wykazuje gotowości, aby znowu, w imię jakiejkolwiek idei, odgrywać rolę żołnierza w pierwszej linii okopów. Nikt jednak nie wątpi, że znajdzie się dość dowódców."

Głos drugi czytelnika z Monachium:

„W artykule o obronie Europy pisał dr Kogon: „Można być pewnym, że narody wyrażą swą zgodę na armię europejską pod demokratyczną, polityczną kontrolą. W każdym razie pewne jest, że konieczność tę uzna na pewno młode pokolenie w Niemczech zachodnich... Bowiem jeśli pokolenie to posiada jeszcze jakiś polityczny ideał, to jest nim wolna, sfederowana Europa!" — Otóż, jeśli chodzi o mnie, to, mimo najlepszych chęci, nie znajduję nigdzie realnej podstawy do tego rodzaju twierdzeń. Ani wśród tak zwanej generacji wojennej, ani wśród dziesiejszego młodego pokolenia naszych studentów. W pracy mej stykam się stale ze studentami i robotnikami wszelkich wyznań i światopoglądów. Nigdzie nie mogę dostrzec choćby śladu idei Europy, czy gotowości postawienia obecnie w miejsce „Wielkiej niemieckiej Rzeszy" słówka „Europa", za które miałoby się walczyć, głodować, gnić i z przetrąconymi na wojnie kośćiami zdobywać miejsce w grobie bohaterów. (Notabene za moich lat szkolnych pojęcie Europy sięgało do Uralu, a nie tylko do Łaby). Od roku 1945 muszę przyznać, nie słyszałem nigdy gwizdów w kinie — aż po dzień, w którym w Kronice Fil-

mowej dr Kogon mówił mniej więcej to samo, co w swym artykule."

*

Nie znam wypadku, aby w kinie, gdziekolwiek na świecie, wygwizdano któregokolwiek z intelektualistów, biorących udział w ruchu obrońców pokoju i mówiących o tym ruchu. (Gdyby to się choć raz zdarzyło, rok cały krzyczałyby o tym Głosy Ameryki, Madrytu, Londynu).

Wiem, że nie należy zestawiać z sobą ruchów niewspółmiernych, ale nie moja w tym „wina", lecz nieubłaganych procesów historii, że przeciwnik postępu przeciwstawić jest w stanie idei, ogarniającej ludzkość całą, tylko takie pokurcza myśli ludzkiej, jak idejka „nacji Europy".

Odgarnijmy całą frazeologię o kulturze europejskiej, a natychmiast ujrzymy pod mitem obrony Europy podły strach kapitalistycznego świata przed tym, że nieodwołalnie mija czas bezkarnego wyzysku, mordów i pożogi.

Atlantycka „nacja Europy"—to ostatnia próba zespolenia wszystkich wstecznych sił „rasy panów" dla utrzymania starego ładu. Słowo „Europa" ma uświęcić swą wspaniałą treścią kulturalną najgorsze tradycje imperializmów europejskich, których generalnym spadkobiercą jest dziś imperializm amerykański. W imię tej kultury i w imię tych tradycji intelektualiści z „europejskiego ruchu" rozgrzeszają Amerykanów Trumana z ohydnych mordów w Korei, jako popełnianych „w obronie Europy".

Trudno o bardziej ohydną maskaradę.

*

Za amerykańskim kordonem ludzie gwiżdżą w kinach, gdy im naganiacze Eisenhowera próbują wmawiać gotowość umierania za atlantycką „Europę". Za amerykańskim kordonem ludzie nie chcą wojny, chcą pokoju, tak samo, jak w wolnym świecie ludzi pracy od Łaby do Chińskiego Morza.

Rośnie światowy ruch obrońców pokoju i odmiata wszystkie śmieci mijającej epoki. Śmieć „nacji Europy", odmiatany właśnie, opisałem powyżej.

Edmund Osmańczyk

LIST DO REDAKCJI

W N-rze 3 „Twórczości" znalazłem recenzję mojej książki „Wybrańcy bogów", w której autor recenzji pisze m. in.: „...ich wsteczne oblicze ujawniło się następnie w rewolucji 1848 r., gdzie Cavaignac zdobywa sobie miano „kata barykad czerwonych". Ponieważ piszę o Cavaignacu z wielką sympatią i rozmawiałem o tej postaci z historykami-marksistami, chciałem zwrócić uwagę czytelników recenzji, że Cavaignac — „kat barykad"—urodził się w roku 1802, umarł w 1857 i miał na imię Louis Eugène, podczas gdy Cavaignac z „Wybrańców bogów" miał na imię Godefroy (jak o tym wyraźnie piszę na str. 154) i był znanym przywódcą radykalnego odłamu partii republikańskiej. Był on więziony po roku 1830 i umarł przed rokiem 1848.

Leopold Infeld

SPROSTOWANIE

W poprzednim (3) numerze w spisie treści opuszczono pozycję:

Stefan Flukowski: Popołudnie w Trigorskoje — str. 90.

SPIS TREŚCI

Str.

Rozmowa Józefa Stalina z korespondentem „Prawdy“ 3

Bolesław Bierut: Z referatu wygłoszonego na VI Plenum KC PZPR 7

Zbigniew Bieńkowski:: Aby pokój zwyciężył . . . 33

Henryk Sienkiewicz: Z „Listów z podróży do Ameryki“ . 36

Jerzy Putrament: Kamień 48

Tadeusz Kubiak: Rozmowa z poetą. Nie utraciłem jej nigdy . 49

Julian Gałaj: Jesienna orka 53

Jerzy Broszkiewicz: Powrót ojca 61

Jerzy Kornacki: Kręgle i kule 78

Stanisław Strumph Wojtkiewicz: Wolny Paryż 98

Jerzy Andrzejewski: Człowiek radziecki: „świadomość samego siebie“ 109

Barbara Rafałowska: Klangor żurawi nad brzegiem Oceanu Spokojnego 124

Jan Kott: O nową syntezę polskiego Oświecenia 134

Mikołaj Niekrasow: Komu na Rusi dobrze się żyje. Prolog Przeł. St. Strumph Wojtkiewicz 154

Mikołaj Niekrasow: Komu się na Rusi dobrze dzieje. Prolog. Jarmark wiejski. — Przeł. Julian Tuwin 159

SEKCJA ZLP: Grzegorz Lasota: O wierszach Wiktora Woroszylskiego 180

WŚRÓD KSIĄŻEK: arm: „Antologia poezji walczącej o pokój“; Włodzimierz Maciąg: Stanisław Ryszard Dobrowolski — „Notatnik warszawski“; Andrzej Lam: Nina Rydzewska— „Ludzie z węgla“; Jan Mietkowski: — Anatol Rybakow — „Kierowcy“; Ludwik B. Grzeniewski: Marcel Cachin — „Balzak“ 180

TEATR: Henryk Vogler — Krakowski przegląd teatralny . . . 192

NA WIDNOKRĘGU: Józef Spinc, Edmund Osmańczyk. List do Redakcji. Sprostowanie 198

Wydawca: RSW „Prasa“

Redaktor Naczelny: Adam Ważyk

Adres redakcji: Warszawa, Wiejska 16, tel. 734-65 centr. 401-80/90, wewnętrzny 22

Administracja: Wiejska 12

Prenumerata i kolportaż: PPK „Ruch“ Oddz. w W-wie, ul. Srebrna 12, tel. 804-20 do 25

Wpłat na prenumeratę można dokonywać Pl. 3 Krzyży 16. Chmielna 25.

Cena zeszytu zł. 3.60. Prenumerata kwartalna zł. 10.80, półroczna — zł. 21.60.

Rękopisów nie zamówionych redakcja nie zwraca.

CENA zł 3.60